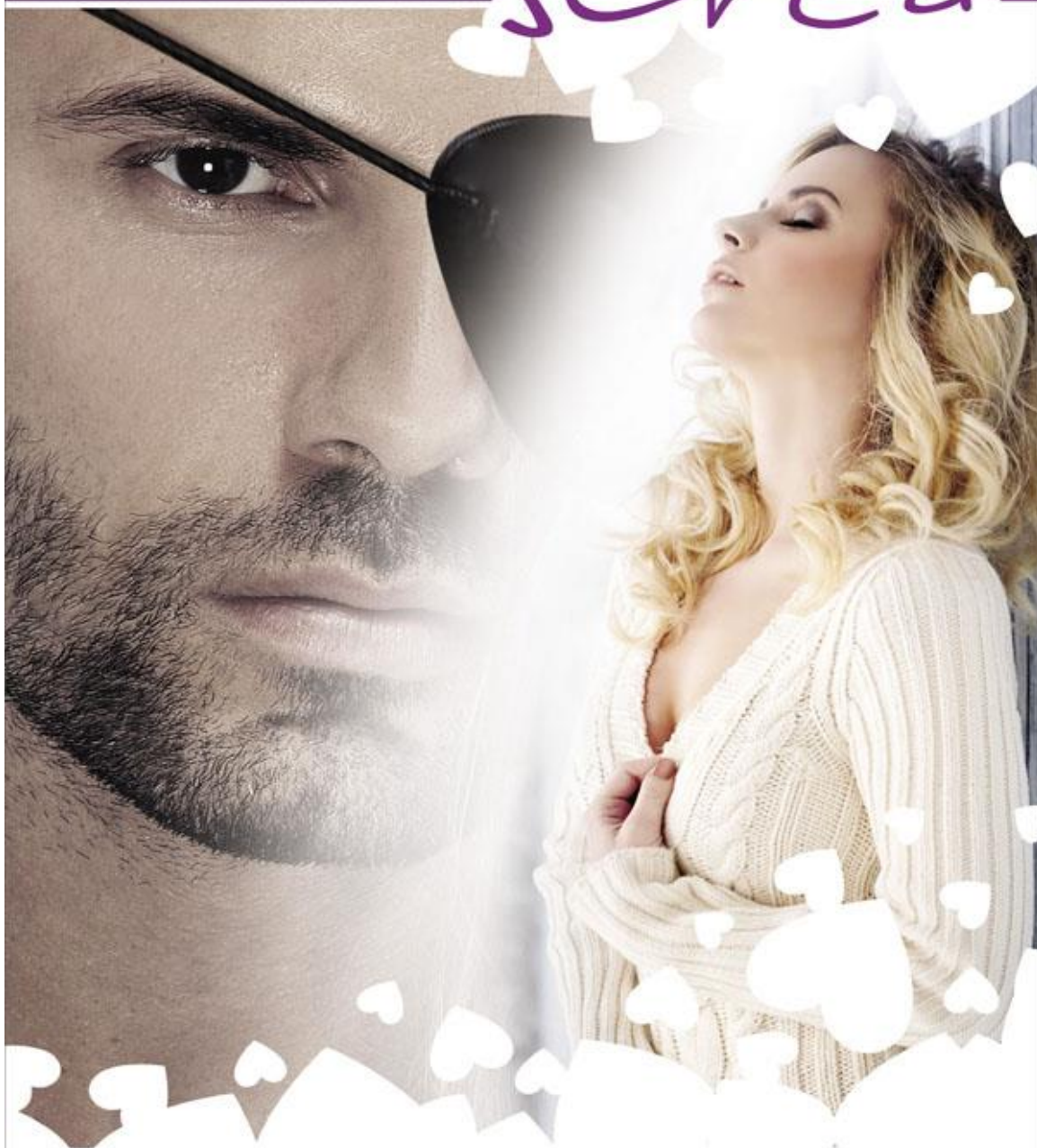


KRYSTAŁOWE

serca



AUGUSTA DOCHER

NOVAE RES

AUGUSTA DOCHER

KRYSZTAŁOWE
serca



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

EPILOG

PROLOG

Słyszała wszystko. Każde słowo. Jakby to ona je wypowiadała.

Dźwięki wpadały, odskakiwały od metalowych ścianek bagażnika i dudniły w jej głowie. Do końca łudziła się, że ktoś ich uratuje. Że ktoś uratuje Karima. Gdy padł strzał, poczuła, jak pęka jej serce, a czas na chwilę staje w miejscu. Zaskowyczała cicho z żalu i mocniej ścisnęła mały śrubokręt, który odnalazła w jakiejś szczelinie jeszcze w czasie jazdy tutaj. Tylko to jej zostało – nędzna namiastka broni. „Zabiję go” – postanowiła, choć nie miała pojęcia, jak to zrobi. Poprawiła chustkę, żeby mocniej przylegała do głowy, i wsunęła pod nią narzędzie. Wbiło się w wysoki kok. Drżące opuszki palców przebiegły po krawędzi czarnego jedwabiu. Musiała sprawdzić, czy nic nie wystaje.

Była gotowa.

ROZDZIAŁ 1

– Fabi! Mamy klienta! Duża rzecz! – W głosie Alka wybrzmiewała euforia.
– Nie spieprz tego! A w ogóle to gdzie ty, do cholery, jesteś?!

– Na uczelni – wyjaśniła ze stoickim spokojem Fabiana. – Właśnie wyrwałeś mnie z wykładu.

– Przyjeżdżaj natychmiast! – ryknął do słuchawki. – Masz pół godziny.

– Aha. To raczej nic z tego. – Dziewczyna zerknęła na naścienny zegar wiszący w holu uniwersytetu. Pomyślała, że zanim dotrze do domu, żeby wziąć prysznic, umyć włosy, założyć elegancką bieliznę i chociaż prowizorycznie się umalować, te nędzne dwa kwadransy już miną. – Alek, daj spokój. Nie pierwszy klient, nie ostatni. – Ziewnęła, bo spała zaledwie cztery godziny, kując na kolejny egzamin DELF.

– Mam na imię Aleksander, nie Alek. I mamy umowę – przypomniał niezbyt miłym tonem. – Łap taksówkę i widzę cię tu najpóźniej o dziesiątej. Masz dwadzieścia minut – rzucił i rozłączył się.

– Dupek – westchnęła Fabiana.

Z wyrachowaniem zwracała się do niego znienawidzonym zdrobnieniem. Jej też wydawało się beznadziejne, jakieś takie dupkowane i delikatnie mówiąc, niezbyt męskie. Zresztą Alek nie był ani męski, ani damski. Ni pies, ni wydra. Nie miał partnerki, przyjaciela też nie, nie licząc starego jamnika Lucyfera, który z reguły przesypiał całe dnie w wiklinowym koszu ustawionym na kuchennym zapleczu pracowni. Aleksander Osiejka snobował się na artystę i hipstera. Nosił szale, kominy i cienkie płaszcze za kolano, a w lewym uchu miał kolczyk, na szczęście nie tunel. Tego Fabiana na pewno by nie zniosła, strasznie obrzydzały ją takie upiększenia.

Wysłała SMS-a Julicie, że musi zerwać się z zajęć, i szybko wybiegła z budynku. Z ulicy Chodakowskiej, gdzie mieściła się SWPS, na Białostocką na Szmulowiznie nie jechało się długo. Uczelnię Fabiany i apartament Alka dzieliła niewielka odległość, ale wystarczająca, żeby zdążyć w taksówce nieco się ogarnąć. Dziewczyna wyjęła szczotkę i nerwowymi ruchami przeczesła włosy. Jak na złość, puszyły się i elektryzowały, bo już tydzień temu skończyła się jej odżywka do kręconych włosów, a „pożyczony” od Tymka uniwersalny szampon typu dwa w jednym okazał się do wszystkiego i do niczego zarazem.

– Ech... – jęknęła do siebie, gdy rudoblond włosy uparcie oblepiały jej bladą twarz.

Szybko potarła policzki, żeby nadać im nieco zdrowszy wygląd, i kilka razy zagryzła wargi. Nie chciała zaprezentować się jak marzanna czy inna topielica, jak często określał ją Tymon. Zwłaszcza ostatnio pozwalał sobie na coraz śmielsze i chamskie uwagi.

Raniły ją te słowa, a przecież tak się starała. Już od ponad dwóch miesięcy, niemalże trzech, żyli z jej pieniędzy, bo Tymek stracił pracę zaraz po Nowym Roku. Pracował w firmie myjącej okna i elewacje. Przecież to lubił: wspinać się i łaźić po górach. Wydał krocie, a raczej jego starzy, na specjalistyczny sprzęt, na te wszystkie uprząże, odpowiednie buty i akcesoria. Tymon lęku wysokości nie miał, za to ten przed ciężką harową – owszem. Szukał co prawda nowej pracy, ale kiepsko mu szło. Fabiana nie potrafiła tego pojąć. „Mieszkamy w Warszawie! W mieście, w którym najłatwiej znaleźć pracę! – żaliła się przyjaciółkom. – A on mówi, że nie ma dla niego zajęcia! Może grać chałtury, w pubach ciągle są ogłoszenia, że potrzebują muzyków, ale przecież Tymuś nie zniży się do poziomu grania do kotleta – sarkala. – Ukończył te swoje uczelnie, brał nauki u mistrzów, ma ambicje i dla niego taka praca to prostytutka”.

Nie poruszała tego tematu zbyt często, bo chłopak natychmiast się obrażał. Pozostawało jej skarżyć się Julicie albo Zuzce. I utrzymywać faceta, z którym kiedyś wiązała tyle nadziei.

– Jesteśmy – oznajmił taksówkarz.

Fabiana wysupłała ostatnią pięćdziesiątkę z portfela i znów się skrzywiła, myśląc, że wczoraj wybrała dwie stówy, a zostało jej tylko dwadzieścia złotych. „Może Alek da mi jakąś zaliczkę?” – spekulowała, wysiadając z samochodu. Poprawiła poły cienkiego kozuska i pospiesznym krokiem skierowała się w stronę wejścia do odnowionej niedawno kamienicy. Już prawie weszła do środka, gdy kątem oka zauważyła stojącą nieopodal czarną limuzynę. Nie była w stanie dostrzec kierowcy, zaledwie cień sylwetki przez zaciemnioną szybę. „To pewnie ten klient!” – zaśmiała się w duchu, choć akurat mogła mieć rację. Większość z klientów była dobrze sytuowana, ale z reguły dziewczyna nie widziała ich na oczy. Takie sprawy jak wynajęcie fotomodelki załatwiali za nich inni.

Jeszcze raz ukradkiem zerknęła na wypasioną furę i weszła do kamienicy.

– A oto nasza gwiazda! – powitał ją z emfazą Alek. Nachylił się i syknął do ucha, że wygląda jak postrach i że zaraz go szlag trafi, po czym szybko przybrał na twarz wyraz nieskrywanego entuzjazmu. – Cudownie, że już jesteś!

Wprowadził ją do głównego pomieszczenia niczym żywą lalkę i dla większego efektu okręcił dwa razy, żeby zaprezentować kupcowi towar. Klientem okazała się niska, przysadzista kobieta, na oko czterdziestoletnia, w doskonałych ciuchach i z imponującym ciemnym wąsikiem, który dodawał jej twarzy dzikiego wyrazu.

– Fabiana Czekaaj, moja muza i modelka. – Alek przedstawił ją kobiecie, która natychmiast się uśmiechnęła, odsłaniając przy okazji okazały garnitur złotych zębów.

– Dżamila Tujakbaj – powiedziała i wyciągnęła prawą dłoń, od razu skwapliwie uściśniętą przez nieco zaskoczoną Fabianę.

– Pani Dżamaja...
– Dżamila – poprawiła Alka klientka.
– Pani Dżamila chciałaby cię zobaczyć w białiznie. – Fotograf przeszedł od razu do rzeczy. – I bez obuwia.

– Rozumiem. Proszę dać mi pięć minut – odpowiedziała dziewczyna.

Wyszła do sąsiadującego z salonem pomieszczenia, szybko zdjęła ciuchy i z ulgą skonstatowała, że Alek przygotował dla niej komplet klasycznej, beżowej i cielistej białizny, która idealnie nadawała się do prezentacji. Poprawiła włosy, znów potarła policzki, choć to było niepotrzebne. Pod koniec marca wrócił lekki mróz i on znacznie lepiej okrył jej twarz naturalnymi rumieńcami. Podkreślały zieleń jej oczu i te kilka dziewczęcych piegów zdobiących wąski, zgrabny, choć odrobinę zadarty nosek.

Wyszła cicho z przebieralni i stanęła na środku salonu, żeby tajemnicza Dżamila mogła pooglądać „towar” bez przeszkód. Kusiło ją spytać, o jaką stawkę toczy się gra i co ma prezentować, ale czuła, że kontrakt będzie atrakcyjny. Wystarczyło popatrzeć na Alka. Gdyby mógł, padłby klientce do stóp, żeby je też ozłocić, jak zęby. Trajkotał jak oszalały, co chwilę niczym lew odrzucał długą złocistą grzywę, pstrykał palcami i wtrącał włoskie słówka. „Palant” – pomyślała Fabiana, słysząc kolejny raz *bella ragazza*1.

– Jestem bardzo zadowolona – powiedziała Dżamila. – Dziewczyna jest taka, jak na zdjęciach. Ładna i niezbyt wysoka. – Podeszła do Fabiany i przez chwilę oceniała ją wzrokiem. – Kiedy mogłabyś jechać?

– Jechać? – Fabiana popatrzyła na Alka, po czym z powrotem skupiła wzrok na klientce.

– No tak, jechać. Na Ukrainę. Kontrakt jest na zdjęcia w Odessie. Trzy tygodnie, może miesiąc.

– W Odessie? – Jasne, niemalże niewidoczne brwi Fabiany uniosły się nieznacznie. – Nie miałam nigdy zdjęć na Ukrainie. W ogóle nie jeżdżę za granicę. Zdjęcia robimy tutaj. – Rozejrzała się wokół.

– Ale jakie to ma znaczenie?! – zachnął się Alek. – Fabi, nie rób cyrku. To doskonały kontrakt. Zero golizny, najwyżej topless, ale z zasłoniętymi piersiami. Hotel, dojazd, wyżywienie, wszystko sponsorowane. Do tego wolny czas, możesz zwiedzić Odessę. Full wypas. A jaka stawka?! – przeciągnął sylabę. – Wiesz, jaka stawka?!

Wytrzeszczał oczy, jakby chciał przekazać swojej modelce, że musi się zgodzić. Fabiana znów pożałowała ich bezterminowej umowy sprzed dwóch lat. Nie miała wtedy grosza przy duszy, matka odmówiła pomocy i Alek ze swoją ofertą pojawił się niczym gwiazdka z nieba. „Odkrył” ją w jednej z warszawskich dyskotek, wsparł minimalną krajową zadatku, zrobił zdjęcia, przygotował portfolio i załatwił pierwszych klientów.

I pobierał swoją dolę. Niestety. Umowa była prosta: gdy Fabiana załatwiła zlecenie na swoje usługi fotomodelki, wtedy Alek otrzymywał dwadzieścia pięć procent jej wynagrodzenia, a gdy on był naganiaczem, zabierał połowę. Właśnie dlatego tak mu zależało. Dla niego taki kontrakt to czysty pieniądz za nic. Oprócz Fabiany usidlił jeszcze trzy dziewczyny, ale to ona przynosiła mu najwięcej zysków. Ze swoją oryginalną urodą nie narzekała na brak zleceń. Jej jasna cera była promienna i przejrzysta, spod mleczonej skóry prześwitywały naczynia krwionośne, na dnie bładozielonych, wodnistych oczu skrywała się tajemnica i melancholia. A włosy? Długie, bujne i falujące, otaczały delikatną twarz złocistorudą chmurą, sprawiając, że każdy, kto mijał Fabianę na ulicy, jeszcze długo nie mógł wymazać z pamięci jej obrazu.

– Nie wiem, jaka stawka, i nie interesuje mnie to – oznajmiła stanowczo. – Nie pojedę na Ukrainę. Przepraszam, że Alek pochopnie to pani obiecał.

– Fabi! – wrzasnął fotograf cienkim falsecikiem, niczym chłopak przechodzący mutację. – Przepraszam na moment! – zwrócił się do klientki, uprzednio chwyciwszy swoją niesubordynowaną podopieczną za ramię. Zawłókł ją prędko na zaplecze i wysyczał: – Tysiąc zielonych za każdy dzień zdjęciowy, co najwyżej trzy godziny dziennie. Minimum dwadzieścia takich dni. Jeszcze nie kapujesz, o co toczy się gra? Dwadzieścia patyków. Dziesięć dla mnie, dziesięć dla ciebie.

– Boli... – jęknęła Fabiana, bo kościste palce Alka prawie przebiły jej delikatną skórę.

– Sorki – burknął, luzując natychmiast uchwyt. – Musisz się zgodzić. Rozumiesz? Ta baba płaci żywą gotówką. Zaliczka pięć tysięcy zielonych. Zrobi przelew i jeszcze dzisiaj będziemy mieć kasę na kontach.

– Nie. Nie pojedę na Ukrainę.

– Pamiętasz, co jest w umowie? – spytał, nawet nie dbając o to, żeby jego głos brzmiał polubownie.

– Alek, to mi śmierdzi, jarzysz? Cała ta sprawa mi cuchnie. – Nachyliła się, żeby nikt poza nimi nie słyszał jej słów. – To jest zbyt piękne. Targowała się, zanim przyjechałam?

– Ona? Nie. Za to ja się targowałem. Chciała dać połowę tej kwoty – oświadczył i wydał usta niczym pięciolatek.

– Nieważne. Nigdzie nie jadę. Zapomnij. – Fabiana wyszarpnęła rękę i wyszła z garderoby. Dogonił ją cichy syk Alka:

– Jeśli odmówisz, pozwę cię o połowę mojego honorarium.

Zignorowała go. Wiedziała, że to ona przysparza mu najwięcej kasy i na pewno nie będzie na tyle śmiała, żeby zarznąć kurę znoszącą złote jajka.

Co było ciut zaskakujące, tajemnicza Dżamila, o nazwisku, które fotograf i modelka już dawno zapomnieli, bez większych problemów przyjęła odmowę.

Pożegnała się i wyszła, zostawiając swoją wizytówkę, gdyby jednak „panna Fabianna” się zdecydowała.

– Doskonale mówi po polsku jak na Ukrainkę – stwierdziła Fabi, gdy zamknęły się za nią drzwi.

– Boże! Czy to ważne?! – jęknął Alek. Już mu przeszła złość, chociaż ciągle nie mógł pogodzić się z rozczarowaniem. Nie, żeby pilnie potrzebował pieniędzy, ale kasa zawsze się przydaje, zwłaszcza zarobiona bez najmniejszego wysiłku. – Idź sobie. Nie mogę na ciebie patrzeć – fuknął, przeczesując bezwiednie włosy. – Do maja nic ci nie załatwię, zobaczysz, jak to jest być bez pieniędzy. Może ci przejdą te wielkopańskie kaprysy.

– Może przejdą. – Fabiana wzruszyła ramionami.

Wróciła do garderoby, założyła własne ciuchy i przysiadła na brzegu starego fotela, który wstawił tam kiedyś Alek. Przez chwilę rozważała, czy podjęła dobrą decyzję. Kusił ją szybki i łatwy zarobek, ale nie była na tyle głupia i naiwna, żeby nie wiedzieć, jak czasami kończą się wyjazdy do krajów, w których cywilizacja i poziom bezpieczeństwa istotnie różnią się od polskich. A gdyby trafiła do jakiejś agencji towarzyskiej? Albo ktoś zmusiłby ją do pornografii? Co wtedy? Pokręciła głową, myśląc, że ten wyjazd był zbyt ryzykowny. „Dobrze zrobiłam” – uznała w duchu.

– Nie dąsaj się – powiedziała Alkowi, gdy wyszła z przebieralni. Cmoknęła go w policzek i zmierzwiła jego już i tak rozczochrane włosy. – Po prostu się boję. Tam jest wojna – dodała z przekąsem. – Chcesz mnie narazić na niebezpieczeństwo?

O to samo spytała wieczorem Tymona. Ku jej zdumieniu, gdy opowiedziała chłopakowi całą sytuację, zareagował zupełnie inaczej, niż przewidziała. Był wyraźnie rozczarowany. Wkurzyła się.

– Zależy ci tylko na mojej kasie?! – zapytała, a gdy podkreślił, że na „ich kasie”, bo przecież mieli wspólne konto, aż nią zatrzęsło. Oderwała się od kuchennego blatu, na którym szykowała właśnie sałatkę z brokułów, i spojrzała na Tymka. Jej oczy ciskały gromy. – Czy ty się słyszysz? Alek chciał mnie wysłać na Ukrainę! Jego jeszcze mogę zrozumieć, bo jestem dla niego tylko źródłem pieniędzy, ale ciebie?!

– Uspokój się – stwierdził. W jego głosie zadźwięczały protekcyjne nuty. – To nie Pakistan czy Syria. Mogłaś powiedzieć, że pojedziesz z kimś, na przykład ze mną – zasugerował. – Zwiedzilibyśmy Odessę. Mają tam przepiękną filharmonię, budynek to prawdziwa perełka architektury, wzorowana na weneckim Pałacu Dożów.

– Aha – westchnęła Fabi i wywróciła oczami. Irytował ją spokój Tymona, ale jeszcze bardziej zdenerwowała się na siebie. Nie pomyślała o takim

rozwiązaniu, a przecież mogła chociaż spróbować spytać tę złotozębną Dżamilę, czy może pojechać z kimś. – Zostawiła wizytówkę. Może zadzwonię i zapytam, czy mogę cię zabrać.

– Zadzwoń.

Fabiana szybko załatwiła numer od Alka, który aż się zapalił do tego pomysłu. Promyk nadziei zgasł niestety szybciej, niż przewidzieli. Dżamila nie odbierała telefonu, więc wysłała jej wiadomość, w której przedstawiła propozycję wyjazdu w towarzystwie chłopaka. Niestety niedoszła klientka odpisała po godzinie, że oferta jest nieaktualna.

– Jestem głupia... – jęknęła Fabiana, tuląc się do Tymka. Przed chwilą skończyli się kochać. Leżała z przyklejonym do jego torsu policzkiem i słuchała coraz spokojniej bijącego serca. – Straciłam taką fajną okazję...

– Jeszcze będziesz miała inne fajne okazje – odparł, głaszcząc ją po wilgotnych od potu włosach.

Nie był do końca szczery. Z trudem opanował gniew, gdy usłyszał, co zrobiła. Już dawno sprzedał sprzęt wspinaczkowy i pamiątkowe szachy z kości nosorożca, które ofiarował mu dziadek na osiemnastkę, oszczędności też już nie miał, a stary wykręcał się od wypłacenia kolejnej zapomogi, tłumacząc, że taki dorosły chłop powinien sam się utrzymać. „Opłacaliśmy twoje studia, kursy, całą naukę, wyjazdy, mieszkanie, instrumenty... – wymieniał. – Najwyższy czas wziąć życie w swoje ręce. Masz dwadzieścia siedem lat. Nawet na kodeks rodzinny i opiekuńczy już się nie łapiesz!”

Ale nie to było najgorsze. Choć Tymek próbował nie myśleć o zobowiązaniach, pewni ludzie nie pozwalali mu o nich zapomnieć. Codziennie dostawał SMS-a z aktualną wartością długu, który zaciągnął jeszcze w ubiegłym roku. Odsetki już dawno przekroczyły kwotę pożyczonego kapitału. Znów podjechał do Ursynowa i w lombardzie zastawił altówkę, ostatnią cenną rzecz, którą posiadał, ale to wystarczyło na spłatę zaledwie jednej trzeciej długu. Fabiana ciągle dopytywała, kiedy odzyska od kolegi instrument, a on nie miał odwagi, żeby wyznać prawdę. Coraz cichszy głos sumienia przypominał, że jest nie fair wobec dziewczyny, ale Tymon robił wszystko, żeby całkiem go zagłuszyć.

Fabiana już od kilku miesięcy czuła się przemęczona. Za dużo wzięła sobie na głowę, i nie chodziło tylko o naukę języków, studia, korepetycje, których udzielała, i co jakiś czas pojawiające się zlecenia od Alka lub od zaprzyjaźnionego tłumacza przysięgłego. Najgorsza była świadomość, że w jej związku źle się dzieje. Wiedziała, że Tymek lubi czasami rozpuścić trochę kasy na automatach czy postawić coś w zakładach sportowych, ale ostatnie odkrycie zupełnie ją zdruzgotało. Dwa dni po nieudanej wizycie u Alka postanowiła, że przejdzie się po

mieście i poszuka jakiejś pracy dla Tymona, który tymczasem wybrał się do rodziców z nadzieją, że wysepi od nich wsparcie.

Znalazła kilka ofert, zapisała numery telefonów, a w ostatniej knajpie ogarnęła ją taka senność, że musiała zamówić kawę. Poprosiła również o szarlotkę na ciepło i lody. Od rana nic nie jadła, więc nic dziwnego, że słaniała się na nogach. Chciała zapłacić kartą i...

– Bardzo mi przykro, ale nie ma środków – oznajmiła młodzianka kelnerka.

– Słucham? To niemożliwe – stwierdziła Fabiana. Jeszcze raz przyłożyła kartę i spojrzała z trwogą na twarz dziewczyny, którą na szczęście trochę kojarzyła, bo nie pierwszy raz była w tej kawiarni. – Przepraszam, widocznie jeszcze nie doszła wypłata – wytłumaczyła.

Przetrzepała całą torebkę i udało jej się zbierać konieczną sumę, ale na napiwek już nie starczyło. Czuła, jak fala wstydu krasi jej policzki i czoło aż do nasady włosów. Płonęła nie tylko z zażenowania, ale i gniewu. Żeby nie dość było tych emocji, gdy dotarła pieszo pod dom, zadzwonił telefon. Wyjęła go z torebki i spojrzała na numer.

– Dżamila... – wyszeptała do siebie. Instynktownie rozejrzała się wokół.

Tak, nie było wątpliwości. Znów zauważyła ten samochód. To ta sama limuzyna, która stała wtedy pod kamienicą Alka. Fabiana zawsze miała doskonałą pamięć do liczb i numer rejestracyjny się zgadzał. Aż nią zatrzęsło ze strachu, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz. Zbliżała się ósma wieczór, już dawno zapadł zmierzch, a ulice pokryte błotem pośniegowym nie odbijały nawet dziesięciu procent światła z ulicznych latarni. I jak na nieszczęście, poza nią na ulicy nie było żywego ducha. Zamierzała... Nie miała pojęcia, co zamierzała, bo drzwi limuzyny nagle się otwały i ze środka wysiadła Dżamila.

– Dobry wieczór – przywitała się, poprawiając wielką futrzaną czapę, która zsunęła się na czoło. Zęby błysnęły upiornym metalicznym blaskiem. – Panna Fabianna?

– Dobry wieczór – wykrztusiła z trudem. Mimo tego uśmiechu nie czuła się zbyt pewnie. Podeszła do samochodu na nogach jak z waty. – Skąd ma pani mój adres? – zapytała, ukradkiem zerkając w stronę bocznej szyby, za którą wyraźnie odcinał się jakiś jasny kształt.

– Pan Aleksander mi dał. Widzę, że panią zdenerwowałam – powiedziała ze swoim wschodnim zaśpiewem. – Pani wybaczy. Ja chciałam tylko powiedzieć, że gdyby panna się zdecydowała na wyjazd do Odessy, podwoję stawkę, ale samej jechać, bez narzeczonego.

– Nie pojedę sama. – Fabiana odruchowo przycisnęła do piersi torebkę, jakby ta mała rzecz była jej tarczą przed przenikliwym spojrzeniem Dżamili.

– Tak sądziłam. To ja już pojedę. Niepotrzebnie tu przyjechałam. – Machnęła ręką. Coś wyleciało z jej dłoni, jakiś biały niewielki przedmiot.

Kilkanaście sekund później Fabiana została sama, stojąc i dygocząc z wrażenia i strachu. Potrząsnęła głową, bo nagle zdało się jej, że to były jakieś halucynacje. Spuściła wzrok na chodnik. Podniosła kulkę z papieru, rozwinęła ją drżącymi palcami. Poza jej adresem skreślonym charakterystycznym pismem Alka nie zauważyła niczego. Zmięła papier i rzuciła z powrotem na ziemię.

Nigdy nie zamykała się w mieszkaniu pod nieobecność Tymona, ale tym razem przekręciła klucze w obu zamkach, górnym i dolnym. Założyła łańcuch i dlatego Tymeek nie mógł wejść do mieszkania. Obudził ją o trzeciej w nocy, wykończony podróżą i zły, że nic nie ugrał poza marnymi pięcioma stówkami, które z łaską pożyczył mu ojciec. Podkreślił wyraźnie, że to pożyczka, nie darowizna, i ojciec oczekuje zwrotu do końca czerwca.

Znów ją okłamał, wręczając pięć wymiętych banknotów. Ojciec dał mu tysiąc, ale połowę sumy Tymon przegrał na automatach. Zajęło mu to niecałą godzinę po wyjściu z dworca. Dziękował Bogu, że postawił połowę. Można powiedzieć, że czuł dumę, bo przecież mógł przegrać wszystko.

– Po co mi to dajesz? – Fabiana przysiadła na brzeжку kanapy i popatrzyła na pieniądze. W końcu rzuciła je na ławę i westchnęła głośno. – Tymeek, płaciłam dzisiaj kartą i... – Zwiesiła głowę. – Musisz coś z tym zrobić. Tak się nie da żyć. Spróbuję załatwić ci jakąś terapię. Zuzka mówiła, że jej matka pracuje w ośrodku leczenia uzależnień i ostatnio dostali spory grant z Unii, właśnie na leczenie osób uzależnionych od hazardu...

– Ale o czym ty gadasz?! – nie pozwolił jej skończyć. Oburzył się wyraźnie. Gdy tylko Fabiana wspominała o pieniądzach, natychmiast czuł, jak jego serce przyspiesza. Miał dość jej ciągłych wyrzutów, tych płaczliwych westchnięć, wzroku zbitego psa. Przecież to kontrolował, nie postawił całej sumy, którą otrzymał od ojca. – Czego się czepiasz, do cholery?! – wrzasnął. – Przywiozłem kasę? Przywiozłem. Gdybym był hazardzistą, już dawno by jej nie było! – Podniósł banknoty i przez krótki moment trzymał je w trzęsącej się dłoni. – Masz! – krzyknął i rzucił jej w twarz. – I nie życzę sobie, żebyś gadała o mnie z tymi idiotkami!

Wypadł z pokoju. Myślała, że pójdzie gdzieś, że znów nie będzie go całą noc, ale tym razem się myliła. Po chwili usłyszała, że bierze kąpiel. Wróciła do łóżka i po prostu zasnęła. Chyba zmęczenie wygrało ze stresem. Obudził ją Tymon. Jeszcze było ciemno. Dopiero po chwili dotarł do niej zapach nieprzetrawionego alkoholu. Mieli w barku napoczętą butelkę whisky, która stała tam już prawie rok. Dostali ją, jak i wiele innych rzeczy, włącznie z komodą z IKEA, na parapetówkę, choć Fabiana wyraźnie prosiła wtedy przyjaciół: „Żadnych prezentów, bo to nie nasze mieszkanie, tylko wynajęte”.

Nie lubiła whisky, zresztą żadnego alkoholu nie lubiła, Tymon podobnie. To też ją w nim ujęło, że nie palił, sporadycznie wypił piwo i nigdy nie sięgał po

narkotyki, nawet po zioło, powszechnie uważane za coś zupełnie nieszkodliwego. Niestety zapomniał powiedzieć, że lubi grać.

– Śmierdzisz... – fuknęła, gdy zbliżył się do niej. – Okropnie. Nie znoszę zapachu whisky – przypomniała mu.

– Milusia jesteś – wymamrotał pod nosem. Wiedział, że jest pijany, i sam nie czuł się z tym komfortowo. W zasadzie to miał ochotę iść do łazienki, wsadzić sobie dwa palce do gardła i wyrzygać to gówno, ale bardziej chciało mu się seksu. Zawsze po przegranej czuł potrzebę ulżenia sobie, a Fabiana lubiła seks i nigdy nie odmawiała. – Mam ochotę porządnie cię zerżnąć – wyartykułował swoje pragnienia. Wsunął dłoń pod jej cienką koszulkę, żeby odnaleźć małe, jędrne piersi. Zawsze go podniecały. Godzinami mógłby je trzymać w dłoniach, ścisnąć i przygryzać maleńkie skurczone brodawki.

– Tymon? – Fabiana na moment straciła głos. Nigdy tak do niej nie mówił. Nienawidziła, gdy mężczyzna zachowywał się ordynarnie w łóżku. Odepchnęła jego rękę, usiadła i zakryła piersi dłońmi. – Idź stąd. Cuchniesz i jesteś pijany – ostudziła jego miłosne zapędy, niestety bez skutku.

– Ho, ho, niezła damulka się z ciebie zrobiła – wybełkotał. Wysunął rękę, żeby złapać ją za ramię. Szarpnął mocno, aż mimowolnie krzyknęła z bólu.

– Przestań! – Próbowała się wyrwać z jego uścisku, ale przecież był od niej znacznie wyższy, silniejszy i cięższy.

Chwilę później znów leżała na wznak, a jej ukochany Tymek, chłopak, z którym była od trzech lat, który był jej pierwszym facetem, zamienił się w potwora z najgorszych koszmarów. Jedną dłonią zatkał jej usta, a drugą podnosił koszulkę. Nie mogła nawet drgnąć, bo przywalił ją swoim ciężarem. Próbowała wierzgać, lecz bez sukcesu. Trzymał ją zbyt mocno. W końcu udało się jej ugryźć go w dłoń, którą zasłaniał jej usta. Musiało go zabołec, bo prawie natychmiast dostała w twarz.

– Nie przeżyjesz, pierdolona suko, jak jeszcze raz mnie ukąsisz! – ostrzegł. – I radzę ci, zamknij się, bo cię uciszę na zawsze.

– Tymek... – wychlipała – Tymek, kochanie... przestań... – kwiliła, ale on jej nie słuchał.

Ciemność pokoju przeszył trzask rozrywanej tkaniny koszulki. Ciche łkanie Fabiany zdawało się nie mieć końca, tak samo jak głośnie posapywania Tymona, jego ciężki oddech i co chwilę rzucane przekleństwa. Zanim skończył gwałcić swoją dziewczynę, usłyszała, że jest wyrachowaną szmatą, że liczą się dla niej tylko pieniądze i że jej praca w modelingu to zwykła kurwiarka.

Nie przestała płakać. Płakała, gdy Tymon stoczył się z niej i prawie natychmiast zasnął. Płakała, gdy poszła do łazienki, żeby z przerażeniem odkryć, jak wygląda jej twarz. Wiodła palcem po spuchniętej powiece, po sińcu, który powoli zaczynał zabarwiać na fioletowo skórę pod okiem, po pękniętej wardze.

Płakała, gdy się ubierała, a potem gdy wchodziła na posterunek policji i w ostatnim momencie stamtąd uciekła.

Wróciła do domu, weszła pod lodowaty prysznic, a jej gorące łzy zmieszały się z wodą.

1 (wł.) Piękna dziewczyna.

ROZDZIAŁ 2

Nie miała siły, żeby wstać. Dziękowała Bogu, że jest czwartek, jedyny dzień w środku tygodnia, w którym nie musiała nigdzie wychodzić. W końcu powoli podniosła powieki. Zalała ją fala ulgi, gdy zauważyła, że jest sama. Usiadła na łóżku i przez chwilę nasłuchiwała, czy Tymon jest w domu. Cisza dzwoniła w uszach, ale prócz niej Fabiana ciągle słyszała te okrutne słowa, które padły zaledwie kilka godzin temu. Otarła łzę toczącą się po policzku. „Co mam teraz zrobić?” – zadała sobie pytanie.

Z trudem dowlokła się do łazienki. Wszystko ją bolało. Wprawdzie Tymon uderzył ją tylko w twarz, ale przecież broniła się przed gwałtem. Teraz jej mięśnie drżały, nienawykłe do takiego wysiłku, a całe ciało opanowały ćmiący ból i słabość. Bała się zobaczyć w lustrze, jakich spustoszeń dokonała ciężka dłoń Tymona. Na szczęście nie było tak tragicznie, jak się spodziewała. Opuchlizna powieki prawie całkiem zniknęła, siniec mogła zamaskować podkładem, a na wargę przykleić mały plasterek i wytłumaczyć, że to opryszczka.

Niestety na ziejącą z oczu pustkę i wielką ranę w sercu nie wynaleziono żadnego opatrunku. Fabiana zdała sobie sprawę, że to już koniec. Kochała Tymka ponad wszystko, ale jak mogła zapomnieć o tym, co zrobił? Siedząc w kuchni i patrząc tępo na kubek ze stygnącą kawą, myślała, że chyba pierwszy raz w życiu nie wie, co ma począć. Nigdy nie czuła tak wszechogarniającej bezradności. I żalu do losu.

Nagle ciszę poranka zakłócił szczęk zamka do drzwi. Natychmiast ją zmroziło. Strach i co dziwne, wstyd, choć to wyłącznie Tymon powinien był się wstydić, opanowały całe jej jestestwo. Strwożona popatrzyła w stronę korytarza. Chwile później w drzwiach kuchni pojawił się sprawca jej cierpień. Gardło wypełniła jej gula, gdy rzuciła nań wzrokiem; dłonie pokryły się mgiełką wilgoci, a wzdłuż kręgosłupa spłynęła kropla zimnego potu.

– Fabi... – wystękał Tymon. Podszedł do niej niepewnym krokiem i przyklęknął. – Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – wyszeptał, patrząc z przerażeniem na bladą, lśniąca wilgocią łez twarz Fabiany.

– Nie chcę, żebyś mnie przeproszał. To już koniec, Tymek – wykrztusiła.

– Zrobię wszystko, co chcesz, tylko...

– Wyprowadź się jeszcze dzisiaj, zaraz – przerwała mu. Nie chciała na niego patrzeć, na tę znajomą, kiedyś tak ukochaną twarz, na jego gęste, ciemnobrązowe włosy, które uwielbiała przeczesywać palcami, na policzki pokryte dwudniowym zarostem, tyle razy obcałowane przez nią, a teraz zapadnięte niczym balon, z którego powoli uchodzi powietrze. – Słyszałeś? Wyprowadź się stąd.

– Wyrzucasz mnie? – zapytał, nie mogąc uwierzyć, że nie da mu szansy, a przecież każdy na nią zasługuje, zwłaszcza gdy zdarzyło mu się zrobić coś złego

tylko jeden, jedyny raz.

– Nie wyrzucam. Sam stąd odejdziesz – odpowiedziała, strącając z kolana jego dłoń, bo przed momentem bezwiednie ją tam położył. Wstała, żeby wylać kawę do zlewu. Nie musiała jej pić, jej serce i tak waliło jak oszalałe.

– W porządku – dobiegło zza jej pleców. – To twoje mieszkanie.

Miała odruchowo zaprzeczyć, powiedzieć jak zawsze: „Moja umowa, lecz mieszkanie nasze wspólne”, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Musiała przyznać, że nawet w tak koszmarnej chwili była w stanie poczuć coś pozytywnego: ulgę i radość. Ucieszyła się. Tak. Naprawdę się ucieszyła, że Tymon ustąpił, choć ciężko w takiej sytuacji, w jakiej się znalazła, odczuwać jakąkolwiek radość. Odetchnęła, że nie musi z nim walczyć, że przyjął do wiadomości jej wolę i co najważniejsze, nie błagał o wybaczenie, nie tłumaczył się i nie obiecywał poprawy. Niemalże beznamiętnie patrzyła, jak pakuje dwie wielkie sportowe torby, a gdy skończył, przyniosła mu te pięć stów, które dotychczas leżały na podłodze, tam, gdzie wczoraj je rzucił.

– Weź, to przecież twoja kasa – uzasadniła, gdy nie chciał ich przyjąć.

– Nie. Potraktuj to jako częściowy zwrot tego, co wybrałem z naszego... z twojego konta – poprawił się szybko.

– Gdzie jedziesz? – zapytała, stojąc przy drzwiach i patrząc, jak Tymon sznuruje buty.

– Nie wiem – odparł, nie podnosząc wzroku.

– Zadzwonisz?

– Nie wiem – powtórzył.

Przekręciła klucze w obu zamkach i wróciła do łóżka. Najchętniej nie wyszłaby z niego przez najbliższe sto lat, ale oprócz Tymona w jej życiu były przecież przyjaciółki. Julita nie należała do osób, które łatwo odpuszczają, i gdy Fabiana nie odpowiadała na telefony i nie pojawiła się w piątek na zajęciach, po prostu do niej przyjechała. Stała pół godziny i waliła uparcie w drzwi. Poskutkowało dopiero głośno wykrzyczana groźba, że zaraz dzwoni na policję i straż, żeby wyważyli drzwi.

– Już więcej nie chcę o tym mówić – powiedziała Fabiana, po krótkiej, najbardziej lakonicznej, jak się dało, relacji o tym, co zdarzyło się w nocy ze środy na czwartek.

– Boże, Fabunia... – jęknęła Julita i znów mocno przytuliła przyjaciółkę. – Nie chcesz, nie mów. Ani jednym słówkiem już do tego nie wrócimy – obiecała. – A może mam zostać z tobą przez jakiś czas? – zaproponowała, myśląc, że takie wsparcie będzie dobre.

– Nie. Dzięki, ale nie – odparła Fabiana.

– Okej, ale jutro wybieramy się z Zuzką i Agnieszką do Multipubu, a ty idziesz z nami.

– Nigdzie nie idę.

– Daj spokój! Żyjesz jak mniszka, tylko uczelnia i praca, praca i uczelnia. Tak nie można. – Zerknęła na nią ze współczuciem.

– Kiedyś tak żyłam. Do dzisiaj. Od teraz wszystko się zmieni – oświadczyła z mocą Fabiana.

Było jej wstyd, że tak rzadko wychodziła gdzieś z przyjaciółkami. Powodem był Tymon i jego maniacka zazdrość. Pozwalał jej na pracę u Alka tylko dlatego, że przynosiła do domu niezłą kasę. Mimo to bacznie sprawdzał, jakie robili zdjęcia, a gdy trafiały się takie w samej bieliźnie, kręcił nosem. Nie pomagały tłumaczenia, że to pewna forma sprzedaży marzeń, kupowanych później przez kobiety razem z tą piękną bielizną. Tymon powtarzał, że byłoby najlepiej, gdyby Fabiana skupiła się wyłącznie na udzielaniu korepetycji. Naturalnie dzieciom, i to tym najmłodszym.

– Zobaczysz, wszystko się zmieni – powtórzyła przyjaciółce.

– Oby tak było. To co, idziemy do pubu?

– Do pubu nie. Błagam, nie mam siły na takie rozrywki – jęknęła Fabiana.

– Wobec tego ja tu zostaję – oznajmiła Julita tonem nieznoszącym sprzeciwu. – A teraz zrobię ci coś na śniadanie.

Fabiana znała doskonale charakter, a raczej charakterek Julity, również dlatego że obie miały trochę podobnych cech, były uparte i silne. Nadszedł wieczór, a Julita w najlepsze gospodarzyła w mieszkaniu przyjaciółki.

– Zgoda. Niech ci będzie – poddała się Fabiana. Wolą przemęczyć się kilka godzin w towarzystwie koleżanek, niż mieć na karku Julitę. – Ale nie idę do żadnego Multipubu, bo naprawdę nie mam nastroju do zabawy w takich miejscach. Możemy pojechać do Janek, iść na jakiś film.

– Może być.

– I nikomu ani słowa o Tymku.

– Nikomu ani słowa – obiecała Julita, dla powagi pokazując dwa złożone palce. – Jeszcze jedno, uważam... – chciała powiedzieć, że Fabiana popełniła błąd, rezygnując ze zgłoszenia gwałtu na policji, ale zmęczone spojrzenie bladej twarzy nie pozwoliło jej skończyć. Nie znosiła Tymona, już dawno go uznała, całkiem słusznie i obiektywnie, za „pieprzonego dyktatora”, który kontrolował Fabianę i koncertowo nią manipulował. Szlag ją trafiał, gdy widziała przyjaciółkę, która tańczyła, jak on jej zagrał. „No way, laska – myślała wtedy – nic z tego nie będzie. Wywal różowe okulary i przejrzyj na oczy”.

– Będę u ciebie o ósmej – powiedziała Fabiana, modląc się w duchu o to, by jak najszybciej zostać sama. Niemal wypchnęła Julitę za drzwi, o które oparła się z ulgą, kiedy na schodach ucichło stukanie wysokich szpilek.

Tymon nie dał znaku życia przez całe dwa dni. Przypuszczała, że pojechał do Płocka, do rodziców, bo gdzie mógł się udać? W Warszawie nie miał zbyt wielu

kumpli, a Maciek, jedyny jego dobry przyjaciel, pożyczył altówkę i już od miesiąca migał się z oddaniem, więc uznała, że to ostatnia osoba, którą poprosiłby o pomoc. Fabiana odnalazła rozładowany telefon, podłączyła go i niecierpliwie czekała, aż się uruchomi. Nie dostała żadnej wiadomości, prób połączenia też nie było. Długo myślała, czy lepiej zadzwonić, czy wysłać SMS-a, w końcu wybrała numer Tymona i przystawiła aparat do ucha. Głośne bicie serca przeplatało się z sygnałem, by po chwili zostać zagłuszone przez informację, że Tymon Kapela nie może teraz odebrać telefonu. Wysłała mu wiadomość, najkrótszą, z prośbą o znak życia i że wszystko u niego w porządku.

Nazajutrz rano wspomnienia koszmarnej nocy zostały wyparte przez narastający lęk, że stało się coś złego. Fabiana miała zapisany numer do rodziców Tymona. Rozważała, czy tam zadzwonić, bo intuicyjnie czuła, że chłopak nie dotarł do rodzinnego domu. Mimo to musiała sprawdzić swoje podejrzenia. Potrafiła być dobrą aktorką, więc udała, że przez przypadek wybrała numer „przyszłej-niedoszłej” teściowej.

– Musimy się spotkać – zaświergotała pani Kapelowa. – Tak dawno cię nie widziałam. Mówiłam ostatnio Tymusiowi, że powinien był cię zabrać ze sobą.

Ta rozmowa dała jej stuprocentową pewność, że coś musiało się stać. Coś bardzo złego. Aż ścisnęło jej serce, gdy Kapelowa kazała natrzeć uszu jej synalkowi, bo miga się od uczciwej pracy. Potaknęła, że tak robi, równocześnie myśląc gorączkowo, czy powinna zdradzić prawdę tej przemilej, kochającej kobiecie. „Zadzwonię do Maćka i wtedy pomyślę, co dalej” – postanowiła.

Odczekała do popołudnia i zadzwoniła. Ta druga rozmowa była jeszcze gorsza od pierwszej. Ugięły się pod nią nogi, gdy usłyszała, że Maciek nie widział Tymona już od miesiąca i że czeka na zwrot długu.

– Pożyczyłeś mi pieniądze? – spytała, czując, jak fala gorącej krwi przetacza się po jej obolałym ciele.

– Ta... – potwierdził Maciej. – Niedużo, dwie stówki, ale jednak. Obiecał, że odda za tydzień, a tu minął luty, marzec się kończy a kasy ani widu, ani słyhu. Nie odbiera moich telefonów, a w domu nie chciałem was nachodzić – wytłumaczył.

– Może najpierw oddaj mi instrument – wypaliła Fabiana, trochę urażona tonem głosu Maćka, gdy wyartykułował niezbyt sympatycznie, że nie jest instytucją charytatywną.

– E... Instrument? – zapytał Maciek. W jego głosie wyraźnie brzmiało zdziwienie.

– Pożyczył ci altówkę, bo w twojej pękły dwie struny. Zapomniałeś?

– Co?! – zareagował natychmiast. – A po cholere mi jego instrument? Nie pożyczałem żadnej altówki od Tymka! Przecież on ma zupełnie inną niż moja. Jego jest do muzyki barokowej! Barokowej! – powtórzył dosadnie. – Moja ma zupełnie inne struny! Dziewczyno, instrument to bardziej osobista rzecz niż, nie

przymierzając, własna kobieta! – zażartował, rozbawiony bezpodstawnym oskarżeniem Fabiany. – Niezły kit ci pocisnął.

– Aha – bąknęła Fabi przez skurczone gardło. – Przepraszam, może źle go zrozumiałam, a może pożyczył komuś innemu – próbowała jakoś wybrnąć.

– Ta... – ponownie zaśmiał się Maciek. – Prędeż ciebie by komuś pożyczył. Taka altówka to jak średniej klasy samochód. Powiedz mu, jak go zlokalizujesz, że ma oddać pieniądze – przypomniał.

Zanim skończyli rozmawiać, Fabiana obiecała, że w przyszłym tygodniu odda Maćkowi dług, i poprosiła go o namiary na kolegów, u których ewentualnie mógłby zatrzymać się Tymon. I znów historia się powtórzyła. Tymon przepadł. Tym razem miała znacznie mniej wątpliwości i bardzo szybko postanowiła zgłosić to na policję. Próbowała zrationalizować swoje lęki, tłumaczyła sobie: „Skoro ma włączony telefon, raczej nic mu się nie stało”, ale to nic nie dało. Jakoś zamaskowała pamiątki widoczne na twarzy, wzięła dowód osobisty i wyszła z mieszkania, rozglądając się uważnie na boki i bezsensownie łudząc, że Tymon stoi pod budynkiem i czeka na nią.

Wlekła się noga za nogą, myśląc, czy na pewno jej wizyta na policji ma sens. Przecież ewentualne zaginięcie powinni zgłosić rodzice, ktoś z najbliższej rodziny, a nie była dziewczyna. Bała się, że policjanci ją przegonią, a co najgorsze, natychmiast skontaktują się z płocką policją i wszystko się wyda.

Najbliższa komenda na Bemowie znajdowała się na Raginisa. Fabiana dotarła w jej pobliże i przysiadła na moment na pokrytej brudem i wilgocią ławce. Jeszcze raz spróbowała połączyć się z Tymonem. Odezwała się automatyczna sekretarka.

– Tymon, proszę, oddzwoń – nagrała drżącym głosem. – Zadzwoń, napisz SMS-a, cokolwiek. Bardzo się martwię. Czekam pięć minut, jeśli się nie odezwiesz, idę na policję zgłosić twoje zaginięcie.

To samo wysłała mu w wiadomości. Minął kwadrans, a telefon milczał. Otarła łzy zgrabiałą z zimna dłonią i podniosła się z ławki. I wtedy usłyszała piknięcie. Ręce latały jak oszalałe, gdy otwierała SMS-a od Tymka. „Żyję, nic mi nie dolega”. Natychmiast wybrała jego numer, żeby mu powiedzieć, że jest okrutny, tak długo trzymając ją w niepewności, ale wtedy przyszedł jeszcze jeden SMS. „Nie dzwoń do mnie, bo nie odbiorę”.

– Co za gnojek... – jęknęła, dociskając komórkę do serca.

Z jednej strony czuła ogromny gniew i żal, bo napędził jej tyle strachu swoim milczeniem, a z drugiej – wszechogarniającą ulgę, że nic mu się nie stało. Gdyby go teraz dorwała w swoje ręce, miałby się z pyszna. Schowała telefon do torebki i poczłapała w stronę przystanku taksówek. Nie miała siły na powtórkę dwukilometrowego spaceru. Pechowo ani jedna taryfa nie czekała na klientów. Fabiana już zamierzała zadzwonić do korporacji, gdy tuż przy chodniku zatrzymał

się nieco przyrdzewiały volkswagen combi. Od razu jej wcześniej rozluźnione nerwy i mięśnie spięły się niczym struny. Na szczęście po stronie pasażera siedziała jakaś młoda kobieta, co od razu uspokoiło Fabianę.

– Przepraszam, jak stąd dojechać na Bemowo? – krzyknęła przez okno, uprzednio opuściwszy szybę do połowy.

– To jest Bemowo – wyjaśniła Fabiana. – Jakaś konkretna ulica? – zapytała, podchodząc do samochodu, który z bliska okazał się jeszcze bardziej zaniedbany. Nad kołem ział spory ubytek w karoserii, a biały lakier już dawno stracił połysk.

– Chcemy dotrzeć na Kryształową, mąż ma mapę – powiedziała do Fabiany. – Może nam pani pokaże, jak najszybciej tam dojechać? – Wysunęła częściowo sporą płachtę z planem Warszawy.

Fabiana nachyliła się, żeby cokolwiek zobaczyć, bo nie dość, że mapa pamiętała czasy sprzed jej narodzin, to jeszcze zaczął siąpić śnieg z deszczem, a marniutka lampka pod sufitem starego passata niewiele pomagała. Już miała wskazać ulicę, którą pasażerowie białego gruchota powinni dotrzeć szybko do Kryształowej, gdy tylne drzwi po prawej stronie nagle się otworzyły, a z wnętrza wyskoczył krępy facet. Nawet się nie zorientowała kiedy, a już siedziała razem z nim na tylnej kanapie. Samochód, choć wyglądał, jakby miał się zaraz rozlecieć, ruszył z piskiem opon.

– Cicho... – warknął do niej mężczyzna.

Niepotrzebnie. Zastygła ze strachu. Miała wrażenie, że to jakiś sen. To nie działo się naprawdę. Wytrzeszczone oczy wlepiła w tył głowy kobiety, która jeszcze przed momentem pytała ją o drogę. Wyglądała przecież tak niepozornie, jak jedna z setek osób, które przyjeżdżały do stolicy i nie potrafiły się tu odnaleźć, zwłaszcza gdy ich samochody nie posiadały nawigacji albo kierowcy odpowiednich umiejętności poruszania się w gęstym tłoku warszawskich arterii. Gdyby Fabiana miała ją wskazać na ulicy, nie potrafiłaby tego uczynić. Porywaczka nie wyróżniała się niczym, ani urodą, ani szpetotą. Jej włosy, twarz, wszystko – zdawało się niewidzialne, przeciętne, mysie.

Ocknęła się z tego swoistego stuporu kilka minut później. Osilek trzymał ją za rękę i co kilka sekund spoglądał to na nią, to w lewo, w boczne okno. W radiu grała zetka, wycieraczki z głośnym skrzypieniem przesuwają się po szybie, a kierowca, którego dosyć dobrze widziała po przekątnej, rozmawiał z pasażerką. Szybko poznała jej imię: Anka, z kolei ta zwracała się do kierowcy per Lolek. Mówili po polsku, głównie o pogodzie i o jakimś Krzyšku, który założył hodowlę miniaturowych piesków. Lolek planował zakup takiego szczeniaka dla Mariolki, kimkolwiek ona była.

Fabiana lubiła czytać kryminały, filmy sensacyjne też były w jej guście, więc choć żołądek ścisnął się w kulkę wielkości orzeszka, a dłoń, którą trzymał człowiek na razie roboczo określony przez nią jako Grubas, opływała potem, starała się

zachować fason. „Przede wszystkim zapamiętać jak najwięcej detali – pomyślała, z coraz większym trudem panując nad sobą. – Nie histeryzować, żeby ich nie rozwścieczyć, zapamiętać drogę...”

Najważniejsze było wykorzystać jakąś szansę ucieczki, dlatego dyskretnie rozglądała się wokół, starając się nie kręcić głową, a raczej strzelać oczami. Próbowwała odtworzyć z pamięci, gdzie i kiedy pojawią się kolejne światła, ale samochód zmierzał na obrzeża miasta i postojów na czerwonym było coraz mniej.

– Proszę, jaka grzeczna i spokojna. – Nagle Anka odwróciła się na fotelu i wystawiła głowę między oparciami. – Nie zapytasz, gdzie jedziemy? – Kpiarski ton jej głosu uderzył w Fabianę niczym dłoń w policzek.

– Na Kryształową? – odpowiedziała i parsknęła zduszonym śmiechem, bo z jej planów bycia miłą wobec porywaczy niewiele wyszło.

Lolek chyba też nie mógł się opanować i z jego gardła wydobyło się chrząknięcie, jasno wskazujące, że rozbawiła go impertynencja dziewczyny.

– Daj jej spokój, Anka – burknął Grubas i poprawił uścisk dłoni. – Patrz na drogę.

Znów zapadło milczenie. W końcu Fabiana nie wytrzymała.

– Policja będzie mnie szukać. Jutro miałam wyjść z przyjaciółkami do kina, będą do mnie dzwonić, a gdy nie odbiorę, na pewno przyjdą zobaczyć, co się stało. Wiem, że jesteście od Dżamili, która parę dni temu była u mojego fotografa. Znajdą was – powiedziała cicho.

– E tam... – padło z ust Grubasa. – Znaleźliby, gdyby szukali. Może by znaleźli – dodał z przekąsem. – Ale nie będą szukać, a ty będziesz grzeczna jak do tej pory. Lolek, zjedźże na chwilę na pobocze – polecił.

Zatrzymali się na jakimś parkingu. Fabiana rzadko bywała w tej dzielnicy Warszawy, ale trafnie uznała, że to Raków. Dziwiły ją własny spokój i opanowanie, jakby intuicyjnie czuła, że wszelki opór czy próby ucieczki nie mają sensu. A może to stresy z kilku ostatnich dni, najgorszych w jej życiu, odebrały jej siłę do walki? Na rozmyślania o tym też nie miała już energii.

– Zaraz pojedziemy na Okęcie – powiedział Grubas, patrząc jej prosto w oczy. – Polecisz z Anką do Nicei, będziesz jej słuchać i robić to, co ci każe. A teraz zadzwonisz do którejś z tych przyjaciółek i powiesz, że wyjeżdżasz na kilka dni. Wymyśl coś. I żadnych numerów.

– Żadnych numerów – powtórzyła jak automat.

– Żadnych – powiedziała Anka, która znów odwrócona przodem do nich, przysłuchiwała się tej krótkiej wymianie zdań.

– Pokaż jej telefon – polecił Grubas. Chwilę później Fabiana trzymała w ręce aparat Tymona. Poznała od razu, bo sama go kupiła, razem ze skórzanym etui ozdobionym monogramem „T.K.” – Otwórz wiadomości i skrynkę nadawczą. Już kapujesz, dlaczego będziesz miła i posłuszna? – zapytał. – I żadnych głupich pytań.

W swoim czasie wszystkiego się dowiesz. Dotarło?

– Tak – odparła.

Zabrał jej aparat. I tak nie mogłaby z niego skorzystać, bo obraz rozplynął się we łzach. Nie miała śmiałości spytać, gdzie jest Tymon i co z nim zrobili. Żałowała, że była na tyle naiwna i głupia, że nie poszła na policję. Przecież ktokolwiek mógł wysłać te SMS-y. Teraz już wiedziała, że to największy błąd w jej życiu. Jedyne, czego nie potrafiła zrozumieć, to powodów porwania jej i Tymona. „Czy chodzi o pieniądze? Tymek zadarł z jakąś mafią?”

– Jak się uspokoisz, zadzwonisz do koleżanek – powiedział Grubas, zaraz po tym jak ruszyli.

– Dobrze.

Nie pamiętała zbyt wiele z następnych godzin. Ona i Anka musiały poczekać na lot do Nicei, miały więc trochę czasu. Była jak zombie, szła, gdzie jej kazano, mówiła, co jej polecono, piła herbatę, którą jej kupiono. Nawet informacja, że spędzi we Francji nieco więcej czasu niż tydzień, nie wzbudziła w niej żadnych emocji. W kawiarni Fabiana wysłała SMS-a do Julity z informacją, że wylatuje do Mediolanu, bo złapała tam niezłe zlecenie. Chwilę później Julita oddzwoniła. Rozmawiały krótko. Kłamstwa, którymi nakarmiła najbliższą przyjaciółkę, kosztowały Fabianę sporo cierpień. Zaraz potem Anka odebrała aparat i stwierdziła, że należy się jej pochwała za opanowanie.

– Tylko tak dalej, a nie spotkają cię żadne przykrości – obiecała i krzepiąco pogłaskała jej zimną dłoń. – Twojego damskiego boksera też, choć akurat jemu by się przydały. Niezłe cię urządził. – Spojrzała fachowym wzrokiem na twarz podopiecznej. Cały makijaż spłynął wraz ze łzami, obnażając smutną prawdę.

– Nie zrobicie mu nic złego? – spytała Fabiana matowym głosem. – Proszę, nie róbcie mu krzywdy.

– Nie bój się. Swoją drogą, gdyby on martwił się o ciebie chociaż w połowie, jak ty o niego... – pokręciła głową.

Pożegnały się w Nicei. Anka klepnęła ją w ramię i rzuciła: „Jesteś w dobrych rękach”. Miała na myśli kolejnego osiłka, niskiego, z dosyć ciemną karnacją, czarną jak smoła szczeciną i imieniem lub ksywką Radik. Zauważyła, że jest zwalisty niczym słup ogłoszeniowy, bez żadnych wcięć i zwężeń, po prostu człowiek kloc. Nie mówił po polsku, ale podobnie jak Fabiana doskonale władał francuskim i trochę gorzej angielskim. Ostatecznie stanęło na tym pierwszym. Wziął walizkę, którą wręczyła mu Anka, i udali się do samochodu. I to było ostatnie wspomnienie z tej koszmarnej nocy...

ROZDZIAŁ 3

Straciła poczucie czasu. Gdy się obudziła, nie miała pojęcia, która może być godzina, za to doskonale zdawała sobie sprawę, że nie jest u siebie w mieszkaniu na Bemowie. W pokoju panował mrok, jedynym źródłem światła była maleńka zielona lampka w rogu pomieszczenia, tuż pod sufitem. Choć słaba, wystarczyła, żeby móc dostrzec umeblowanie pokoju. Fabiana usiadła na łóżku, a chwilę później zasłony rozsunały się z cichym szelestem jedwabiu sunącego po dywanie. Rolety powoli podjechały w górę i za moment pokój zalały słoneczne promienie.

Dopiero teraz mogła ocenić w pełni jego piękno i prostotę. Widziała, że ktoś, kto projektował tę sypialnię, był artystą. Łóżko, a raczej szerokie łożo z czterema kolumnami i czymś w rodzaju baldachimu z cienkiej szyfonowej tkaniny, komoda, okrągły stolik oraz stojące przy nim dwa wygodne fotele z podłokietnikami, witryna z książkami – wszystkie meble wykonano z bardzo jasnego drewna i polakierowano tak naturalnie, żeby podkreślić dyskretnie odcinające się słoje.

Fabiana opuściła nogi na miękkim, kremowym dywan i przez chwilę wpatrywała się tępo w długie włókienka uginające się pod najmniejszym naciskiem jej stóp. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. I co zrobić. Podniosła głowę. Do jej nosa doleciał delikatny zapach róż. Stały w kryształowym wazonie, a ich płatki o barwie kości słoniowej kołysały się lekko, poruszane powietrzem z klimatyzacji. Tuż obok wazonu leżała jej torebka, a na fotelu kożuszek i szal.

Odwróciła się, żeby zobaczyć, co znajduje się naprzeciw okien zajmujących prawie całą ścianę. Zauważyła uchylone drzwi i od razu domyśliła się, że to łazienka. Wstała ostrożnie, pełna obawy, że przeżycia z ostatniej doby osłabiły ją zbyt mocno i zemdleje lub zasłabnie. Zarejestrowała, że łazienka w niczym nie ustępuje szykowi sypialni, ale to nie miało dla niej większego znaczenia. „Uwięzili mnie” – pomyślała, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

Nadal na jej twarzy widniały ślady uderzenia, a siniak pod okiem zaczął zmieniać kolor z fioletowego na zielonkawy. Miała w torebce korektor, mogła to zamaskować, ale po co? „Jakie ma znaczenie, jak wyglądam?” – westchnęła żałośnie w duszy. Obmyła twarz zimną wodą i wytarła do sucha miękkim ręcznikiem. Czowała się tak bardzo zmęczona, że nie miała siły, żeby wziąć prysznic. Przysiadła na krawędzi wielkiej, okrągłej wanny i powoli wędrowała spojrzeniem po wnętrzu. Ktoś przygotował kosmetyki, szczoteczkę do zębów, jakieś myjki, jeszcze zafoliowane, kilka ręczników, a nawet puszysty szlafrok.

„Uwięzili mnie. Porwali – powtórzyła w myślach. – Dlaczego właśnie ja?” – nie potrafiła uwierzyć, że to, co się wydarzyło, to nie senny koszmar. Długi i rzeczywisty jak jawa. Nagle jej myśli poszybowały do Olecka, do mamy. W oczach zakręciły się łzy, gdy przypomniawszy sobie, jak bardzo się posprzeczały i jak dawno jej nie widziała. Minął ponad rok od ich kłótni. Poszło o wspólne

mieszkanie z Tymkiem. Mama nie chciała się na to zgodzić, a przecież jej ukochana Fabianka miała wtedy prawie dwadzieścia lat. „Zadzwoń do niej, muszą mi pozwolić!” – postanowiła. Wyszła z łazienki, niestety jej nadzieje, że telefon w jakiś magiczny sposób wrócił do torebki, przysły jak mydlana bańka. Za to zauważyła walizkę. Stała za fotelem.

Ze zdumieniem odkryła, że ta obca walizka wypełniona jest jej osobistymi rzeczami. Ciuchy, dwie pary butów, kosmetyki, nawet leki, które trzymała w małym pudełku w szafce nad umywalką – wszystko poukładane schludniej, niż sama by to zrobiła. Ale najbardziej ucieszył ją laptop. Uruchomiła go, licząc, że skorzysta z internetu, zanim ktoś zjawi się w sypialni. Sieć wi-fi pokazała się prawie natychmiast, niestety dostęp zabezpieczono hasłem.

– Gównu, gównu, gównu! – powtórzyła, wkurzona niepowodzeniami nawiązania jakiegokolwiek kontaktu ze światem. – Jak mogłaś na to liczyć? Przecież nie po to cię porwano, żebyś mogła bez problemu serfować w sieci i gadać z koleżankami na Skype – wymamrotała, ze złością zamykając klawisz komputera.

Zerwała się z fotela i zaczęła krążyć po pokoju. Zajrzała do szafy zajmującej prawie całą ścianę naprzeciw łóżka, żeby stwierdzić, że jest zupełnie pusta, a potem sprawdziła zawartość łazienkowych szafek. Wróciła do pokoju i dopiero po dłuższym rekonesansie spostrzegła, że szklana ściana oddzielająca pomieszczenie od tarasu otwiera się za pomocą pilota, którego znalazła w szufladzie małej szafki obok łóżka.

– Łał... – westchnęła z niekłamany zachwytem.

Stała, wsparta o kamienną barierkę, i toczyła wzrokiem po horyzoncie. Jeszcze w nocy domyśliła się, że wielki dom, do którego ją wprowadzono, usytuowany był nad brzegiem morza. Czuła wyraźnie morską bryzę, a cichy szum fal słyszalny przez krótki moment przejścia od samochodu do bramy wejściowej nie pozostawiał wątpliwości. Mimo to nie spodziewała się aż tak spektakularnego widoku.

Nigdy nie była we Francji, a o Lazurowym Wybrzeżu czytała w czasopiśmie o celebrytach, bo to oni często tu odpoczywali. Nie sądziła, że sama doświadczy piękna tego miejsca, a już w równie dramatycznych okolicznościach? To było tak nieprawdopodobne, że pokręciła głową. Przeszła do narożnika tarasu i spojrzała w prawą stronę. W oddali, na wysokiej skale, lśniły mury jakiegoś budynku. Fabiana zrobiła daszek z dłoni i wyteżyła wzrok, żeby lepiej dostrzec, czy to kościół, czy może jakaś inna budowla.

– To oceanarium w Monako – dobiegło zza jej pleców po francusku.

Natychmiast odwróciła się, żeby stwierdzić, że delikatny, dziewczęcy głos należy do młodej kobiety, która właśnie do niej podeszła. Oszalała urodą. Jej ciemne, prawie czarne oczy patrzyły na Fabianę z ciekawością właściwą komuś zupełnie niewinnemu, a twarz rozpromieniał uśmiech. Była niższa od Fabiany,

która też nie grzeszyła wyjątkowo wysokim wzrostem. Ot, niecałe metr siedemdziesiąt. Za mało na modelkę, ale na fotomodelkę wystarczało.

– Alija – przedstawiła się i podała Fabianie prawą dłoń. – Będę twoją osobistą asystentką, pokojówką i kim tylko zechcesz, żebym była. Witamy w Cap Martin.

– Fabiana, w skrócie Fabi – odpowiedziała spontanicznie, pomyślawszy uprzednio, że ta śniada piękność to jeden z jej przymusowych opiekunów. – Twoja więźniarka, niewolnica, a może ofiara? Jak tylko zechcesz – dodała z przekąsem.

– Dla mnie jesteś moją Fabi – oświadczyła Alija, starając się zachować spokój. – Jeszcze raz serdecznie witam na wybrzeżu. Pięknie tu, prawda? – zagadnęła. – A w maju? Zobaczysz sama, to miejsce zamienia się w prawdziwy raj.

– W maju? – wychrypiała Fabiana. – Mam tu zostać do maja – ni to stwierdziła, ni spytała. Przytknęła dłoń do ust, żeby powstrzymać szloch, który uparcie wdzierał się do gardła. Uświadomiła sobie, że od teraz jej życie jest w czyichś rękach, a ona nie posiada nawet cienia wiedzy, co ten ktoś z nim robi i w jakim celu ją tu sprowadził. – Chcę wrócić do Polski. To nie jest mój raj, to moje więzienie. – Spojrzała na połyskujący bezkres morza roztaczający się przed nią, z linią horyzontu niknącą gdzieś w oddali.

– Będzie dobrze – powiedziała po chwili Alija. Chciała podejść bliżej i może nawet objąć i przytulić dla otuchy tę piękną, kruchą i bladolicą Polkę, ale wiedziała, że nie uszłoby jej to na sucho. Oko kamery dyskretnie śledziło każdy ich ruch i rejestrowało każde słowo, które padło między nimi. – Przywiozłam śniadanie. Powinnaś coś zjeść, a potem odświeżyć się po podróży. Jeśli potrzebujesz nowych ubrań, powiedz, co konkretnie, a ja spróbuję jeszcze dzisiaj je dostarczyć.

– Nie jestem głodna – oznajmiła Fabiana, gdy ujrzała, co przygotowała dla niej Alija. Wazon z różami, laptop i torebka – wszystko przeniesiono na komodę, bo na blacie stały niezliczone półmiski z przekąskami, koszyk pełen pieczywa, dzbanek i mały samowar. – Dziękuję, niepotrzebnie się starałaś – powiedziała, czując, jak w przetyku rośnie jej wielka gula.

To działo się jak w baśni o Jasiu i Małgosi: ktoś zamierzał dbać o nią, karmić i dostarczać jej wszystkiego, co tylko zapragnie. Ale nie ma nic za darmo. Wiedziała, że zapłaci za tę troskę. Nie знаła tylko formy zapłaty i nawet nie chciała o niej myśleć. Z każdą chwilą coraz boleśniej docierało do niej, że jej życie będzie przypominało wegetację zwierzątka hodowanego dla ładnego futerka lub smacznego mięsa.

– Zjedz cokolwiek, choć małą tartinkę. – W głosie Alii zabrzmiała gorąca prośba. – Zrobiłam kawę i świeży czaj. W dzbanuszkach jest mleko. – Pokazała. – Nie wiem, co lubisz pić do śniadania. Może kakao? Musisz mi powiedzieć – mówiła łagodnie, jak do dziecka.

– Zjem, a potem wy zjecie mnie – odparła Fabiana, siadając na brzegu łóżka.
– Co ty mówisz? – Alija nie wytrzymała. Przysiadła tuż obok i ujęła jej dłoń.
– Nikt cię tu nie zje.

– Zje czy nie zje... – parsknęła gorzko Fabi. – To była przerośnia. Nie rozumiesz? – Podniosła szkliste spojrzenie na Aliję. – Przecież nie jestem tu z własnej woli. Nie wiem, po co mnie porwano i kto to zrobił, więc jak mam się dobrze czuć? Mieć apetyt? A może pobiec na plażę i zatańczyć ze szczęścia, że trafiłam do raju? – zachnęła się. – Proszę, zabierz to wszystko i zostaw mnie samą.

– Wyjdę, ale jedzenia nie zabiorę. Chan by mnie... – zamilkła nagle. – Zostawiam ci śniadanie. Czaj tak szybko nie stygnie, więc gdybyś się namyśliła...

– Idź już – przerwała Fabiana i wysunęła dłoń pomiędzy palców Alii.

– Dobrze.

Minęły trzy dni. Pierwszy ciągnął się niczym senny koszmar. Fabiana obudziła się, mając wrażenie, że sufit leży na jej piersiach i nie pozwala oddychać, odbiera siły. Nazajutrz postanowiła, że musi jakoś oznaczać czas, żeby nie zwariować, nie zatracić się zupełnie. Znalazła w torebce długopis, a jedną z książek wykorzystowała jako prowizoryczny kalendarzyk. Narysowała tabelkę, opisała dni tygodnia i miesiąca, i już: znów nie miała nic do zrobienia. Poddała się w kwestii jedzenia. Wprawdzie dopiero drugiego dnia i późnym wieczorem, ale jednak.

Musiała przyznać, że Alija wychodzi z siebie, żeby przychylić jej nieba. Zappełniła szafę stosem markowych ciuchów, głównie zwiewnymi sukienkami, pastelowymi sweterkami oraz mnóstwem innych fatałaszków i dodatków, większość w landrynkowym stylu. Akurat to jej nie wyszło, bo Fabiana nigdy nie gustowała w takich rzeczach, na szczęście kilka ubrań przypominało te, które nosiła w Warszawie, więc z nudów poukładała je razem ze swoimi na dwóch półkach, a pozostałe wisały na wieszakach, smutne i niedocenione w swojej cukierkowej słodyczy. Fabiana przekazała Alii, że nie potrzebuje tylu ciuchów i żeby je zabrała, ale ta odmówiła. Wyposażenie pokoju wzbogaciło się o telewizor, a ona sama zabawiała swoją podopieczną niezobowiązującymi pogawędkami o modzie, życiu w Cap Martin, pogodzie i towarzyskich skandalikach, które czasami tu się zdarzały.

Fabiana próbowała cokolwiek wysondować, oczywiście interesowały ją głównie cel jej pobytu i osoba, która za tym stała, lecz Alija zgrabnie zmieniała temat lub ignorowała te pytania. Podobnie jak prośby o zwrot telefonu komórkowego i dostęp do sieci wi-fi.

– Dzisiaj wieczorem odwiedzi cię Karim – oznajmiła trzeciego dnia, zaraz po lunchu.

– Karim – powtórzyła po niej Fabiana. Patrzyła, jak Alija zgrabnie i szybko zbiera puste naczynia i układa je na małym wózku kelnerskim.

– Tak. To nasz Chan. Taki nosi przydomek. Właściciel tego domu i mój

pracodawca – wyjaśniła pozornie beznamiętnie Alija.

– Rozumiem. – Fabiana pokiwała głową. – Czas zacząć odcinać kupony. Koniec tuczenia Jasia i Małgosi.

– Słucham? – Alija uniosła kruczoczarne brwi, połyskujące i do złudzenia przypominające skrzydła jaskółki.

– Nie znasz tej baśni, więc ci opowiem. Jest krótka.

– Karim nie zrobiłby krzywdy żadnej kobiecie i dziecku – uprzedziła od razu Alija, jakby wyczuła piątym zmysłem puentę tej historii.

– Nie wiem, jaki jest Karim. I chyba nie mam ochoty go widzieć.

– Nie musisz mieć – oznajmiła Alija.

Tym razem nie została, żeby jak co popołudnie pogawędzić z Fabianą i wypić czarkę słodkiego jak miód czaju. Zostawiła ją samą, wpadła tylko na moment koło szóstej, żeby przekazać, że Karim zmienił plan i zaprasza do jadalni na powitalną kolację o ósmej, a ona, Alija, przyjdzie po nią kwadrans przed spotkaniem.

– Pocałuj się w dupę – powiedziała do siebie Fabiana, gdy zamknęły się drzwi za Aliją. – Nigdzie nie idę. Sama sobie zjedz kolację z Karimem.

To samo przekazała jej dwie godziny potem. I choć Alija prosiła, a nawet uciekła się do szantażu, mówiąc: „Twój opór sprawi, że będę mieć kłopoty”, jej starania spełzły na niczym. Fabiana wzięła prysznic, założyła najbrzydszy dres, jaki znalazła w przepastnej szafie, czyli coś w paskudnym kolorze khaki, na dodatek upstrzone złotymi ćwiekami, i walnęła się na łóżko z książką. Oczywiście nie zapamiętała nawet jednego zdania. Leżała, nasłuchując dźwięków dobiegających jedynie zza okna, bo szczelne grube drzwi nie przepuszczały niczego z wnętrza domostwa. W końcu książka wypadła jej z rąk, a poczerwieniałe od łez oczy skryły się pod powiekami.

Ciszę poranka przeciął ostry jak nóż głos: „Natychmiast wracaj do kuchni i żebym cię nie widział przez najbliższe dwie godziny”. Dudnił w całym domu, odbijał od ścian i wprawiał w drżenie szybki mijanych przez Karima szklanych witrynek z rosyjską porcelaną ustawioną w idealnie równych rzędkach.

To Alii się dostało. Próbowała uprosić pana, żeby to ona mogła obudzić Fabianę, podać jej śniadanie i wtedy ponowić jego zaproszenie, ale źle trafiła. Zeszłego dnia Karim był zmęczony, więc z wyrozumiałością przyjął odmowę swojego gościa. Niestety rankiem myślał o tej sytuacji zgoła inaczej. Całe życie hołdował kazachskiej tradycji bycia gościnnym za wszelką cenę i bez względu na zachowanie gości, lecz tym razem te zasady się nie sprawdziły. Bez pardonu wszedł do sypialni Fabiany i głośno zatrzasnął drzwi. Z niekłamanym rozbawieniem obserwował, jak bardzo się wystraszyła jego nagłym przybyciem.

Siadła na łóżku, zakrywając się kołdrą niemalże po uszy, a jej wytrzeszczone ze strachu oczy zdawały się ledwie tkwić w oczodołach. Nawet zaśmiał się krótko, choć przypominało to bardziej chrapliwe szczenięcie starego psa niż śmiech. Przygotował się na jej widok, mimo to wzruszenie ścisnęło mu gardło, bo przecież była taka podobna...

Czujniki ruchu już zadziały. Pokój wypełniła fala oślepiającego światła, mimo że zegar wskazywał dopiero szóstą rano. Trudno, Karim nigdy nie lubił późno wstawać, a skoro jego gość odmówił zjedzenia wspólnej kolacji, może wspólne śniadanie dojdzie do skutku.

– Dzień dobry – powiedział, siadając na fotelu. Rozparł się wygodnie i spojrzał na nią.

Ona też go obserwowała. Musiała przyznać, że z ogromnym zaciekawieniem. Spodziewała się kogoś w typie urody Alii, zwłaszcza gdy ta zdradziła parę pobieżnych informacji o pochodzeniu Karima, Radika i swojego. Fabi wiedziała, że oni wszyscy wywodzą się z południowego Kazachstanu, a to oznacza śniadą oliwkową cerę, czarne włosy, także oczy i ich oprawę. Alija powiedziała, że jej pan liczy sobie niecałe trzydzieści lat. To naprawdę wielki mężczyzna, bo ma prawie dwa metry wzrostu i jest potężnie zbudowany, ale to stanowiło tylko część porażającej fizjonomii Karima. Fabiana nie myślała zbyt wiele o wyglądzie właściciela tego domu, sądziła, że żyjąc w jednym z najbardziej cywilizowanych krajów Europy, mieszkając wśród bardzo bogatych ludzi, elity towarzyskiej i finansowej, będzie starał się upodobnić do nich. Jakże się myliła...

Karim zawsze występował w swoim stałym zestawie, czyli wojskowych butach, czarnych spodniach i takiej koszulce, opinającej ciasno jego muskulaturę. Nie inaczej było dzisiejszego poranka. Potarł kanciastą szczękę, żałując, że musiał zgolić brodę. Lubił ją nosić, otaczała czarnym gąszczem jego wydatne usta i doskonale kontrastowała z lśniąca jak lustro czaszką. Od jej szczytu, przez czoło, aż do linii podbródka po lewej stronie twarzy biegła wypukła, teraz już nieco jaśniejsza niż kiedyś, czerwona szrama. Ale nie to wprawiło Fabianę w największy szok.

– Dzień dobry – wybąkała, nie mogąc oderwać oczu od czarnej przepaski na prawym oku Karima. „Jednooki troglodyta” – ochrzciła go w duchu.

– Niedobry, gdy gość odmawia gospodarzowi wspólnej biesiady. Wczoraj dużo straciłaś – oznajmił nieco mniej tubalnym głosem niż przed chwilą. – Nie ma większego przysmaku niż pieczona barania głowa. Przeznaczyłem dla ciebie prawe oko, lecz nie dopisałaś, więc zjadłem oba.

– Przepraszam, źle się czułam – odpowiedziała po namyśle. Nie potrafiła wyczuć, czy Karim próbuje z niej żartować, mówiąc o głowie nieszczęsnego barana, czy naprawdę to jakiś ich kazachski przysmak.

– A teraz?

- Teraz?
- Jak się czujesz? – powiedział niecierpliwie.
- Dobrze. Dziękuję – dodała naprędcę, żeby go ułagodzić.
- Doskonale. Wobec tego zapraszam na śniadanie. Za dwie godziny, w moim gabinecie. Alija cię zaprowadzi – oznajmił, jakby zamierzał zaraz wstać i wyjść, ale siedział bez ruchu i świdrował ją wzrokiem.
- A co, jeśli odmówię? – powiedziała, z trudem panując nad drzeniem głosu.
- Zjem sam – odparł.

Zapadło milczenie. W głowie Fabiany tłoczyły się myśli, niezadane pytania rozpychały czaszkę, lecz strach nie pozwalał ich wyartykułować. Ta beznamiętna obserwacja, której doświadczała ze strony Karima, i cisza panująca w pokoju były tak nieznośne, że w końcu wybąkała, że przyjdzie na śniadanie. Dopiero wtedy on podniósł się z fotela i wyszedł, nie mówiąc ani słowa.

Opadła na łóżko, ledwie zamknął za sobą drzwi. Próbowwała się uspokoić, ale napięte jak postronki nerwy nie wytrzymały. Gdy pięć minut przed ósmą do sypialni przyszła Alija, zastała swoją podopieczną na tarasie. Fabiana postarała się wyglądać elegancko i schludnie. Założyła błękitny sweterek, który podkreślał miedziano-złocisty blask jej włosów, a dopasowane czarne spodnie opinały się na zgrabnych pośladkach. Mimo to spuchnięte powieki nie pozostawiały złudzeń, jak spędziła dwie godziny od wyjścia Karima.

- Chodźmy – powiedziała Alija.
- Chodźmy.

Szybko dotarli do gabinetu. Alija próbowała w trakcie schodzenia na parter zainteresować podopieczną architektonicznymi detalami wielkiej, dosyć wiekowej i przepięknej rezydencji, którą Karim kupił kilka lat wcześniej i odrestaurował, wydając na ten cel ogromną sumę, ale Fabianie nie w głowie było podziwiać gięte poręcze schodów czy imponujące żyrandole z kryształowego szkła. Chciała jak najszybciej odbębnić tę farsę, czyli pozornie dobrowolny udział we wspólnym śniadaniu z gospodarzem.

Niemal dwugodzinny płacz nieco ją rozładował, ale nie do końca. Usiadła przy niewielkim okrągłym stole, a gdy Alija wyszła, hardo podniosła brodę. Karima jeszcze nie było w gabinecie, więc mogła spokojnie się rozejrzeć. Bynajmniej nie w celu podziwiania pomieszczenia, a raczej pod kątem sprawdzenia możliwości ewentualnej ucieczki. Ten pokój wyraźnie należał do mężczyzny i świadczyły o tym nie tylko boazeria z prawie czarnego drewna, wielkie i masywne biurko czy brak jakichś bibelotów. Najlepszą wskazówką były oszklone gabloty z niezliczoną ilością białej broni oraz skóry i inne zwierzęce trofea, otaczające Fabianę i wywołujące u niej obrzydzenie. Nie znosiła takich „pamiątek”. Kojarzyły się jej wyłącznie ze śmiercią niewinnych i częstokroć zupełnie bezbronnych stworzeń.

Spuściła wzrok na zastawiony po brzegi stół, myśląc, że z pewnością niczego nie przełknie ze smakiem w takim miejscu. Na szczęście wszystko wyglądało w miarę zwyczajnie, wśród licznych półmisek nie zauważyła żadnego z zawartością przypominającą głowę barana czy innego zwierzęcia.

– Jesteś! – Głos Karima przeszył ciszę. Podeszedł energicznie do niej i lekko skłonił głowę. – Witaj. Jestem Karim Kasymow, gospodarz i właściciel tego domu. Przepraszam, że nie przedstawiłem się wcześniej. – Stał, czekając na jakikolwiek ruch z jej strony.

– Fabiana Czekaj, wprowadzona siłą i przetrzymywana wbrew swojej woli w tym domu – odpowiedziała, nie obdarzając go nawet jednym krótkim spojrzeniem, a co dopiero mówić o podaniu ręki.

W końcu usiadł naprzeciw niej, myśląc, że będzie musiał złamać ten opór, którego błyski zauważył na dnie jej seledynowych oczu.

– Czemu nic nie jesz? – zapytał po kilku minutach. On sam zdążył już pochłonąć pięć croissantów, kilka sadzonych jaj z bekonem oraz miseczkę sałatki z ryżu i duszonej jagnięciny. Oczywiście wypił przy tym mnóstwo czarek czaju i mleka.

– Nie mam apetytu – oznajmiła, odrywając wzrok od pustego talerza stojącego przed nią.

– Nie masz apetytu? – Uniósł gęstą, szeroką brew. Jego twarz na krótki moment okraślił grymas uśmiechu. – Tak ci tu źle?

– A tobie byłoby dobrze, gdyby ktoś cię porwał i zamknął na cztery spusty w złotej klatce? – wypaliła z gniewem. – Nie wiem, dlaczego to zrobiłeś i co mnie czeka. Nie wiem, co dzieje się z Tymonem, moim chłopakiem – dodała, chociaż była pewna, że Karim świetnie zna sytuację. – Kim jestem? Kim mam być dla ciebie? Lub raczej czym? – zapytała przez coraz mocniej ściśnięte gardło. – Nie krępuj się, po prostu powiedz, co planujesz. Chyba że trzymanie mnie w niepewności to jakaś kara, ale za co? Co ci zrobiłam? Co zrobił Tymon? Gdzie on teraz jest? – wykrztusiła z siebie ostatnie pytanie i zamilkła, czując, że jeszcze jedno słowo i wybuchnie płaczem, a tak bardzo nie chciała okazać przy nim słabości.

Karim nałożył na swój talerz łyżkę złocistego miodu, sięgnął po kolejnego croissanta, zanurzył go w miodzie i ze spokojem zaczął przeżuwać. Przełknął ostatni kęs, otarł usta serwetką i rozparł się wygodnie na krześle.

– Możesz wychodzić z pokoju, mój dom stoi przed tobą otworem, włącznie z tym gabinetem. Podobnie ogród, cała posesja, również moja prywatna plaża. Wyjątek stanowi jurta, ale poza nią możesz chodzić wszędzie. Nikt cię nie ogranicza, sama zdecydowałaś, żeby siedzieć w sypialni i nie wychylać z niej nosa.

– Ach tak? – odparła zaskoczona jego słowami.

Nagle uświadomiła sobie, że w drzwiach na pewno nie zauważyła żadnego

zamka, a ona nigdy nie spytała Alii, czy może wyjść z sypialni. Często spędzała długie godziny na tarasie i – jeśli można było w ogóle mówić o jakimkolwiek komforcie – właśnie tam czuła się najlepiej. Od początku jej pobytu we Francji było ciepło i słonecznie. Termometr wskazywał dwadzieścia stopni, a słońce przygrzewało znacznie mocniej niż w Warszawie o tej porze. Odnosiła wrażenie, że jest środek maja, a nie początek kwietnia, wyjątkowo kapryśnego miesiąca w polskim klimacie.

– Masz pełną swobodę w poruszaniu się na terenie całej posesji – powtórzył Karim, rozbawiony jej miną.

– Zbytek łaski – fuknęła, poirytowana swoim gapiostwem. Już dawno mogła rozeznąć się, jak wygląda CAŁE jej więzienie, a nie tkwić w sypialni niczym w izolatce. – Więc po co tu jestem? Liczysz, że zapadnę na syndrom sztokholmski? – wycodziła. – Próżne nadzieje.

– A co to takiego? – Przekrzywił głowę. – Ten syndrom.

– Serio?! Nie wiesz? – Wywróciła oczami. – Poszukaj w Google.

– Jesteś bezczelna – powiedział, wywołując u niej gęsią skórkę. – Nie lubię tego. Zwłaszcza u kobiet.

– Wypuść mnie, nie będziesz musiał tego znosić – odparła, choć nieco mniej ironicznym tonem.

– Kiedyś odzyskasz wolność, a na razie musisz przywyknąć do częściowo ograniczonej swobody. I jeszcze jedno: gdy cię zapraszam na kolację czy śniadanie, masz się stawiać i dotrzymywać mi towarzystwa – odpowiedział, siląc się na spokój.

– Kup sobie psa do towarzystwa – palnęła.

Nie odpowiedział. Skrzywił się nieznacznie, a opuszki palców jego dłoni przebiegły raz czy dwa po blacie stołu.

– Co z moim telefonem? Po co wzięliście tutaj mojego laptopa, skoro nie mogę połączyć się z netem? A gdzie odpowiedź na wszystkie moje poprzednie pytania?

– Kiedyś je poznasz. Jesteś moją... – zatrzymał się na moment, szukając w myślach odpowiedniego sformułowania – polisą ubezpieczeniową. Tak, to chyba najwłaściwsze określenie. Bez obaw, włos ci tu z głowy nie spadnie, ale bezwzględnie oczekuję współpracy i subordynacji. Nie próbuj uciekać, nie buntuj się i słuchaj poleceń, zarówno moich, jak i innych osób, które tu mieszkają i pracują.

– Polisa? – powtórzyła po nim, oburzona. – Jaką polisą?! Jestem człowiekiem! A co z Tymonem? On też jest polisą?

– Jeśli mowa o tym młodzieńcu... – zaśmiał się cicho Karim. – To zwykły idiota, nie żadna polisa, ale masz nieco racji. Jego zdrowie i życie zależą od twojego posłuszeństwa. Będziesz grzeczna, twój przyjaciel nie ucierpi. Nie musisz

się martwić o niego, a przynajmniej nie powinnaś. To łotr i nieudacznik, i chociaż tego nie rozumiem, szanuję twoje uczucia wobec niego.

– Przetrzyumujecie go gdzieś – powiedziała, licząc, że Karim to potwierdzi.

– Mamy na niego oko – odparł.

– Muszę skorzystać z telefonu: zadzwonić do mamy, na uczelnię, do mojego fotografa, do rodziców dziewczynki, której udzielam korepetycji z angielskiego – zaczęła wymieniać, ale Karim uciszył ją gestem dłoni.

– Sprawdziłaś pocztę w laptopie?

– Nie.

– To sprawdź, a skoro chcesz mieć telefon, zgoda, zaraz po śniadaniu polecę Radikowi, żeby ci go przyniósł.

– Cudownie. Jesteś bardzo wspaniałomyślny. Dobry pan, a mógł zabić... – prychnęła.

– Słucham? – Przymrużył powiekę.

– Mój telefon jest na kartę, a tu raczej brakuje mi możliwości, żeby ją doładować. – Wydeła usta, bo zgoda Karima była tak samo pozorna, jak jej wolność w tym miejscu.

– Dostaniesz inny aparat, z którego będziesz mogła zadzwonić do matki. Czy to cię satysfakcjonuje?

– A jeśli wszystko jej opowiem?

– Cóż za nagły przyptyw miłości. Nie rozmawiałaś z matką ponad rok.

– Jezu... – jęknęła Fabiana. Przepełniała ją taka złość, że gdyby mogła, doskoczyłaby do Karima i wydrapała mu to jedno oko, którym ją świdrował.

– Jesteś mądrą dziewczyną – odpowiedział po chwili. – Ufam, że nie nadużyjesz dobroci i szacunku, z jakim cię tu traktujemy. Nigdy nie podniosłem ręki na kobietę ani na dziecko i nie chciałbym, żeby to się zmieniło. A teraz posłuchaj mnie i zjedz śniadanie – polecił.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, nie mogę zdradzić mamie miejsca mojego pobytu?

– Dobrze zrozumiałaś. Uwierz, to nie tylko kwestia bezpieczeństwa Tymona czy mojego, ale głównie twojego.

– Coś mi groziło w Polsce?

– Nie coś, a ktoś.

– Czy to ma związek z wizytą tej kobiety? Dżamili?

– To nie powinno cię interesować. Najważniejsze, że jesteś tu ze mną. Bezpieczna – podkreślił. – W tym domu każdy gość może czuć się bezpieczny, nawet mój wróg.

– Ostatnie pytanie. Jak długo tu będę? – Odważnie popatrzyła na Karima.

– Nie wiem, miesiąc, rok, a równie dobrze możesz zostać tu na zawsze – odpowiedział i znacząco spojrział na nią, a potem na jej pusty talerz. – Żeby

przetrwać, trzeba jeść. A może masz ochotę na coś, co my, Kazachowie, bardzo lubimy? Spróbuj *lawaszy*. – Wskazał brodą na placki, przypominające nieco swoim kształtem naleśniki. – Albo *samsy*, też smaczne i bardzo pożywne. W środku jest mięso – uprzedził, podnosząc półmisek z trójkątnymi ciastkami.

– Poproszę – odparła Fabiana. Było jej wszystko jedno, co zje. Robiła to wyłącznie z przymusu i chęci jak najszybszego powrotu do pokoju.

„Nienawidzę cię – pomyślała, zagryzając pierożek i patrząc na Karima. – Nienawidzę”.

ROZDZIAŁ 4

Rozmowa z Karimem prawie niczego nie wyjaśniła, nie rozwiązała wątpliwości i nie dała odpowiedzi na pytania nadal kłębiące się w jej głowie. Wróciła do pokoju, gdzie czekał na nią telefon komórkowy. Domyślała się, co w nim znajdzie. Karim na pewno zlecił zablokowanie wszelkich rozmów poza tymi do mamy. Ale najpierw musiała sprawdzić, co znajduje się na jej poczcie elektronicznej. Uruchomiła Outlooka i ze zdumieniem odczytała „swoje” wiadomości z soboty. Oczywiście, to nie ona je wysłała. Ktoś musiał włamać się na konto i za nią je napisać. Złożył do dziekanatu wnioski o roczny urlop, wypowiedział umowę mieszkania, a nawet, co ją kompletnie zszokowało, skutecznie rozwiązał nieszczęsną umowę z Alkiem.

Wśród maili, które odebrała, był marcowy wyciąg z jej banku. Ludzie Karima wpłacili tam dwadzieścia tysięcy złotych, a później tytułem półrocznego czynszu przelali część pieniędzy na konto człowieka, który wynajmował Fabianie mieszkanie. Otrzymała potwierdzenie z firmy zajmującej się przeprowadzkami. Informowali, że zabiorą jej osobiste rzeczy czternastego kwietnia i będą je przechowywać w swoich magazynach do końca bieżącego roku. Zgodnie z umową potwierdzili odbiór kluczy, które mieli przekazać kurierem Fedex właścicielowi mieszkania. Ze łzami w oczach czytała mail od Alka, w którym dziękował jej za dotychczasową współpracę i życzył powodzenia. „Nie spodziewałem się, że moja ukochana gwiazdka Fabi zabłyśnie aż tak daleko” – pisał. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, jedynie spekulowała, że ktoś musiał sporo zapłacić za ten entuzjazm i przyjazne słowa.

Długo analizowała treść wiadomości i doszła do wniosku, że w pewnym sensie Karim zlikwidował i zamknął jej życie. Dotąd myślała, że to przez Tymona ją porwano. Teraz nie była już tego taka pewna. Nawet gdyby miała stanowić „odszkodowanie” za jego ewentualne długi, przecież nie mogły być aż tak duże, żeby przewyższyć sumę wydatków poniesionych przy „amputacji” jej dotychczasowego życia.

Z tego wszystkiego odechciało się jej dzwonić do matki. Znów przypomniała sobie przykre i gorzkie słowa, które wyrzekła: „Musisz wybrać, albo ja, albo ten twój Tymek. Jeszcze kiedyś zapłaczesz przez niego, zobaczysz”. Okazały się prorocze, co jeszcze mocniej dobiło Fabianę. Po co miała się z nią kontaktować, skoro – jak słusznie zauważył Karim – już ponad rok nie rozmawiały ze sobą? Sprawdziła jedynie, czy w telefonie zapisano numer jej komórki.

Nie opuściła pokoju do wieczora. Błąkała się między tarasem a łóżkiem, trochę czytała, obejrzała jakiś film, ale w głowie ciągle szalały myśli i przypuszczenia co do powodów jej uprowadzenia z Polski. W końcu postanowiła twardo, że musi natychmiast przestać o tym myśleć, bo zwariuje. Nazajutrz rano,

zaraz po śniadaniu, spytała Aliję, czy Karim jest w domu. Kiedyś powiedziała jej, że pan często wyjeżdża, zdecydowanie więcej czasu spędza poza domem, więc miała nadzieję, że i tym razem przyjechał tylko na moment.

– Karim? Zostaje do jutra – odpowiedziała. – A czemu pytasz?

– Chciałam trochę rozejrzeć się po domu, zobaczyć, jak tu żyjecie.

– Chyba żyjemy – podkreśliła ostatnią sylabę Alija. – Też tu mieszkasz. Możesz swobodnie spacerować i zwiedzać, nikomu nie przeszkadzasz, zwłaszcza Karimowi – zapewniła. – Jeśli chcesz, oprowadzę cię. Rezydencja jest duża, ma trzy poziomy i naprawdę można się zgubić.

– Wolę sama. Nie gniewaj się – powiedziała Fabi.

– Pamiętasz, że nie wolno zbliżać się do jurty?

– Czyli?

– Dużego białego namiotu w ogrodzie. To prywatna przestrzeń Karima.

– W porządku. Zresztą nie wybieram się tam.

Później trochę żałowała, że zrezygnowała z zaoferowanej pomocy. Wprawdzie nie zablądziła, ale byłoby milej zwiedzać wielkie domiszcze z kimś, kto znał domowników, a raczej służbę kręcącą się wszędzie. Fabi naliczyła osiem osób i dała sobie spokój. Rachat, Azat, Digara, a może Dariga, Jerżan, Rusłan? Każdy grzecznie się przedstawiał, lecz i tak nie pamiętała już imion tych wszystkich ludzi, którzy na jej widok przystawali lub przerywali sobie pracę i gapili się na nią jak na kosmitkę. To było najbardziej deprymujące. Te ich dziwne spojrzenia i jakiś strach? Przerażenie? Coś malowało się w ich oczach, choć wszyscy starali się nad tym zapanować.

Nie potrafiła sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. W pierwszej chwili pomyślała, że może niezbyt dokładnie zamaskowała siniec pod okiem, ale już prawie całkiem zniknął, więc skąd taka reakcja? Dlaczego? Gubiła się wśród tych zagadek. Zeszła na parter, skrętnie ominęła kilka drzwi, bo za jednymi z nich znajdował się gabinet Karima, i przypadkiem trafiła do biblioteki. Pomieszczenie zachwycało swoim przepychem, mahoniowy parkiet lśnił niczym lodowa tafla, a w idealnie czystych szybkach witryn odbijały się obrazy zdobiące ściany. Od razu widać było, że raczej nikt z tego miejsca nie korzysta. Stylizowana kanapa obita zielonym welurem wyglądała jak nowa. Ani jeden włoszek tkaniny nie zdradzał, że ktoś wygodnie się tu mościł, żeby czytać jakąś książkę wybraną z setek woluminów.

Zajrzała również do kuchni. Przynajmniej tutaj tętniło życie. Między białymi szafkami i szafeczkami, wielkim mурowanym piecem a wyspą z zamontowaną płytą indukcyjną kręciły się dwie urocze panie. Poznała Sarę, czyli główną kucharkę, oraz Avril, jej pomocnicę. Ta druga była rodowitą Francuzką – podobnie jak Gaston, czyli ogrodnik, i Emil, jeden z pokojowych, który również kelnerował – i jako jedyna nie wybałuszyła oczu na jej widok. Fabiana przystała na propozycję

Sary, starszej, zażywej kobiety, opasanej długim, błękitnym fartuchem, by została na chwilę w kuchni, to dostanie coś pysznego do jedzenia. Miała spytać, gdzie jest Alija, ale nie zdążyła, bo Avril podała jej półmisek z gorącymi pierogami.

– Bardzo smaczne – pochwaliła, siedząc przy ogromnym, długim stole i pałaszując pierogi. Zgłodniała, spacerując już od trzech godzin.

– Ze szpinakiem i parmezanem – powiedziała Avril i uśmiechnęła się do niej, ukazując aparat ortodontyczny, czym nieświadomie spowodowała nagły przypływ wspomnień u Fabiany.

„Będę za nimi tęsknić” – pomyślała o swoich przyjaciółkach, o Zuzce, która odkąd sięgała jej pamięć, też nosiła taki aparat na zębach. Szybko przełknęła kilka pierożków, które nagle straciły swój wspaniały smak, i bez żalu opuściła królestwo Sary i Avril.

– Miałaś rację, ten dom to istny zamek – powitała Aliję, gdy przywiozła jej podwieczorek. – A tak w ogóle, gdzie byłaś cały dzień?

– Skorzystałam z wolnego czasu i odwiedziłam fryzjera. Nie widać? – Potrząsnęła głową. Czarne, idealnie wyprostowane pasma włosów rozsypały się na ramionach.

– Szczerze? Nie poznałam. Masz piękne włosy, zawsze i nieustająco – obdarzyła ją komplementem Fabiana.

Chwilę porozmawiały o rezydencji, Alija powiedziała, że razem z nią na stałe pracuje tu dwanaście osób, część z nich mieszka w niewielkim budynku usytuowanym po zachodniej stronie posesji, a część dojeżdża do pracy z centrum Cap Martin lub z Mentony, małego miasteczka na wschód od półwyspu.

– Karim musi być milionerem, skoro stać go na takie życie – stwierdziła Fabiana. – Jest biznesmenem? W jakiej branży? – Zerknęła na Aliję, żeby wysondować, jak zareaguje na to, o co już dawno chciała spytać.

– Jest biznesmenem – potaknęła natychmiast Alija. – Nie znam się szczególnie dobrze na biznesie i nie wiem, czym dokładnie zajmuje się mój pan, ale to coś związane z paliwami – powiedziała, racząc Fabianę uprzednio przygotowanym gładkim kłamstwem. – Energetyka, węgiel i tak dalej. Kazachstan obfituje w złoża prawie wszystkich pierwiastków. Nasz rodzinny kraj to prawdziwa tablica Mendelejewa, znajdziesz tam wszystko. Rodzina Karima posiada spore obszary na południowym wschodzie Kazachstanu. Stąd to bogactwo. – Uśmiechnęła się i beztrząsco rozejrzała po sypialni, ale Fabiana wyczuła w tym jakiś fałsz.

– Musiał być bardzo zaradny i sprytny, żeby w tak młodym wieku dorobić się równie wielkiej fortuny – powiedziała z ironią, a w głowie dodała: „i równie groźnych wrogów”.

– Owszem. Jest bardzo sprytny, ale też pracowity i wytrwały.

– A skąd tak dobrze zna francuski?

– Mieszka we Francji od... od bardzo dawna – wybrnęła, żeby nie zdradzić zbyt wiele. – Poza tym ma ucho do języków. Mówi po angielsku i włosku. I oczywiście po rosyjsku – dodała z dumą.

– A może on ci się podoba? – zachichotała Fabiana i przekrzywiła głowę, żeby z rozbawieniem podziwiać rumieńce, które nagle pojawiły się na policzkach Alii. – Chyba jest kawalerem, a ty panną, więc...

– To niedorzeczne – skwitowała prawie natychmiast Alija, ale ją też ogarnęła ta niespodziewana wesołość. – Karim gustuje w zupełnie innych kobietach.

– Zważywszy na jego wygląd, wystrój jego gabinetu i zaproszenie na konsumpcję baranich oczu, chyba nie mam odwagi spytać w jakich. – Fabiana wydeła usta, a potem parsknęła śmiechem, bo to wszystko, co działo się w jej życiu od ponad tygodnia, już dawno ją przerosło.

– A może napijemy się kumysu?

– E... a co to? – Fabiana zmarszczyła czoło, próbując usilnie odnaleźć w zakamarkach pamięci słowo, które kiedyś na pewno słyszała. – To jakiś alkohol?

– Tak, ale bardzo słabiutki, kilka procent. Najwyżej osiem. To napój z kobyłego mleka.

– Z końskiego? Hm... raczej się nie skuszę.

– Och, nie bądź taka płochliwa. Przy okazji przyniosę coś na kolację.

Alija wróciła z wielką misą pierożków i butelką pełną czegoś, co przypominało wizualnie maślanekę. Rozlała trochę do dwóch małych czarek i podniosła jedną.

– Na zdrowie – powiedziała czystą polszczyzną.

– Znasz polski? – spytała zaskoczona Fabiana.

– Tylko kilka słów. Pij, to bardzo smaczne i zdrowe.

– Spróbuję – odparła Fabi, wachając zawartość czarki. Ostrożnie ją przechyliła i upiła mały łyżeczek końskiej „maślanki”. – Nie chcę cię obrazić, ale... – Skrzywiła się i otrzepała.

– Dopij do końca. – Alija mrugnęła wesoło. – Kumys świetnie działa na żołądek, ma sporo witamin i jest smaczny.

– Polemizowałabym. Zdecydowanie wolę nasz kefir z krowiego mleka.

Co ją bardzo zaskoczyło, po pierwszej czarce poszło już jak z płatka. Opróżniły całą butelkę, a potem długo rozmawiały o kazachskiej kuchni i niektórych zwyczajach. Alija opowiedziała pokrótce historię Kazachstanu, zwłaszcza z ostatnich stu lat, a Fabiana słuchała z uwagą. Musiała przyznać, że Alija potrafi interesująco opowiadać. Zaciekawiała ją ta swoista mozaika z ze starych i współczesnych zwyczajów panujących wśród ludzi zamieszkujących Kazachstan i tych, którzy od lat żyli w Europie.

– Karim to taki nasz wódz, czasami określany słowem *kagan* lub *chan*. Tak właśnie na niego mówimy. Chan. Jego bezpośredni podwładni, na przykład Radik,

to *żabgu*, jego pomocnicy w innych krajach to *tudunowie*, a taka dziewczyna jak ja, służąca, to chyba *kara budun*, czyli zwykły lud – zażartowała Alija.

– A niewolnicy? Byli na dworze chanów? – spytała Fabi i poprawiła poduszkę pod plecami. Już dawno przeniosły się z Aliją z niezbyt wygodnych foteli na jej łóżko.

– Niewolnicy? Byli. Nazywali się *tatowie*.

– *Tatowie*? Dziwna nazwa.

– *Ażabgu* nie jest dziwne?

– Też dziwne. Niestety, nie jestem *żabgu*. Jestem... – Fabiana zmarszczyła czoło. – Tatową?

– Jesteś gościem Karima, nie niewolnicą – zaproponowała Alija. – Niewolnicy musieli pracować, a ty...

– A ja nic nie robię – parsknęła pod nosem Fabi. – Jeszcze trochę i zwariuję z nadmiaru wypoczynku. Powiedz, jaki on jest? Długo się znacie? To twoja rodzina?

– Karim? Przecież widziałaś. To nie moja rodzina, nie mamy wspólnych przodków przynajmniej sześć pokoleń wstecz, a znam Karima od dziecka.

– Zbywasz mnie. – Fabiana pokręciła głową.

– Nieprawda. Odpowiedziałam na wszystkie twoje pytania.

– A co lubi? Ma jakieś hobby? – zadawała pytania, pozornie nieistotne, ale przecież każda, nawet najbardziej błaha informacja mogła jej dużo powiedzieć.

– Hobby? – Alija wydeła malinowe usta. – Co lubi Karim? Pasjonuje się jeździectwem, ma swoje konie, ale nie tutaj, tylko w Kazachstanie, lubi polować z orłami przednimi i z sokołami... – Zmarszczyła nos, myśląc, co mogłaby jeszcze zdradzić Fabianie, żeby nie narazić się na gniew Chana. – Lubi obserwować rajdy samochodowe. Gdy zaczynają się mistrzostwa Formuły jeden, potrafi wyjechać do Monako i siedzieć tam przez tydzień.

– A te wszystkie szable i inne noże? Widziałam w jego gabinecie – wyjaśniła Fabi.

– E... to taka kolekcja. Czasami Chan walczy z Radikiem albo Rachatem, ale to zwykle wyglupy. – Wzruszyła ramionami.

– A co stało się z jego okiem? A ta okropna blizna?

– Nie wiem dokładnie, ale to pamiątka po jakiejś bójce. Ktoś napadł na Karima przed laty i zranił go nożem, stąd szrama.

– Twój Chan – podkreśliła z emfazą Fabi – nie wygląda mi na takiego, który dałby się łatwo pociąć nożem.

– Pod warunkiem że napastnik był jeden, nie trzech – powiedziała Alija i prawie od razu poprawiła się nerwowo na miejscu.

– Trzech? Napadło na niego trzech nożowników? No tak, to bardzo często spotykana sytuacja w życiu biznesmena zajmującego się handlem paliwami.

I węglem – dodała z przekąsem Fabiana.

– Zmieńmy temat – powiedziała Alija i zaniepokojona spojrzała dyskretnie w narożnik sypialni. Zielone światełko zamrugało do niej ostrzegawczo.

– Jasne – odparła Fabiana. – Co proponujesz?

– Jak dbasz o włosy? Są takie piękne – zagaiła Alija.

Pogawędziły trochę o kosmetykach, zdradzając sobie sekrety pielęgnacji, a potem nastąpiła północ i trzeba było iść spać.

– Może nie będzie tu aż tak źle... – powiedziała do siebie Fabiana, kładąc wypełnioną myślami głowę na poduszce.

– Nie możesz się z nią aż tak spoufalać – oświadczył Karim stojącej przed nim niemalże na baczność Alii. – Chyba zapomniałaś, o czym rozmawialiśmy tydzień temu. Szkoda, że masz aż tak kiepską pamięć. – Zmarszczył czoło.

– Przepraszam za ten kumys. Nie sądziłam, że to będzie jakiś...

– Nie chodzi mi o kumys! – Karim walnął pięścią w blat biurka, aż wszystko na nim podskoczyło, podobnie jak jego pracownica, którą wezwał do siebie wczesnym rankiem, zaraz po obejrzeniu nagrań z kamery usytuowanej w sypialni Fabiany. – Chcecie pić kumys, to pijcie! Byle byście się nie pochorowały. Mówiłem wyraźnie: żadnych dyskusji o mnie, o moich sprawach, o moich gustach, o tym, co lubię, a czego nie, czym się zajmuję i tak dalej. Masz to ucinać w zarodku, a nie pleść trzy po trzy. Pojęłaś?!

– Przepraszam – powtórzyła Alija.

Jej twarz płonęła ogniem, a ciało oblewały co chwilę fale potu. Czasami tak bardzo bała się Karima, że odbierało jej rozum ze strachu. Gdyby mogła odejść i na zawsze o nim zapomnieć, zrobiłaby to już dawno. Sęk w tym, że znajdowała się w niewiele lepszym położeniu niż jej podopieczna. Już dawno straciła wolność i nadzieję, że kiedyś ją odzyska. Tak mogło stać się dopiero wtedy, gdy jej pan tego sobie zażyczy.

– Nie płacę ci za to, żebyś mnie przeproszała – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Wystarczy nie popełniać błędów, wtedy przeprosiny są zbędne. Powtórzę raz jeszcze: Fabiana nie jest twoją przyjaciółką. Masz być miła, sympatyczna, pomocna, ale przede wszystkim musisz pamiętać, że pracujesz dla mnie. Dla mnie!

– Rozumiem. – Alija skłoniła głowę.

– Nie dopuść, żebyś zaczął żałować, że rok temu nie odesłałem cię z powrotem do kraju – powiedział, mając na myśli zapadłą wioskę, skąd pochodziła Alija. – Twoi bracia na pewno serdecznie by cię przywitani. – Przymrużył oko.

I ona, i on dobrze wiedzieli, że Alija nie miałaby tam życia. Straszyl ją, lecz w głębi serca czuł, że nigdy by tak nie postąpił. Alija była najmłodszym dzieckiem

starego Czokana i jedyną córką. Matka zmarła przy jej porodzie. Co dziwne, starzec kochał Aliję znacznie bardziej niż trzech swoich synów. Gdy nie spłacał długów Karimowi, ten zabrał mu dziecko, ale złożył obietnicę, że odda dziesięcioletnią ówczesnie dziewczynkę po wyrównaniu rachunków. Umieścił Aliję w prywatnej szkole z internatem, żeby pozbyć się problemu. W międzyczasie Czokan próbował uregulować ogromną sumę pożyczki, którą zaciągnął jeszcze u ojca Karima. Niestety kolejne interesy okazały się chybione, a stary zmarł wkrótce potem. Dług przeszedł na braci Alii. Póki pracowała dla Karima, żyli spokojnie. Gdyby wróciła...

Synowie Czokana wiedzieli, jak żyje się w Europie. Najstarszy, Asan, głowa rodziny, już dawno zapowiedział, że dla Alii nie ma powrotu. Żaden porządny człowiek nie wzięby jej za żonę, na zwyczajową opłatę *kalym* też nie mogli liczyć. Mogli ją sprzedać komuś, żeby służyła mu jako *tokal*, druga żona, ale tacy bogacze szukali dziewic, a jaką gwarancję mieli synowie Czokana, że ktoś nie naruszył niewinności ich pięknej siostry? Poza tym mieszkała w domu obcego mężczyzny. Odpowiadał im *status quo* i nie zamierzali go zmieniać.

– Czy mogę odejść? – spytała. Zbierało się jej na płacz, a okazywania słabości Karim nienawidził jeszcze mocniej niż niesubordynacji.

– Idź. I pamiętaj, co ci mówiłem – powiedział spokojnym tonem.

Już mu przeszło. Karim łatwo wybuchał, ale ogień gniewu gasł równie szybko, jak się pojawiał. Zwłaszcza w stosunku do kobiet starał się prędko go ugasić. Mawiał, że kobiece łzy potrafią rozpuścić nawet najtwardszą skałę, a co dopiero ludzkie serce. Nawet gdy to serce biło w piersi wojownika.

Spojrzał na ekran monitora. Do wyjazdu zostało równe pięć godzin. Nagle poczuł dojmujący ciężar w piersiach. Brakowało mu dotyku, ciepła ludzkiej skóry, zapachu rozgrzanego ciała. Już od dwóch tygodni nie miał żadnej kobiety, a widok Fabiany jeszcze bardziej pogłębił tę tęsknotę. Wezwał Radika. Godzinę później do drzwi sypialni Karima zapukała cicho wysoka, szczupła blondynka. Przedstawiła się jako Sandrine, ale Karim nie zwrócił na to uwagi. Nie musiał znać jej imienia, w zasadzie mogła w ogóle się nie odzywać. Weszła do pomieszczenia, kołysząc lekko biodrami. Znała upodobania stałego klienta madame Yvette, choć jeszcze nigdy nie świadczyła dla niego usług. Pracowała u madame, która pod swoim dachem zgromadziła najpiękniejsze dziewczyny w całym półświatku Cap Martin. Rekrutowała je przez internet, szukając pięknych, inteligentnych i wykształconych studentek w krajach byłego bloku wschodniego. Czeszki, Polki, Białorusinki... – wszystkie starannie wyselekcjonowane i traktowane bardzo dobrze. Niestety ich kariera u madame Yvette nie trwała zbyt długo. Ot, dwa lata, góra trzy, i opuszczały rajski zakątek, a ich miejsce zajmowały kolejne dziewczęta.

Właśnie dlatego mimo wygórowanych cen jej przybytek cieszył się sporą popularnością wśród najbogatszych mieszkańców i bywalców Cap Martin.

– Rozbieraj się – wychrypiał Karim. – Szybko. – Nie spuszczał z niej oka, dopiero gdy zupełnie naga położyła się obok niego, usiadł żeby zrzucić buty i rozpiąć suwak czarnych bojówek. – Rozłóż nogi – polecił.

Przyklęknął między nimi, zbliżył twarz do łona prostytutki i zaciągnął się mocno, niczym narkotykiem. Bez skutku próbował odnaleźć właściwą nutę, tę wątlą nić znajomego zapachu, którą czuł zawsze, gdy był z Viviane. Przeciągnął językiem po starannie wydepilowanych płatkach waginy. Nie dbał o to, że nie powinien tak robić. Przecież to była zwykła dziwka, kobieta, której nie znał i nie darzył żadnym uczuciem. Była tylko ciałem. Pięknym i młodym ciałem. W jej oczach próżno mógł dopatrywać się choć cienia fascynacji, jaką widział nieraz w seledynowych tęczęwkach Viviane.

Dziewczyna jęknęła, gdy delikatnie zacisnął zęby na jednej z warg sromowych. Nie był brutalny, a jej reakcję wywołał raczej krótki paroksyzm rozkoszy niż ból. Jeszcze raz przeciągnął językiem przez zaróżowioną szczelinę. Wtulił w nią nos i przez chwilę oddychał ciepłym powietrzem bijącym od ciała Sandrine. Jego dłonie leniwie przesuwają się po jej udach.

– Jesteś taka piękna – wyszeptał niemalże bezgłośnie. Starał się wyłączyć niepotrzebne w tej chwili zmysły. Nie patrzył, nie słuchał. Dotykał, wciągał zapach kobiecego ciała i smakował, pragnąc ponad wszystko natrafić na nutę wspomnienia, które pomogłoby na chwilę wrócić do przeszłości. Niestety, znów poniósł porażkę. Viviane zniknęła, a on zapomniał, jak pachniały jej jasne, złocistorude loczki otulające łono i jak smakowała jej bladoróżowa kobiecość.

Wyprostował się. Z tylnej kieszeni spodni wyjął prezerwatywę. Założył ją wprawnym ruchem, starając się nie patrzeć na twarz leżącej przed nim dziewczyny. Nie dostrzegając jej urody, gdy mówił przed chwilą, że jest piękna. To nie dla niej przeznaczone były te słowa. Opadł na Sandrine, wszedł w nią, nie bacząc na to, czy jest gotowa go przyjąć.

– Obejmij mnie mocno – powiedział. – Mocniej! Jakbyś chciała mnie udusić. Ścisnęła ręce wokół jego głowy. Oplotła nogami ciało Karima, czując, że jeszcze chwila i to ją udusi ten wielki umięśniony i hojnie wyposażony mężczyzna. Musiała przyznać, że mimo widocznego kalectwa i szramy szpecącej twarz jest bardzo atrakcyjny. Nie miała okazji podziwiać jego muskulatury, bo nie zdjął niczego oprócz ciężkich, wojskowych butów, ale kontakt z jego mocnym, twardym jak skała ciałem w zupełności wystarczał, żeby ją sobie wyobrazić. Lędźwie Karima poruszały się coraz szybciej, wbijał się w nią głębiej i głębiej. Rzadko doznawała spełnienia z klientami, mogła na palcach jednej ręki policzyć te spotkania, a dzisiaj właśnie tak się stało. I to ona była pierwsza. Aż straciła dech, gdy fala gorącej krwi wypełniła całe jej jestestwo, a przez łono przetoczyły się pierwsze intensywne skurcze. Jeszcze mocniej przycisnęła się do ciała Kasymowa. Przyłgnęła całą sobą, wygięta w łuk i wstrząsana spazmami spełnienia.

Leżeli obok siebie, oddychając coraz spokojniej. Karim wysunął rękę, żeby zdjąć zużytą prezerwatywę i rzucić ją gdzieś na podłogę przy łóżku. Wlepiając wzrok w sufit, zapinał zamek spodni, poprawił koszulkę, a na koniec głośno ziewnął.

– Byłeś świetny – wyznała zgodnie z prawdą Sandrine. Tym razem nie musiała kłamać i udawać, że klient doprowadził ją na skraj szaleństwa. Liczyła, że za chwilę przeżyje powtórkę, ale spotkało ją rozczarowanie.

– Idź już – odparł, nadal na nią nie patrząc.

– Mamy jeszcze trochę czasu – bąknęła nieśmiało. Nie uśmiechało się jej tak szybko wracać do agencji. Madame Yvette lubiła, gdy klient domawiał kolejne godziny.

– Mój kierowca zapłaci ci za drugą godzinę. – Karim domyślił się, o co chodzi. – Idź już, Sandrine – dodał, przypomniawszy sobie jej imię. Pierwszy i ostatni raz zwrócił się tak do niej, bo poczuł nagle falę smutku i żalu, że ten szybki i krótki seks był zaledwie namiastką tego, czym powinna być miłość między kobietą a mężczyzną.

– Do widzenia – pożegnała się dziewczyna.

Został sam. Jeszcze bardziej pusty w środku i pozbawiony życia niż przedtem.

ROZDZIAŁ 5

Mogła śmiało powiedzieć, że dosyć dobrze poznała rezydencję. Spacerowała, zaglądając to tu, to tam. Kiedyś chciała policzyć sypialnie, ale jaki to miało sens? Żaden. Połowa pokoi stała pusta, mimo to codziennie w nich sprzątano, ścierano kurze i wietrzono. Czasami Fabiana zachodziła do biblioteki, żeby przynieść sobie stamtąd jakieś książki. Nikt nie oponował, więc uznała, że jej wolno. Często słyszała rozmowy dochodzące z gabinetu Karima. Niestety najczęściej rozmawiał po rosyjsku, zwłaszcza przez telefon, a stłumione dźwięki docierały do niej jak przez mgłę.

Postanowiła to zmienić. Zakradła się do niewielkiego pokoju, z jednej strony graniczącego z biblioteką, a z drugiej z gabinetem. Przystawiła ucho do ściany i przestała oddychać, żeby niczym nie zagłuszać dźwięków. To też się nie sprawdziło, podobnie jak przystawienie wazoniku, żeby wzmocnić głośność podsłuchanych słów.

Bardzo ją to zniechęciło, zwłaszcza że zastała ją tam jedna z pokojówek. Wyraźnie się spieszyła, wyszła bez słowa, a nazajutrz ktoś zamknął ten pokój na klucz. Ale Fabiana się nie poddawała. Rozważała nawet tak szalony pomysł jak zakradnięcie się bezpośrednio do gabinetu i ukrycie za grubymi zasłonami lub w jednej z wielkich szaf, ale gdy pomyślała o realizacji tego planu i ewentualnych konsekwencjach w razie wpadki, od razu jej przechodziło. Mimo to węszyła, podsłuchiwała i cały czas podsyciała nadzieję, że kiedyś stąd ucieknie.

Dlatego prawie oszalała ze szczęścia, gdy któregoś dnia kapryśny los pozwolił na wniknięcie w prywatny świat Karima. Siedziała na ławeczce, tuż pod oknami biblioteki, i enty raz czytała *Mistrza i Małgorzatę*, ale pierwszy raz po francusku, gdy do jej uszu dotarły dwa męskie, nisko brzmiące głosy. Od razu poznała Karima i Radika. Nastawiła czujnie uszu, odwróciła się, żeby zlokalizować, skąd dochodzi rozmowa i...

Bingo.

Ktoś zostawił uchylone okno w gabinecie. Fabiana zamknęła książkę i zbliżyła się do niego tak, żeby nikt z wnętrza rezydencji nie mógł jej zauważyć. Nie zraziły ją nawet pnące róże, które zarosły prawie całkiem wolną przestrzeń przy ścianie. „Zawsze mogę powiedzieć, że chciałam zerwać kilka, bo tak pięknie pachną” – przygotowała w myślach wymówkę. Stała i wytężała słuch, zamknąwszy uprzednio oczy, żeby jeszcze lepiej skupić się na rozmowie. Intuicyjnie czuła, że to będzie coś ważnego, co dotyczy właśnie jej.

Na początku nie mogła zrozumieć, o czym gadają Karim i Radik, ale wtedy usłyszała, jak przydupas Karima, jak określała Radika, wyraźnie powiedział: Kapela. Aż ją zatchnęło z wrażenia. Czuła, że za chwilę pękną jej bębenki w uszach, tak długo powstrzymywała oddech. Cichuteńko wypuściła powietrze

i znów chłonęła każde słowo, dziękując Bogu i wszystkim, że rosyjski jest tak bardzo podobny do polskiego. Nie знаła znaczeń pojedynczych słów, ale główny sens rozmowy docierał do niej bez trudu.

Nie zwracała uwagi na to, że materiał jej sukienki z sekundy na sekundę ciemnieje pod pachami, a z czoła na dekolt kapie pot. Podobnie zignorowała fakt, że ktoś może ją w końcu zauważyć. W ostatniej chwili usłyszała kroki ogrodnika na wyżwirowanej ścieżce. Było za późno na uciezkę, więc zanurkowała w róże, kalecząc się kolcami i zeschniętymi gałązkami i modląc o to, żeby nie zerknął w jej stronę.

– Dzięki... – Wzniosła oczy do nieba, gdy stary Gaston minął ją, pogwizdując pod nosem jakąś francuską piosenkę.

Odczekała chwilę, żeby oddalił się na bezpieczną odległość, i postanowiła wymknąć się z kryjówki. Nie miała już po co w niej tkwić, bo Radik i Karim skończyli rozmowę. Zachowała na tyle rozumu, żeby w jakiś sposób uzasadnić swój wygląd. Wylazła spomiędzy krzewów, podbiegła pod murem na drugi koniec budynku. Akurat tutaj nie rosły róże, ale za to pysznił się w słońcu gigantyczny aloes drzewiasty, wysoki na dwa metry albo i więcej. Brzegi długich niczym szable, częściowo zdrewniałych u nasady liści pokrywały rzędy kolców. „Trudno, przeżyję” – uznała, bojąc się, że w innym miejscu może ją uchwycić któraś z kamer wiszących na budynku rezydencji i wycelowanych na ogród. Zaaranżowała spektakularne potknięcie się na wypielęgnowanym i gładkim niczym stadionowa murawa trawniku i wpadła w środek kolczastej korony. Zamierzała głośno krzyknąć, żeby kręcący się niedaleko Gaston mógł ją usłyszeć, ale akurat tego nie musiała planować. Wrzasnęła jak oparzona.

– Jak to się stało? – ubolewał, pomagając jej wydostać się spomiędzy połamanych pędów krzewu. – Panienko, a cóż to panienska robiła? Tak się wyrwać? – Załamywał ręce, widząc podrapane do krwi nogi Fabiany i nie mogąc zrozumieć, dlaczego dziewczyna wygląda, jakby godzinę tarzała się w krzakach.

– Och, nie wiem. – Fabiana schyliła się, żeby otrzepać sukienkę z powbijanych kolców i innych paprochów. Otarła kolana i zerknęła z uśmiechem na Gastona. – Nic się nie stało, zaraz to sobie opatrzę. Zauważyłam... – zacięła się, bo chciała powiedzieć, że to piękny motyl przysiadł na jednym z czerwonych kwiatostanów aloesu, ale ugryzła się w język. Nie miała pojęcia, czy motyle lecą do tych kwiatów. – Zobaczyłam jaszczurkę, siedziała na aloesie, była taka wielka, chciałam podbiec, żeby ją lepiej zobaczyć, no i bęc. – Uśmiechnęła się niefrasobliwie.

– Bęc? – zapytał Gaston. Zbliżył się do Fabiany i spomiędzy jej włosów wyjął mały różowy płatek. – A to? – Pokazał jej znalezisko. Nie dowiedział zbyt dobrze na słońcu, bo od paru lat zmagał się z jaskrą. Tylko dlatego nie dostrzegł, że dziewczyna natychmiast oblała się rumieńcem, takim od cebulek włosów aż do

palców u stóp. – Że też z panienki taki dzikus. Wskakiwać w kaktusy? Chan powinien zabrać panienkę do dżungli amazońskiej – zażartował.

– Tam nikt nie dba o rośliny – zaśmiała się nieco sztucznie. – Okropnie go połamalam – stwierdziła, patrząc na aloes. Przedstawił obraz nędzy i rozpacz.

– Niewiarygodne – westchnął Gaston. – Aloes odrośnie, zadrapania zejdą, ale na przyszłość radzę uważać – mruknął. Coś mu nie pasowało w tej całej sytuacji.

– Przepraszam. – Fabi na wszelki wypadek potrzepała głową, jeszcze raz przeprosiła starego ogrodnika za zamieszanie i popędziła do rezydencji.

Na paluszkach minęła drzwi gabinetu Karima, modląc się, żeby w tym momencie nikt z niego nie wyszedł. Uspokoila się nieco dopiero pod chłodnym prysznicem. Umyła włosy, a na kolano nakleiła mały plaster znaleziony w apteczce pod umywalką. Na wszelki wypadek założyła długie spodnie i bluzkę z rękawami do łokci.

– Pięknie – wymamrotała, zerkając do lustra. Policzki płonęły żywym ogniem, więc zamaskowała czerwień korektorem i solidnie przypudrowała, bo za chwilę miała się zjawić Alija z lunchem. – Pomyślisz o tym później – warknęła do siebie. – Później. Rozumiesz?

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Zachowała na tyle trzeźwości umysłu, żeby skrupulatnie oczyścić sukienkę z każdego, nawet najmniejszego śladu po bliskim spotkaniu z różami. Wszystkie kawałeczki gałązek, listki i kolce zgarnęła do ręki i owinięte papierem toaletowym wrzuciła do ubikacji. Dopiero teraz sukienka nadawała się do kosza z brudną bielizną, codziennie opróżnianego przez jedną z pokojówek.

– Wywróciłam się na trawniku i wpadłam w sam środek tego wielkiego aloesu. Wyobrażasz sobie? – mówiła do Alii, czując, jak na jej szyję wypełza zdradziecki rumieniec. Na szczęście ją też wysmarowała obficie korektorem. – I to wszystko przez głupią jaszczurkę. Ech... – Kręciła głową.

Alija powiedziała, że powinna bardziej uważać, a potem Fabianie udało się sprowadzić rozmowę na dobrze utartą ścieżkę, czyli gadki szmatki o celebrytach. Wkrótce w pobliskim Cannes miał się rozpocząć festiwal filmowy i Alija planowała, jak co roku, udać się tam i złowić choć kilka autografów.

– Marzy mi się fotka i podpis Leo Blacka1. I oczywiście selfie z nim. Znasz go? – pytała zaferowana, patrząc na Fabianę, która bez większego zaangażowania grzebała łyżką w zupie minestrone.

– Kojarzę.

– Uwielbiam go. – Alija przyłożyła skrzyżowane dłonie do piersi. – Niestety ma dziewczynę. Wiesz, że to Polka? Jak ty? – uraczyła ją ciekawostką, która niezauważona wpadła do uszu Fabiany i równie szybko z nich wypadła.

– Ciekawe, naprawdę? – potaknęła, będąc myślami zupełnie gdzie indziej.

– Tak, jest nawet ładna, ale w porównaniu do poprzedniej dziewczyny Blacka wypada dosyć słabo... – Alija, ucieszona, że wreszcie znalazła słuchaczkę, zaczęła wykład o brytyjskim aktorze i jego miłosnych podbojach.

Fabiana potakiwała, co jakiś czas zadawała pytanie i dziękując Bogu za gadulstwo służącej, skończyła zupę.

– Połóżę się – powiedziała. – Po tym upadku wszystko mnie boli.

– Jasne. – Alija pogłaskała ją po głowie i wyszła, zabrawszy naczynia.

– Pomyślisz o tym później – oświadczyła prawie bezgłośnie Fabiana, gdy została sama. – Później...

Próbowała zapomnieć o tym, co usłyszała, a raczej podsłuchała, bo przecież słowa, które padły z ust Karima i Radika, nie miały nigdy trafić do jej uszu. Wahala się, czy powinna o tym wspomnieć, lecz cóż ona mogła wiedzieć? A nawet gdyby Karim lub – co bardziej prawdopodobne – Radik zdradzili coś Alii, czy ta podzieliłaby się z nią taką wiedzą? Fabiana potrząsnęła głową. To nie miało sensu i mogło spowodować, że Alija przekazałaby wszystko Karimowi, gdy ten wróci z kolejnej podróży, którą odbywał tylko w sobie znanym celu.

„Lepiej udawać, że nic nie wiem” – uznała. Mimo upływających dni i usilnych prób zapomnienia o sprawie nie była w stanie usunąć z pamięci obojętnego tonu głosu Karima, gdy mówił: „Temat tego gnojka uznaję za zamknięty”. Jak mogła to interpretować? Gdy wyobrażała sobie, co mogli zrobić Tymonowi, robiło się jej słabo. Pisk przesywał uszy, a ciało oblewał lodowaty pot. „A może po prostu go uwolnili? Wypuścili skądś, gdzie dotychczas go przetrzymywali? Zapłacili za milczenie? Może Tymek żyje teraz jak król, a ja niepotrzebnie się martwię?” – dociekała.

Próbowała racjonalizować sobie, że Karim nie jest patologicznym sadystą i oprawcą, bo przecież na razie nic na to nie wskazywało. Ledwie uspokoiła zbyt szybko tętniące serce, by po chwili gdzieś w tyle głowy usłyszeć uwagę Alii: „Karim nigdy nie skrzywdziłby żadnej kobiety i dziecka”. Więc jak to z nim jest? Kto mógł czuć się bezpiecznie? Tylko kobiety i dzieci?

Snęła się po ogrodzie. Pozornie wyglądało, jakby podziwiała jego urok, ale zamiast cieszyć oczy coraz bujniejszą roślinnością, Fabiana intensywnie rozmyślała. W jej głowie szalała prawdziwa burza. Sprzeczne ze sobą wnioski doprowadzały ją do szaleństwa i odbierały tę nędzną namiastkę spokoju i rutyny, którą wypracowała przez sześć tygodni przymusowego pobytu w rezydencji na Cap Martin. Coraz częściej żałowała, że los pozwolił jej poznać nowe fakty w sprawie Tymona. „Ech, mogłam tego nie słuchać. I tak nic nie mogę zrobić” – frustrowała się bez końca.

Bezmyślnie poruszające się stopy zawiodły ją do miejsca, gdzie parkowali

przyjezdni pracownicy rezydencji. Rzuciła wzrokiem na kilka samochodów i jej uwagę przykuł mały fiacik pięćset. Stał na końcu parkingu i wesoło połyskiwał czerwienią dachu. Fabiana podeszła bliżej i nagle zauważyła coś, co natychmiast spowodowało szybsze bicie jej serca. Dyskretnie zajrzała do wnętrza auta przez opuszczoną do połowy szybę. Na siedzeniu kierowcy leżał pęk kluczy. Od razu rozpoznała pilota do samochodu i jeszcze drugie, podobne urządzenie.

„Czyżby to do bramy wjazdowej?” – pomyślała, bezwiednie zagryzając dolną wargę. Rozejrzała się wokół. Nikogo nie było w pobliżu, gdzieś zza tyłów rezydencji dobiegał ją warkot piły spalinowej i stłumione pokrzykiwania. Przypomniała sobie, że Radik wspominał jej i Alii o przycinaniu kilku figowych drzew rosnących przy zachodnim skrzydle rezydencji. „Będzie hałas” – uprzedził. Pewnie poszedł pomóc Gastonowi, wszak ten był już emerytem i nie dysponował wystarczającą siłą i energią. Wzięła głęboki wdech i odeszła od samochodu, który najpewniej należał do Avril. Sugerowała to nie tylko marka i rozmiar auta, ale i kolorowa apaszka leżąca na podszybiu. Fabiana była pewna, że kiedyś widziała ją na szyi dziewczyny.

Powoli, spacerowym krokiem doszła w okolice bramy wjazdowej, żeby skonstatować, że nikogo nie ma w małej budce strażniczej. Zacisnęła kciuki w duchu i znów zawiodło ją na parking. Chwilę pokrążyła, czekając, aż ślepy los postawi na jej drodze kogoś, kto po prostu ją spłoszy i odwiedzie od pomysłu, który przed chwilą nieśmiało zakiełkował w jej głowie.

Teraz nie mogła już tak powiedzieć. Z upływem każdej kolejnej sekundy plan przybierał coraz wyraźniejszy kształt. Wtórował mu wielki, gigantyczny wręcz wybuch nadziei, że Fabiana stąd ucieknie. Nie bez powodu udało się jej podsłuchać Karima. To musiał być znak! Ostatni raz rozejrzała się wokół, zerknęła na zegarek, żeby stwierdzić, że do podwieczorka brakuje jeszcze dwóch godzin, i podeszła do samochodu Avril. Na moment jej serce zastygło, gdy szarpnęła za klamkę, oczekując wzbudzenia alarmu, ale nic takiego się nie wydarzyło. Wsiadła, zapięła pasy i wzięła kilka bardzo głębokich wdechów, bo z wrażenia kręciło się jej w głowie.

Już dawno nie prowadziła samochodu, ale nigdy nie sprawiało jej to problemów. Egzamin na prawo jazdy zdała za pierwszym podejściem. Przeżegnała się i uruchomiła silnik. Natychmiast zamknęła wszystkie okna. „Jeśli ktoś mnie zobaczy, łatwiej uzna, że to Avril”. Miały dosyć podobny kolor włosów, ale na wszelki wypadek szybko zwinęła je w coś podobnego do koczka noszonego przez pomocnicę Sary i wepchnęła za kołnierz sweterka. Wycofała powoli, starając się zrobić to płynnie i pewnie. Żwirek, którym wysypano podjazd, cicho trzeszczał pod kołami. Fabiana dotarła pod bramę wjazdową. Nacisnęła guzik drugiego pilota i przez trzy ciągnące się niczym wieczność sekundy czekała, aż drgnie wielka kuta brama.

– Jezu... dzięki! – pisnęła, gdy jedno ze skrzydeł zaczęło skrywać się we wnętrzu muru.

Od razu przytknęła dłoń do ust, myśląc, że jest kompletnie głupia. Z czego się cieszyła? Przecież to nawet nie było przysłowiowe B. Gdy opuści posesję, wtedy może powiedzieć, że uczyniła pierwszy krok do odzyskania wolności. Kwadrans później, nie wierząc we własne szczęście, śmigła przez wąskie uliczki Cap Martin. Intuicyjnie kierowała się na wschód, żeby dosyć szybko dotrzeć do drogi wiodącej do Mentony. Stamtąd ruszyła dalej, do granicy z Włochami.

– Boże, dopomóż – szeptała, zaciskając palce na kierownicy.

Stała w kolejce do przejścia przez granicę; sznur samochodów za nią, przed i po obu stronach. Kolejki powoli przesunęły się w stronę następnego etapu wolności. Nagle tuż przy bocznej szybie zauważyła motocyklistę. Pojawił się niczym duch. Prawie udławiła się własnym sercem, spostrzegając, że to żandarm. Gapił się na nią. Wykrzywiła twarz w grymasie, który mógł przypominać beztroski uśmiech. Mężczyzna odpowiedział tym samym, choć z pewnością jego uśmiech nie był równie sztuczny i okupiony nadludzkiem wysiłkiem, żeby wyglądał naturalnie.

„A może to jakiś znak? – pomyślała. – Może powinnam się zgłosić na policję? Gdy im wszystko opowiem, na pewno mi pomogą. To nieważne, że ukradłam samochód, przecież to było w samoobronie, wyższa konieczność czy jak się to nazywa” – spekulowała gorączkowo. Zdawała sobie sprawę, że bez kłopotów by się nie obyło. „Zatrzymają mnie w areszcie, zanim cała sytuacja się wyjaśni, ale ostatecznie odzyskam wolność”. Kusilo ją, żeby dać znak żandarmowi, że chce z nim porozmawiać, lecz nic nie zrobiła.

Ruszyli. Ten incydent kosztował ją tyle nerwów i zdrowia, że zatrzymała samochód na najbliższym zjeździe i wysiadła, żeby choć na chwilę pooddychać świeżym powietrzem.

– Myśl, dziewczyno... – mruknęła do siebie. „Macki tej mafii sięgają wszędzie. Czy Tymek żyje? A jeśli skończę jak on? Karim na pewno się zemści, gdy zgłoszę to policji. A co z Aliją? Ona też będzie miała kłopoty – rozważała w duchu za i przeciw. – Może Karim mi podaruje, gdy po prostu wrócę do Polski? Zapomni o mnie?”. Co robić? Uderzyła kilka razy pięścią w czoło. Rozum podpowiadał, żeby poszukać najbliższego posterunku żandarmerii, ale intuicja mówiła inaczej. I jeszcze ten cichuteńki głosik, gdzieś na dnie serca...

Nagle podjęła decyzję, wsiadła do auta i zajrzała do schowka po prawej stronie. Nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

– Bóg czuwa nade mną – westchnęła z wdzięcznością, widząc wielki i wypchany po brzegi damski portfel.

Szybko sprawdziła jego zawartość. Niefrasobliwa Avril zostawiła jej niezłą sumkę. W głównej kieszonce spoczywały banknoty o łącznej wartości czterystu euro, oprócz tego garść monet, oczywiście dokumenty wozu, a nawet prawo jazdy.

Do tego kilka kart kredytowych, którymi przecież można płacić zbliżeniowo, choć akurat na to ostatnie Fabiana się nie nastawiała. Była pewna, że natychmiast, gdy odkryją jej ucieczkę, Avril zablokuje wszystkie karty, poza tym właśnie po nich mogli ją łatwo namierzyć.

Gnała tak szybko, jak pozwalały na to znaki, kierując się konsekwentnie na wschód i myśląc, co będzie lepsze: czy jechać bez przystanków, czy może lepiej zmylić pościg i ukryć się gdzieś na kilka dni. „Będą szukać samochodu! – pomyślała, żeby za moment rozważyć: – A może jednak skierować się do najbliższego posterunku? Albo dotrzeć do jakiegoś dużego miasta i tam poszukać pomocy?” Miała tyle możliwości. Za dużo. W chaosie, który panował w jej głowie, próżno by szukać logicznych wniosków.

Co chwilę zauważała tablice z drogowskazami, które kusiły, żeby zjechać na główną trasę wiodącą do Genui. Nie miała pojęcia, gdzie leży to miasto. Zawsze była słaba z geografii, zresztą co ją obchodziła jakaś Genua? Intuicyjnie uznała, że lepsza będzie droga prowadząca przy linii morza. Widok połyskującej w słońcu wody działał kojąco.

Emocje już nieco opadły i nagle Fabiana poczuła się bardzo zmęczona, na dodatek głód dał znać o sobie głośnym burczeniem żołądka. Wiedziała, że nie powinna się zatrzymywać, ale co, gdy zasłabnie z głodu, zmęczenia i stresu? Niechętnie, ale wjechała do Savony, pierwszego miasta, które znalazło się na trasie. Parkując przy porcie, myślała, co dalej. Czy zatrzymać się tu na noc i przespać w samochodzie, a może wynająć pokój w jakimś niedrogim hoteliku? Szkoda jej było pieniędzy, ale spać w aucie? To też nie do końca jej odpowiadało. Nie ze względu na niewygodę, bała się, że ktoś ją zauważy i narobi sobie problemów.

Fabiana zerknęła na zegarek: dochodziła ósma. Żeby nie nosić przy sobie tylu rzeczy, odpięła od kółka pilota od samochodu, a z portfela wyjęła pięćdziesiąt euro. Zamknęła wóz i skierowała się do centrum. Szybko trafiła na jakąś restaurację i zamówiła dwie pizze. Jedną zjadła od razu, a drugą zapobiegawczo zabrała ze sobą. Wolała nie zatrzymywać się zbyt często, tylko wtedy gdy będzie to absolutnie konieczne. Na szczęście bak fiacika Avril jeszcze był pełny. Rzuciła pudełko z pizzą na tylne siedzenie i odpaliła silnik. Nagle dotarło do niej, że chyba nie da rady, musi choć chwilę odpocząć, uciąć sobie drzemkę albo pójść nad morze, ochlapać twarz wodą i dostarczyć spracowanemu mózgowi odrobinę tlenu.

Zamknęła samochód i poszła na spacer. Szła na zachód, wzdłuż plaży i pocierała co jakiś czas zziębnięte ramiona, bo zapadł zmierzch i zrobiło się znacznie chłodniej. Zerknęła za siebie, żeby skonstatować, że za bardzo oddaliła się od parkingu, więc poszukała wzrokiem jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby usiąść na chwilę i dać sobie kwadrans na wyciszenie. Przycupnęła na ławeczce. Fale cicho pluskały o brzeg, gdzieś na horyzoncie migotały światełka palące się na jachtach, a Fabiana czuła się samotna i słaba jak nigdy wcześniej. Starła się nie myśleć

o tym, co zostawiła za sobą, o Alii i innych ludziach, którzy na pewno srogo zapłacą za to, że pozwolili jej uciec. Żałowała, że Alija poniesie konsekwencje, ale czy miała jakiś wybór? Gdzieś głęboko w sercu odzywał się głosik mówiący: „Zbyt łatwo ci poszło, to się nie uda”, lecz usilnie próbowała go zignorować. Niestety wybrzmiewał coraz głośniejsze i głośniejsze, sprawiając jej ból i powodując, że dłonie drżały, a w gardle rosła klucha strachu.

– Boże, pomóż mi – jęknęła płaczliwie. – Niech będzie tak, żeby było...

Zamilkła. Jak miało być dobrze? Nie widziała takiej możliwości. Bała się przyszłości, obojętnie, czy miała oznaczać dalszą niewolę u Karima, czy też powrót do Warszawy i zmierzenie się z tym, co na nią czekało, a raczej nie czekało, bo przecież do starego życia już wrócić nie mogła. Z niego pozostały jedynie przyjaciółki, którym nie potrafiłaby zdradzić prawdy. A co z Tymonem? Nawet nie chciała o nim myśleć. Już chyba przestała go kochać i zdumiewał ją ten fakt, bo oznaczał, że ich miłość i związek nie były wiele warte. Tak szybko wypaliła się iskra uczucia. Błysła i zgasła. Może zabrakło paliwa, a może od początku tylko Fabiana podsyciała ogień coraz słabiej tłący się w ich sercach?

– Już za późno... – westchnęła do siebie, myśląc, że ten czas, kiedy mieszkała, żyła i kochała Tymona, już nigdy nie wróci, nawet (na co miała ogromną nadzieję) gdy Tymon żyje i jest zupełnie zdrow.

Nagle usłyszała jakiś nieokreślony dźwięk, ciche kroki i pomruk rozmowy. Dopiero po sekundzie spostrzegła, że pochodzą od dwóch mężczyzn idących w jej kierunku. Zmierzali od strony parkingu, więc w pewnym sensie odcięli jej drogę odwrotu. Od razu jej serce zerwało się do galopu, a żyły wypełniła adrenalina. Dwaj osobnicy zbliżali się nieubłaganie, a z każdym metrem jej obawy, że nie spotka ją z ich strony nic dobrego, rosły. Wstała i udając, że nie zwraca na nich uwagi, wyszła im naprzeciw. Odetchnęła z ulgą, gdy minęła czarnoskórych młodzieńców. W odległym świetle portowych latarni zdążyła zauważyć, że mieli prawdopodobnie nie więcej lat niż ona i byli dosyć solidnie zbudowani i wysocy. Na szczęście ich ciuchy nie wskazywały, że to jakieś szemrane postacie. Ot, dwóch facetów spacerujących przez port późnym wieczorem.

– Przestań w każdym człowieku widzieć zbrojnego lub porywacza, bo oszalejesz – wymamrotała cicho do siebie i jeszcze mocniej objęła się ramionami.

Nie uszła więcej niż dziesięć metrów, gdy usłyszała wyraźnie, że ktoś za nią idzie. Odwróciła się i nagle życie stanęło jej przed oczami. Nie zdawała sobie sprawy, że Adil i Raad, dwaj młodzi Marokańczycy, którzy od paru miesięcy pracowali na jednej z budowli w pobliskiej miejscowości Varazze, postanowili jednak zaczepić tę piękną, jasnowłosą dziewczynę, którą zauważyli już w restauracji. Samotnie przechadzała się po plaży przy porcie, jakby na nich czekała... Zawrócili więc i poszli za nią, starając się robić to na tyle cicho i szybko, żeby dogonić ją jeszcze z dala od parkingu. I ludzi.

– Dobry wieczór – zagadnął Adil i zapobiegawczo stanął tak, żeby odciąć Fabianie jakąkolwiek możliwość ucieczki. – Co taka piękna dziewczyna robi tutaj sama? – zapytał po angielsku, prześlizgując się wzrokiem po jej ciele. Stwierdził, że na pewno nie ma przy sobie torebki i raczej nie dysponuje telefonem komórkowym, bo żadna z kieszeni džinsów nie wskazywała na to. – Mówisz po angielsku? – dodał po chwili. – A może po francusku, ślicznotko? – dociekał.

– Mówię po francusku – odparła w końcu w tym języku. – Przepraszam, ale się spieszę – powiedziała i ominąwszy Adila, ruszyła w stronę parkingu, przeklinając w duchu swój los i głupotę, a dokładnie kompletny brak ostrożności.

– Hej, poczekaj! – krzyknął Raad. Dogonił ją w dwie sekundy, złapał za rękę i uśmiechnął się zawadiacko. – Co tak uciekasz? – zarżał. Zęby błysnęły oślepiającą bielą. – Przecież cię nie zjemy.

– Płochliwa jesteś – skomentował Adil i wyciągnął dłoń, żeby odgarnąć niesforny kosmyk włosów z twarzy Fabiany.

– Puść mnie – powiedziała, patrząc na długie palce Raada, obejmujące prawie całe jej ramię. – Proszę, puść mnie...

– Przecież cię nie trzymam – zaśmiał się i wyprostował palce, ale co z tego, skoro od razu Adil złapał ją za drugą rękę.

– Dajcie mi spokój. Naprawdę się spieszę, mąż na mnie czeka. – Zmieniła ton z błagalnego na taki, który z założenia miał brzmieć groźnie i stanowczo, ale zdradzały ją szczykanie zębów i łyzy, które zapiekły pod powiekami.

– Mąż? – Raad przekrzywił głowę. – Nie widzieliśmy nikogo w twoim czerwonym fiaciku, mała Francuzeczko z dziwnym akcentem. Chyba że to nie twój samochodzik. Sprawdźmy, co masz w kieszonce... – mruknął lubieżnie i mrugnął porozumiewawczo do kumpla. Ten od razu jedną ręką obłapił Fabianę w pól, a drugą przytknął do jej ust, przewidując, że zacznie krzyczeć.

– Co my tu mamy? – powiedział Raad, wyciągając z kieszeni garść monet i pilota od samochodu. – A jednak... – mruknął z satysfakcją. – Fiat pięćset na francuskich blachach. Niestety, męża w nim brak – skwitował, machając pilotem przed oczami Fabiany.

– A może jest w bagażniku? – zażartował Adil.

– Pod warunkiem że to jakiś karzeł. – Raad aż się zgiął, tak go rozbawiła wymiana słów z kumplem. Tym bardziej to było śmieszne, że słuchała jej absolutnie przerażona właścicielka samochodu.

– A może pójdziemy gdzieś o tym pogadać? Co ty na to, Francuzeczko? – Adil na moment odsłonił usta ofiary, ale prawie od razu z powrotem mocno docisnął dłoń, bo poczuł głęboki wdech, który wzięła Fabiana.

– Dobra, koniec tego pieprzenia – oznajmił Raad.

– Raczej początek... – odparł drugi Marokańczyk.

Jeszcze zanim postanowili pójść za Fabianą, odkryli, że niedaleko stąd

znajduje się porzucony barak, z którego już dawno nikt nie korzystał. Tam zamierzali zawlec swoją pannę do towarzystwa. Już kiedyś udała im się podobna akcja, ale wtedy zgwałcili jakąś tutejszą dziewczynę. Darowali jej życie, bo gdy wyprowadzali ją z nocnego klubu, była dosyć mocno pijana. Na dodatek dysponowali wtedy pigułką gwałtu.

Dzisiaj...

Dzisiaj stawką była ich wolność *versus* życie tej małej rudoblond ślicznotki. Wynik rozgrywki? W nikim z tej trójki nie budził nawet cienia wątpliwości.

1 Fikcyjna postać. Główny bohater cyklu o Wędrowcach autorstwa Augusty Docher.

ROZDZIAŁ 6

Zaferowani tym, że Fabiana rozwierzała się jak dzikie źrebię, Adil i Raad nie zauważyli, że od jakiegoś czasu ktoś bacznie ich obserwuje. Zresztą jak mieli spostrzec tych dwóch mężczyzn? Ci, ubrani na czarno, w skórzanych rękawicach i kominiarkach naciągniętych na twarze, przyczajeni za niewysokim murkiem biegnącym wzdłuż chodnika, widzieli każdy ich ruch i słyszeli każde słowo, z trudem powstrzymując się od reakcji. Radik usłyszał niekontrolowany zgrzyt zębów Karima, gdy uciekinierka błagała ciemnoskórych gnojów, żeby ją puścili. „Co do cholery ma w sobie ta durna baba, że co chwilę pakuje się w jakieś gówno? Jak nie ten idiota z Polski, to te dwa barany...” – rozważał, skądinąd całkiem sensownie, choć zupełnie ignorował fakt, że i jego szef mógł śmiało dołączyć do grona prześladowców Fabiany.

Karim znów dotknął dłoni Radika, dając mu znak, że jeszcze nie pora się ujawnić. Schyleni, podbiegali i co parę metrów wychylali się ostrożnie, żeby zobaczyć, jak rozwija się sytuacja. Radik wiedział, dlaczego Chan tak przeciąga ten moment. Słusznie przewidział, że napastnicy, którzy na zmianę to wlekli, to nieśli omdlałą ze strachu Fabianę, będą starali się znaleźć odpowiednio ustrome miejsce, żeby tam skutecznie swoje plany. Wkrótce cała grupka miała dotrzeć do celu. Barak stał na skraju sporego placu, który od kilku lat nie był w żaden sposób zagospodarowany, lecz niski murek stanowiący tymczasową kryjówkę Karima i Radika kończył się jakieś dwadzieścia metrów wcześniej.

– Już czas – szepnął prawie bezgłośnie Karim. – Wracacie autem Avril – dodał zupełnie niepotrzebnie, bo Radik doskonale wiedział, kto wymierzy sprawiedliwość pechowcom.

Podbiegli bezszelestnie, niczym duchy. Pierwszy upadł Raad. Zwalił się na ziemię z głuchym stęknieniem. Nóż przeszył jego plecy w miejscu, gdzie głęboko pod skórą tkwiła prawa nerka. Leżał, krztusząc się pianą zabarwioną krwią. Karim wskazał brodą na Adila.

– Postaw ją – powiedział.

– Daruj mi życie – wychrypiął ten przez zaciśnięte zwierzęcym strachem gardło. Klęknął i podniósł ręce, przeklinając chwilę, w której ujrzeli z Raadem tę francuską dziwkę.

– Daruję ci szansę – odrzekł Karim, nie spuszczać z niego wzroku.

– Cała i zdrowa – oznajmił Radik, który przejął Fabianę i pobieżnie sprawdził, czy nic jej nie dolega. Poza tym że trzęsła się niczym osika i co chwilę uginały się pod nią nogi, nie zarejestrował niczego niepokojącego, więc przerzucił ją przez ramię i z tym prawie niewyczuwalnym dla niego balastem przykucnął na moment, żeby wyjąć pilota do fiata z kieszeni spodni Raada. – To ja spadam. Miłej zabawy, Chanie – powiedział wesołym tonem.

– Gwarantuję, że taka będzie – dobiegło go zza pleców.

Obejrzał się kilka razy za siebie, żeby sprawdzić, czy Karim już zaczął, ale nic się nie zmieniło. Adil nadal klęczał przed Chanem, a ten stał nad nim, trzymając w dłoni myśliwski nóż. Oddalający się Radik nie mógł już dostrzec, jak z ostrza coraz wolniej skapują krople krwi Raada, i usłyszeć, jak jego tłące się jeszcze życie uchodzi przy akompaniamencie coraz cichszych jęków, lecz wiedział, że dla tych dwóch Marokańczyków dzisiejszy wieczór jest ostatnim spędzonym tu, na ziemi.

– Ech... – stęknął, podrzucając Fabianę, bo zaczęła się zsuwać. – I po co ci to było? – zapytał retorycznie. – Tobie, tym dwóm i nam wszystkim? Ech, ty durna...

Dotarł szybko do samochodu Avril, myśląc, że jutro wszyscy jak jeden mąż wylądują na dywaniku i to będzie bardzo nieprzyjemne spotkanie. Ofiar śmiertelnych nie przewidywał, ale pewnie solidnie im się dostanie: od Alii począwszy, poprzez Avril zostawiającą otwarty wóz, portfel i klucze, Rachata, który zamiast pilnować bramy, polazł pomóc Gastonowi przy tych pieprzonych figowcach, jemu, bo też był przy tym, i jeszcze paru innym nieszczęśnikom pełniącym dzisiaj dyżur w rezydencji, włącznie z pokojówkami i grubą Sarą.

– Właż – polecił Fabianie, która już trochę doszła do siebie, choć nadal dygotała z zimna i ze strachu.

– Gdzie Karim? – wymamrotała cicho. – Chcę mu coś powiedzieć.

– Sprząta po tobie – wyjaśnił, zapinając ją w pasy. Zdjął wreszcie kominiarkę i rzucił do tyłu. – Jutro sobie pogadacie, o ile kiedykolwiek zamieni z tobą choć słowo. Wiesz, co narobiłaś? – Pokręcił głową. – Durna Polka!

– Przepraszam. – Zasłoniła twarz dłońmi.

– Ech... – fuknął pod nosem Radik. – Jedźmy. Nic tu po nas.

Głowę i serce Karima przepelniał gniew. Rozsadzał czaszkę i dławił w piersiach.

– Wstań – powiedział do klęczącego przed nim mężczyzny.

– Daruj mi życie, bracie – wybełkotał Adil.

– Nie jesteś moim bratem! – warknął. Od razu ujrzał przed oczami twarz Seryka i poczuł, jak ogarnia go jeszcze silniejsza wściekłość. – Wstawaj, tchórze! – ryknął.

Adil posłusznie podniósł się z kolan. Opuścił ręce, żeby prawie natychmiast podnieść je z powrotem i potrzeć zdrętwiałą ze strachu twarz.

– Nie chcę z tobą walczyć – odważył się powiedzieć prawdę. Nie uważał się za słabeusza i mięczaka i pierwszy rwał do bijatyki, gdy ktoś zalazł mu za skórę, ale nie dzisiaj, nie z tym zamaskowanym człowiekiem. – Nie mam równych szans.

– Spojrzał na nóż.

– Już masz – odparł Karim, odrzuciwszy broń gdzieś za siebie. Nie spuszczać oka z Marokańczyka, szybkim ruchem zdjął kominiarkę. – Nazywam się Karim Kasymow, jestem Kazachem, a ty, tchórze?

– Adil – wyjąkał, wytrzeszczając oczy na niespodziewanego obrońcę Francuzeczki.

Księżyc wyszedł zza chmury i oblał twarz Karima nieładną, lodowo-błękitną poświatą, jeszcze mocniej uwidaczniając bliznę biegnącą przez twarz i środek odsłoniętej powieki. Dzisiaj, jadąc tutaj z Radikiem prosto z nicejskiego lotniska, zdjął przepaskę. Przeszkadzałyby pod kominiarką, uznał Karim.

– Adil? Nie masz nazwiska? – Zmarszczył czoło i prawie od razu machnął ręką. Jakież to miało znaczenie, skoro za chwilę miał zabić tego człowieka. Nie dopuszczał innej możliwości. – Walcz! – wykrzyknął.

– Daruj... – jęknął Adil. – Daruj, bracie w wierze...

– Już za chwilę podaruję ci *basmalę*¹, na to możesz liczyć – parsknął pod nosem Karim.

Nagle Adil skoczył na niego z impetem. Upadli. Zwarci niczym wściekłe psy, kotłowali się, wzbijając tumany kurzu z ubitej powierzchni placu. Marokańczyk zaatakował pierwszy, chcąc wykorzystać zaskoczenie, lecz na niewiele się to zdało. Wymierzył cios w głowę Karima i usłyszał, jak chrupnęły kostki w jego dłoni, którą prawie natychmiast przeszył paraliżujący ból. Przez ułamek sekundy pomyślał, że ten człowiek ma głowę twardszą od betonu. To zbiło go z tropu i odebrało i tak niewielką szansę na wygraną. Karim dysponował podobną siłą, lecz potrafił znacznie lepiej ją wykorzystać. Znał się na walkach wręcz, zarówno tych bez użycia broni, jak i z nią. Błyskawicznie uzyskał miażdżącą przewagę. Niemalże siedział na klatce piersiowej Adila i raz po raz uderzał pięścią w jego coraz mocniej pokiereszowaną twarz, aż ten w końcu przestał się bronić. Karim oburącz chwycił jego głowę. Ścisnął ją, powodując kolejne obrażenia. Z ust, nosa i uszu jego ofiary coraz obficie wyciekała krew.

– Powiedz, ona nie była pierwsza, prawda? – wycedził przez zaciśnięte zęby. Adil nie był w stanie mu odpowiedzieć, jego wzrok co rusz zachodził mgłą. – Powiedz, że żałujesz. Daj mi znak, że tak jest.

Nie otrzymał jednoznacznej i jasnej odpowiedzi, uznał jednak, że przymknięcie oczu jest tym potwierdzeniem. Zdawał sobie sprawę, że zostawiając tutaj Adila, skazuje go na długie konanie, więc chwycił jego masywną szczękę, drugą rękę przyłożył do potylicy i jednym gwałtownym ruchem przekręcił mu głowę. Trzasnęły kości karku. Karim jeszcze przez chwilę tkwił w bezruchu. W końcu przystawił dwa palce do szyi mężczyzny. Wstał i szybko doprowadził się do porządku: otrzepał z pyłu spodnie i bluzę, zdjął rękawice i schował do jednej

z kieszeni bojówek.

Stanął nad ciałami swoich ofiar i wyrzekł:

– *Bi-smi l-Lahi r-rahmani r-rahim2.*

Potem ułożył oba, by leżały obrócone twarzami w stronę Mekki. Szybko odmówił pierwszą surę, potem kolejną. Modlił się za nich, jednocześnie prosząc Boga, żeby i jemu wybaczył: „Jeśli czynili dobro, obdarz ich dobrem, a jeśli czynili zło, bądź ponad zło, które było ich udziałem. O to samo proszę dla siebie w chwili mojej śmierci”. Zakończył modlitwę i z powrotem rozsunał ciała tak, jak leżały wcześniej. Podniósł nóż, starannie wytarł ostrze o rękaw wiatrówki Raada i wsunął do schowka w bucie. Spojrzał na barak. Po szybkim namyśle postanowił zaciągnąć tam ciała. Kopniakiem otworzył zbutwiałe drzwi, ułożył Adila pod ścianą z małym oknem, a Raada z tyłu pomieszczenia. Ostatni raz rzucił wzrokiem, czy czegoś nie zostawił, na wszelki wypadek założył z powrotem kominiarkę i szybko pobiegł do hummera.

Musiał pilnie zadzwonić. Wybrał numer do Hjalmara Undena, Szweda, który pomagał mu w takich sytuacjach. Choć żądał wysokich stawek za swoje usługi, był nieoceniony. Nie tylko sam doskonale znał struktury VICLAS3, miał też kilku pomagierów, młodych ludzi, których prawie nikt nie znał, rozsianych po całej Europie, hakerów i specjalistów od usuwania niepotrzebnych informacji oraz dowodów. Gdy pierwszy raz się spotkali, Unden powiedział, że nie istnieje zbrodnia doskonała, za to istnieją skorumpowani policjanci i doskonali hakerzy. I ci, i ci są łasi na pieniądze, podobnie jak niektórzy świadkowie.

Karim miał pieniądze i kupował u Hjalmara w jednym pakiecie: brak motywu, brak dowodów i ewentualnie doskonałe alibi. Czasami potrzebował jego usług dla siebie, częściej dla swoich żołnierzy. Podał Hjalmarowi dane geograficzne baraku, przekazał, co jego ludzie znajdują w środku, i zreferował pokrótce sytuację.

– Nikogo nie mam w tej okolicy – odparł Szwed. – Jutro w nocy tym się zajmiemy, a na razie załatwimy monitoring. Trochę kiepsko, że cię poniosło z tym drugim. Kości kręgosłupa potrafią przetrwać nawet najgorszy pożar, a tam ciężko będzie osiągnąć wysoką temperaturę. Coś wykombinujemy – dodał po chwili.

Choć Karim opuszczał Savonę prawie godzinę po Radiku i Fabianie, i tak ich prześcignął. Wyprzedził fiata, kilka razy mrugnął światłami i pojechał dalej. Rachat czekał na niego przy bramie, ale Chan nie zamierzał teraz z nikim rozmawiać. Wysiadł, rzucił mu kluczyki i poszedł tam, gdzie miał nadzieję odnaleźć ciszę i spokój. Drewniane drzwi jurty cicho skrzypnęły, gdy schylony wchodził do środka. Zapalił małą naftową lampę i ułożył się na kobiercach tuż przy miejscu, gdzie czasami rozpalali z Viv ognisko. Spojrzał w górę. Gwiazdy wisiały na czystym granacie nieboskłonu, niczym świetliki. Niektóre migotały, a inne świeciły jasno i nieprzerwanie. Czerwone pulsujące punkty lecącego samolotu przesuwały

się leniwie, a Karim myślał o tym, że niewiele brakowało, a straciłby dzisiaj Fabianę, to bardzo krnąbrne i kapryśne słońce, które od paru tygodni rozświetlało mrok jego domu i duszy.

To był impuls.

Tym razem podróżował lotami rejsowymi, bo ten wyjazd miał trwać co najmniej tydzień. Był wtedy we Frankfurcie. Czekali z Rusłanem w hali odlotów na samolot do Moskwy, gdy nagle coś ścisnęło mu trzewia, zabolalo, aż brakło mu tchu. W pierwszym momencie pomyślał, że to zawał, ale ból szybko ustąpił. I wtedy usłyszał w głowie głos Viv: „Wróć do domu”. Ileż razy słyszał, jak prosiła przez telefon, żeby w końcu wrócił. Poczł coś irracjonalnego, co kazało mu natychmiast pobiec, żeby sprawdzić, kiedy mają najbliższy lot do Nicei. Miał szczęście, już dwa kwadranse później on i jego przyboczny siedzieli w samolocie zmierzającym na Południe. Podróżowali w klasie biznes, więc Karim nie wyłączał komórki. W połowie drogi przyszedł SMS od Radika. Aż go zatchnęło, gdy przeczytał, co się stało.

„Bądź za czterdzieści pięć minut na NCE. Przyjedź hummerem. Zabierz wszystko” – odpisał. Radik natychmiast zapytał: „Co robisz na NCE?”. Odpowiedział: „Później ci wyjaśnię”. Ale nie wyjaśnił. Prawie wcale się nie odzywał. Przebrał się na parkingu przy lotnisku, usiadł za kierownicą i ruszyli z Radikiem i Rusłanem w kierunku Cap Martin. Po drodze wysadzili Rusłana, a potem wjechali na autostradę A8. Gnali, ile tylko mógł znieść podrasowany hummer Radika. Jedyne słowa, jakie padały, to informacje przekazywane telefonicznie przez Rachata, który z rezydencji monitorował trasę przejazdu samochodu Avril. Jak wszystkie auta pracowników Karima, nawet te prywatne, i to posiadało nadajnik GPS. Sygnał docierał wprost do komputera strażników.

– Zatrzymała się w Savonie. Zaraz podam wam współrzędne – zakomunikował Radikowi, który przekazał to Karimowi i ustawił dane w nawigacji.

– Nic jej nie będzie, Chanie – uspokoił Radik, czując, jak auto przyspiesza do granic możliwości.

– Wiem – odparł Karim, bezwiednie zaciskając palce na kierownicy.

Zdążyli w ostatniej chwili, taka była prawda.

Karim głośno westchnął. Nikogo nie mógł winić za eskapadę Fabiany. Nikogo prócz siebie. To on nie pomyślał, żeby zmienić ustawienia bezpieczeństwa w rezydencji. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że zapomniał o tak ważnej sprawie. Nie przewidział, że kamera skanująca twarze i otwierająca bramę wjazdową na podstawie zarejestrowanego obrazu uzna Fabianę za Viv. A przecież to było oczywiste! Ich twarze były identyczne, właśnie dlatego brama stanęła otworem, a Fabiana mogła bez najmniejszego problemu opuścić posesję.

Aż usiadł ze złości na samym sobie i bezradnie uderzył pięścią. Miękkie

kobierce ugięły się pod ciężarem i stłumiły impet uderzenia. Karim wyjął z kieszeni przepaskę i założył na oko. Wstał, wiedząc, że jeszcze czeka go przykry obowiązek, który sam sobie kiedyś narzucił. Wyjął nóż i podszedł do żerdzi, tuż po lewej stronie drzwi jurty. Naciął iyk4 dwukrotnie. Dwa niezbyt szerokie karby odcinały się od ciemnej powierzchni drewna. Raziły swoją bielą, niczym wyrzuty sumienia kładące się ciemną plamą na człowieczej duszy. Ten bezpośrednio pod nimi już trochę zrudział, a pięć pozostałych prawie zlało się z kolorem żerdzi. Razem osiem. Osiem nacięć, każde symbolizujące jedno ludzkie istnienie, które zakończyła ręka Karima.

Z jego gardła wydobył się stłumiony odgłos. Zaskowyczał niczym pies, przepełniony żalem i bólem, że znów musiał zdobyć się na ostateczne rozwiązanie. Choć intuicyjnie przeczuwał, że ci dwaj, których zabił, byli łotrami, i wiedział, że musiał dokonać wyboru: albo oni, albo Fabiana i inne potencjalne ofiary, i tak nie mógł znieść odpowiedzialności za odebranie im życia. Schował nóż, zdmuchnął płomień lampki i opuścił jurkę.

Jego serce przygniatał nieznośny ciężar.

Fabiana spodziewała się wszystkiego, ale nie tego, co nastąpiło po jej powrocie z Savony. Oczekiwała, że Karim wezwie ją na rozmowę albo wpadnie do sypialni i urządzi karczemną awanturę. Była prawie pewna, że jej wolność i swoboda zostaną poważnie ograniczone. Nie zdziwiłby ją zamek w drzwiach i jakaś nowa osoba w zastępstwie Alii.

Ku jej ogromnemu zdumieniu nie zmieniło się nic. Kompletnie nic.

Jakby to wszystko się nie wydarzyło.

Wróciła z Radikiem, ten kazał jej iść spać, a nazajutrz rano Alija przywiozła śniadanie. Fabiana nie poruszyła tematu, bojąc się usłyszeć, jakie konsekwencje spotkały personel rezydencji, z kolei jej pomocnica nie bąknęła ani słowa o całym zajściu. Jedynie zaproponowała, że przyniesie kubek naparu ze świeżej melisy.

– Sama zebrałam w ogrodzie, powinna ci smakować. Dobrze się śpi po takiej herbacie. Bez koszmarów – powiedziała, ustawiając naczynie na nocnej szafce przy łóżku.

– Dziękuję – odpowiedziała Fabiana.

Kolejny dzień spędziła w ogrodzie. Siedziała na ławeczce i próbowała czytać. Niestety ani jedno zdanie nie chciało pozostać w jej głowie. Wpadały i wypadały, przesuwając się niczym pasek z pilnymi wiadomościami, wyświetlany na dole ekranu w jakimś programie informacyjnym. Nie zapamiętała żadnego. Próbowała dociec, czy Avril spotkały jakieś nieprzyjemności, więc zaszła do kuchni. Powiedziała, że boli ją głowa, i poprosiła o tabletkę przeciwbólową. Sara wyszperała w apteczce opakowanie paracetamolu, a Avril przygotowała dla niej

filiżankę z mocną herbatą. Błysnęła aparatem ortodontycznym, gdy postawiła ją przed Fabianą.

– Mocna. Mnie zawsze pomaga na ból głowy.

„Do cholery! – miała ochotę wrzasnąć Fabi. – Co jest z wami?! Uciekłam z tego pieprzonego więzienia, a wy nic?!”, ale nie rzekła słowa. Wypiła herbatę, połknęła blad różową tabletkę i opuściła kuchnię. Noga za nogą wspinała się po schodach. Dotarła na najwyższe piętro, lecz zamiast skręcić w prawo, do swojego skrzydła, poszła w przeciwną stronę. Stała pod drzwiami gabinetu Karima i zastęła niczym woskowa figura.

Nie widziała go od dramatycznych chwil w porcie. Chciała go zobaczyć, podziękować i przeprosić. Choć uprowadził ją siłą w to miejsce i udaremnił jej ucieczkę, wiedziała, że bez jego interwencji... Aż zasłoniła dłonią usta. Ciągle nie mogła zapomnieć tego, co czuła, gdy dwóch oprawców wlekło ją, żeby zrobić z nią to, na co mieli ochotę. Strach tak mocno ją sparaliżował, że całkowicie się poddała. Nie walczyła, uznawszy, że to nie ma sensu, a prawdopodobnie narazi ją tylko na dodatkowe cierpienia i ból. Ból przed końcem.

Nagle usłyszała kroki za drzwiami i zanim zdążyła dyskretnie się oddalić, Karim stanął w progu swojego gabinetu.

– Czego chcesz? – zapytał bardzo nieprzyjaznym tonem. Nawet nie silił się, żeby brzmiał chociaż obojętnie.

– Ja... – zająknęła się Fabiana. – Chciałam z tobą porozmawiać. – Przełknęła ślinę, żeby choć trochę zwilżyć gardło. – Podziękować. Gdyby nie ty i Radik... – Zagryzła kącik ust.

Karim nie odpowiedział. Odsunął się, żeby mogła wejść do środka, i zamknął za nią drzwi. Podeszedł do biurka i usiadł na fotelu. Rozważał, czy nie powiedzieć Fabianie, żeby wzięła jedno z krzeseł stojących przy stole, przy którym kiedyś jedli śniadanie, i też usiadła, ale szybko uznał, że to zbędna grzeczność.

– Słucham – powiedział, wspierając głowę o miękką, obłeczony skórą zagłówek fotela.

– Jak mówiłam... – Fabiana podeszła bliżej. Bezwiednie objęła się ramionami i wzięła kilka głębokich wdechów. – Chciałam podziękować. Ocaliliście mi życie.

– W porządku – odparł Karim. – Coś jeszcze?

Zacisnęła wargi. Nie chciała go przeproszać, uważała, że jest zwolniona ze skruchy wobec człowieka, który ją porwał i zniewolił. Mimo to wykrztusiła z siebie słowo „przepraszam”.

– Za co? – Karim przekrzywił głowę. Jego czoło zachmurzyło się, a oko zerknęło spod prawie całkiem przymrużonej powieki.

– Naraziliście własne życie. Zwłaszcza ty.

– To wszystko? Jeśli tak, możesz odejść. Mam dużo pracy. – Nachylił się

nad biurkiem.

– Tak. To wszystko.

Fabiana odwróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu Karima jak niepyszna. Prawie tam zamarzła pod wpływem lodowatego tonu głosu Kasymowa i równie nieprzyjaznego spojrzenia. Wpadła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Jej ciałem wstrząsał niepowstrzymany szloch. Wiedziała, że Karim może to usłyszeć, bo Alija już dawno powiedziała jej o kamerze, a dokładnie urządzeniu rejestrującym dźwięk, a czasami również obraz, ale nie obchodziło ją to zupełnie.

Już nie dbała o własną godność.

– Mam prawo do słabości! Tak samo jak mam cholerne prawo stąd uciec! – krzyknęła za siebie, nie zauważając Karima, który przyszedł za nią, a teraz stał przy otwartych na oścież drzwiach. – Znowu ucieknę! Jestem tylko człowiekiem!!! Nie zniosę tego dłużej!!! – zawodziła, uderzając pięścią w coraz bardziej mokrą od łez poduszkę. – Wszystko słyszałam. Wiem, że już po Tymku! Zabiliście go, a teraz zabijecie mnie?! Po co mnie ratowaliście?!!! Jesteś gorszy od tych dwóch z portu!

Karim nie wytrzymał, nie mógł słuchać zwłaszcza bezpodstawnych oskarżeń rzucanych przez Fabianę. Wrócił do gabinetu i za moment znów się pojawił, trzymając zwiniętą w rulon gazetę. To był lokalny włoski dziennik, obejmujący tereny miast San Remo, Savona i nie tylko. Karim spojrzał w stronę kamery. Zielone światelko od razu zgasło. Mógł czuć się swobodnie.

– Uspokój się – powiedział, zamykając za sobą drzwi. Fabiana nie reagowała. Drgnęła wyraźnie, usłyszawszy jego głos, ale nie miała siły, żeby wstać i ponownie skonfrontować się z nim twarzą w twarz. – Twojemu przyjacielowi nic nie dolega – oznajmił Karim, siadając na brzegu materaca.

Fabiana nadal milczała. Pochlipywała żałością i co jakiś czas ocierała twarz w przemoczoną poszewkę poduszki. Nie wiedziała, czy może mu wierzyć. Co, jeśli to tylko czcze pocieszenie? Po co miała się rozczarować?

– Mieszka u Natalia Chcz... – zająknął się Karim. Wymówienie nazwiska kobiety, u której zatrzymał się przyjaciel Fabiany, sprawiało mu problem. Jak wszystkim. – Natalia Chczacz?

– Chrzącz? – wymamrotała cicho Fabi.

– Tak.

– Tymon jest u Natalii? – Usiadła i popatrzyła na Karima. Ten natychmiast potaknął. – Mieszka z nią od początku?

– Tak. – Spoglądał na nią, wykrzywiając usta w dziwnym grymasie.

Pomyślała, że musi wyglądać jak potwór: czerwona, z popuchniętymi oczami i włosami w nieładzie. Nie zdawała sobie sprawy, że źle zinterpretowała jego minę. Coś ukłuło go w piersi, gdy spostrzegł, jak bardzo zmieniła się na twarzy na wieść o Tymonie. Malowały się na niej jednocześnie i ulga, i ból. Nie

miał pojęcia, czy to zazdrość, a może raczej litość dźgnęła jego serce, bo musiał przyznać, że jak na młodą i niedoświadczoną życiem kobietę Fabiana całkiem niezle się trzyma. Czasami czuł wobec niej coś na kształt podziwu, gdy widział, jak bardzo jest twarda.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał. – Znasz ją?

– Tak. To jego była dziewczyna. Spotykał się z nią, zanim... – Zamrugła szybko, czując kolejny napór łez pod powiekami. – Dlaczego mnie okłamałeś, że jego też...

– Nie okłamałem – zaoponował, nie pozwalając jej skończyć. Przecież miał na niego oko, a dokładnie jego ludzkie, ale nic poza tym. – Przestaliśmy go pilnować. To wszystko.

– Wiem, co słyszałam. Mówiłeś, że macie go z głowy. – Fabiana otarła łzę, która załaskotała ją w policzek. – Że zamknąłeś temat.

– Podśluchiwałaś nas? – Z niedowierzaniem pokręcił głową, bo tego też nie przewidział. Pomyślał, że jej nie docenił.

– Usłyszałam przypadkiem – sprostowała.

– Nieważne. – Machnął ręką, bo jakie to miało znaczenie. – Odwołałem chłopaków. Już nie obserwują Tymona.

– Ach tak... – powiedziała cicho Fabiana.

– Naprawdę pomyślałaś, że coś mu zrobiliśmy?

– Widziałam, co spotkało tego... – Ponownie przełknęła ślinę. Nie pamiętała zbyt wiele, bo jej mózg uruchomił chyba jakiś system bezpieczeństwa i po prostu częściowo się wyłączył, ale błysku noża i jęku umierającego Raada miała nigdy nie zapomnieć.

– Nic nie widziałaś – powiedział Karim. – Rozumiesz?

Zabrał ze sobą gazetę, żeby pokazać Fabianie notkę o tajemniczym zabójstwie dwóch Marokańczyków i o spekulacjach, że były to jakieś porachunki gangów, ale teraz zrezygnował z tego pomysłu. Uznał, że ta wiedza jest jej niepotrzebna. Zwłaszcza o tym, że jego podejrzenia okazały się słuszne. Dziennikarz zamieścił fragment rozmowy z anonimowym informatorem, współpracownikiem ofiar, który zdradził kilka ciekawych detali o Adilu i Raadzie. Między innymi to, że kilka tygodni wcześniej przechwalali się miłosnym podbojem, jeśli tak można było określić gwałt, którego dopuścili się wobec siedemnastoletniej obywatelki Włoch.

– Zdumiewasz mnie – zaśmiał się cicho. – Naprawdę sądziłaś, że uda ci się uciec? Niewiarygodne. Podśluchujesz, wściubiasz nos w nie swoje sprawy – wymienił. – Na dodatek jesteś bezczelna i harda. Czemu się nie poddasz? Wszystkim byłoby łatwiej. – W jego głosie wybrzmiewały protekcyjne nutki.

– Jestem, jaka jestem – odpowiedziała po chwili. – Nie zamierzam nosić kagańca i ważyć każdego słowa. I tak, naprawdę myślałam, że mi się uda. –

Zacisnęła zęby i odważnie popatrzyła mu w twarz.

– Nadal tak myślisz?

– Nadal.

– To bardzo źle. – Wydął mięsiste usta i uśmiechnął się do niej niczym ojciec do krnąbrnej pociechy. – Dobrze, że zachowałeś chociaż tyle rozumu, żeby nie szukać pomocy u francuskich żandarmów. Są mało skuteczni. Choć trzeba przyznać, że czasami bardzo zabawni – dodał. Wstał i przez chwilę rozglądał się wokół. – Kiedyś bardzo lubiłem ten pokój – wyznał.

– Kiedyś?

– Tak, kiedyś. Dawno, dawno temu – rzekł bardziej do siebie niż do niej i wyszedł.

Opadła na poduszkę i znów zaniósła się płaczem.

1 Muzułmańska krótka formuła modlitewna wypowiedzana po czyjejś śmierci.

2 (arab.) „W imię Boga miłosiernego i litościwego”.

3 System służący do wykrywania powiązań przestępczych.

4 Iyk - żerdź z drewna będąca elementem konstrukcyjnym kopuły kazachskiej jurty.

ROZDZIAŁ 7

Minęło kilka dni i wszystko wróciło do normy, o ile można było nazywać normą to, że Fabiana wprost umierała z nudów. „Oszaleję z tej beczynności” – myślała poirytowana, że jest niczym perski kot, o którego się dba, pielęgnuje i pilnuje, żeby nie uciekł. Podejmowano za nią decyzje, a ona czuła się z tym coraz gorzej. Nawet aparat telefoniczny zniknął. Alija przekazała:

– Nie skorzystałaś z niego ani razu, więc Chan powiedział, że jest zbędny.

– Może potrzebowałam trochę czasu do namysłu? – odparła, ale nic to nie dało. Poszła do Karima i poprosiła o zwrot. Usłyszała to samo. Szansa na kontakt z mamą przepadła. Przynajmniej na razie.

Mogła wziąć na nim odwet, bo on też o coś poprosił. Kilka razy zapraszał ją do siebie, żeby wspólnie zjeść a to kolację, a to lunch. Konsekwentnie odmawiała, tłumacząc się złym samopoczuciem, pełną satysfakcją, że wkurza go jej upór. Musiała przyznać, że to ją bawiło. Tym bardziej że Karim nie potrafił obojętnie reagować na jej odmowy. Próbował zachować kamienną twarz, ale zdradzała go mimika, bezwiedne zmarszczenie czoła, zaciśnięte szczęki czy drgający mięsień na policzku. W końcu przestał wysuwać kolejne propozycje i gdy przebywał w rezydencji, jadł sam lub w towarzystwie Radika.

Niestety złamał swoje postanowienie i gdy dotarły do niego informacje o wyjątkowo udanym przedsięwzięciu, wysłał Radika, żeby ten zaprosił Fabianę na uroczystą kolację, która przy okazji miała być nagrodą dla wiernego pracownika. Radik doskonale zastępował Chana podczas jego licznych wyjazdów. Dostał w ramach premii złoty zegarek, ale nic tak nie cieszy podwładnego jak porządna biba z dowódcą. Ojciec dobrze wyszkolił Karima. Zawsze powtarzał: „Gdy trzeba, surowo karzę moich żołnierzy, ale i nagradzam. Nie skąpię pochwał i nagród. Muszą wiedzieć, kto rządzi, więc nie toleruję nieposłuszeństwa, przywódczych zapędów i zbyt dużej autonomii. Mają pełną michę, dbam o nich, żywię, wyciągam z kłopotów, opłacam policję, świadków i adwokatów, a gdy coś się stanie, zatroszczę się o ich rodziny. Dobry chan nigdy nie zostawia swoich ludzi na pastwę losu. Gdy raz stracisz ich zaufanie, nigdy go nie odzyskasz. To samo działa w drugą stronę. Moi ludzie zdradzają tylko raz”. Te słowa głęboko wyryły się w jego pamięci, zwłaszcza że parę miesięcy później ojciec zmarł pokonany nagłym i niespodziewanym wylewem.

„Ostatnia szansa” – pomyślał Karim, czekając na odpowiedź Fabiany.

– Nie warto trwonić czasu i uwagi na tę gęś – stwierdził Radik po powrocie. Nie lubił Fabiany, drażniła go i irytowała, ale starał się tego nie okazywać. Czuł, że Karimowi mogłoby się to nie spodobać. – Zadzwoń do madame Yvette... – zaproponował z lisim uśmiechem.

– Zadzwoń – potaknął po namyśle Karim. – Niech przyśle jakieś hałaśliwe

niewiasty.

– Hałaśliwe? – zdziwił się Radik.

– Uhm. Towarzyskie i wesołe. Zabawimy się.

Dziewczyny rzeczywiście okazały się wyjątkowo rozrywkowe. Wprawdzie obaj panowie uchylali się od picia alkoholu, ale im nie żalowali. Zakontraktowano je na całą noc, więc Jess i Cass, czyli Jessica i Cassandra, obie z Białorusi, dosyć szybko popłynęły na fali whisky. Piszczwały i kwiczały, aż trzeszczało w uszach. W pewnym momencie Karim ledwie powstrzymał chęć, by wywalić je za bramę; tylko ze względu na Radika to znosił.

Zamówił catering, ale nie miał ochoty na wykwintne żarcie. Cały wieczór popijał kumys i zagryzał go baraniami żeberkami oraz doskonałym chlebem, przygotowanym przez Sarę. Chciało mu się spać, ale jak mógłby zepsuć zabawę Radikowi i reszcie chłopaków, którzy dołączyli do nich po zejściu ze swojej zmiany. Rachat jak zwykle śpiewał i przygrywał sobie do wtóru, a Rusłan porwał do tańca Cassandrę, czyli Tatianę, i razem hulali na środku jadalni, objijając się co chwilę o krzesła. Jako jedyny pił razem z panienkami, bo jego po macoszemu traktowane wyznanie, czyli prawosławie, pozwalało na picie wódki i whisky.

O północy impreza przeniosła się do ogrodu, a uradowana zyskami madame Yvette podesłała posiłki, czyli kolejne dwie dziewczyny. Wrzaskom i piskom nie było końca. Niosły się po Cap Martin wraz z głośną muzyką, puszczoną na cały regulator w samochodzie Rachata. Podjechał swoim SUV-em i stanął na środku trawnika za rezydencją. Otworzył wszystkie drzwi, zapalił wewnątrz oświetlenie i włączył muzykę. Gigantyczne kolumny wypełniły ciepłe majowe powietrze jeszcze gorętszymi rytmami radia Vitamine.

Fabiana przeklinała tę noc. Wierciła się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Hałas docierał, mimo zamkniętych szczelnie okien i drzwi. W końcu nie wytrzymała, założyła szlafrok, ciepłe skarpetki i wyszła na taras, wściekła niczym osa. Z niesmakiem patrzyła na scenki rozgrywające się pod jej oknami. Choć nie chciała tego przed sobą przyznać, wypatrywała Karima. Niestety, nie mogła go dostrzec. Za to bez problemów podziwiała wyczyny Radika. Zawłókł jakąś dziewczynę w zarośla po prawej stronie trawnika, a parę minut później jego towarzyszką wybiegła stamtąd z piskiem; naga jak ją Pan Bóg stworzył. Minęła sekunda i pojawił się Radik. Trzymał kurczowo opadające spodnie i darł się wniebogłose, że i tak ją złapie. I porządnie wygrzmoci. „Nie bój się, złotko, dogodzę ci, że do końca życia nie zapomnisz! To będzie prawdziwe trzęsienie ziemi!” – wydierał się, tworząc skomplikowane struktury lingwistyczne z francuskich i rosyjskich słów.

– Boże, co za... – Fabiana pokręciła głową, bo brakło jej słów na takie prostactwo.

Nagle spostrzegła Karima. Stał zaraz przy samochodzie Rachata

i obściskował się z jakąś wysoką długowłosą blondynką. Jego prawa ręka wędrowała po jej biodrze, aż wsunęła się pod obcisły biały top.

– Dziwkarz – fuknęła Fabiana, ale zamiast wrócić do sypialni, stała niczym zahipnotyzowana, wlepiając wzrok wyłącznie w Karima i jego towarzyszkę i nie bacząc na to, że każdy uczestnik ogrodowego party mógł ją łatwo dostrzec na tle rozświetlonych okien sypialni.

Karim podniósł dziewczynę i usadził na masce samochodu. Musiał przyznać, że na początku kolacji nie miał ochoty na żadne miłosne igraszki, ale zmienił zdanie, widząc Sandrine. Ta jak na skrzydłach przyleciała do rezydencji Kasymowa. Liczyła na powtórkę tego, co zdarzyło się przy jej pierwszej wizycie w tym miejscu. Ku jej radości wszystko wskazywało na to, że dzisiaj w nocy będzie równie gorąco i namiętnie.

Wygięła się do tyłu, czując palce Karima ściskające brodawkę piersi. Jej długie, wypielęgnowane włosy omiotły lśniąca powierzchnię maski samochodu. Jęknęła z rozkoszy, gdy dłoń Kasymowa przewędrowała na drugą półkulę, żeby ją również dopieścić. Zamknęła oczy i oddała się przyjemności, ale przeszkadzały jej piski koleżanek i pokrzykiwania pozostałych uczestników zabawy. Podniosła powieki, przywarła do Karima i nachyliła się, żeby szepnąć mu do ucha:

– Chodźmy stąd, bo ktoś nas obserwuje...

– Nie zwracaj na nich uwagi – mruknął niczym niezrażony Karim. Nie dbał o to, co pomyślą o nim jego kamraci.

– Mam na myśli tę Julię z balkonu – szepnęła Sandrine i dyskretnie wskazała brodą w kierunku tarasu, na którym stała Fabiana.

– Julię? – Karim parsknął pod nosem na to porównanie. Obejrzał się za siebie, a na jego twarzy zakwitł tryumfalny uśmiezek, gdy zauważył nagłą rejteradę nieznośnej panny Czekaj. – Masz rację, w mojej sypialni jest znacznie milej – powiedział, zdejmując Sandrine z maski auta.

Objęci w pasie, przeszli do rezydencji. Karim wziął Sandrine na ręce i szybko pokonał schody. Jego głośnie kroki dudniły na stopniach i nieco ścichnęły, gdy dotarł do korytarza, wyłożonego grubym, miękkim chodnikiem. Gwałtownym kopnięciem otworzył drzwi, rzucił piszczącą Sandrine na łóżko, zdarł z niej puszyste różowe bolerko i zawiesił na klamce, oczywiście od zewnątrz, dając tym znak służbie: „Chan nie życzy sobie żadnych intruzów”.

– Tęskniłam za tobą – mruknęła Sandrine jak kotka, kiedy stanął u szczytu łóżka i zamaszystym ruchem zdjął z siebie czarną koszulkę. – Z takim facetem jak ty mogłabym wziąć ślub. Nawet z intercyzą – dodała, chichocząc, bo Karim zwałił się swoim nagim i masywnym ciałem obok niej i od razu przeszedł do rzeczy.

Dzisiaj był znacznie mniej czuły niż kiedyś. Przynajmniej na początku igraszek. Bez pardonu rozerwał jej krótki topik, ten sam los spotkał mocno wycięte majteczki. Dobrze, że Sandrine zdążyła ocalić spódnice. Nie chciała wracać na

golasa do madame Yvette, mimo że już kilka razy zdarzyło się jej zakończyć pracę bez pełnego kompletu ciuchów, a szefowa nigdy nie miała o to pretensji.

– Ależ zgrabna z ciebie suczka... – jęknął, obracając ją na brzuch. Przez moment podziwiał gładkość skóry Sandrine, wydatne wcięcie w talii, wyraźnie odstające kostki kręgosłupa i dwie dolinki nad szczytami idealnie krągłych pośladków. – Klęknij – polecił, a gdy spełniła jego życzenie, popchnął ją lekko, żeby wyeksponowała wypięty tyłeczek.

Chwycił ją mocno w talii, a wskazujący palec drugiej ręki docisnął do miejsca u nasady włosów nad karkiem. Przeciągał nim powoli. Opuszka przeskakiwała to w górę, to w dół, wędrując po kręgach i dołkach między nimi. Dotarła do szczeliny między jędrnymi pośladkami, prześlizgnęła się przez nią, by trafić w najczulsze miejsce, wypełnione po brzegi gorącymi sokami Sandrine.

– O tak... – westchnęła głęboko.

Karim obrócił dłoń, chcąc lepiej pieścić dziewczynę. Przesuwał palcem po coraz bardziej wysuniętej grudce łechtaczki, sam czując, że jest równie spragniony. Na moment przerwał pieszczoty, sięgnął do szufladki po gumkę, a paręnaście sekund później z ulgą i rozkoszą zanurzył penisa w mokrym wnętrzu waginy. Kobiece jęki jeszcze bardziej go nakręcały, dociskał biodra Sandrine i odpychał, wypełniając ją gwałtownie swoją męskością. Gdy pierwsze skurcze rozkoszy szarpnęły jej ciałem, zadrżał, bo i on poczuł zbliżające się spełnienie. Odchylił głowę do tyłu i zawtórował jękom, a jego głos zabrzmiał niskim, głębokim tembrem, aż im obojgu zawibrowało w płucach.

– O tak, za ciebie mogłabym wyjść, nawet teraz... – wyrzeźbiła Sandrine. Brakowało jej oddechu, a serce biło tak szybko, że dławilo w piersiach. – Jesteś absolutnie najlepszy – westchnęła, zsuwając biodra.

Karim padł obok niej i przez dłuższą chwilę dochodził do siebie. Nie miał pojęcia, co dzisiaj go tak nakręciło. Przecież nie podopieczna madame Yvette, która choć wyjątkowo hojnie obdarowana przez naturę, nie tylko urodą i zgrabną, szczupłą sylwetką, ale i miłym obejściem, była tylko panienką do towarzystwa. Obrócił głowę i popatrzył na nią spod przymrużonej powieki, żeby jeszcze raz spróbować dojść, na czym polegał fenomen tego przyciągania.

Zdawał sobie sprawę, że jest nieco podobna do Viviane, ale tylko trochę. Zresztą według niego wszystkie Słowianki wyglądały podobnie, tak samo jak każdemu Niemcowi, który pojechał na erotyczny urlop i poznawał coraz to nowe tajlandzkie prostytutki, zdawało się, że to klony. Ciężko zauważyć drobne różnice w urodzie kobiet innej rasy. Karim nie stanowił wyjątku. Mimo to czuł, że coś jeszcze dzisiaj go napędzało, jakiś dodatkowy bodziec, powodujący nieznośny ból w dole brzucha i niezaspokojony głód dotyku.

Zagarnął kochankę ramieniem i przyciągnął do siebie, a drugą ręką zdjął zwisającą z napaletka zużytą prezerwatywę.

– Zajmij się nim – polecił, znów gotowy.

Sandrine przyklęknęła nad penisem Karima i objęła go ustami. Potrafiła umiejętnie pieścić klientów, ale tym razem przykładała się jeszcze bardziej. Jej język wił się wokół najczulszych miejsc, drażnił je i sprawiał, że oddech mężczyzny przyspieszał z sekundy na sekundę. Karim chwycił ją za włosy i lekko docisnął jej głowę, żeby jeszcze głębiej zanurzyć się w ustach Sandrine. Nie był brutalny, czego nie znosiła u klientów, kierował się żądzą, dlatego trzymał ją za włosy i nadawał tempo i głębokość pieszczotom.

– Tak, właśnie tak... – stęknął, gdy zaczęła umiejętnie ssać końcówkę penisa. Co jakiś czas przejeżdżała po nim zębami, uważając, żeby nie sprawić bólu Karimowi. – Jeszcze trochę... – wychrypiał, czując naciągającą falę spełnienia. – Tak...

Szybko zasnął po drugim orgazmie, ale zbudził się nad ranem i trzeci raz tej nocy osiągnął szczyt, będąc wprost ujeżdżanym przez nienasyconą Sandrine. Choć trwało to bardzo długo, zdawała się być niezmordowana w tym wysiłku. Podnosiła się i opadała, jej biodra falowały, a Karim patrzył na nią, na jej piersi połyskujące bielą w półmroku sypialni i odpływał w świat marzeń i wspomnień. Zasnęli przytuleni, niczym kochankowie, ale w jego sercu nadal próżno by szukać choć kropli czegoś, co kiedyś je przepęniało.

Alija zatrzymała wózek przed okienkiem windy i nacisnęła szóstkę, oznaczającą pokój Fabiany. Czekwała na odzew z kuchni, co rusz patrząc na różowe boiterko wiszące na klamce drzwi sypialni Chana. Była dziewiąta rano, a Karim nadal z niej nie wyszedł. „Pewnie odsypia, jak inni” – pomyślała, rozsuwając drzwiczki. Wyjęła przykryty półmisek z jajecznicą na maśle i dwa większe ze smakołykami, które zostały z wczorajszego przyjęcia, bo Sara i Avril zaserwowały tylko część jedzenia przywiezionego przez catering. Słusznie uznały, że camembert zapiekany w czosnkowym chlebkę i sałatka z kaparów nie znajdą zainteresowania wśród uczestników imprezy. Męska załoga rezydencji wołała proste, pożywne jedzenie, więc takie im serwowała szefowa kuchni.

– Dzień dobry! I piękny! Słoneczko świeci, jest cudownie! – przywitała się, wjeżdżając wózkiem do sypialni Fabiany. – Oj! – Nagle zasłoniła usta, spostrzegłszy, że obudziła swoją ukochaną Fabi. – Przepraszam – powiedziała. – Śpij, wrócę za dwie godziny.

– Nie... – jęknęła Fabiana, gramoląc się na łóżku. Usiadła i popatrzyła na Aliję błędnym wzrokiem. Nagle ziewnęła szeroko, aż z jej podpuchniętych oczu popłynęły łzy.

– Widzę, że ledwie żyjesz. – Służąca zmarszczyła czoło. Domyśliła się, że Fabiana, choć nie brała udziału w przyjęciu, musiała wszystko słyszeć, a może

nawet i widzieć, bo przecież Chan i jej szanowni koledzy zaanektowali ogród do zabawy i dziś był istnym pandemonium. – Przyjadę później.

– Zostań. Nie będziesz biegać tam i z powrotem. Zaraz się ogarnę.

Powlokła się do łazienki, włączając nogami, bo spała zaledwie trzy godziny. Biba skończyła się o piątej, lecz co z tego, skoro Fabiana nie mogła zasnąć, ciągle widząc przed oczami Karima i tę blond panienkę w jego ramionach. Miała ogromną ochotę pójść do Kasymowa i powiedzieć mu, że nie życzy sobie burdelu w domu, w którym mieszka, ale czuła, że to ryzykowny pomysł.

Umyła zęby, narzuciła na siebie szlafrok i wyszczerzyła się do swojego odbicia w lustrze.

– Wyglądasz jak topielica – wymamrotała, postanawiając, że musi coś z tym zrobić. – Co dobrego? – zapytała Aliję, gdy wróciła do pokoju.

– Jajecznica, choć już trochę wystygła, do tego pyszny chlebek z zapiekanym serem, sałatka z kaparami, a na osłodę cytrynowa tarta. – Alija podsunęła jej talerz.

– Pyszny ten ser – pochwaliła Fabi parę minut później. – Coś oryginalnego.

– To catering. Sara rzadko porywa się na takie wymyślne potrawy – wyjaśniła Alija.

– Z wczoraj? To mi się dostało. Okruchy z pańskiego stołu? – zażartowała, ale w jej głosie pobrzmiwały jeszcze inne nutki. „Dostałam resztki” – pomyślała, nagle stwierdzając, że ten chlebek z serem nie smakuje już tak dobrze, jak przed chwilą.

– Żadne okruchy. Sara połowę jedzenia od razu schowała albo zamroziła, boby się zmarnowało. – Alija wzruszyła ramionami. – Chlebek dzisiaj podpiekła w piecu, żeby był chrupiący, a Avril doprawiła sałatkę, bo jakoś tak...

– Wiadomo – potaknęła Fabi. – Nic nie zastąpi domowego jedzenia.

– No właśnie. – Alija od razu się uśmiechnęła.

– Mam nadzieję, że dzisiaj w nocy będzie spokojnie.

– Na pewno. Karim jeszcze śpi, Rachat chyba też. Avril i Emil pomagają biednemu Gastonowi uprzętnąć ogród – zaczęła opowiadać Alija.

– Mógł poprosić o pomoc te ślicznotki z agencji. – Fabiana parsknęła pod nosem. – Chyba że już sobie poszły?

– Jedna została. Widziałam jej sweterek w korytarzu – zdradziła niefrasobliwie Alija. Oczywiście prawie natychmiast ugryzła się w język, ale mleko już się wylało. „Chan urwie mi głowę” – pomyślała, zerkając w róg pomieszczenia, gdzie wisiał maleńki mikrofon.

– Naprawdę? No cóż, Karim ma świetny gust. Widziałam ich wczoraj, urocza parka... – Fabi zacisnęła zęby, żeby głośno nie przekląć. „Prostak. I dziwkarz!” – uznała w duchu, zniesmaczona i zła. Odłożyła sztucce, bo nagle wszystko stanęło jej w gardle. Sięgnęła po szklanę i naląła sobie wody. – Dziwne standardy panują w tym domu. Gdy jedyny gość odmawia uczestnictwa w jakichś

prostackich zabawach, gospodarz zaprasza dziwki – westchnęła z przekąsem. – Wybacz, ale straciłam apetyt.

Zła na siebie Alija zabrała wózek i wyszła z pokoju Fabiany, modląc się, żeby Chan nie miał okazji wysłuchać tej pogawędki. Za to Fabiana nie cofnęłaby ani jednego słowa. Wręcz przeciwnie, żałowała, że była powściągliwa i zabrakło jej odwagi, by powiedzieć, co myśli o takim zachowaniu. Wyrzała na korytarz, chcąc sprawdzić, czy Alija nie opowiada jakichś bzdur, bo nie mogła sobie wyobrazić Karima spędzającego całą noc z prostytutką i to właściwie pod jej nosem.

– Co za prościuch... – jęknęła, patrząc na widoczne już z daleka różowitkie bolerko Sandrine. Wyszła na korytarz, dotarła pod drzwi sypialni Karima i z niedowierzaniem dotknęła miękkiej angory. – Już ja cię nauczę kultury, bucu – syknęła.

Bezszelestnie zdjęła bolerko, jeden rękaw przywiązała do klamki, a drugi do barierek wewnętrznej loggii biegnącej wzdłuż korytarza. „I po bolerku” – pomyślała, wracając na paluszkach do pokoju. Znała siłę Karima i wiedziała, że gdy mocno szarpnie za klamkę i pociągnie drzwi do siebie, rozerwie je na strzępy, ale to jej nie wystarczyło. Weszła do pokoju i z satysfakcją zaczęła wprowadzać w życie swój mały plan. Z apteczki wyjęła rolkę plastra, a z szuflady z bielizną pierwsze z brzegu majtki. Nie miała telefonu, a lubiła słuchać muzyki, więc jakiś czas temu poprosiła Aliję o jakieś radyjko i dostała takowe, małe, zgrabne, działające na prąd i na baterie. Odszukała stację Vitamine i z trumfem uśmiechnęła się do siebie.

Trochę się zasapała, przesuwając stół w róg sypialni. Ustawiła na nim jedno z tarasowych krzeseł i ostrożnie na nie wlaźła, trochę się martwiąc, czy sięgnie do kamery. Na szczęście ostatnie piętro rezydencji dobudowano później, więc sypialnie nie były aż tak wysokie jak pomieszczenia na parterze.

– Już ja wam dam witaminę... – cedziła przez zęby, owijając kamerę bielizną. Włączyła radio, zgłosiła na pełny regulator i przystawiła do mikrofonu. Całość owinęła plastrem i z dumą popatrzyła na swoją instalację. – Teraz możecie do woli słuchać tej muzyki i patrzeć w babskie majtki.

Rozważała przesunięcie komody pod drzwi, żeby przynajmniej na jakiś czas zablokować wejście do pokoju, ale uznała to za dziecinadę. Poza tym nie miała już siły na kolejne ćwiczenia z przesuwaniem ciężkich mebli. Musiała przyznać, że jest ciekawa, jak szybko ktoś zareaguje. Mimo to nie zamierzała czekać na odzew i w znacznie lepszym humorze poszła do łazienki, żeby wziąć relaksującą kąpiel. Przygotowała sól, specjalne olejki i z błogością zanurzyła się w pachnącej wodzie, nieświadoma tego, że dyżurujący przy monitorach Radik, bardzo szybko zauważył, że nie ma obrazu z kamery spod szóstki, a wszelkie dźwięki zagłusza muzyka z radia.

– Głupia polska suka! – warknął do siebie. Mógł pobiec do pokoju Fabiany, ale wtedy monitory zostałyby bez nadzoru. Natychmiast zadzwonił do Chana, modląc się, żeby ten miał włączoną komórkę.

– Co mówisz? – spytał półprzytomny Karim.

– Nasza królowna owinęła czymś kamerę i zagłuszyła. Nic nie widać i nie słychać! – powtórzył szybko, klnąc na siebie w duchu, bo najzwyczajniej w świecie przysnęło mu się przed monitorami i dopiero ryk muzyki go obudził, na dodatek nie od razu.

– Co?! – Karim natychmiast otrzeźwiał. Kliknął głośnik, żeby mieć wolne ręce, i rozejrzał się wokół, żeby zlokalizować cokolwiek, czym mógłby się owinąć, bo jak na złość jego bokserki gdzieś zaginęły. – Czemu tam jeszcze nie jesteś?! – wrzasnął, próbując wyszarpać prześcieradło spod śpiącej w najlepsze Sandrine.

– A kto zostanie tutaj?! Wszyscy śpią, a poranna zmiana za niecałe pół godziny! – Radik nie był mu dłużny. Wkurzył się, bo jako jedyny nie walnął w kimę, tylko od razu o szóstej poszedł do stróżówki, żeby zastąpić kompletnie nieprzytomnego Rachata.

– A tak, zapomniałem – powiedział Karim, zakładając spodnie na goły tyłek, bo to było zdecydowanie lepsze niż bieganie w prześcieradle. – Lecę tam, patrz na wszystko, na zewnętrzne kamery też, i zadzwoń po kogoś, nawet po Gastona, niech obudzi chłopaków – poleciał, biorąc telefon. – I nie rozłączaj się! – warknął, przełączając na normalny tryb.

– Chan! – krzyknął Radik, chcąc go ostrzec, bo właśnie zauważył coś dziwnego przywiązanego do klamki drzwi, ale było już za późno.

– Co u licha! – Karim szarpnął drzwiami tak mocno, że bolerko poległo od razu. – Co ona wyprawia?! – Rzucił szybko okiem na strzępy sweterka i pobiegł do sypialni Fabiany.

Nie bawił się w żadne ceregiele, nacisnął klamkę i kopnął drzwi, a po sekundzie wpadł do środka i czujnie się rozejrzał. Spod sufitu dochodziły ostatnie dźwięki radia Vitamine. W końcu radyjko zacharczało i ucichło. Karim obleciał wzrokiem cały pokój, obrócił się w tył, schylił, żeby zajrzeć pod łóżko, błyskawicznie zrewidował taras, żeby stwierdzić, że nikogo tam nie ma.

– Chyba jest w łazience – przekazał podwładnemu.

– Zdażyłem przejrzeć nagranie i na pewno nie wychodziła z pokoju – odpowiedział Radik.

– Okej. – Karim podszedł do drzwi łazienki, ale te były zamknięte od środka. Zastukał. – Wyłaż natychmiast! Koniec tych wygłupów!

Odpowiedziała mu cisza. Fabiana zastygła w wannie, ucieszona, że wywinęła niezły numer, a co najlepsze, musiała przyznać, że schlebiał jej ton głosu Karima. Nawet przez drzwi słyszała, że jest zdenerwowany. Z satysfakcją szepnęła bezgłośnie:

– Dobrze ci tak.

– Masz dwie sekundy! – zagroził. – Raz... dwa... – odliczył, wziął mały rozbieg i z impetem walnął w drzwi całym swoim ciężarem. Zatrzeszczały, ale nadal tkwiły w futrynie. – Ostatnia szansa! – ryknął, masując stłuczone ramię.

– Już! – pisnęła z wnętrza łazienki. – Muszę się ubrać! – Fabiana wyskoczyła z wody jak oparzona, czując, że żarty właśnie się skończyły. Strwożona rzuciła okiem na pękniętą glazurę przy futrynie. W najśmielszych snach nie sądziła, że ktoś jest w stanie sforsować tak solidne drzwi.

– Otwieraj! – odpowiedział Karim prawie natychmiast.

– Jestem naga!

– Otwieraj!!!

– Jak chcesz, ty chamie jeden! – wrzasnęła z nerwów po polsku i przekręciła kluczyk. – Czym sobie zasłużyłam na tę nagłą wizytę?! – wypaliła, zapobiegawczo się odsuwając, bo Karim ją staranował, ledwie zgrzytnął zamek. Niewiele brakowało, a dostałaby w nos drzwiami. – Dziwka już sobie poszła i potrzebujesz nowej?! – Wkurzona do granic, podparła się pod boki, czując, jak oleista woda z kąpieli zaczyna mieszać się z jej własnym potem.

– Co ty odpierdalasz, dziewczyno?! – krzyknął, starając się patrzeć wyłącznie na jej twarz i biały turban zrobiony z ręcznika.

– Kąpię się? – fuknęła. – Od dzisiaj nie wolno?

– Zaraz mnie... – Karim złapał się za skronie i ścisnął głowę, bo miał wrażenie, że jeszcze chwila i coś zrobi tej koszmarnie nieposłusznej pannie. – Jeszcze jeden taki numer... – wysyczał.

– I co? – Fabi postąpiła krok do przodu. Jej oczy podobnie jak jego ciskały gromy. – Zabijesz mnie?

– Załóż coś – polecił. Rozejrzał się, wziął z blatu szafki szlafrok i narzucił na jej ramię.

– Nie. – Fabiana cisnęła nim na posadzkę. – Będę chodziła nago cały czas, dopóki nie usuniesz tego gówna z mojej sypialni. Dość monitoringu, nagrywania i pilnowania mnie jak jakiegoś bandyty – oświadczyła stanowczo i założyła ręce na piersiach, ale szybko je opuściła i dla wzmocnienia efektu, jaki wywierała jej nagość, usiadła na brzegu wanny i rozchyliła nogi. – To jak? – zapytała, przechylając głowę.

Karima niewiele dzieliło od detonacji, jak to czasami określali jego żołnierze. Podszedł do Fabiany z zamiarem... No właśnie! Sam nie wiedział, co zaraz zrobi. Gniew podsycony falą adrenaliny zupełnie odebrał mu zdolność logicznego myślenia. Spojrzał na nagą Fabianę, tym razem nie ograniczając się wyłącznie do jej twarzy. Gdy ujrzał złocistorude kędziorki połyskujące na jej łonie, natychmiast poczuł wzbierającą krew.

– Jeszcze chwila i... – wychrypiął, nie odrywając wzroku od tego miejsca na

jej ciele.

– I?

– Dziewczyno, igrasz z ogniem... – Zbliżył się, ale na szczęście dla nich obojga ktoś mu przerwał.

– Halo? – Z pokoju dobiegł cichy głosik Sandrine.

Obudziła się, stwierdziła, że jest sama, założyła ocalałą spódniczkę i wyszła półnaga z sypialni, by z żalem odkryć, że jej ulubiony sweterek uległ zniszczeniu, więc zastąpiła go koszulką Karima i poszła go poszukać. Trop wiódł do otwartych drzwi na końcu korytarza. Słyszała wyraźnie jakieś pokrzykiwania i rozpoznała dosyć szybko ten męski i niski baryton, doprowadzający ją do drżenia.

– Halo... – powtórzyła, idąc powoli w stronę łazienki. – To ja, Sandrine. Jest tu ktoś? – Cicho zakasłała, chcąc ujawnić swoją obecność.

– Trójkącik?! – Fabi wybuchnęła śmiechem, gdy zobaczyła dziewczynę stojącą nieśmiało w drzwiach. – Zapraszam. Może zagramy w rozbieranego pokera? Daję wam fory – zachichotała, przeciągając się niczym kotka.

– Zamknij się – warknął Karim do Fabiany. – A ty? Co tu robisz?! Wracaj do łóżka, najlepiej do własnego. – Popatrzył na Sandrine bykiem.

– Ho, ho... Jaki uprzejmy. – Fabiana wyduła usta.

– A moje ciuchy? – Sandrine zacisnęła wargi, bo uraziło ją zachowanie Karima. W nocy było inaczej, a teraz poczuła się jak zwykła tania dziwka.

– Zapłacę twojej szefowej. Już stąd znikaj. Poproś strażnika przy bramie, wezwie ci taksówkę. Koszulka gratis – dodał cynicznie.

– Poczekaj. – Fabiana nie wytrzymała. Wstała i założyła szlafrok, przeszła obok Karima, omijając go szerokim łukiem, jakby był trędowaty. – Dam ci jakieś ciuchy – powiedziała, biorąc ją za łokieć. Powiodła Sandrine pod wielką, rozsuwaną szafę. – Wybierz coś, bielizna jest tutaj. – Wskazała na rząd szuflad. – Nosimy podobny rozmiar, powinno pasować.

– Bardzo ci dziękuję, jesteś naprawdę miła.

Karim wyszedł z łazienki, oparł się o ścianę i spod oka patrzył na dwie kobiety. Już dawno nie czuł takiego rozdygotania. Nerwy spinały się jak postronki, a on nie mógł nad sobą zapanować. To było bardzo deprymujące uczucie.

– Naprawdę mogę wziąć te rzeczy? – zapytała Sandrine, zerkając to na Fabianę, to na Karima. Bała się, że za chwilę znów usłyszy jakąś przykrą uwagę i naprawdę nie wytrzyma i coś powie temu człowiekowi o dwóch twarzach, a wtedy madame Yvette wyrzuci ją z pracy.

– Wszystko w tym domu jest moje, te szmaty też – burknął Karim, chcąc dać jej do zrozumienia, że może zabrać ciuchy. – Idź się przebierz. – Kiwnął głową w stronę łazienki.

– Wszystko jest twoje, ale nie wszyscy – odpowiedziała natychmiast Fabiana. – Nie da się mieć człowieka na własność. Nawet gdy zapłacisz mu za

czas, który z tobą spędził. – Popatrzyła znacząco na Karima, by z satysfakcją dostrzec drgający mięsień na dole policzka i podskakującą grdykę.

– Zaraz ktoś przyjdzie zdemontować monitoring – oznajmił Karim i wyszedł, bezsilnie zaciskając pięści.

– Przepraszam, że tak cię potraktował. On nie jest taki zły. Chyba nie jest. – Fabiana wzruszyła ramionami. – Nie wiem, co o nim myśleć.

– To ja idę się przebrać... – Sandrine zagryzła kącik ust i szybko schroniła się w łazience, myśląc, że już nigdy się nie zgodzi na przyjazd do rezydencji Kasymowa. „Co to, to nie. Żeby tak mnie potraktować?!” – oburzała się, zakładając stanik. „I ta dziewczyna. Kim ona jest?” – zastanawiała się, bo sytuacja rzeczywiście była dziwna.

Parę minut później schodziła na parter, uprzednio zabrawszy z sypialni Karima swoją malutką torebkę. Taksówka już czekała na zewnątrz posesji. Sandrine wsiadła i ostatni raz spojrzała na wielkie stalowe wrota. „Wyglądają jak więzienna brama” – skonstatowała i aż się wzdrygnęła na myśl, że miałyby żyć w takim miejscu, jak ta miła blondynka, nazywana przez nią Julią.

– Też mi Romeo – prychnęła do siebie. – I ja chciałam wyjść za takiego...

ROZDZIAŁ 8

Nigdy nie była miłośniczką ogrodów, a w jej mieszkaniu próżno by szukać chociaż jednej domowej roślinki. Nawet gdy Fabiana dostała taką w prezencie, mijał miesiąc i zaschnięty badyl lądował w koszu. Może dlatego tak bardzo dziwiła ją zmiana, jaka w niej zaszła. Potrafiła spędzać długie godziny w ogrodzie otaczającym rezydencję. Podziwiała je, zwłaszcza „zakątek kaktusów”, jak nazwała miejsce, gdzie rosły sukulentki. Grunt wysypano białym żwirkiem, a pomiędzy kamyczkami posadzono kaktusy i inne rośliny lubiące pławić się w słońcu. Fabiana próbowała je jakoś policzyć, sprawdzić, ile jest gatunków i jak się nazywają, podpytywała Gastona i szukała ich na rycinach w wielkiej encyklopedii roślin, którą zabrała z biblioteki. Sprawiało jej to sporo radości i co najważniejsze, zajmowało czas.

Ale i tak się nudziła. Najgorsze były poranki. Budziła się ze świadomością, że czeka ją kolejny dzień bez obowiązków. Owszem, ćwiczyła, czytała, czasami porozmawiała z Aliją albo obejrzała jakiś film, ale to wszystko nie wystarczało. Gdyby choć jakieś zwierzątko, domowy pupil, kotek, pies lub w ostateczności tchórzofretka... Niestety, Karim nie wyraził zgody.

Snęła się więc bez celu, czasami z desperacji zagadując gburowatego Rachata czy zachodząc do kuchni, żeby trochę poprzeskadzać Sarze. Kiedyś zaproponowała, że coś ugotuje, jakieś polskie danie, a wtedy Sara popatrzyła na nią jak na kogoś, kto właśnie zwariował, i oznajmiła, że póki ona jest tutaj szefową kuchni, póty nikt nie będzie wypełniał jej obowiązków.

Usilnie szukała jakiegoś zajęcia, czegoś, co choć na chwilę zajmie jej myśli i sprawi, że zapomni o swojej niewoli. Może dlatego frapowały ją dwie sprawy. Pierwsza: dlaczego na terenie posesji nie ma basenu, a druga: co znajduje się wewnątrz ogromnego namiotu stojącego w jej wschodniej części. Już dawno spytała o to Aliję, dowiedziała się, że ten wielki okrągły namiot to jurta, że Karim sprowadził ją z Kazachstanu i że kiedyś w tej jurcie mieszkała jego rodzina, a dokładnie dziadkowie ze strony ojca.

– Nawet nie próbuj tam się zbliżyć – ostrzegła. – To bardzo ważne miejsce dla Karima. Nikomu nie pozwala tam wchodzić, tylko jedna ze służących, Fatima, tam może wejść, żeby posprzątać.

I to by było na tyle.

Jak wiadomo, zakazany owoc kusi najbardziej, więc już dawno Fabiana złamała zakaz i gdy Karim wyjechał, a poza nią w ogrodzie nie było żywej duszy, podeszła i nacisnęła małą klamkę. Niestety spotkało ją niepowodzenie. Niskie drzwiczki były zamknięte na klucz. Próbowała cokolwiek dostrzec przez szczeliny w drzwiach, ale wewnątrz namiotu panowały egipskie ciemności, więc odeszła. Dzisiaj znów nogi zawiodły ją w tamtą stronę, przechadzała się wyżywiwaną

ścieżką wokół jurty i nagle usłyszała coś dziwnego, jakiś cichy odgłos z jej wnętrza. Przystanęła, żeby powtórnie go usłyszeć. Nawet zbliżyła ucho do wołoku, tkaniny, z której wykonano boczne ściany jurty.

– Wydawało mi się – westchnęła do siebie. Myślała, że może to ptak lub mysz. O ile żyły tu jakieś myszy, ale dosyć szybko pojęła, że najpewniej to po prostu wiatr hula w środku.

Ruszyła, żeby po chwili dojść do drzwiczek. Mijając je, spojrzała na nie z ukosa i aż ją zatchnęło z wrażenia. Cofnęła się kilka kroków, żeby sprawdzić, czy to nie jakieś zwidy, ale nie... Nie zdawało się jej. Drzwiczki były uchylone. Rozejrzała się wokół i ostrożnie nacisnęła klamkę. Szybko weszła do środka.

– Boże... Co to za miejsce? – wymamrotała cicho.

Niewiele światła docierało przez otwór znajdujący się u szczytu kopuły, ale wystarczyło, żeby swobodnie się tu poruszać. Fabiana spuściła wzrok na stopy i od razu postanowiła zdjąć japonki, żeby nie dać Boże czegoś nie zabrudzić i nie zostawić po sobie żadnych śladów. Ułożyła je w kąciku, tuż przy drzwiach, przy okazji dotykając z nabożnością rzeźbionej belki zdobiącej wejście.

Wnętrze zachwycało, choć ze względu na panujący półmrok Fabiana nie mogła go należycie ocenić. Szła powoli wzdłuż ściany, czasami pozwalając sobie dotknąć jakiegoś detalu. Najbardziej podobały się jej plecione maty ozdobione kolorowymi nićmi. Wyłożono nimi wszystkie ścianki. Naliczyła ich aż osiemnaście, a każda przedstawiała inny wzór geometryczny i inną kolorystykę. Jej stopy cicho stąpały po dywanach i kobiercach, starannie omijając zwierzęce skóry, wielkie poduchy i mniejsze, kwadratowe poduszcзки obszyte frędzlami.

Jak na takie duże wnętrze, nie było tu prawie wcale mebli, ot kilka ni to łóżek, ni wąskich tapczaników, podobnych nieco kształtem do szezlongów. Je też zasypano stosami poduszek i przykryto narzutami, a raczej czymś w rodzaju kołder zszytych z różnobarwnych kawałeczków tkanin. Fabiana przysiadła na jednym z tych łóżek i zadarła głowę. Sklepienie jurty wypełniały promieniście ułożone żerdzie, a na środku oślepiającą plamą ział okrągły otwór, przecięty na krzyż dwiema wąskimi belkami. Bezpośrednio pod nim usytuowano palenisko. Resztki spopielałego drewna jaśniały matowym srebrem.

Ogarnęła ją dziwna melancholia, gdy pomyślała, ileż ludzi musiało tu mieszkać, kochać się, być szczęśliwymi, a czasem przeżywać dramaty. Miała wrażenie, że ściany szepczą do niej, opowiadając te historie. Gdzieś na dnie serca słyszała śmiech dziecka i płacz jakichś kobiet, dudniące nisko głosy mężczyzn rozprawiających o bardzo ważnych sprawach. Ułożyła się na łóżku, pod policzek wsunęła malutką okrągłą poduszkę i przymknęła oczy. Czuła spokój. Zapadła się weń niczym w gąbkę.

– Wysoki niech będzie twój szanyrak i mocne niech będą twoje ściany... – Ciszę zakłócił męski głos. – Powinnaś była poczekać na zaproszenie, a potem się

przywitać, a nie wchodzić tu bez mojej zgody.

Oprzytomniała w ułamku sekundy. Usiadła i strwożona popatrzyła na Karima. Zamknął za sobą drzwiczki, wyjął komórkę i wybrał numer Radika.

– Przekaż Fatimie, żeby spakowała swoje rzeczy i za godzinę stawiała się w moim gabinecie – rzekł na pozór spokojnie, ale wprawne ucho wychwyciłoby w jego głosie skrywaną nutę gniewu.

– Przepraszam... – wyjąkała Fabiana, gdy z powrotem skupił wzrok na niej. Nie mogła znieść ciężaru spojrzenia Karima, więc wstała i poprawiła narzutę drżącymi dłońmi. – Było otwarte – wytłumaczyła się, gdy podszedł do niej i stanął blisko. Tak blisko, że jego ciepły oddech uderzał w jej spłonione ze wstydu policzki. – Już mnie tu nie ma – powiedziała, chcąc go ominąć i opuścić jurcję, która nagle wydała się jej znacznie mniej przestronna niż przed chwilą.

– Zostań, aż pozwolę ci odejść – polecił.

Od razu się zatrzymała i odwróciła w jego stronę.

– Zwolnisz Fatimę z pracy? – spytała, splatając palce. Bezwiednie je wyłamywała, z wrażeń nie czując bólu. Okropna była świadomość, że przez jej wścibstwo i przekorę Karim wyrzuci Fatimę, której przewinę stanowiło zwykle niedopatrzanie.

– Nie dopełniła obowiązku – odparł chłodno. – Zostawiła otwarte drzwi.

– Każdy z nas popełnia błędy. – Fabiana zdobyła się na odwagę, żeby stanąć w obronie Fatimy, prawie sześćdziesięcioletniej bezdzietnej wdowy, cichej i spokojnej, niemalże niewidzialnej kobiety, na którą czasami natykała się w rezydencji. – Każdy ma prawo do omyłek.

– I każdy ma obowiązek ponieść ich konsekwencje.

Przełknęła ślinę, kurcząc się pod ciężarem wzroku Karima. Odbierała go prawie namacalnie. Jakby smagał jej twarz ciemnym, mrocznym spojrzeniem.

– Karim, to przecież drobnostka, nic złego się nie stało. Przepraszam cię – powtórzyła z mocą.

– Czasami od drobnostki zależy całe nasze życie. Nie rozumiesz? Chodzi o zasady.

– To ja zawiniłam, a nie ona.

– Obie zawiniłyście, ale konsekwencje poniesie Fatima. Pracowała u mnie wiele lat i dobrze wie, czego wymagam. Przy okazji, może to cię wreszcie nauczy być posłuszną. I odpowiedzialną – dodał.

– Poprawię się, przysięgam... – jęknęła Fabiana. – To niesprawiedliwe, mnie ukarasz, ale nie wyrzucaj Fatimy – poprosiła. – Gdzie ona się podzieje? Przecież jest już... – zająknęła się, szukając właściwych słów i argumentów – ma tyle lat, że nikt jej nie zatrudni. Gdzie będzie mieszkać? Za co żyć?

– Mam cię ukarać? – Karim odgiął do tyłu głowę i wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. – Chcesz, żeby cię wybatożyć? Wiesz, że tak karze

się nieposłuszne kobiety? – zapytał, gdy trochę się uspokoił, choć było to dosyć trudne, zwłaszcza na widok grymasu przerażenia, który wykrzywił pobladłą twarz Fabiany.

– Mówiłeś, że... nie podniósłbyś ręki na kobietę – przypomniała, starając się zachować odrobinę rezonu. Niestety jej wyobraźnia rozszalała się na dobre.

– Mam od tego ludzi – odparł, nagle poważniejąc. – To co? Dwadzieścia batów wymierzonych ci ręką Rachata i Fatima zostaje – zaproponował.

Oblała ją fala lodowatego potu. Strach zacisnął macki na jej szyi, odbierając nie tylko zdolność mówienia, ale i oddechu. Zakręciło się jej w głowie, serce waliło w piersi, niczym dziki ptak schwytyany i zamknięty w zbyt ciasnej klatce.

– Batów? – zapytała, nie wierząc w to, co przed chwilą usłyszała.

– Tak. Dwadzieścia batów na gołe plecy. – Karim wolno, niemalże z namaszczaniem pokiwał głową.

– Chyba oszalałeś?! – wypaliła bez namysłu. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a to jest Francja, Europa, nie jakiś tam Kazachstan!

– Wobec tego mam prawo, jak każdy europejski pracodawca, zwolnić pracownika, który nie spełnia moich oczekiwań. Czyż nie? – Wykrzywił twarz w szyderczym uśmiechu.

– Zgoda – odpowiedziała po namyśle. – Ale ty wymierz mi karę. Nie Rachat – wykrztusiła, kierując się nie tylko wstydem, ale i kalkulacją. Rachat górował nad Karimem siłą, a jego zwalista sylwetka budziła respekt, nawet gdy spał.

– W porządku. – Sięgnął do kieszeni spodni po telefon i szybko połączył się z Radikiem. – Załatwione, teraz twoja kolej – powiedział minutę później. – Chodźmy.

Fabiana wzięła głęboki wdech i potaknęła, że jest gotowa. Wyszli z jurty – on, mając głowę przepełnioną czymś na kształt szacunku i podziwu dla jej odwagi, i ona, dygocząc ze strachu, sparaliżowana nim do szpiku kości. Pocieszała się jedynie tym, że Karim na pewno nie dopuści do tego, by coś się jej stało, a obrażenia nie będą na tyle ciężkie, by wymagały pomocy lekarza. Czuła, że taka sytuacja nie wchodzi w grę, ale gdy pomyślała: „Muszę się rozebrać, a bat na pewno rozetnie skórę” – oblewały ją kolejne fale potu, a żołądek skręcał w węzełek.

Weszli do rezydencji, Karim chwycił Fabianę za łokieć i skierował na schody wiodące do podziemia. Ledwie je pokonała, bo nogi odmawiały posłuszeństwa. Kolana uginały się coraz mocniej i spadały z przedostatniego stopnia, gdyby nie Karim, który podtrzymał ją pod ramię. Dotarli na koniec długiego korytarza i stanęli przed masywnymi drzwiami. Mężczyzna wstukał kod i weszli do środka.

Nie wiedziała, czego się spodziewać, nie zaskoczyłby jej nawet przeniesiony ze średniowiecza ciemny i mroczny loch pełen szczurów, narzędzi tortur i wilgoci

na omszałych ścianach. Może dlatego nie zareagowała zdziwieniem, widząc prawie puste pomieszczenie, od podłogi po sufit wyłożone białymi kafelkami. Pod jedną ze ścian stał dosyć wysoki, metalowy stół, kojarzący się ze szpitalnym wyposażeniem, a tuż obok niskie krzeselko, odcinające się od wszechobecnej bieli ostrą, jasnozieloną plamą. Karim zawiódł Fabianę i ruchem brody wskazał, żeby usiadła. Nóżki zazgrzytały o posadzkę, gdy niezgrabnie klapnęła na plastikowe siedzisko.

– Zanim przejdziemy do rzeczy, posłuchaj. – Stał przed nią, szeroko rozstawiając stopy. – Każda kara, nawet najbardziej surowa, to dobrodziejstwo, a ten, który ją wymierza, cierpi bardziej niż karany. Zapamiętaj.

– Dobrze – odpowiedziała.

Bezwiednie potarła policzki, żeby się otrzeźwić. Niewiele brakowało jej do wybuchnięcia niepowstrzymanym płaczem, który utknął w gardle niczym piłka i nie pozwalał na swobodny oddech. Przytknęła powilgotniałe dłonie do ud, chcąc powstrzymać ich dygot, ale nie pomogło. Trzęsły się razem z nią.

– Powtórz – polecił.

– Każda kara... – zamilkła, zwieszając głowę. – Nie mogę... – wyjąkała, zsuwając dłonie. Jej palce pobieleły, tak mocno ścisnęła brzegi plastikowego siedziska. – Proszę, nie upokarzaj mnie jeszcze bardziej.

– Dobrze – zgodził się. – Stań pod ścianą, tyłem do mnie, i rozbierz się do pasa.

Z trudem podniosła się z krzesła. Popatrzyła pytająco, gdzie ma stanąć. Wskazał jej brodą miejsce tuż pod niskim, zakratowanym okienkiem, jedynym na przeciwległej ścianie. Podeszła tam, drżąc i pocierając dłonie o rękawy koszuli. Wsparła czoło o chłodną powierzchnię płytek, licząc, że to przyniesie jej chociaż trochę ukojenia. Próbowwała rozpiąć guziki, ale ślizgały się między mokrymi opuszkami palców. W końcu się udało. Zsunęła koszulę. Upadła gdzieś za jej stopami.

– Bieliznę też? – zapytała, modląc się o słowo „Nie”.

– Tak.

Niewiele brakowało, a poprosiłaby o pomoc. Telepiące się ręce nie potrafiły wykonać prostej czynności, więc zsunęła ramiączka biustonosza, okręciła go wokół siebie i rozpięła haftki. Postanowiła nie pozbywać się tej osłony. Docisnęła miseczki do piersi, trzymając je kurczowo, aż bolały palce.

– Stań bliżej ściany i stabilnie oprzyj o nią dłonie. – Głos Karima zabrzmiał bezlitośnie.

Fabiana czuła, że nie warto się sprzeciwiać, to przeciągnęłoby jedynie oczekiwanie. Rzuciła biustonosz na podłogę, przytknęła dłonie do szklistej powierzchni glazury, czując, jak wibrują opuszki jej palców. Pomyślała, że nie wytrzyma tego dłużej, oderwie się od tej ściany, padnie przed Karimem na kolana

i zacznie go błagać, żeby jej odpuścił. Wzięła głęboki wdech, atak paniki był tuż, tuż. Przez jej głowę przelatywał milion myśli. „Gdzie jest ten bat? Czym wychłoszcze mnie Karim? Czy przetrwam choć jedno uderzenie?” Nagle usłyszała ciche kroki. Jej oprawca podszedł do niej. Prawie zasłabła, gdy wierzchem dłoni musnął skórę jej pleców. Drgnęła tak mocno, aż się zachwiała.

– Spokojnie – powiedział Karim. – Odsunę włosy, żeby ich nie powyrywać. Mogą wplątać się w bat.

Poczuła jego dłoń zbierającą pęk jej włosów. Przesunął je na bok i przerzucił przez lewe ramię. Kilka niesfornych kosmyków załaskotało w plecy. Och, jak okropnie ją drażniły! Była napięta do granic, każde dotknięcie sprawiało ból. W głowie widziała własną drżącą skórę, jak u klaczy i ogierów podnieconych startem w biegu. Kiedyś obserwowała to z bliska. Zwierzęta czuły adrenalinę, udzielała się im, jedno chłonęło ją od drugiego, od dżokejów, a nawet zgromadzonej publiczności, czekającej w napięciu na rozstrzygnięcie wyścigu.

Nie wytrzymała. Oderwała palce i niecierpliwym ruchem zgarnęła włosy. Szybko je skręciła i związała w prowizoryczny supeł z boku głowy.

– Już nie będą przeszkadzać – rzuciła za siebie, ponownie opierając dłonie na ścianie.

– Tak ci spieszno do kary? – zaśmiał się cicho Karim.

– Sam mówiłeś, że to dobrodziejstwo – wypaliła bez namysłu.

– Jednak zapamiętałaś. Bardzo ładnie – mruknął. – Ręce wyżej – polecił, przesuwając pominięty przez Fabianę, cieniutki kosmyk włosów. Jego palce musnęły dziewczęce ramię. Miał wrażenie, że między opuszkami palców a porcelanową skórą przeskoczyła iskra.

Nie mógł przestać na nią patrzeć. Już prawie zapomniał, po co tu przyszli. Gdy na moment przesunął się nieco w bok, zauważył łagodną okrągłość jej lewej piersi, dostrzegł zaróżowioną brodawkę i zupełnie go to rozbiło. Jedyne, czego pragnął nad życie, to przyłgnąć całym sobą do nagich pleców Fabiany, objąć ją mocno, ukryć jej piersi w swoich dłoniach, a usta wesprzeć na odsłoniętej szyi. Była taka piękna. Doskonale pamiętał, co czuł, gdy zobaczył ją nago, wtedy, w jej łazience. Ile godzin i chwil spędził na przypominaniu sobie tego dnia... Nie był w stanie ich zliczyć, podobnie jak snów z jej udziałem. Dzisiaj zdawała mu się jeszcze bardziej pociągająca. Pod wpływem emocji jej obnażone ciało promieniowało ciepłem i światłem. Słyszał, jak ciężko i głęboko oddycha, i marzył, żeby napędzało ją pragnienie, nie zwierzęcy strach, niemalże namacalny.

Wyciągnął dłonie i wsunął palce pod miękką krawędź paska spodni, które miała na sobie. Zadrżała, ledwie jej dotknął. Zsunął materiał o może cal, nie więcej. Dwa ocienione dołeczki po bokach kręgosłupa, tuż nad pośladkami, prawie mówiły do niego: „Dotknij nas, zobacz, jak miękkie i jedwabiste jest nasze wnętrze”. Wzdłuż pleców Fabiany spływała powoli kropla potu. Karim zmagął się

z żądzą, chciał zlizać tę kroplę, poczuć na języku jej smak, a potem całować i pieścić każdy centymetr jasnej, porcelanowej skóry. Nie wytrzymał. Odwrócił się i wypadł z pomieszczenia, zostawiając otwarte na oścież drzwi. Wbiegał po schodach, przeskakując po trzy stopnie i klnąc w duchu własną słabość.

– Zasady?! – warknął do siebie, gdy skrył się w gabinecie. Wsparł czoło o ścianę, zupełnie jak Fabiana, i walnął nim kilka razy, aż zadudniło. Dopiero przeszywający ból w czaszce go otrzeźwił. Wyjął telefon z kieszeni i wezwał do siebie jedną osobę, która mogła naprawić jego błąd.

Fabiana czekała. Gwałtowne kroki Karima już dawno ucichły w korytarzu, a ona stała tu sama, drżąc i zagryzając do krwi kącik ust. Nie mogła uwierzyć, że... Że Karim chyba jej odpuścił. „A może poszedł po bat i wróci za chwilę?” – pomyślała. Ze stresu straciła zupełnie poczucie czasu. Nie miała pojęcia, że prawie kwadrans tkwiła w bezruchu z wyciągniętymi w górę dłońmi. Nagle coś dotarło do jej uszu. Ktoś nadchodził, energicznie, szybko, prawie biegł. Zamarła z krwią ściętą kolejnym paroksyzmem strachu.

Alija weszła do środka. Od razu zauważyła stojącą pod ścianą Fabianę i jej ciuchy leżące na posadzce. Podeszła bliżej, podniosła ubrania i podała swojej podopiecznej.

– Już po wszystkim. Słyszysz? – powiedziała, obejmując szlochającą Fabianę. – Już koniec. Fabi, nic się nie stało. Nie płacz – prosiła, głaskając nagie plecy wstrząsane kolejnymi falami łkań.

– On chciał... – wykrztusiła Fabiana. Nie potrafiła dokończyć. Osunęła się na podłogę. Siedziała z podkulonymi nogami, dociskając ubrania do piersi i kiwając się w przód i tył.

– Nic ci nie zrobił, nie płacz – powtarzała Alija niczym katarynka. Kucnęła przy Fabianie i przytuliła ją mocno do siebie. Próbowwała załagodzić sytuację, zbagatelizować ją, ale w duszy ciskała gromy na swojego Chana. – Nic się nie stało! Fabi, uwierz mi! Karim cię tylko nastraszył – tłumaczyła, mając głowę wypełnioną stekiem niewypowiedzianych wyzwisk i obelg, wśród których zboczony cham, prymitywny oprawca i zapchlony pies były zdecydowanie najłagodniejsze. – On nigdy nie uderzył kobiety. Wiesz, co znaczy jego imię? – zapytała. – „Łaskawy” – odpowiedziała sama sobie, bo Fabiana nie reagowała. Nadal zanosila się płaczem. – Wypłacz się, to zawsze pomaga – orzekła w końcu Alija.

Spędziły w piwnicy rezydencji prawie godzinę, dopiero telefon od „zapchlonego psa” z pytaniem: „Co do jasnej cholery tam jeszcze robicie?!” – zmobilizował Aliję. Zmusiła Fabianę do założenia ciuchów i pójścia na górę.

Tym razem nie pomógł kubek ze świeżo zaparzoną melisą. Alija do późna siedziała przy łóżku Fabiany i głaskała ją uspokajająco po głowie. Fabi zasnęła

o drugiej w nocy, za to wstała już o piątej. Odwiedziła toaletę, starannie omijając wzrokiem każde lustro, wróciła do pokoju, odsłoniła okno i leżała, bezmyślnie gapiąc się na szarzejący świt. O ósmej jak zwykle przybyła Alija ze śniadaniem. Wróciło do kuchni nietknięte. Podobnie lunch, podwieczorek i kolacja.

Fabiana odmawiała posiłków. „Naprawdę, nie jestem głodna. Przepraszam”. Nazajutrz Alija ubłagała, żeby zjadła cokolwiek, choć kawałek bagietki. Wcisnęła Fabianie jeszcze pół kubka herbaty, a po chwili patrzyła bezradnie, jak wszystko ląduje w ubikacji. Sytuacja powtórzyła się dwie godziny później, więc odpuściła.

– Okej, nie musisz jeść, ale proszę cię, pij – powiedziała, zostawiając na stole samowar z mocno posłodzonym czajem, dzbanuszek tłustego mleka i filiżankę.

Gdy trzeci dzień Fabiana nie zjadła niczego, nie wstawała z łóżka poza krótkimi wizytami w toalecie i piła czaj tylko wtedy, gdy Alija ją zmusiła, ta ostatnia postanowiła zgłosić to Chanowi. „Narobił problemów, niech teraz je naprawi” – pomyślała, idąc do niego na rozmowę. Wiedziała, że Karim wyjeżdża za dwa dni, a zanim wróciłby po tygodniu, Fabianie mogło się coś stać. Dopiero wtedy rozpełtałoby się prawdziwe piekło.

Przekazała wszystko, włącznie z krótką relacją z godzinnego pobytu w podziemiach rezydencji, i pierwszy raz w życiu miała okazję zobaczyć, jak Chanowi odjęło mowę. Siedział, kręcąc młynka palcami, i z bardzo głupią miną wpatrywał się w blat biurka, co i rusz łypiąc na nią okiem.

– Co mi radzisz? – spytał w końcu, czym też ją zszokował.

„Karim prosi o radę? Niemożliwe!”

– Nie wiem. Fabi ma chyba jakąś depresję. – Wzruszyła ramionami, pozornie niezainteresowana jakoś szczególnie dolą podopiecznej, ale przecież już dawno zdążyła ją pokochać niczym własną siostrę. Zresztą od początku dogadywała się z nią znacznie lepiej niż z Viviane. – Może wezwać lekarza? Albo pogadaj z Fabi, a gdy to nie pomoże, wezwij kogoś. Ona ciągle płacze. Nie jakoś gwałtownie, tak po prostu... – zawiesiła głos. – Płacze cichutko, nie skarży się, co to, to nie. – Pomachała dłonią. – Niestety, nie chce mi powiedzieć czemu. Próbuję ją zagadywać, ale nic z tego. – Znów jej ramiona na moment się podniosły.

– Wezwę doktor Benoit. Powinna zaradzić. Ale to pojutrze, a na razie poinformuj pannę Czekaj, że jak nie zaczniesz normalnie jeść, czeka ją kropłówka – powiedział najbardziej oschle, jak mógł.

Groźba Karima spłynęła po Fabianie jak po kacze. W zasadzie w ogóle ją to nie wzruszyło. Wysłuchiwała coraz bardziej zdenerwowanej Alii, a potem położyła się i otuliła kołdrą niczym kokonem. Pierwszy raz w życiu było jej wszystko jedno, co się wydarzy. Choć to prawie niemożliwe, czuła jeszcze większą obojętność niż wtedy, gdy Raad i Adil wlekli ją ze sobą, opowiadając, jakie mają wobec niej

plany.

Nie mogła sobie poradzić z własnymi emocjami. Zupełnie się rozsypała. Ciągle wracały do niej rozmowa w jurcie i to, co stało się w piwnicy rezydencji. Żałowała, że tak się skończyło „wymierzanie kary” przez Karima. Po stokroć wolałaby teraz leżeć, cierpiąc po chłości. Przynajmniej wszystko byłoby jasne. Chciała go nienawidzić, odczuwać wstręt i odrazę na jego widok, pragnęła prostych i klarownych uczuć, nie sztormu, który od kilku dni przetaczał się w jej głowie i sercu. Nie mogła znieść snów, które ją nawiedzały, dlatego budziła się oblana zimnym potem, dławiąc gulą z niewypłakanych łez.

Próbowała usilnie wyprzeć swoje emocje, zapomnieć, co czuła, gdy Karim stał za nią. Skasować z pamięci krótki moment ćmiącego bólu w dole brzucha, gdy jego palce wsunęły się pod krawędź jej spodni, dotknęły kości biodrowych i na moment zastygły tam, jak w obietnicy, że za chwilę, za sekundę, zejda niżej, zdejmą z niej wszystko, a potem ona się odwróci i... Aż się zachłysnęła na to wspomnienie. Od razu żołądek dojechał do gardła. Nie miała siły wstać i pobiec do łazienki. Przełknęła gorycz i kwas, myśląc, że jest zerem.

„Odbiło mi. Zwariowałam. Oszalałam na punkcie człowieka, dla którego jestem nikim. Nawet nie zabawką. Traktuje mnie jak psa albo gorzej”. Gardziła sobą za tę słabość. Nie pocieszała ją myśl, że Karim nie zdaje sobie sprawy z jej afektu. Nie mogła być szczerą wobec samej siebie i to bolało ją najbardziej. Właśnie to uczucie ją niszczyło, zabijało od środka. Jak mogła chociaż przez chwilę pragnąć swojego kata? Ten człowiek znęcał się nad nią, wielokrotnie ją poniżył, maltretował psychicznie, a ona? Chciała jego dotyku, śnił się jej co noc, wtedy całowała go, podbiegała do łóżka, kładła się, rozchylając nogi i mówiąc: „Weź mnie, należę do ciebie”, a wtedy on stawał tuż przy łóżku i stał.

I patrzył na nią pogardliwie. I nic nie mówił.

To ją zabijało.

ROZDZIAŁ 9

– Panie Kasymow – bąknęła doktor Benoit, rozsiadając się w wygodnym foteliku naprzeciw swojego zleceniodawcy. – Otóż w mojej ocenie pannie... – poprawiła zjeżdżające z nosa okulary i zerknęła na sekundę do swojego notatnika – pannie Fabiane fizycznie nic nie dolega. Oczywiście na razie. Nie wiem, jakie łączą państwa relacje, tak naprawdę to nic nie wiem, bo panna Fabiane nie raczyła ze mną porozmawiać. Naturalnie pozwoliła się zbadać, wysłuchała, co miałam do powiedzenia, i tyle. Muszę niestety wspomnieć, że jeśli panna Fabiane nadal będzie odmawiała spożywania posiłków, jej stan w końcu się pogorszy.

– Świetnie – burknął ironicznym tonem Karim. – A jak jej pomóc, pani szanowna wie? Czy nie bardzo?

– Panie kochany! – zachnęła się lekarka. Miała zbyt dużo lat i doświadczenia, żeby pozwolić się obrażać przez tego nuworysza, pariasa, który wybił się na powierzchnię, prowadząc szemrane interesy. Nie wiedziała, czym zajmuje się Kasymow, ale była prawie pewna, że to oszust, złodziej i gangster. Wystarczyło popatrzeć na jego twarz. – Proszę zachować trochę szacunku dla mnie!

– Przepraszam – burknął Karim. – Jakaś rada?

– Kto zepsuł, ten niech naprawia.

– Słucham? – Karim nachylił się nad biurkiem. – Sugeruje pani, że...

– Ja nic nie sugeruję. Uważam, że panienka Fabiane przechodzi właśnie załamanie nerwowe. A znając życie i statystyki, za dziewięćdziesiąt procent takich przypadków odpowiadają partnerzy – powiedziała bardzo stanowczym tonem. – Oczywiście mogę jej przepisać leki na depresję, na nerwicę, na lęki i na wszystko, co wymyślono dla tych biednych, zgnębionych, nieszczęśliwie zakochanych kobiet, ale... – znów zawiesiła głos – jeśli panna Fabiane nie przeżyła jakiejś strasznej traumy, jestem Joanną d’Arc, znaną jako Dziewica Orleańska, a dla pana wiedzy, urodziłam trójkę dzieci. I nie przez cesarkę – dodała, kiwając posiwiałą głową.

– Aha – burknął Karim, z trudem powstrzymując się od parsknięcia śmiechem. Co by nie mówić, podobało mu się poczucie humoru doktor Benoit. Miała pewnie ze sto lat, ale była jednym z najlepszych lekarzy w Cap Martin i co ważne, słynęła z ogromnej dyskrecji.

– Wie pan, jak kobiety radzą sobie z gniewem? Krzywdzą siebie. Świadomie lub nieświadomie. Dlatego ona nie je. Czy to jasne?

– Jak pomóc Fabianie? – odpowiedział pytaniem Karim. – Konkretnie. Potrzebuję wskazówek.

– Brakuje jej ciepła. Tęskni za panem. Proszę z nią rozmawiać, spędzać więcej czasu, a nie delegować pokojówkę, żeby jej pilnowała. Mimo wszystko wypiszę parę recept, ale proszę pamiętać: jeśli poczuwa się pan do

odpowiedzialności za jej stan psychiczny, niech pan idzie, przeprosi i poświęci trochę czasu kobiecie, którą pan kocha.

Karim już miał sprostować, ale szybko ugryzł się w język. Jakie miało znaczenie, że starsza pani uznała jego i Fabianę za parę. Nikomu tego nie powie, więc jej mylne przeświadczenie nie miało żadnej wagi. Schował recepty do szuflady, zapłacił doktor Benoit sowite honorarium, dorzucając pięćset euro za poradę psychologiczną, i z ulgą przekazał w troskliwe ręce Radika, który miał ją odwieźć do domu.

Ciężko się zastanawiał, jak ugryźć ten nieoczekiwany problem. Przez chwilę rozważał wykupienie leków i wyjazd na co najmniej dziesięć dni, żeby się zdystansować do całej sprawy, ale uznał to za zwykłe tchórzostwo. Sęk w tym, że nie rozumiał, jak można kochać kogoś, kto był takim śmieciem. Bo właśnie tak oceniał Tymona Kapelę. O ile mocno uzasadnione ukaranie kobiety chłostą, zwłaszcza lekką, krótkim okrągłym batem, który nie powodował okaleczeń, mieściło mu się w głowie, o tyle brutalny gwałt już nie. Często myślał, czy to nie przejaw jakiejś wyjątkowo durnej hipokryzji, zważywszy na wszystko, co mógł usłyszeć w telewizji czy przeczytać w sieci. Jednak szybko uznawał, że to dwie zupełnie różne sprawy. I choć daleki był od stosowania kar cielesnych, rozgrzeszał się myślą, że Fabiana przystała na nią, mało tego, to ona w zasadzie zainicjowała rozmowę na ten temat.

Postanowił stawić temu czoła jeszcze dzisiaj. „Pamiętaj, Karim, co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj. Pójdzie ci dwa razy szybciej” – mawiał jego ojciec i dodawał ludową mądrość: „Jeśli potrudzisz się jak należy, będziesz miał wszystko”. Wezwał więc Aliję i poprosił o przygotowanie Fabiany na jego wizytę. Sam też się przygotował. Postanowił w drodze wyjątku założyć coś jaśniejszego, wybrał klasyczne dzinsy, białą koszulę i nawet pokusił o lekkie spryskanie ciała jakąś wodą kolońską. Znalazł zapomnianą butelczynę w szafce pod umywalką, powąchał, czy nie zdążyła się zepsuć przez ostatnie dwa lata, ale nie był w stanie tego stwierdzić. Nigdy nie przywiązywał wagi do takich bzdur, pachnidła mogły istnieć, ale wyłącznie dla kobiet.

Pomaszerował do sypialni Fabiany, zapukał grzecznie i prawie zderzył się z Aliją, która właśnie wychodziła. Wybałuszyła oczy, widząc odmienionego Chana. Po kolejnej sekundzie jej nos zwęszył zapach perfum, stanęła więc jak wryta i już miała to skomentować, ale domyślny Karim natychmiast zgromił ją wzrokiem. Jeszcze tego brakowało, żeby rozwlekła po kuchni ploty na jego temat.

– Znikaj stąd, ale już! – warknął, mijając się z nią w drzwiach.

Ciągle zapominał, że Alija to nie małe, chude i przerażone dziecko, które odebrał staremu Czokanowi. Już dawno nie nosiła cienkich jak mysie ogonki warkoczy, zaokrągliła się tu i ówdzie i straciła dziecięcą niewinność. Musiał przyznać, że wyrosła na prawdziwą piękność, ale on i tak traktował ją

w najlepszym razie jak młodszą siostrę.

Wszedł do sypialni, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Mógł przypuszczać, że Fabiana będzie kiepsko wyglądać, lecz gdy ją zobaczył, aż coś ścisnęło go w dołku. Alija zrobiła co mogła, wyszukała ciuchy w delikatnych pastelowych kolorach, żeby nie podkreślały bladości twarzy Fabiany, uczesała jej włosy i upięła w swobodny węzeł nad szyją, a na koniec nałożyła delikatny, dziewczęcy makijaż. Na wszelki wypadek pomalowała rzęsy brązowym, wodoodpornym tuszem, przewidując kolejne łzy, które co chwilę sączyły się z poczerwieniałych oczu jej ukochanej pani.

To nie pomogło. W trakcie tych zabiegów Fabiana siedziała niczym lalka, biernie się im poddając. Teraz było podobnie. Odpowiedziała na powitanie, nawet na moment jej twarz rozświetliło coś na kształt delikatnego uśmiechu, poprawiła się na fotelu i spuściła głowę. Nie mogła patrzeć na Karima. Próbowwała jakoś się odciąć, zdystansować, ale nieznośny zapach, który roztaczał, drażnił jej nos i pobudzał wszystkie zmysły.

– Chciałem z tobą porozmawiać – oznajmił, starając się brzmieć pewnie i rzeczowo, ale i ciepło. Próbował zapamiętać lekcję udzieloną przez doktor Benoit.

– Poświęcisz mi chwilę?

– Tak.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– A czemu odmawiasz jedzenia? – zaczął drażnić, choć ledwie zadał to pytanie, a najchętniej palnąłby się w łeb. Przecież miał nie naciskać na nią, nie wywierać presji! Zbeształ się w duchu.

– Nie mam apetytu, ale jeśli to konieczne, od jutra...

– A dzisiaj? – przerwał jej spontanicznie i aż zacisnął pięści, myśląc, że jest kompletnym durniem, skoro nie potrafi nad sobą panować. – Przepraszam, że ci przerwałem.

– Nie szkodzi – odparła i popatrzyła na niego. Na jej twarzy malował się smętny uśmiech.

– To nie ma sensu! – warknął, zrywając się z miejsca. Przemierzył energicznie pokój wzdłuż i wszerz, wrócił, żeby zabrać fotel i postawić go dokładnie naprzeciw fotela Fabiany. Usiadł, rozpiął guzik pod kołnierzykiem koszuli, bo miał wrażenie, że zaraz go udusi. Na moment przytknął do twarzy dłonie złożone jak do modlitwy. – Przepraszam. Nie powinienem był tak cię nastraszyć – powiedział.

– Nastraszyć? – spytała Fabiana, odruchowo ściskając nogi. Objęła się ramionami, cicho zatrzeszczało oparcie, bo gdyby mogła, wtopiłaby się w nie całą sobą.

– Tak, nastraszyć. Ta chłosta to był blef. – Postanowił iść w zaparte. Zresztą

nic innego nie przyszło mu do głowy. – Chciałem cię tylko nastraszyć. Uwierz. – Karim przyłożył pięść do serca.

– Udało ci się – odparła, odwracając wzrok, żeby choć na moment nie widzieć jego twarzy, pochmurnego spojrzenia, marsa na czole i drgającego mięśnia na dole policzka. Paradoksalnie, to wszystko sprawiało, że zdał się jej przystojny, męski i emanujący zwierzęcym magnetyzmem.

– Nie uderzyłbym cię. Ani ja, ani nikt inny. Nie pod moim dachem. Wierzysz mi? – zapytał, a gdy nie odpowiedziała, nachylił się i położył dłoń na jednym z jej kolan. – Fabiane, wierzysz mi?

– Po co ci moja wiara? – odparła w końcu, nadal patrząc gdzieś w bliżej nieokreślonym kierunku i myśląc, że dłoń Karima zaraz wypali dziurę w jej nodze. Choć oddzielona tkaniną spodni, parzyła niczym żywy ogień, ale Fabianie brakowało odwagi, by ją strącić.

– Gdy miałem osiem lat – zaczął Karim – przeprowadziłem się z matką i młodszym bratem do stryja. Zamieszkaliśmy w Paryżu, w dzielnicy, w której mieszkało sporo takich jak my. Mieszkanie stryja graniczyło przez ścianę z mieszkaniem Pakistańczyka, niejakiego Abdula Zardariego. Abdul miał sześć córek i młodą żonę. Bił je przy każdej okazji – powiedział, starając się panować nad głosem. – Bił je, gdy miał powód i gdy nie miał. Dostawało się im za wszystko i wszystkim: ręką, pięścią, kablem od żelazka, skórzanym pasem, kijem. Przyjaźniłem się z jedną z tych dziewczynek. Miała tyle lat co ja. Wołali na nią Ibtisam. To znaczy po arabsku „uśmiech”.

– Uśmiech? – Przeniosła wzrok na Karima, bo przypomniały się jej słowa Alii o znaczeniu jego imienia.

– Tak, uśmiech – potwierdził i zamilkł, a przez jego twarz przebiegł skurcz bólu, gdy przypomniawszy sobie, jak zatykał uszy i dociskał do nich poduszkę, żeby nie słyszeć krzyków docierających zza ściany. Wybrzmiewały w jego głowie jeszcze długo po tym, jak opuścił dom stryja i wyjechał w świat. – Lubilem ją. Czasami żartowała, że kiedyś będę jej mężem. Gdy skończyła dwanaście lat, znaleziono ją w toalecie restauracji ojca. Sprzątała tam. Wypiła butelkę płynu do czyszczenia sanitariatów.

– Przykro mi... – powiedziała Fabiana z autentycznym smutkiem. Na moment przytknęła dłoń do ust, ale to nie pomogło powstrzymać łez. Zaczęły nieśmiało spływać po policzkach. – Bardzo mi przykro – powtórzyła.

– Nie płacz – powiedział. Podał jej ze stolika pudełko z chusteczkami. – Postanowiłem wtedy, przysięgłem sobie, że nigdy, przenigdy – podkreślił z mocą – nie podniosę ręki na kobietę. Teraz rozumiesz? Wierzysz mi?

– Czasami nie wiem, w co wierzyć i komu – wyznała, ocierając twarz.

– Nie chodzi o mnie i tę karę? – zapytał, kiwając głową. – Tęsknisz za nim? Stąd te łzy? – Popatrzył w jej oczy.

- Za kim? – Uniosła brwi, nie wiedząc, kogo ma na myśli.
- Za Tymonem. To chyba oczywiste.
- Ach... – Potrząsnęła głową. – Nie, nie tęsknię za nim. Dziwne, prawda?
- Mam być szczery? – Karim zmarszczył czoło. – Jak można tęsknić za żalonym facecikiem, który cię pobił i zgwałcił?
- Skąd o tym wiesz? – Fabiana od razu się usztywniła. Zerknęła na dłoń Karima, nadal spoczywającą na jej kolanie. Od razu ją zabrał.
- O gwałcie? – spytał.
- Tak. Tymon wam powiedział? Nie wierzę.
- W waszym mieszkaniu był podsłuch – wyznał szczerze.
- Podsłuch? – Fabiana złapała się za czoło i z niedowierzaniem pokręciła głową. Nie sądziła, że jeszcze ktoś uczestniczył w tych dramatycznych momentach jej życia. Siniaki już dawno zniknęły, pęknięcie na dolnej wardze zagoiło się bez śladu, ale w sercu została blizna. Miała tam być do końca. – Po co ten podsłuch?
- Dla twojego bezpieczeństwa.
- Niewiarygodne – prychnęła pod nosem, czując, że to wszystko, to jakiś absurd.
- Dlaczego nie zgłosiłaś się na policję?
- Zgłosiłam – zaproponowała, chcąc sprawdzić, ile jeszcze wie Karim.
- Poszłaś na policję, ale nie wniosłaś oskarżenia, nie byłaś u lekarza, nie zrobiłaś obdukcji, nie próbowałaś szukać pomocy psychologa – wymieniał, wystawiając kolejne palce. – Wzięłaś na siebie jego winę i jego wstyd. Wytłumacz, dlaczego mu podarowałaś – nieznacznie podniósł głos, bo znów przypomniał sobie, jaką bezsilność czuł, odsłuchując nagranie z tej nocy i jak bardzo chciał dorwać w swoje ręce tego człowieka i nauczyć go szacunku do kobiet.
- Nie wiem. – Fabiana stropiła się. – Może...
- Może co? – ponaglił, bo zamilkła i uciekła wzrokiem gdzieś w bok.
- Może już go nie kochałam? Dlatego?
- Nie rozumiem. – Karim zmarszczył czoło.
- Gdyby mi zależało... – przerwała, nie wiedząc, jak ma przekazać to, co kłębiło się w jej sercu i głowie. – Gdy nam na kimś zależy, chcemy, żeby ten człowiek był dobry. Żeby nas nie krzywdził. Przestało mi na nim zależeć, nie pragnęłam zemsty, odwetu, chciałam, żeby zniknął z mojego życia. Tylko tyle. – Popatrzyła na niego.
- To skąd troska o niego? Strach, że coś mu zrobiliśmy? – Karim nieufnie przymrużył oczy.
- Martwiłam się, bo... – Fabiana wzruszyła ramionami. – Wiem, to nie ma sensu – przyznała, przesuwając dłonią po tyle głowy. – Ostatnio nic nie ma sensu.
- Dlaczego?
- Nie wiem – odparła natychmiast.

– Wiesz. – „Ale nie chcesz powiedzieć”, dokończył w swojej głowie. – Chciałabyś, żeby poniósł karę?

– Karę? – Znów się spłoszyła, myśląc, jak mogłby postąpić Karim i jego ludzie.

– W dniu, w którym przestałem pilnować twojego byłego chłoptasia... – zaczął.

– Co z nim? – wykrztusiła, przerażona satysfakcją malującą się na twarzy Karima.

– Miał długi. Próbował się ratować, wyprzedając jakieś rzeczy w lombardzie. On jest hazardzistą, ale to wiesz – chrząknął znacząco – słabym człowieczkiem szukającym podniet w swoim żalonym życiu. Póki go pilnowaliśmy, zawsze ktoś zapobiegł rozrachunkom, przypadkiem znalazł się tam, gdzie Tymon i jego coraz bardziej niecierpliwi wierzyciele. Do czasu... – przeciągnął.

– Chcesz powiedzieć, że... – Głos uwiązał jej w gardle.

– Żyje. Trochę go potarmosili. Już wyszedł ze szpitala i mieszka u rodziców.

– Karim uśmiechnął się krzepiąco, myśląc o nauczce, jaką dostał ten głupi młodzieniec.

– Potarmosili? – powtórzyła Fabiana.

– Nie powinno cię to zajmować – uciał.

Nie zamierzał jej opowiadać, jak technicznie wyglądało doręczenie wezwania do zapłaty. Kilku poważnych panów, niedysponujących nawet odrobiną poczucia humoru, spotkało się z dłużnikiem w przysłowiowej ciemnej uliczce. Kijami bejsbolowymi bardzo umiejętnie zgruchotali mu obie kości goleniowe i poinformowali, że to dopiero początek, a koszty egzekucji doliczą do kwoty długu. Kilka dni później ktoś skontaktował się z nimi, uregulował wszystko i dosyć dobitnie wyraził nadzieję, że już nie będą niepokoić tego młodego człowieka.

– Mogę ci zaufać? – spytała Fabiana.

– Możesz mi ufać bardziej niż jakiemukolwiek mężczyźnie w twoim życiu – odpowiedział powoli i z rozmysłem.

– Na pewno Tymon żyje i nic mu nie dolega?

– Nie powiedziałem, że jest zdrow jak ryba. – Karim przekrzywił głowę i uśmiechnął się znacząco. – Ale bez obaw, wyliże się z tego. Jest młody, zdrowy i głupi. Na szczęście to ostatnie nie ma wpływu na... – Chciał dopowiedzieć „zrastanie kości”, ale ugryzł się w język. – Swoją drogą, widzę, że się nieco ożywiłaś – zauważył bardzo ukontentowany, bo jego wysiłki nie poszły na marne. Jednak złośliwa staruszka, madame Benoit, miała świętą rację. Fabiana potrzebowała męskiego towarzystwa, nawet kogoś, kogo niekoniecznie darzyła sympatią.

– Ożywiłam? – powtórzyła zawstydzona. Odwróciła spłonione spojrzenie i oparła je na stojącym na stole samowarze. Nagle poczuła pragnienie. Podniosła

się i nalala trochę czaju do filiżanki. – Jestem niegościnna. Nie zaproponowałam ci herbaty. Chcesz? – Zerknęła na Karima.

– Chętnie.

W milczeniu wypili po filiżance gorącego i słodkiego czaju.

– Co byś powiedziała na piknik? – zapytał po chwili.

– Piknik?

– Tak. Jest ciepło, słonecznie.

– Karim... – westchnęła ciężko.

– Jutro w południe – oznajmił. – Przyjdę po ciebie. Jeśli lubisz pływać, załóż strój.

ROZDZIAŁ 10

Przez cały maj na Cap Martin nie spadła ani kropla deszczu, a słońce przypiekało już od świtu. Morze zdążyło się nagrzać i na Lazurowe Wybrzeże przyjeżdżało coraz więcej turystów złąknionych dobrej pogody i wypoczynku. Na szczęście Karim nie musiał szukać miejsca do relaksu nad wodą. Miał swoje. Niewielka zatoczka granicząca z piaszczystą plażą, ogrodzona z dwóch stron kamiennym murem, a od strony rezydencji siatką dyskretnie ukrytą w wysokim żywopłocie, była prawdziwym rajskim zakątkiem. Jego prywatnym zakątkiem, bo prócz niego i kiedyś Viviane nikt nie korzystał z tego skrawka malowniczego wybrzeża Cap Martin.

Avril przygotowała kosz piknikowy, wypchała go po brzegi smakołykami i gdy Chan zaszedł do kuchni, wręczyła go, mówiąc z uśmiechem: „Jedzenia na trzy dni”, a Karim wtedy dodał żartobliwie: „I trzy noce?”, czym nieco zawstydził zarówno swoją pracownicę, jak i Fabianę, stojącą tuż obok. Niestety rozczarowała go, jeśli mowa o stroju kąpielowym. Założyła biały top na ramiączkach, dzinsowe szorty i wymówiła się niedyspozycją. Lepsze to niż paradować przy Karimie w skąnym bikini, bo tylko takie modele znalazła w przepastnych szufladach z bielizną. Szczerze mówiąc, uważała się za kompletnie głupią i niekonsekwentną, bo przecież niecałe trzy tygodnie temu Karim miał okazję widzieć ją całkiem nago. Nie potrafiła zrozumieć niektórych swoich zachowań. Z jednej strony cieszyła się, że spędzą razem trochę czasu i byłaby bardzo rozczarowana, gdyby Karim nie przyszedł do jej sypialni w południe i nie zapytał: „Gotowa?”, a z drugiej, aż ścisnęło jej żołądek, gdy wziął ją za rękę zaraz po wyjściu z rezydencji.

Rozłożyli miękki koc na piasku, Karim ustawił na środku koszyk, przyklęknął i od razu do niego zajrzał, choć wcale nie był głodny. Też czuł dziwne skrępowanie tą sztuczną sytuacją. Miał strugać pajaca i odstawiać błazenadę, żeby zabawić pannę Czeka? Żałował, że wymyślił ten głupi piknik.

– Zjesz coś? – zapytał sadowiącą się obok Fabianę. – Avril naprawdę się spisała.

– Nie jestem głodna, ale chętnie się czegoś napiję. Okropny skwar – stwierdziła Fabi, patrząc przed siebie. Gdyby mogła, zerwałaby z siebie wszystkie ciuchy i wbiegła do morza. Ale nie przy Karimie.

– Jeśli chcesz, możemy trochę pospacerować przy brzegu – zaproponował, podając jej butelkę wody evian.

– Niewielki ten nasz spaceriak – bąknęła ironicznie. – Trzydzieści metrów?

– Dla nas dwojga wystarczy – odparł niezrażony Karim. – Lubię to miejsce. Nie podoba ci się tutaj? – Odwrócił w lewo głowę, żeby spojrzeć na skały otulone niezliczoną ilością małych sukulentów i porostów. – Szkoda – westchnął bardziej do siebie niż do niej.

– Nie powiedziałam, że mi się nie podoba. – Fabiana zakręciła pustą butelkę i schowała ją do koszyka. Zerknęła w to samo miejsce, które obserwował Karim, i z zachwytem przyglądała bujnie kwitnącym roślinkom. Ich drobne kwiatuszki rozlewały się barwnymi plamami, jakby wyszły spod ręki impresjonisty. Tkwiły na tej nieprzyjaznej skale, czepiając się korzonkami do drobin mało żyznej gleby, ale jakoś przetrwały, dzielne mimo palącego słońca i wiatru, który szarpał nimi bezlitośnie. – Pięknie tu. Jak w raju.

– Pięknie – potaknął Karim. – Ale w Kazachstanie też pięknie.

– Wszędzie pięknie, gdy człowiek może oddychać wolnością – powiedziała po chwili. – Gdy ma jakieś marzenia, może je spełniać...

– Jeżeli człowiek upada na duchu, to jego koń nie może skakać – powiedział. – To nasze ludowe przysłowie. Masz jakieś marzenia? – Spojrzał na nią.

– Ja? – Fabiana parsknęła pod nosem. Objęła kolana rękami i oparła między nimi brodę. – Nie mam żadnych marzeń. Moje życie... – zamilkła, szukając odpowiedniego słowa – moje życie się zawiesiło. Nie mam gruntu, oparcia, celu ani pojęcia o przyszłości. Nic. Pustka.

– Jesteś aż tak nieszczęśliwa?

– A co to jest szczęście? – zapytała na pozór swobodnie Fabiana, bo ich oczy nagle się spotkały. Czuła, że ulega zagadkowemu spojrzeniu Karima, topniała pod jego wpływem. Nie mogła tego znieść, szybko odwróciła twarz w stronę słońca i przymknęła powieki.

– Wiem, co to szczęście dla mężczyzny – odparł.

– Naprawdę? – mruknęła Fabiana.

– Rodzina, żona, dzieci, dobry przyjaciel... – zaczął wymieniać, ale mu przerwała.

– Ciekawe – zaśmiała się, nadal nie patrząc na niego. – Czy ktokolwiek z twoich pracowników ma rodzinę, żonę, dzieci? A może biorą przykład z Chana? – Podkreśliła ostatnie słowo.

– Radik jest zakochany – zażartował Karim, myśląc, że musi zmienić klimat tej rozmowy z filozoficznego na humorystyczny. – W Avril.

– To dlaczego nie są razem?

– Bo Avril, podobnie jak on, gustuje w kobietach – powiedział, czując, że wzbudzi tym ciekawość Fabiany. Nie mylił się, otworzyła oczy i spojrzała na niego, podejrzliwie marszcząc czoło. – Z kolei Radik jest obiektem westchnień Alii, ale on nawet na nią nie popatrzy.

– Alija zakochana w Radiku? – Fabiana wywróciła oczami, bo zdało się jej to równie głupie, jak nieprawdopodobne. Co jak co, ale tak dobrze wykształcona dziewczyna nie pasowała do takiego prostaka.

– Żartowałem – zaśmiał się cicho Karim.

– A ty?

- Ja?
- Byłeś kiedyś zakochany? – Przymrużyła oczy, bo raziło ją słońce.
- Kiedyś byłem. – Wzruszył ramionami.
- I co się stało?
- Odeszła – odparł po chwili.
- Czujesz się samotny?
- A ty?
- Teraz tak. Siłą rzeczy. – Rozejrzała się wokół.
- Zanim tu przyjechałaś, nie byłaś?

Już miała sprostować, że nie przyjechała, lecz została przetransportowana jak paczka, ale co by to dało?

– Masz rację. Tymon był raczej moim współlokatorem niż chłopakiem – wyznała szczerze. – Żyliśmy razem, ale osobno. Łączył nas seks i dostęp do mojego konta. Miłość to zaufanie, patrzenie w jedną stronę tym samym wzrokiem, budowanie czegoś razem, a to wszystko było niemożliwe między nami.

– Mocne to słońce. – Potarł oko.

– Chyba się nie wzruszyłeś moją smutną historią? – Uniosła brwi, rozbawiona jego miną.

– Łatwo zmiękczyć moje serce – powiedział, sięgając do kieszeni bojówek, żeby wyjąć okulary przeciwsłoneczne.

– Nosisz okulary? – Fabiana rozchyliła ze zdumieniem usta.

– A czemu nie? – Odwrócił się, żeby nie widziała, jak zdejmuje przepaskę i skrywa oczy za prawie czarnymi szklami raybanów. – Zawsze prowadzę w okularach – wyjaśnił. – Policja nie przepada za piratami na drodze. Dosłownie i w przenośni – dodał, znów zwracając twarz w stronę Fabiany. – I jak?

– Nieźle – mruknęła z uznaniem, bo rzeczywiście Karim wyglądał znacznie lepiej bez swojego pirackiego atrybutu. – Masz szklane oko? – zapytała, nie mogąc się oprzeć i czując, że chyba spiekła lekkiego raka, bo mimo wszystko to pytanie trąciło pewną intymnością.

– Tak. Wyjąć? – zaproponował i kilka razy znacząco uniół brwi.

– Nie – odpowiedziała natychmiast Fabiana, dopiero po sekundzie zauważając, że Karim znów żartował.

– Brzydzisz się?

– Nie – skłamała. – Po prostu nie wyobrażam sobie pustego oczodołu. – Tym razem postawiła na szczerłość.

– Mam dwa.

– Dwa?

– Jedno zapasowe – odparł takim tonem, że nie mogła dojść, czy znów żartuje. – Szwajcarska jakość. Idealnie dopasowane, wygodne, a czasami przydatne do różnych celów.

- To znaczy? – Fabiana przekrzywiła głowę.
- Można się z kimś założyć, że polizesz własne oko. Wyjmujesz, liżesz i wygrana twoja! – zaśmiał się.
- Przestań. – Aż nią otrzepało.
- Kwestia przyzwyczajenia.
- Wiesz co?
- Co?
- Chcę je zobaczyć, ale nie wyjmuj – dodała naprędce, żeby mu czasem nie strzelił do głowy jakiś głupi pomysł. Wyciągnęła rękę, chcąc zsunąć okulary.
- Odchylił się, bo wolał sam to zrobić. Zdjął raybany, kilka razy zamrugał i popatrzył na Fabianę spod przymrużonych powiek. – A teraz jak?
- Miałaś rozciętą powiekę? – spytała cicho, niemalże szeptem, bo wyglądało to dosyć dziwnie. Przez środek powieki biegła czerwona blizna, lekko deformując jej kształt przy linii rzęs.
- Tak.
- Jezu... – odruchowo jęknęła po polsku. – To musiało boleć. – Wyraźnie się wzdrygnęła.
- Mogę już założyć? – Podniósł okulary, a gdy nie zareagowała, włożył je z powrotem na nos. – Trochę bolało, ale jak widać, przeżyłem – skwitował, starając się stłumić emocje.
- Myślałam, że będzie takie samo... – zająknęła się, nie wiedząc, czy powinna kontynuować. Dopiero teraz do niej dotarło, że oczy Karima wyglądały inaczej, niż przewidziała. Coś jej nie pasowało.
- Sztuczne oko nigdy nie będzie identyczne jak własne. Źrenica ludzkiego oka pracuje, a szklanego nie. Może dlatego wydają ci się różne – zasugerował, drapiąc się po podbródku, bo znów zaciął się przy goleniu, i to dosyć mocno. – Tępa żyletka – wytłumaczył obecność sporego strupka.
- Fabiana już miała zaprzeczyć, ale ugryzła się w język. Oczy Karima nie wydały się jej różne. Było odwrotnie. Miała wrażenie, że Karim patrzy na nią jak człowiek mający zdrowe oczy. Wprawdzie ciężko było zauważyć źrenice na tle równie ciemnych, prawie czarnych tęczówek, ale ruch gałek ocznych już tak, a ona nie mogła oprzeć się odczuciu, że przez krótki moment Karim skupił wzrok w jednym punkcie. „Ech, znów doszukujesz się czegoś, czego nie ma” – ofuknęła się w duchu.
- Alija mówiła, że pół roku nosisz brodę, a drugie pół chodzisz bez – zagaiła, żeby przestać już o tym myśleć.
- Że też nie macie innych tematów jak moja broda! – parsknął śmiechem.
- Gdybyś miał tyle czasu, ile ja, miałbyś różne tematy. – Fabiana wyduła usta.
- Wiesz, co to *nouruz*?

- Nie.
- To taki nasz Nowy Rok, ale obchodzony dwudziestego pierwszego marca.
- Pierwszy dzień wiosny?
- Tak, równonoc wiosenna. Obchodzimy ją wyjątkowo uroczyście. Jest wielkie ognisko, zabawy i tańce. Czasami skaczemy przez ogień, a gdy mieszkałem w Kazachstanie, brałem udział w wyścigach konnych. To największe święto, najważniejsze. Właśnie wtedy golę brodę. A gdy mija lato i zaczyna się jesień...
- Równonoc jesienna? – odpowiedziała Fabiana.
- Wtedy zaczynam ją zapuszczać.
- A czemu tak?
- Nie wiem. Od lat golę brodę na *nouruz* i zapuszczam na zimę. W lecie gorąco, więc wygodniej bez brody, ale gdy ją zgolę, uwierz: przez dobry tydzień żałuję, że to zrobiłem. Postanawiam, że już nigdy więcej, a potem mija lato, jesień, zima, a na wiosnę znów brzytwa idzie w ruch. Trochę to bez sensu. – Potrząsnął głową.
- Czy wszystko musi mieć sens?
- A nie powinno mieć? – odpowiedział pytaniem.
- A co z Nowym Rokiem? Tym naszym?
- Też obchodzimy. Pewnie pomyślisz, że coś z nami nie tak, ale mamy choinkę i kogoś na podobieństwo Świętego Mikołaja. Ajaz Ata, czyli śnieżny dziadek, przynosi prezenty, ale tylko grzecznym dzieciom – dodał rzadkim u niego melancholijnym tonem, bo na moment jego myśli poszybowały do czasów dzieciństwa.
- Na szczęście dopiero zaczął się czerwiec – westchnęła Fabiana, myśląc o tym, jak przygnębiające były ostatnie święta. Spędzali je we dwójkę z Tymonem i choć jeszcze wtedy nie było między nimi tak źle, musiała przyznać, że Wigilia okazała się bardzo smutna.
- Dostałem zaproszenie na przyjęcie – powiedział Karim, wyrrywając ją ze wspomnień. Znów zmienił temat, bo wyjątkowo nie szła mu dzisiaj ta rozmowa. Rwała się na kawałeczki i co chwilę przybierała niewłaściwy kierunek albo schodziła na manowce. – Urodzinowe party w prawdziwym pałacu.
- A gdzie?
- W Saint Tropez. W sobotę – doprecyzował.
- To już za trzy dni.
- Niestety.
- Często bywasz na przyjęciach?
- Nie lubię takich sztywnych spędów.
- Tak myślałam. – Usta Fabiany zadrgały w lekkim uśmiechu.
- Uważasz mnie za gbura? – zapytał, nie czekając wcale na odpowiedź. – A może chciałabyś mi towarzyszyć? – zaproponował niby od niechcena, ale

zdradziło go lekkie zaciśnięcie szczęki.

– Ja? – Fabiana nawet nie próbowała ukryć zdziwienia.

– Ty.

– Ale... – zacięła się, szukając jakiegoś argumentu, którym mogłaby uzasadnić odmowę. Było ich mnóstwo, lecz każdy wydawał się jej zły w tym momencie. – Może Alija byłaby lepszą kandydatką na twoją partnerkę?

– Może tak – rzucił oschle.

– Chcesz, żebym z tobą poszła? – zapytała, z trudem powstrzymując się od głośnego westchnięcia i demonstracyjnego spojrzenia w niebo. „Ciężka ta nasza gadka, jakbyśmy tłukli kamienie na drodze” – sarknęła w duchu.

– Skoro zaproponowałem?

– Dobrze, pójdę, ale sprzedam, tancerka ze mnie kiepska.

– Bez obaw. Ja też nie jestem lwem parkietu. Prędzej niezgrabnym niedźwiedziem, którego ktoś wpuścił na salony. – Uśmiechnął się, żalując, że Fabiana nie widzi, jak porozumiewawczo do niej mrugnął.

Ulżyło mu, musiał przyznać. Od rana myślał, czy ją zaprosić, czy nie. Rozważał odrzucenie zaproszenia od Baryszkowa, ale to był jeden z jego najlepszych klientów. Igor Baryszkow zamierzał hucznie uczcić siedemdziesiąte urodziny i nie wypadało odmówić. Na dodatek w gronie starannie wyselekcjonowanych osób uczestniczących w tym przyjęciu Karim mógł zawrzeć nowe, korzystne znajomości.

– Mam założyć coś specjalnego? – zaczęła ostrożnie Fabiana. Nie chciała dać po sobie poznać, ale z sekundy na sekundę czuła coraz większe podekscytowanie. Bynajmniej nie samo przyjęcie budziło w niej emocje, raczej fakt, że wreszcie choć na kilka godzin opuści swoje więzienie, wyjdzie do ludzi, spotka się z kimś spoza ścisłego grona personelu rezydencji, a wszystko legalnie i bez ryzyka, że srogo za to zapłaci. – Jaki charakter ma ta impreza?

– To urodziny dobrego znajomego. Na początku będzie drętwo i sztywniacko, a po północy wszyscy zrzucą maski i nie tylko. Zacznie się prawdziwa orgia – zreferował.

– Urodziny i orgia? – wydukała Fabiana.

– Wyjdziemy przed dwunastą – pocieszył ją rozbawiony Karim. – Co do stroju, Alija pomoże ci wszystko dograć.

– Uhm – mruknęła trochę naburmuszona, bo nie wiedziała, czy Karim mówi serio, czy się z niej nabija. – A tak w ogóle to dziękuję za zaproszenie – dodała po chwili.

– Podziękujesz po przyjęciu – odpowiedział enigmatycznie.

Jeszcze godzinę spędzili na plaży, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Gdy Fabiana wróciła do siebie, padła na łóżko i dobry kwadrans rozmyślała, kim naprawdę jest Karim. „To jak fala z wysokimi amplitudami, raz jest normalnym

facetem, a za moment zmienia się w prawdziwego potwora. Co z nim jest nie tak?” – próbowała pojąć jego zachowanie. Widziała, że bardzo się starał. Nawet miała to szczęście usłyszeć, jak głośno i szczerze się śmieje, gdy opowiadała mu trochę o Alku.

– Odkryłam, że zarejestrował się na forum dla AS-ów.

– Asów wywiadu? – zażartował.

– To forum dla osób aseksualnych – wyjaśniła.

– Serio? Jest takie forum? – Pokręcił głową. – Ale jak? To jacyś kastraci?

Eunuchy?

– Sam jesteś eunuch – prychnęła, ale ją też rozbawiło to nieco prostackie podejście do problemu.

– Póki co, straciłem oko, nie jajka – zripostował.

„Gdy chce, potrafi być miły i dowcipny” – podsumowała, czekając na Aliję, a parę minut po tym jak przyszła, przekazała jej, że będzie potrzebować sukienkę.

– Karim zabiera cię na przyjęcie? – Alija z wrażenia aż usiadła. Nie pamiętała, kiedy ostatnio Chan gdzieś się wybrał. Wiecznie jeździł po świecie, ale wyłącznie w sprawach biznesowych, a tu taka niespodzianka. – Mów, jaką chcesz kieckę! – wypaliła, szczęśliwa, że będzie miała okazję wykazać się jako stylistka.

– Wszystko mi jedno, byle nie czerwoną – odparła Fabiana, sięgając po udko z kurczaka. Zgłodniała, bo w obecności Karima jej żołądek zdecydowanie odmawiał współpracy i nic nie zjadła na pikniku.

– A to niby czemu? – Alija odchyliła się lekko na fotelu i krytycznie popatrzyła na Fabianę. Prezentowała się o niebo lepiej niż kilka dni temu. Słońce zaróżowiło jej policzki i wydobyło kilka uroczych piegów na nosku, w zielonych oczach błyszczały emocje, a nawilżone morską bryzą włosy lśniły jak nigdy dotąd. – Moim zdaniem w czerwonym będzie ci przepięknie.

– Chyba żartujesz? – Fabiana pokręciła głową. Odłożyła udko na talerzyk i otarła usta serwetką. – Nie noszę czerwonych ciuchów, bo mi nie pasują. Tobie owszem. – Z zazdrością spojrzała na aksamitną czerń włosów Alii.

– Pasuje mi czerwień, ale tobie też. Udowodnię ci jeszcze dzisiaj.

Nie żartowała. Kilka godzin później wkroczyła do sypialni Fabiany, niosąc naręcze sukienek, zapakowanych w eleganckie pokrowce sygnowane logo jednego z najlepszych butików w Nicei. Zlitowała się i wzięła również dwie czarne kiecki, a nawet taką z bladozielonego jedwabiu, oczywiście ręcznie malowaną. Lecz i tak jej faworytką była przepiękna, długa i prosta w formie suknia o barwie krwistej czerwieni.

– Popatrz, jakie чудо... – wyszeptała nabożnie. Wyjęła sukienkę i zaprezentowała Fabianie. – Jest długa, ale ma rozcięcia po bokach, a z tyłu?! – pisnęła z ekscytacją – Tył jest najlepszy. – Obróciła wieszak.

– Matko, cały tyłek mi wyjdzie. Sorry, ale to nie dla mnie. – Fabiana

pokręciła głową.

– A niby dla kogo? Przecież jesteś modelką. Kto, jak nie ty, powinien nosić takie kiecki? Może Sara? – zaśmiała się ze swojego żartu, wyobrażając sobie niską i pulchną szefową kuchni w tym krwistoczerwonym ciuchu.

– To prawdziwe złoto? Raczej nie... – mruknęła Fabiana, dotykając łańcuszka biegnącego od wąskiej opaski na szyję do dołu wycięcia. Miał dobre siedemdziesiąt centymetrów długości i dosyć duże, ale bardzo cieniutkie i płaskie ogniwa.

– Złoto – potwierdziła Alija. – Powiedz, że się zakochałaś. – Jeszcze raz spojrziała zachwycona na sukienkę.

– Zakocham się, jak ty ją założysz. A tak w ogóle, czemu wzięłaś aż cztery? Można je zwrócić? Pewnie kosztowały fortunę. – Fabiana dyskretnie zerknęła na jedną z metek i aż zagwizdała pod nosem, poznając nazwę marki, na którą mogli sobie pozwolić jedynie najbogatsi.

– Chan powiedział, że mam wziąć kilka.

– Kilka to dwie, góra trzy.

– Nieprawda. Kilka to minimum cztery. – Alija puściła jej oczko. – Przymierz.

– Nie odpuścisz?

– Nie...

– Okej, niech ci będzie. – Fabiana ustąpiła i wzięła od niej wieszak. – A co z butami? A bielizna?

– Buty są tu. – Alija wskazała brodą na wielką papierową torbę, którą przyniosła razem z sukienkami. – A bielizny nie trzeba. Wszyli specjalne miseczki.

Fabiana wzięła czarne szpilki i poszła do łazienki. Założyła suknię i wyszła nawet nie spojrzawszy w lustro.

– Łał! – jęknęła Alija na jej widok. – Łał...

Ale prawdziwe „łał” nastąpiło w sobotę. Alija przeszła samą siebie. Wreszcie mogła naprawdę pokazać, czego nauczyła się w dwuletnim paryskim studium wizażu. Nie tylko zrobiła Fabianie przepiękny, profesjonalny makijaż, z obowiązkową krwistoczerwoną szminką. Zajęła się również włosami, upięła je wysoko, a z luźnych pasm splotła warkocze i owinęła nimi koka. „Jak księżniczka! Wyglądasz jak prawdziwa księżniczka” – mówiła, co chwilę plaskając z zachwytem w dłonie.

Karim też się postarał, choć nie potrzebował pomocy, żeby ubrać się w czarny smoking. Jedyнным kolorystycznym akcentem była ciemnobordowa muszka. Idealnie kontrastowała ze śnieżnobiałą koszulą i nadawała wyrazu całości. Stał przed lustrem, ostatni raz poprawił klapy marynarki, jeszcze raz odrzucił w myślach pomysł, żeby oprócz dezodorantu i wody po goleniu użyć jakiegoś

pachnidła, i wymaszerował z pokoju, klnąc w duchu na niewygodne buty i zbyt wąskie w barach rękawy.

Szybko zapomniał o swoim dyskomforcie. Gdy ujrzał Fabianę, potrząsnął głową, bo miał wrażenie, że to mu się śni. Wyglądała tak pięknie. Pięknie, bo... Przełknął gulę wzruszenia. Ten śmiały makijaż, inna niż zwykle fryzura, suknia odbijająca swą czerwień na policzkach Fabiany... To wszystko sprawiło, że na moment zapomniał o oddychaniu. Dopiero stłumiony chichot Alii, dobiegający gdzieś z boku, przywrócił go do rzeczywistości.

– A biżuteria? Zapomniałaś? – spytał Aliję, nie spuszczając oka ze swojej partnerki. Nie mógł przestać na nią patrzeć, nawet na sekundę nie odwrócił wzroku.

– Nie noszę biżuterii – odpowiedziała coraz bardziej zawstydzona Fabiana. – Na plecach jest złoty łańcuszek, wystarczy.

– Na plecach – powtórzył odruchowo Karim.

Podszedł do Fabiany, delikatnie chwycił ją za łokieć i pociągnął, żeby się obróciła. Aż go zatchnęło, gdy ujrzał jej nagie plecy i złoty paseczek biegnący od karku i znikający gdzieś na dole głębokiego dekoltu, sięgającego do małych wgłębień nad szczytami pośladków. Gdyby mógł, pobiegłby do łazienki albo nad brzeg morza i wskoczył w zimną toń, żeby się ostudzić.

– Chyba ten łańcuszek wystarczy? – zapytała Fabiana, skrępowana do granic jego milczeniem i ciężkim oddechem, który czuła na obnażonym ciele.

– Wystarczy – potaknął. Był w takim stanie, że zgodziłby się na wszystko. Nawet gdyby Fabiana oświadczyła, że pójdzie bez butów albo w cylindrze.

– I jak? Chan jest zadowolony z mojej pracy? – wtrąciła nieśmiało Alija.

– Chan jest bardzo zadowolony – mruknął Karim.

Fabiana nie wytrzymała ciśnienia i parsknęła śmiechem. Bawiło ją, gdy ktoś zwracał się do niego w trzeciej osobie, a jeszcze bardziej gdy on sam tak mówił.

– Cieszy mnie twój dobry humor – skwitował, starając się odzyskać rezon.

Pod rezydencją czekała już na nich limuzyna z Radikiem w roli kierowcy. Fabiana rozsiadła się na tylnej kanapie i spytała, czy na razie może zdjąć niezbyt wygodne buty.

– Alija mówiła, że to dwie godziny jazdy samochodem.

– Zdejmiesz później – odpowiedział Karim i szelmowsko się uśmiechnął. Czuł, że on też ją zaskoczy.

– Popłyniemy tam? – spytała parę minut później, gdy dotarli do małej prywatnej mariny, gdzie cumował jacht motorowy Karima.

– Owszem. W godzinę będziemy na miejscu – powiedział, patrząc w jej oczy, błyszczące szczęściem jak u dziecka.

Wysiadła z limuzyny i podeszła bliżej. Wzięła głęboki wdech, bo wszystko ją zachwycało. Gwiazdy odbijały się od lustra wody, a wokół panowała niczym niezmacona cisza. Nagle gdzieś z zakamarków pamięci dotarło do niej

wspomnienie wieczoru w Savonie. Wzdrygnęła się, a dłonie natychmiast pokryła mgiełka wilgoci.

– Zimno ci? – zapytał Karim, stając tuż za nią.

– Nie... Ja tylko... – nie dokończyła.

– Chodź. – Wyciągnął dłoń.

– Jeszcze nigdy nie płynęłam jachtem – powiedziała, wstępując za nim na trap.

– Cierpisz na chorobę morską? – spytał Karim.

– Nie wiem. Chyba nie – zaśmiała się cicho.

Podróż minęła szybko, bo Fabi poprosiła, żeby Karim trochę ją oprowadził po jachcie. Zajrzeli do małej sterówki, poznała kapitana, porozmawiali, a nawet przez chwilę kapitan Jugnot pozwolił jej potrzymać stery. Niestety przyjęcie nie okazało się równie ekscytujące. Nikogo nie знаła, większość gości mówiła po rosyjsku, a ci nieliczni, którzy władali francuskim lub angielskim, też woleli rozmawiać w języku gospodarza. Igor Baryszkow obchodził siedemdziesiąte urodziny, więc i grono zaproszonych osób nie grzeszyło młodością. W zasadzie Fabiana dosyć szybko stwierdziła, że prócz Karima nie ma z kim zamienić słowa. Owszem, zauważyła kilka młodzieńskich dziewczyn, wystrojonych i błyskających mnóstwem biżuterii, ale nie miała śmiałości podejść do nich, tym bardziej że nie wyglądały na zainteresowane jej skromną osobą.

Dreptała za Karimem lub stała obok niego, gdy z kimś rozmawiał, i bez słowa sączyła szampana. „Zasnę tu z nudów” – pomyślała, widząc kolejnego Rosjanina, który chciał zamienić kilka słów z Kasymowem. Jak prawie wszyscy obecni, ten też był dosyć tęgi i ubrany w przyciasny smoking. I koniecznie złoty sygnet na serdecznym palcu! O tak, wszyscy mieli sygnety, jakby się umówili. Przedstawił się, ona też, wtedy cmoknął ją w dłoń obrzydliwie wilgotnymi ustami, skomplementował, rzucając banałem: „Karimie, twoja pani to prawdziwa piękność” i to było na tyle, jeśli chodzi o jakąś interakcję. Po godzinie tej wątpliwej rozrywki zaczęła żałować, że tu przyszła. Nie interesowało ją wykwintne jedzenie, tańce jeszcze się nie zaczęły, a w rogu wielkiej balowej sali przygrywał kwartet smyczkowy, którego absolutnie nikt nie zauważał. Równie dobrze muzycy mogli wstać, schować instrumenty do futerałów i wyjść.

Była niczym cień Karima, bo wyraźnie ją poinstruował jeszcze na jachcie: „Nie oddalasz się, nie znikasz w toalecie na pół godziny, nie pijesz za dużo, nie wdajesz się w rozmowy”. Tak... Zwłaszcza to ostatnie ją rozbawiło, chyba że liczył na jej ukrywaną dotychczas biegłą znajomość rosyjskiego. Snuła się za nim, odmawiając kelnerom, którzy co rusz proponowali a to kolejny kieliszek Dom Pérignon, a to fikuśne tartinki, ewentualnie kawior z białugi.

Rezydencja Igora oszałamiała przepychem. W zasadzie był to prawdziwy pałac, z kilkoma salami balowymi i sypialniami niczym w Wersalu. W holu wisiały

niezliczone obrazy, a biedna Fabiana nie zdążyła nawet na nie popatrzeć. Nie interesowała się specjalnie sztuką, ale dzisiaj wszystko zdawało się lepsze od tego okropnego przyjęcia. Na dodatek ktoś ustawił klimatyzację na najniższą możliwą temperaturę i było jej coraz zimniej. Z zazdrością patrzyła na marynarki gości.

– Mogę iść pozwiedzać rezydencję? – Nachyliła się, żeby szepnąć Karimowi swoją prośbę. Od razu spojrział na nią czujnie i zmarszczył czoło. – Obiecuję, że się nie zgubię. Pójdę pooglądać obrazy, a potem na chwilę wyjdę do ogrodu.

– W porządku – mruknął bez krzty entuzjazmu. – Kiedy wrócisz?

– Pół godzinki i jestem z powrotem.

– Okej. – Odsunął rękaw i spojrział na zegarek.

– Przepraszam, zostawiam panów na chwilę – powiedziała po francusku Fabiana, rzucając okiem na entego rozmówcę Karima. „Może zna choć podstawowe zwroty” – pomyślała, nie czekając na reakcję.

Zostawiła obu panów i poszła w stronę jednego z wyjść z sali. Odetchnęła z ulgą, gdy ucichł nieznośny gwar rozmów. Spacerowym krokiem przechadzała się po holu, ale tu było jeszcze chłodniej, bo zabrakło ciepła bijącego od rozgrzanych alkoholem ciał gości. Postanowiła spędzić całe swoje krótkie wychodne na zewnątrz. Obcasy szpilek wybijały coraz szybszy rytm na marmurowych posadzkach. Lokaje usłużnie otworzyli przed nią drzwi i już... Była wolna.

– Jak ciepło... – jęknęła z zachwytem.

Zeszła z kilkunastu szerokich schodów i obróciła się, żeby móc jeszcze raz podziwiać okazałą bryłę budynku. Zadarła głowę. Oświetlone od dołu pilastry i gzymsy tworzyły przepiękną, harmonijną kompozycję. Musiała przyznać, że Igor Baryszkow miał doskonały gust lub raczej ogromne pieniądze, którymi opłacił twórców tej architektonicznej perły.

– Imponujące, prawda? – Usłyszała zza pleców młodzięczy głos.

Natychmiast się odwróciła. Wysoki blondyn, mniej więcej w jej wieku, podszedł bliżej i rozciągnął usta w uśmiechu. Próbowwała po stroju ocenić, czy jest jednym z gości Igora, czy może kimś z licznej obsługi. Niestety biała polówka i sprane džinsy, choć wyglądały na świeże, nie pasowały jej do żadnej z tych dwóch grup.

– Eric Tardieu – przedstawił się i lekko skłonił głowę.

– Fabiana Czekaj – odwzajemniła powitanie, dopiero po chwili reflektując się, że nie powinna zdradzać komuś obcemu prawdziwego imienia i nazwiska. Ukradkiem spojrzała na oddaloną o kilkanaście metrów bramę wjazdową i z ulgą spostrzegła, że stoi tam co najmniej sześciu strażników. Mogła czuć się bezpieczna, ale na wszelki wypadek postawiła mały krok do tyłu. – To prawda, wyjątkowo piękny budynek – zagaiła ostrożnie, jeszcze nie do końca przekonana, czy wolno jej rozmawiać z tym młodym, szczupłym Francuzem.

– Przepraszam, że cię zaczepiłem. – Uśmiechnął się, wyraźnie skrępowany.

– Widzę, że chyba przeszkadzam.

– Nie przeszkadzasz. Wyszłam na chwilę zaczerpnąć...

– Ciepłego powietrza – dokończył za nią i wskazał brodą na jej ramię pokryte gęsią skórką.

– O tak! – parsknęła pod nosem. – Igor zafundował nam wszystkim niezłą krioterapię.

– Nie jestem gościem – sprostował natychmiast Eric. – Pracuję w firmie dostarczającej bieliznę stołową.

– Bieliznę?

– Tak. Obrusy, napperony, laufry... – wymienił kilka dziwnie brzmiących nazw. – Przywiozłem dodatkowy zapas, bo ktoś zamówił zbyt mało.

– Aha.

– Zaczepiłem cię, bo jesteś bardzo podobna do mojej znajomej. Szczerze mówiąc, w pierwszym momencie myślałem, że to ona. Chodziliśmy razem do szkoły.

– Obawiam się, że to jednak nie ona. – Fabiana puściła mu oczko.

– Pochodzisz z Rosji?

– Z Polski.

– Ach tak? – Znów się uśmiechnął. – Dla mnie wszystkie słowiańskie języki brzmią tak samo. I akcent też.

– Mój wykładowca francuskiego byłby załamany – zażartowała.

– A może pójdziemy na spacer? – zaproponował.

– Spacer? – Fabiana natychmiast się spłoszyła.

– Tu, niedaleko. Za wschodnim skrzydłem jest cudowny park. – Pokazał ręką. – Nie bój się, tam też są goście. I kelnerzy. – Popatrzył na jej pusty kieliszek po szampanie.

– Zgoda.

Spacerowali noga za nogą, odkrywając, że mają wspólne tematy do rozmowy, a dokładnie jeden temat. Eric pasjonował się fotografią i zaliczył już kilka małych sukcesów. Od razu stwierdził, że Fabiana jest wyjątkowo fotogeniczna.

– Chętnie zaproszę cię na sesję. Może w plenerze? Pojedziemy w góry albo popłyniemy na wyspę Świętej Małgorzaty. Tam jest odpowiedni klimat. Ruiny... – cmoknął z zachwytem.

– Niestety, ale nie skorzystam – odparła, czując, że chyba ma szczęście do fotografów, których nie interesują damsko-męskie sprawy. Eric miał miękki, łagodny głos, poruszał się ze specyficzną kobiecą gracją i zdecydowanie zbyt często gestykułował. „Gej na sto procent” – postawiła bezgłośnie diagnozę.

– Trudno, ale numer telefonu musisz mi dać. Gdybyś zmieniła zdanie, zadzwonisz.

– Obawiam się, że na to też nie możesz liczyć – odparła, dbając o to, by jej głos brzmiał lekko i wesoło.

– Taki zazdrośnik? – Eric spojrział na nią z ukosa.

– Uhm...

Gdy obeszli skrzydło pałacu, rzeczywiście ujrzała idealnie przystrzyżone krzewy, trawnik gładki niczym dywan, a w oddali lśniąca taflę basenu. Tu i ówdzie kręcili się goście. Stali w większych grupkach lub spacerowali, pijąc alkohole roznoszone przez kilku wszędobylskich kelnerów. Eric zatrzymał jednego z nich, ustawił na tacy kieliszek Fabiany i wręczył jej pełny.

– Wypij moje zdrowie – poprosił.

– A ty?

– Muszę wrócić firmową furgonetką.

– No tak.

– Chodź, pokażę ci, co jest na dnie basenu. – Kiwnął ręką.

– A coś tam jest?

– Zobaczysz...

ROZDZIAŁ 11

Chociaż rozmowa z Nikołajem Stołypinem okazała się całkiem interesująca, bo panowie rozprawiali o wyścigach konnych i o swoich stadninach, a przecież Karim miał takową w Kazachstanie, i tak nie mógł się oprzeć, żeby co jakiś czas dyskretnie zerknąć na zegarek. Za każdym razem zdawało mu się, że już dawno minęło wyznaczone Fabianie pół godziny, a tu, jak na złość, minuty wlekły się niczym godziny. W końcu Stołypin parsknął śmiechem, powiedział coś o byciu młodym i zakochanym i uwolnił Karima od swojego towarzystwa.

– Czas wypić toast za naszego ukochanego solenizanta, a pan, panie Kasymow, powinien iść poszukać tej pięknej dzierlatki, bo jeszcze wpadnie w czyjeś sidła. – Poklepał go krzepiąco po ramieniu. – Ja też idę znaleźć moją Lidkę, choć nie przypuszczam, że jest dla kogoś pokusą – zaśmiał się rubasznie i pożegnał skinieniem głowy.

Karim z ulgą opuścił salę, energicznie przeszedł przez hol, nawet nie licząc, że spotka tam Fabianę. Mógł powiedzieć, że już dosyć dobrze ją poznał, więc od razu skierował się ku wyjściu z rezydencji. Stał na szczycie schodów i rozejrzał na boki.

– Ech... mam nadzieję, że jesteś z tyłu domu, bo jak nie... – Zmarszczył brew.

Najpierw sprawdził ogród przy zachodnim skrzydle, żeby z niepokojem stwierdzić, że Fabiany tam nie ma. Starał się nie dać po sobie poznać, że jest zdenerwowany, więc choć nogi rwały się do biegu, a w głowie obrzucał gospodarza stekiem obelg za ten gigantyczny teren posesji, szedł powoli wzdłuż pałacu, myśląc, że jest kompletnym durniem. Przecież minął raptem kwadrans, jak Fabiana go opuściła. Jednak wiedział, że w ciągu piętnastu minut można uciec, znaleźć środek transportu i wtedy szukaj wiatru w polu.

Aż westchnął, gdy ją zobaczył. Nie miał wątpliwości, że to Fabiana. Tylko ona założyła na tę uroczystość długą, czerwoną suknię. Stała i z kimś rozmawiała, niewątpliwie z jakimś mężczyzną. Z każdym krokiem zauważał coraz więcej detali: towarzysz Fabiany był młody, ubrany bardzo nieformalnie i miał dosyć wysoki, przenikliwy głos, bo Karim słyszał go już z kilkudziesięciu metrów. Nagle kiwnął na Fabianę ręką, ta do niego podeszła i...

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że stoją nad brzegiem basenu.

Przyspieszył.

Podbiegł.

Nogi same go poniosły.

Widział, jak ona nachyla się nad basenem, stoi przy krawędzi, a ten ktoś kładzie dłoń na jej plecach, jakby chciał ją wepchnąć...

– Viviane! – krzyknął rozpaczliwie. – Nie!!!

Dopadł ich w sekundę, może dwie. Jakieś kobiety, które przechadzały się po drugiej stronie basenu, aż zamarły z wrażenia, gdy Karim z impetem wpadł między tę śliczną blondynkę w czerwonej sukni a zupełnie do niej niepasującego młodzieńca w pomiętej polówce.

– Patrz! – Jedna chwyciła drugą za ramię. – Patrz, co on wyprawia. – Nie spuszczały oka z tajemniczego mężczyzny z czarną przepaską na oku.

Karim popchnął Fabianę, aż upadła na posadzkę przy basenie. Eric od razu wylądował w wodzie. Próbował wygramolić się ze środka, klnąc na czym świat stoi, ale gdy podpłynął do krawędzi niecki i oparł dłonie, żeby wyskoczyć z wody, Karim nadepnął mu na rękę.

– Co robisz, debilu?! – wrzasnął Francuz. Odpłynął dwa metry od brzegu i z przerażeniem patrzył na napastnika, który właśnie skupił swoją uwagę na tej miłej Polce. – Ja nie mogę, co za gnój... – wymamrotał do siebie Eric.

Miał nadzieję, że zaraz ktoś wezwie na pomoc ochroniarzy, żeby zrobili porządek z tym chamem, ale nikt się nie kwapił. Widocznie wszyscy uznali, że lepiej się nie wtrącać. Zresztą kto by się odważył? Nagle wszyscy goście, którzy kręcili się wokół basenu, dyskretnie opuścili to miejsce. Został tylko dryfujący w wodzie Eric i ta dwójka.

– Miałaś wrócić!!! – wrzeszczał Karim, stojąc przed Fabianą. Przed chwilą podniósł ją niczym szmacianą lalkę, a teraz trzymał mocno za ramiona i potrząsał, bezlitośnie wbijając palce w jej delikatne ciało. – Miałaś wrócić! – powtórzył. – Czemu zawsze muszę cię szukać!

– Boli... – jęknęła, gdy jeszcze silniej zacisnął dłonie.

– Mnie też boli, gdy ciągle muszę wyciągać cię z kłopotów! – Nie popuścił nawet na gram.

– Nie... – zacięła się. Chciała powiedzieć, że nie minęło obiecane pół godziny, ale ślepa furia w jego wzroku skutecznie pozbawiła ją głosu. Bała się popatrzeć, czy z Erikiem wszystko w porządku, zakładając, że to może rozsierdzić już i tak wściekłego Karima. Nagle usłyszała chlupotanie po przeciwnej stronie basenu, a potem do jej uszu dotarło francuskie przekleństwo i coś, co zabrzmiało jak: „Bydlę. Prawdziwe bydlę”.

– Koniec! Wracamy do domu! – Karim szarpnął ją za rękę.

Włókł Fabianę za sobą, zmierzając ku bramie tak energicznie, że musiała podbiegać co kilka kroków. Obcas lewej szpilki zbyt mocno wbił się w miękką murawę. Jej but został tam, błyskając złotym wnętrzem, jak pantofelek Kopciuszka. Szła za Karimem, starając się nie utykać. Ostre kamyczki na podjeździe zraniły stopę, ale nie czuła bólu.

Tego bólu nie.

Dotarli na jacht. Zeszła na dół, do saloniku. Znalazła jakiś kątek. Kącik. Dziurę, gdzie mogła się schronić. Oczywiście pozornie. Siadła zaraz przy ścianie.

Skuliła się na wybitej skórą kanapie, zdjęła drugą szpilkę i oburącz przycisnęła do piersi, jak tarczę, amulet, który miał ją uchronić przed złem. „To od Alii. Czeka na mnie w domu. Przygotuje mi kąpiel, a potem pójdę spać” – pomyślała, wbijając wzrok w mały bulaj.

– Gdzie twoje buty? – zapytał Karim, który dopiero teraz dołączył do niej.

Nie odpowiedziała. Kurczowo ścisnęła ocalałą szpilkę od Manolo Blahnika i wpatrywała się w czerń nocy, ignorując to, co odbijało się w szybcie. „Nie słuchaj go. Nie patrz na niego. Jego tu nie ma” – powtarzała, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Jesteś głucha?! Gdzie masz buty?! – Dostoczył do niej. Chciał znów postawić ją do pionu, dosłownie i w przenośni, gdy nagle zauważył, że cała drży. Spojrzał na jej stopy i dostrzegł krew. – Co, u diaska? – Kucnął, chwycił jej nogę i podniósł. – Kurwa mać! – zaklął, widząc, jaka jest poraniona.

– Zgubiłam but – wyszeptała, nie patrząc na Karima.

– No przecież widzę! – warknął wściekły. – Możesz dostać tęczca albo innego gówna! Czemu nie powiedziałaś, że ci spadł?!

– Zgubiłam but – powtórzyła. Zamknęła oczy. Spod powiek zaczęły nieśmiało uciekać pierwsze krople łez. – Dostałam je od Alii. Kupiła mi za swoje pieniądze. Powiedziała, że to prezent od niej. A ja go zgubiłam.

– Kurwa mać! Kupię ci nowe, sto par nowych pierdolonych butów! Nie rozumiesz, że to nieważne!? – Zerwał się na równe nogi. Wyrzucił w górę ręce i na moment wznosił wzrok ku niebu. – Mam nadzieję, że na nic nie zachorujesz. Poczekaj – polecił. Podeszedł do barku, odkręcił butelkę stolicznej, a z szufladki pod kontuarem wyjął czystą ścierkę. – Trzeba to obmyć. Będzie szczypało – uprzedził, przysiadając obok i biorąc jej nogę na kolano.

– Zgubiłam prezent od Alii – powtórzyła jak mantrę.

– Mam go odzyskać? – Nagle Karim domyślił się, że Fabiana nie odpuści. Czuł, że przegiął. Zrobił z siebie kompletnego durnia, prawdziwego furiata, ale najbardziej nie mógł sobie wybaczyć, że widział w jej oczach paniczny strach. – Mam iść i poszukać tego buta? – Nachylił się.

– Kim jest Viviane? – odpowiedziała mu cichym pytaniem.

Co z tego, że później zachował się jak dżentelmen? Opatrzył jej stopę, poprosił kapitana Jugnota, żeby jej towarzyszył, a sam pobiegł do rezydencji Igora, żeby odnaleźć zgubiony but. Dopłynęli do mariny w Cap Martin, zacumowali, a Karim zaniósł Fabianę do samochodu i tak samo – w jego silnych ramionach – pokonała drogę między autem a swoją sypialnią.

Przez cały ten czas nie odezwała się do niego ani słowem. Posadził ją na łóżku, przyklęknął przed nią i spytał, czy się na niego gniewa. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć w tarasowe okna. Zamiast czerni otulającej zatokę ujrzała tylko

odbicie siebie samej i Karima, człowieka, który stanowił dla niej coraz większą zagadkę, choć wcale tego nie chciała. Bóg jej świadkiem, że starała się o nim zapomnieć, traktować go jak Rachata czy Gastona, ale to było niemożliwe. Zwłaszcza gdy spała. W snach potrafiła znacznie szybciej dotrzeć do niewygodnej prawdy niż na jawie. Kontrolowała myśli, ale gdy śniła, wszystko wyglądało inaczej.

„Dlaczego taki jesteś? – zadawała mu bezgłośnie pytania. – Raz dobry, czuły, troskliwy, a za chwilę zmieniasz się w kogoś, kogo boję się tak bardzo, że tracę rozum, oddech...”

– Gniewasz się? – powtórzył. – I słusznie. Trochę przesadziłem.

„Przesadziłeś?!” – zachnęła się w myślach. Odruchowo potarła ramię. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, że na skórze pojawiły się siniaki, ślady po tej jego lekkiej przesadzie.

– Nie odezwiesz się? – powiedział, kładąc dłoń na jej kolanie.

W końcu popatrzyła na niego. Powoli zsunęła jego dłoń i zapytała dobitnie:

– Kim. Jest. Viviane.

– Viviane – powtórzył, podobnie jak ona przybierając oznajmujący ton.

– Viviane.

Nagle ciszę sypialni zakłócił delikatny dźwięk dzwonka telefonu. Karim przez moment próbował go zignorować, ale gdy ktoś zadzwonił ponownie, przeprosił Fabianę, wstał i wyszedł na taras. Wrócił po kilku minutach. Jego twarz, już i tak zmęczoną, przeszywał co chwilę delikatny skurcz mięśni.

– Muszę pilnie wyjechać – oznajmił i wyszedł.

– Krzyż na drogę – westchnęła Fabiana.

Opadła plecami na łóżko, zamknęła oczy i pomyślała, że już nigdy, przenigdy nie odezwie się do Karima ani słowem. „Dobrze, że wyjechał. Odetchnę. Muszę złapać dystans, potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć, i może nawet zapomnę o tym uczuciu. Tylko dlaczego już mi go brak? – zawyła w duszy. – Skąd ta przekłeta pustka i tęsknota?”

– O, kochana! Jeśli myślisz, że tym razem pozwolę ci na te twoje smutki i głodówki, jesteś w grubym błędzie! – Alija stała nad Fabianą, a jej oczy ciskały gromy.

Była niemożebnie zła. Prawda taka, że najbardziej na Karima, ale on wyjechał. Postanowiła więc rozmówić się z Fabianą, bez względu na to, że jej pani wyglądała jak kupka nieszczęścia: nie zdjęła sukienki, nie zmyła makijażu, a śliczna wieczorowa fryzura zmieniła się we wronie gniazdo. Leżała w rozbebeszonej pościeli, na poduszce wymazanej kosmetykami, a obok niej leżały brudne od trawy buty.

– Naprawdę, nic mi nie jest – odburknęła Fabiana.

Może gdyby jej wygląd robił lepsze wrażenie, Alija łatwiej by uwierzyła, że nic się nie stało, ale to wszystko, co zastała po otwarciu drzwi sypialni i pobieżnym rzucie oka, sugerowało coś innego.

– Co ten... – nagle zacięła się, zauważając siniaki na obu ramionach Fabi. – Co ten zapchlony pies ci zrobił?! Zabiję go, jak wróci! Przysięgam! – Usiadła przy niej i nachyliła się, żeby dokładnie zobaczyć sinofioletowe placuszki po palcach Karima. – Zabiję go! Co się stało?! Mów zaraz!

– Nic. Błagam, daj mi spokój – odparła Fabiana i odwróciła się do niej plecami.

– Nie dam ci spokoju.

– To nie dawaj.

– Fabi... – jęknęła Alija. – Proszę, tylko nie to... Porozmawiaj ze mną. Co się stało? Uderzył cię?

– Nie.

– To skąd te sińce?

– Chwycił mnie za ramiona.

Fabiana prawie niezauważalnie pokręciła głową, żałując, że to powiedziała. Jakie miało znaczenie, co zrobił jej Karim? To i tak niczego nie zmieniało. Zawsze gardziła mężczyznami, którzy stosowali przemoc wobec kobiet, i musiała mieć wyjątkowego pecha, bo ostatnio tylko tacy stawali na jej drodze.

– Za ramiona? A co z twoją stopą? – Nic się nie ukryło przed czujnym spojrzeniem Alii.

– Skaleczyłam się, bo wracałam z przyjęcia w jednym bucie. I wcale nie przez alkohol – dodała sarkastycznie. – Byłam trzeźwa jak szczygieł. Uwierz. Trzeźwa, posłuszna, miła i punktualna.

– Fabi! – zabrzmiało groźnie.

– Ech... – burknęła Fabiana, czując, że nie wygra z uporem Alii. Usiadła i zerknęła na nią z niechęcią. – Stałam przy basenie, gadałam z takim jednym chłopakiem, który tam był, z obsługi. Pokazywał mi lustra na dnie basenu i wtedy wpadł Karim, wepchnął Erica, czyli tego chłopaka, do basenu, a mnie...

– O matko – przerwała jej Alija. Zakryła dłonią usta i potrząsnęła głową.

– Karim. Ma. Coś. Z głową – wycodziła Fabiana. – Zrobił mi awanturę, bo stałam i patrzyłam na dno basenu! Wyobrażasz sobie? Szarpał mną, wrzeszczał. Najpierw pozwolił mi wyjść do ogrodu, a za chwilę przybiegł tam, pchnął mnie na ziemię, potem postawił na baczność i zjechał jak psa, a później włókł za sobą. Właśnie wtedy zgubiłam szpilkę – doprecyzowała. – A na jachcie? Czule się mną zajął, opatrzył stopę, nawet wrócił po but, zaniósł mnie do samochodu, przyniósł tutaj, a na okrasę powiem, że gdy pędził do nas, wykrzykiwał imię jakiejś Viviane. Przykro mi to stwierdzić, ale twój ukochany Chan jest pierdolnięty – oznajmiła,

akcentując ostatnie słowo. – Pierdolnięty na całego. Schizofrenia? – Spojrzała na lewe ramię, gdzie prawa, silniejsza dłoń Karima, zostawiła po sobie wyjątkowo malownicze ślady.

– Viviane... – powtórzyła szeptem Alija.

– Owszem. Oczywiście ty też mi nie powiesz, kim jest tajemnicza Viviane i dlaczego Karimowi tak odbiło. Dlatego daruj sobie to swoje fałszywe współczucie, te kłamstewka i niedopowiedzenia i zostaw mnie samą – fuknęła, nadal skupiając wzrok wyłącznie na swoim ciele. Przesunęła się na brzeg materaca, zgięła nogę i położyła stopę na kolanie, żeby ją pooglądać. Nie było źle. Do podbicia wbił się ostry kamyczek, Karim wyjął go i zdezynfekował to miejsce. Już wytworzył się mały strupek. Skóra wokół nie bolała, ale i tak Fabiana postanowiła, że posmaruje rankę maścią z antybiotykiem. – Jeszcze tu jesteś? – burknęła do Alii, z udawanym zainteresowaniem wpatrując się w spód stopy.

– A żebyś wiedziała, że ci wszystko powiem! – Nagle Alija zerwała się z łóżka, stanęła na środku pokoju i wycelowała w Fabianę wskazujący palec. – A żebyś wiedziała.

– Już się boję – parsknęła Fabiana. Opuściła nogę na dywanik i spojrzała na Aliję nieco kpiąco. – Więc? – Przechyliła głowę.

– Viviane to... była żona Karima – wykrztusiła z trudem Alija.

– Żona? – zapytała Fabiana, zaskoczona obrotem sprawy.

– Tak.

– I co z nią?

– Nie żyje. Przecież powiedziałam, że to jego była żona.

– Umarła? Jezu... – jęknęła Fabiana. Nagle spostrzegła, że czoło Alii pokryło się lekką warstewką potu. – Będziesz miała kłopoty?

– Pewnie tak, ale mam to gdzieś. Chan może mnie zwolnić, choćby dzisiaj – odparła z mocą. – Zaoszczędziłam trochę kasy, starczy na minimum pół roku życia we Francji. Mam francuskie obywatelstwo, poradzę sobie sama. Znajdę pra...

– Jeśli ci Karim pozwoli – weszła jej w słowo Fabiana.

– Masz rację. – Nagle Alija poczuła, jak uchodzi z niej cała para. Oklapła niczym przekłuty balon, myśląc, że jest beznadziejna, skoro nie potrafiła nigdy postawić się Chanowi. – Ciebie uprowadził siłą, ale ja? Boję się życia, samodzielności. Niewolnica na własne życzenie. Tchórz! Jestem tchórzem – powiedziała z goryczą.

– Nieprawda. Nie jesteś tchórzem. Sorry za tamto. Nie powinnam była tak do ciebie mówić. Przepraszam.

– Nic się nie stało. Masz rację, już najwyższy czas, żebym była wobec ciebie szczerą. Tym bardziej że... – Alija znacząco wskazała brodą na miejsce, w którym kiedyś wisiała kamera. Przyniosła wózek ze śniadaniem bliżej łóżka i usiadła przy Fabianie. – Zjedz coś. Kiepsko wyglądasz – zaśmiała się cicho i musnęła jej

policzek pomazany tuszem do rzęs.

– Zaraz. – Fabiana położyła rękę na przygarbionych plecach Alii i przytuliła ją. – Nie jesteś żadnym tchórzem. Wręcz przeciwnie, trzeba mieć sporo odwagi, żeby żyć z takim szefem.

– Jesteś kochana – odparła Alija.

– To ty jesteś kochana. Pić mi się chce. – Fabiana sięgnęła po filiżankę, żeby nie poddać się wzruszeniu, które ją ogarnęło na widok poczerwieniałych oczu Alii. Napelniła ją po brzegi gorącym naparem. Upiła kilka małych łyżek i odstawiła, żeby wystygło. – I pomyśleć, że kiedyś nie znosiłam czaju. To co z tą Viviane? Powiesz mi coś jeszcze? – Jej głos zdawał się brzmieć spokojnie, ale tylko na pozór. Musiała przyznać, że coś ukłuło ją w sercu, gdy usłyszała słowo „żona”. Ukłuło tak boleśnie, że ciągle to czuła. – Dawno zmarła?

– Dwa lata temu.

– Och! – Fabiana odruchowo przytknęła dłoń do ust. – Dwa lata temu? Niedawno. – Pomyślała, że to trochę usprawiedliwia dziwne zmiany nastroju u Karima. – Ile miała lat?

– Była bardzo młoda. Młodsza od Chana.

– Okropne. – Fabiana poczuła, jak jej ciało pokrywa się gęsią skórką. – Wypadek?

– Opowiem ci wszystko, ale...

– Mam o tym zapomnieć?

– Tak. To się zdarzyło pół roku po ich ślubie – zaczęła Alija. – Oczywiście wzięli cywilny ślub, ze względu na różne wyznania – doprecyzowała. – Karim zaplanował wyjazd na urlop. Viv go uprosiła, bo spędzali ze sobą zbyt mało czasu. Wtedy też ciągle wyjeżdżał. Wiecznie interesy i interesy. – Zerknęła porozumiewawczo na Fabianę. – Poleciliśmy na Filipiny, na wyspę Palawan. Puerto Princessa... – rozmarzyła się na chwilę – piękne miejsce.

– Poleciliśmy? – Fabiana sprowadziła ją z powrotem do Cap Martin.

– Tak. Chan z żoną, ja i Seryk, jego brat. Służyłam Viv, jak teraz służę tobie – wyjaśniła.

– A Seryk? Dla towarzystwa?

– Tak. Głównie mojego. – Alija blado się uśmiechnęła. – Chan zawsze mówił, że chce nas wyswatać, ale Seryk nigdy mi się nie podobał. Nie był w moim guście. – Wzruszyła ramionami. – Kto wie, po co zabrał go ze sobą.

– A ty mu się podobasz?

– Nie. Nigdy mu się nie podobałam – odparła Alija.

Fabi już miała na końcu języka pytanie, co się z nim stało, skoro Alija wyraża się o bracie Karima w czasie przeszłym, ale postanowiła spokojnie poczekać na rozwój historii.

– Byliśmy tam już ponad tydzień, gdy zdarzył się ten okropny wypadek. Od

rana wisiało coś w powietrzu, wszyscy byli nerwowi. Mieszkaliśmy w małej willi z basenem. Miałam osobny pokój, zaraz naprzeciw apartamentu Chana i Viv, słyszałam, jak się kłóć. Zresztą kłócili się już wcześniej, ale wtedy starałam się wychodzić, żeby tego nie słyszeć. Czasami Seryk dotrzymywał mi towarzystwa, a czasami sama spacerowałam po okolicy albo szłam na plażę. Pięknie tam jest. Raj.

– Tu też jest pięknie – powiedziała Fabiana. Napełniła swoją filiżankę czajem i podała Alii.

– Wieczorem znów się zaczęli sprzeczać, słyszałam ich przez dwoje drzwi i korytarz, tak byli głośno. Na szczęście obsługa przywiozła jedzenie i nakryła stół do kolacji, więc skończyli wrzeszczeć. Zeszliśmy na dół do jadalni, nawet coś zjadłam, ale z minuty na minutę było coraz gorzej.

– Awanturowali się przy stole? – Fabiana uniosła brwi.

– Nie kłócili się, ale te spojrzenia... – Alija pokręciła głową. – W końcu Seryk powiedział, że jedzie do centrum do jakiegoś klubu nocnego, a ja wymówiłam się bólem głowy i wróciłam do pokoju. Zażyłam coś na sen i odpłynęłam. Zawsze nastawiałam budzik na szóstą rano, żeby wstać, oporządzić się i o ósmej już być gotową, ale nie zdażył mnie obudzić. Przed piątą rozpętało się piekło. – Upiła trochę czaju, bo zaschło jej w gardle. – Usłyszałam krzyki Chana dobiegające z ogrodu, wybiegłam na mały balkonik i wtedy ją zobaczyłam.

– Viviane?

– Tak. Basen był zaraz pod moimi oknami, może pięć metrów od ściany budynku. Niewielki, prostokątny, niezbyt głęboki. W ogóle z niego nie korzystaliśmy, bo komu by się chciało pływać w takiej sadzawce? – zaśmiała się słabo, zatrzymując na Fabianie szkliste spojrzenie. – Panienska Viv leżała na dnie, a Karim stał nad nią i przeraźliwie krzyczał. Potem skoczył do wody, wyciągnął Viviane, ale wiadomo było, że panienska już nie żyje. Nigdy nie zapomnę, jak klęczał, tuląc ją i płacząc. Patrzył w niebo, krzyczał jej imię, a potem znów dociskał twarz do jej mokrych włosów i tulił jak dziecko... – wyszeptała. Po jej policzkach płynęły łzy. – Przyjechał ambulans, dwóch sanitariuszy i lekarz. Od razu stwierdzili, że Viv nie żyje. Lekarz powiedział, że zmarła kilka godzin wcześniej, zresztą wszystko się nagrało. Gdyby nie monitoring, nie wiadomo, jak by się to skończyło.

– Alibi?

– Tak. Nikt z nas go nie miał. Mimo nagrania policja przesłuchiwała wszystkich. Viviane po kolacji wróciła z Chanem do apartamentu. Ponoć znów się posprzecziali i stwierdziła, że wybiera się do centrum, do Seryka. Ale nie dotarła. Płatała się po ogrodzie, zaszła na chwilę do domu, potem widać było, że zabrała jakiś alkohol. Piła prosto z butelki i chodziła bez celu. Podeszła do basenu i potknęła się. Tam była kratownica z odpływem, a Viviane chodziła w klapkach na

szpileczce. Obcas wpadł w jedną z dziurek, Viv straciła równowagę i wpadła do wody.

– Nie usłyszałaś?

– Nie. Spałam jak zabita. Zamknęłam okna, bo noc była wyjątkowo parna i duszna. Nie słyszałam... – Alija się stropiła. – Nigdy sobie tego nie wybaczę. Tylko ja miałam sypialnię od tej strony ogrodu.

– Utopiła się przez alkohol? Czy nie umiała pływać? – Fabiana nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe.

– Nie była pijana. Widziałam to nagranie, piła wino, zdążyła opróżnić może ćwierć butelki. A pływała doskonale. Panienska Viv startowała w zawodach, w pływaniu synchronicznym. Jej team zdobył brązowy medal na ostatniej olimpiadzie.

– Więc?

– Upadając, uderzyła głową w metalową barierkę przy schodkach do basenu. To była naprawdę sadzawka, raczej dla dzieci niż dla kogoś, kto pływa zawodowo. Viviane uderzyła w barierkę skronią i straciła przytomność. Zanim ją odzyskała... Gdyby ktoś był przy tym, zobaczył, na pewno dałoby się ją uratować. – Alija otarła łzy. – Sekcja wykazała tylko lekki wstrząs mózgu. Przecież to nic strasznego.

„Nic, pod warunkiem, że nie leżymy twarzą w wodzie” – pomyślała oszołomiona do głębi Fabiana. Już zrozumiała wszystko: wczorajsze zachowanie Karima, brak basenu przy rezydencji... Prawie wszystko, bo jeszcze kilka pytań cisnęło się na usta.

– Dlaczego Karim nie poszedł za nią? Pozwolił jej jechać do klubu? Nie sprawdził, gdzie się podziewa? – Przymrużyła oczy.

– Nie wiem. Nigdy go o to nie spytałam. Nie miałam odwagi. – Alija dołała czaju do filiżanki i opróżniła ją duszkiem, choć napar nadal był gorący. – Nikt nie miał odwagi. Chan oszalał. Pozwał firmę, do której należała ta willa. Puścił ich z torbami, choć nie uczynili nic złego. Nie oglądali na bieżąco nagrań z kamer usytuowanych przy willach ze względu na prawo do intymności osób, które w nich przebywały.

– Wobec tego po co je zamontowali?

– Przydawały się właśnie w takich sytuacjach, jak wypadek Viviane. Ponoć kilka lat wcześniej mieli jakieś problemy z gośćmi i stąd dyskretny monitoring.

– To straszne. – Fabiana ścisnęła drżącą dłoń Alii. – Straszny wypadek. Głupia śmierć. Taka młoda dziewczyna...

– Czasami mała, z pozoru nieważna decyzja potrafi zmienić całe nasze życie. Gdyby Chan poszedł jej poszukać albo ja nie wzięłabym tabletki na sen, Seryk nie wybrał się do tego klubu... – zawiesiła głos. – Cokolwiek, decyzja kogoś z nas, Chana, Seryka, moja... Byłoby inaczej.

– Nie obwiniaj się. – Fabiana pogłaskała ją po dłoni.

– Do dziś nie mogę się z tym pogodzić. Viv była taka pełna życia. Jakby czuła, że umrze młodo. Była jak... – Alija zamilkła, szukając właściwego słowa – jak szczeniaczek. Wesoła, trochę hałaśliwa. Wszędzie jej było pełno. Uwielbiała tańczyć i śpiewać, choć akurat to ostatnie niezbyt dobrze jej wychodziło. Nie miała głosu – zaśmiała się cicho pod nosem. – Lubiła się stroić, chodzić na zakupy, jeździła na pokazy mody do Włoch. Pierwsze wrażenie? Płochą i próżną, ale nikomu to nie przeszkadzało. Chan obsypywał ją prezentami. Lubiła pieski, więc kupił jej dwa takie małe szczeniaki rasy chihuahua. Mówił, że są głupie, ale nigdy przy panience, bo od razu na niego krzyczała. Fluffy i Daisy. Zabierała je wszędzie ze sobą, nawet spały z panienką.

– I z Karimem? – Fabiana nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Chan jadł jej z ręki – roześmiała się Alija. – Dosłownie i w przenośni. Czasami Viv zbiegała do kuchni, do Sary, i piekła dla niego tartę z owocami. Jedli ją potem w łóżku, a rano Chan śmiał się, że wszędzie ma okruchy ciasta.

– Musiał ją bardzo kochać – westchnęła Fabiana, dusząc w sobie uczucie zazdrości.

– Wszyscy ją lubili. A on? Szalał za nią. Nazajutrz po jej śmierci ogolił głowę i przez trzy dni tkwił przy tym basenie i się modlił. Ech... – Alija przełknęła ślinę. – Nie jadł, nie spał, nie dopuszczał do siebie nikogo. Siedział jak otępiały, nie reagował, nie chciał nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. Gdy wróciliśmy z Filipin, kazał zasypać basen. Wszystko, co wiązało się z panienką, zniknęło. Jej ubrania, obrazy, zdjęcia, wszyściuteńko. Dobrze, że Avril zapobiegawczo zabrała pieski i dała je komuś, jakiejś swojej sąsiadce – westchnęła. – Chyba nie chcę o tym mówić, to takie...

– Świeże?

– O tak. Nawet nie wiesz jak bardzo. – Alija popatrzyła na twarz Fabiany i poczuła, jak ból ściska jej serce. – Mam nadzieję, że kiedyś Chan znów pokocha równie mocno jakąś kobietę.

– Ciężko mu będzie znaleźć taką samą.

– Nie żywisz już do niego urazy? – zapytała z troską Alija.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Fabiana. – Nie wiem. Ta smutna historia wiele tłumaczy, ale... – Spuściła wzrok na posiniaczone ramię. – On mnie tu przetrzymuje, więzi, a ja nadal nie wiem dlaczego. Czasami jest gwałtowny i brutalny, nie tylko wobec mnie, ale ciebie i innych. Boję się go. Ty też się boisz. Czy to jest dobre? Czy da się żyć pod jednym dachem z człowiekiem, przed którym czujesz paniczny strach? To nie jest normalne. To zabija. Zabija wszystkie dobre uczucia. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Ledwie w moim sercu zakiełkuje jakaś sympatia do niego, on ją depcze.

– Coś ci powiem, ale nie pytaj, jeśli nie zrozumiesz do końca. Są dwie najgorsze sytuacje, które mogą spotkać człowieka: bezsilność i jej przeciwieństwo:

pełna władza i kontrola, zwłaszcza ta nad cudzym życiem. Gdy w rękach dzierżysz czyjś los i dokonujesz wyboru za tego człowieka, może dopaść cię coś na kształt obłądu, jakiegoś szaleństwa. Ludzki umysł jest zbyt słaby, żeby podejmować ostateczne decyzje, a...

– Mówisz o Karimie? – przerwała jej Fabiana, czując na plecach zimne liźnięcie strachu.

– Mówię ogólnie. – Alija wyraźnie się speszyła. Czuła, że zabrnęła za daleko w obronie Chana, ale nie mogła wycofać słów, które padły. – Chcę powiedzieć, że najważniejsze są intencje. Tylko dlatego cierpliwie znoszę wysoki Karima. Bo patrzę na intencje.

– Jedno muszę przyznać – odpowiedziała po chwili Fabiana. – Od kiedy go znam... Nie wiem, jak to wyrazić – zaśmiała się. – Mam wrażenie, że zajął część mojego mózgu. Jakby kontrolował mój rozum, narzucał myślenie o sobie. Boże! – Płasnęła się w czoło. – Bredzę.

– A serce? – Alija przymrużyła oczy.

– Serce?

– Tak. Czy zajął część twojego serca?

– A nawet jeśli, jakie to ma znaczenie? – odpowiedziała po namyśle Fabiana. – Gdy widzę, jak obchodzi się z kobietami, jak traktuje ciebie, mnie. A Sandrine? Tę dziewczynę, która przyszła tu ulżyć jego żądzom? Potraktował ją jak rzecz. Jak można kochać takiego człowieka?

– Niektórych trudno kochać, ale nienawidzić jeszcze trudniej – stwierdziła filozoficznie Alija.

– A być obojętnym?

– Wobec Chana? Niemożliwe.

ROZDZIAŁ 12

Karim nie znosił takich sytuacji. Nie po to płacił Udenowi, żeby tłuc się do tego przekłętego Malmö, gdzie chyba zawsze padał deszcz. Jakby tego było mało, na miejscu okazało się, że problem został rozwiązany. Niestety, nie tak, jak to sobie wyobrażał Karim.

Hjalmar wezwał go pilnie, bo jak mówił, jeden z detektywów, niejaki oficer Reginelli pracujący przy sprawie dwóch zgrillowanych Marokańczyków, okazał się wyjątkowo nadgorliwy. Grzebał, szukał i w końcu się doszukał. Zainteresował go samochód Avril, widoczny na nagraniu zdobytym od jednej ze szkół w Savonie. Oczywiście miejskie nagrania w tajemniczy sposób zaginęły, zostało się to szkolne plus drugie, tym razem zdobyte od sklepikarza mającego mały butik niedaleko portu. Trzecim sukcesem był świadek: starsza pani, która z okna swojego mieszkania w budynku tuż przy porcie widziała najpierw Marokańczyków, a później rudoblond dziewczynę.

Na nieszczęście oficera Reginellego na obu nagraniach samochód był widoczny z boku i na tyle niewyraźnie, że niemożnością było odczytać numery z tablic rejestracyjnych. Ale drążył dalej, zawniósł o nagrania z monitoringu okolicznych miasteczek, w tym również z miasta, gdzie pracowały ofiary, czując, że ten mały fiat pięćset i jasnowłosa dziewczyna stanowią klucz do odkrycia sprawcy tej przerażającej zbrodni. Nie miał pojęcia, że nie tylko on skwapliwie i uparcie pracuje nad tą sprawą. Równie wnikliwie ludzie Undena nadzorowali każdy jego ruch. W końcu Hjalmar uznał, że trzeba nieco ostudzić zapędy Reginellego i skierować jego energię w inną stronę.

– Nie pochwalam takich metod – warknął Karim, ledwie usiedli po krótkim powitaniu. – Wyraźnie ci mówiłem.

Umówili się w jednym z podmiejskich moteli, żeby w spokoju pogadać. Hotel wybudowano na peryferiach miasta. Kiedyś kipiał życiem, dziś stał prawie pusty, strasząc sinoniebieską elewacją. To Unden wskazał to wyjątkowo paskudne miejsce. Teraz wstał, żeby nalać wody jednemu z najlepszych kontrahentów. Postawił przed Kasymowem szklankę, skrzyżował palce i wygiął je mocno. Ciszę obskurnego pokoju przeszył głośny trzask.

– Nie było innego wyjścia – odparł po chwili. – I nic się nie stało.

– Nic? – Karim przymrużył oczy. Był wrogiem wchodzenia w prywatne życie ludzi, którzy zaszli mu za skórę. Traktował to jako ostateczność i nie uważał, że tym razem było potrzebne. – Co z córką Reginellego?

– Żyje i ma się dobrze. To gówniara, ma piętnaście, może szesnaście lat i co tu kryć, jest klasową ofiarą, pewnie ze względu na małą atrakcyjność. Tęga, z trądzikiem i... – zamierzał dodać, że ma okropnego zęza i nosi okulary, ale przepaska na oku Kasymowa jakoś powściągnęła tę chęć. – Jeden z moich nowych

udawał norweskiego turystę. Przystojny, młody. – Unden znacząco poruszał brwiami. – Zaczepił dziewczynę, pogadali trochę, poszli na kawę i ciastko, a nazajutrz w sobotę wybrali się na wycieczkę w okoliczne góry. Mała nie powiedziała rodzicom, gdzie się wybiera. Dostyc ostro ją wychowują, więc skłamała, że idzie do koleżanki. Pech chciał – pokazał palcami znak cudzysłowu – że po drodze zgubiła telefon.

– A twój człowiek nieszczęśliwie... – odpowiedział Karim.

– Nie zabrał swojego z hostelu. Spędzili całą noc w górach, bo zabłądzili. Rano udało się im odnaleźć drogę. Chłopak stwierdził, że boi się reakcji ojca panny Reginelli, więc przy rogatkach Savony dyskretnie się ulotnił, a dziewczyna wróciła do domu. Cała i zdrowa.

– Uwiódł ją? – zapytał Karim, sięgając po szklankę. Wypił kilka łyków, ani przez moment nie spuszczał wzroku z Undena.

– Nie pytałem. Nie wymagam od moich ludzi aż takich poświęceń – zażartował, przypominając sobie zdjęcie młodej Włoszki.

– Równie dobrze Reginelli mógł uznać to za zwykły przypadek – zauważył Karim.

– Chłopak zapadł się pod ziemię. Nigdy nie nocował w żadnym hostelu, nikt go nie widział i o nim nie słyszał, ale zanim zniknął, ofiarował na pamiątkę córce Reginellogo pięć pestek pomarańczy. Powiedział, że powinna je dać ojcu, żeby posadził je w ogródku przed domem.

– Pestki pomarańczy? – Karim potrząsnął głową, myśląc, że Undenowi coś odbiło.

– Nasz nadgorliwy Reginelli jest wielkim fanem Arthura Conana Doyle. Kiedyś, gdy będziesz miał czas, przeczytaj jedno z kryminalnych opowiadań tego autora.

– Ostrzeżenie? – domyślił się Karim.

– Tak. Subtelne, ale bardzo jasne. I co najważniejsze... – zawiesił głos – skuteczne. Wczoraj Reginelli złożył do przełożonego wniosek o umorzenie sprawy ze względu na brak dowodów. Jego służbowy komputer jest czysty, sam wszystko usunął. Doszły mnie słuchy, że rozważa wcześniejsze przejście na emeryturę. – Hjalmar wstał i rozejrzał się wokół z widocznym obrzydzeniem. Pokój był wyjątkowo obskurny. Pod sufitem cicho brzęczała na wpół wypalona świetlówka, a pościel leżąca na dwóch wąskich tapczanikach, pamiętających z pewnością czasy Olofa Palmego1, choć wyprana, wypełniała pomieszczenie stęchłym zapachem. – Mieli tu rozlokować imigrantów, ale uznali, że budynek nie spełnia standardów – rzucił informację zasłyszaną od portiera.

– To wszystko z Reginellim? – Karim zignorował ostatni wtęt.

– Tak. – Unden wyciągnął przed siebie skrzyżowane w palcach dłonie, znów strzelił stawami i usiadł naprzeciw Kasymowa. – Jeszcze zostały nam...

– Ile? – przerwał Karim, z odrazą patrząc na jego twarz, do złudzenia przypominającą absurdalnie powiększoną niemowlęcą buzię: gładką, okrągłą, z maleńkimi oczkami i otoczoną wianuszkami blond loczków. Brzydził się Udenem bardziej niż ten tym nędznie wyposażonym pokojem. I nie chodziło o fizjonomię, tylko o to, co potrafił uczynić Uden dla pieniędzy.

Szwed wyjął telefon, wystukał na klawiaturze kwotę i pokazał Karimowi.

– Tyle. W euro.

– Okej. Jak ostatnio?

– Tak.

– Jutro będziesz miał całość – powiedział Karim, wstając.

– Chanie – wygłosił z emfazą Hjalmar – interesy z tobą to prawdziwa przyjemność...

Cap Martin powitało Karima upałem, ale nie narzekał. Po zalanej deszczem Szwecji południe Francji zdawało się jeszcze piękniejsze niż zazwyczaj. Mimo to czuł w piersiach nieznośny ciężar, gdy mijał bramę wjazdową, a przed oczami pojawił się budynek rezydencji. Wiedział, że na drugim piętrze, w sypialni na końcu korytarza, śpi Fabiana. Przez te kilka dni spędzonych w interesach nie miał czasu, żeby o niej pomyśleć. A może po prostu nie chciał? Odsuwał w głowie wszystko, co jej dotyczyło.

Ciągle się wahał, czy słusznie postąpił, zostawiając w pokoju z numerem sześć drugie urządzenie nagrywające wszystkie rozmowy, które toczyły między sobą Alija i Fabiana. Czasami lepiej było nie wiedzieć pewnych rzeczy. Nieraz się o tym przekonał. Mógł nie odsłuchiwać nagrań, skasować je z dysku, przecież tylko on miał do nich dostęp, a mimo to nie mógł się oprzeć i często zakładał słuchawki, włączał nagranie, bieżące lub archiwalne, i słuchał.

Pierwsze, co zrobił po powrocie, to zamknął się w gabinecie i uruchomił odczyt. Musiał przyznać, że wstrząsnęła nim rozmowa o Viviane, o jej śmierci i o tym, jak postrzegają go Alija i Fabiana, zwłaszcza ta ostatnia. Oczywiście gdyby mógł, zrugałby swoją podwładną, choć nie dało się ukryć, że parsknął śmiechem przy zapchlonym psie. Rozumiał jej emocje i podziwiał za opanowanie, gdy opowiadała o wypadku Viv. Mimo to uważał, że nie powinna tak lekceważąco się o nim wyrażać. „Zapędziłeś się w kozi róg – uznał w duchu. – Albo nauczka dla Alii i wiążąca się z nią dekonspiracja, albo udajesz, że o niczym nie wiesz”.

Postanowił odłożyć w czasie decyzję. Tak samo jak upchnął gdzieś w zakamarkach pamięci nie do końca zrozumiałe dla niego słowa Fabiany o tym, jak zajmuje jej myśli. Pozostawała jeszcze kwestia, czy powinien ją przeprosić za swój wybuch na przyjęciu u Igora, ale to również nie miało sensu, zwłaszcza że minęło już kilka dni i emocje na pewno opadły. „Bez przesady, nic się nie stało” –

utwierdzał się w przekonaniu, że to zbędne. Ale trudno zagłuszyć głos sumienia, który dziwnym trafem brzmiał ludzaco podobnie do piskliwego skrzeku madame Benoit.

Cały dzień spędził w gabinecie. Prawie z niego nie wychodził. Zegar pokazał pierwszą w nocy, gdy coś go tknęło. Podszedł do okna i wtedy ujrzał Fabianę. Rzadko wychodziła do ogrodu o tej godzinie. Z reguły kładła się przed północą. Przez chwilę stał i wpatrywał się w jej przygarbione plecy. Siedziała na niewielkim wzgórku i patrzyła w stronę zatoki. Księżyc wisiał nad nią niczym wielki okrągły klosz z mlecznego szkła. Karim otworzył drzwi na taras i wyszedł.

Stąpił dosyć głośno, żeby go usłyszała i nie wystraszyła jego obecnością.

– Dobry wieczór – przywitał się, stając nad nią.

– Dobry wieczór – odparła, podnosząc głowę. Miała zgryźliwie dodać, że Karim chyba się przed nią ukrywa, skoro dopiero teraz go widzi, ale ostatecznie spasowała, myśląc, że to żalosne sugerować, że zależy jej na jego zainteresowaniu i towarzystwie.

– Mogę się przysiąc? – zapytał, choć już prawie zajął miejsce obok niej.

– Pozwalam, choć to nie mój trawnik.

– Gastona? – zażartował.

– Kiedy wróciłeś? – zapytała pozornie od niechcienia, choć dobrze wiedziała, że Radik rano pojechał na lotnisko.

– Miałem dużo pracy.

– Uhm – mruknęła po chwili. – Słyszysz? Ktoś śpiewa. Czasami słyszę ten głos. Jest piękny – westchnęła, rozmarzona. – Ten ktoś przygrywa sobie na jakimś instrumencie, ale nie potrafię go rozpoznać. Brzmi trochę jak mandolina.

– To Rachat śpiewa.

– Rachat? – spytała ze zdziwieniem.

– Rozczarowana? – zaśmiał się Karim. – Myślałaś, że to coś romantycznego?

– A co, jeśli tak?

– Życie rzadko jest romantyczne.

– Może dlatego podobają mi się te pieśni. Brzmia tak... tęsknie. – Fabiana objęła kolana i wsparła między nimi brodę. – Na pewno są o miłości. Niespełnionej – dodała, patrząc przed siebie.

– To pieśni pasterskie. Rachat gra na kobyzie² albo na dombrze³. To drugie rzeczywiście podobne jest trochę do mandoliny – stwierdził Karim rzeczowym tonem.

– Wszystko zepsułeś – mruknęła bardziej do siebie niż do niego.

– Mam sobie pójść?

– To twój dom, twój ogród i twój trawnik.

– Trawnik jest Gastona – odpowiedział na jej docinek.

– Gdy byłam mała, mama często czytała mi na głos. Miała taką starą książkę

z baśniami, z czasów swojego dzieciństwa⁴. Jedna z tych historii opowiadała o pięknej młodej dziewczynie, córce bogacza. Żyła w pałacu, wokół którego roztaczał się cudowny ogród otoczony wysokim murem – powiedziała po chwili Fabiana.

– Brzmi znajomo. – Karim parsknął cicho pod nosem.

– Dziewczyna spędzała całe dni na spacerach, podziwianiu swojej urody, czasami pielęgnowała kwiaty, a czasami po prostu nic nie robiła. Siadała na trawniku, patrzyła na roztaczające się przed nią piękno i myślała o tym, co za murem. Niestety surowy ojciec nie pozwalał jej nigdy opuszczać ogrodu. Kiedyś, zaciekawiona, spytała swoją nianię, jacy są ludzie za murem, ale staruszka nie odpowiedziała. Zakazał jej tego ojciec dziewczyny. Chciał uchronić ukochaną jedynaczkę od zetknięcia się z biedą, cierpieniem i niebezpieczeństwem.

– Niezły z ciebie bazarz – powiedział Karim, przysuwając się bliżej, żeby nie uронić ani słowa tej historii.

– Któregoś dnia dziewczyna usiadła na małej ławeczce tuż nad stawem, żeby powitać wschodzący księżyc. I wtedy usłyszała głos. Ktoś śpiewał, jakiś młody mężczyzna. Śpiewał o miłości, o tęsknocie za swoją ukochaną. Tak było przez kilka kolejnych wieczorów. Dziewczyna czuła, że ten tajemniczy śpiewak śpiewa o niej. Chciała go poznać, ale jak miała to zrobić, skoro ojciec nie pozwalał jej opuścić ogrodu?

– To już koniec? – zapytał po chwili Karim.

– Nie. To połowa tej historii. Przypomniała mi się, bo... – Fabiana przymknęła oczy. Pod powiekami czuła piasek, a serce ścisnęła tęsknota za mamą i beztróskim dzieciństwem.

– Ten wieczór, śpiew Rachata... – zagaił Karim.

– Ech, pewnie myślisz, że jestem sentymentalną idiotką – westchnęła cicho.

– Chciałbym usłyszeć całą baśń.

– Jest bardzo smutna. I źle się kończy – odpowiedziała po namyśle Fabiana.

– Co było dalej z tajemniczym śpiewakiem? – ponaglił ją łagodnie.

– Niestety pewnego dnia zamilkł. Córka bogacza bardzo się zaniepokoiła. Na szczęście po paru dniach znów dobiegł ją głos młodzieńca. Postanowiła, że koniecznie musi go poznać. Poprosiła ojca, żeby odnalazł śpiewaka. Jego służący znaleźli go nad rzeką. Okazało się, że to biedny rybak. Przywlekli go do pałacu i przyprowadzili przed oblicze dziewczyny.

– Rozgniewała się?

– Tak. Myślała, że będzie księciem z bajki, bogaczem jak jej ojciec, a tu? Stał przed nią nędzarz. Mówił, że słyszał o jej urodzie i dlatego śpiewał dla niej te miłosne pieśni. Powiedział, że w jego snach i marzeniach nie była nawet w połowie tak piękna, jak w rzeczywistości.

– A ona?

– Kazała go wygnąć precz. Wieczorem spytała nianię, czy postąpiła słusznie. Próbowała się wytłumaczyć. „On nic mi nie mógł dać”, mówiła, a wtedy niania odpowiedziała, że chciał jej ofiarować coś najcenniejszego. Swoje serce. Niestety, gdy wrócił nad rzekę, do swoich sieci, to odtrącone serce pękło i zmieniło się w kryształ. Był przepiękny, twardy niczym najtwardsza skała, a jednocześnie kruchy i delikatny. Rodzina chłopca przechowywała ten kryształ jak największy skarb, ale któregoś dnia zabrano im go, bo nie mieli czym zapłacić podatków. Bogacz odkupił od poborców kryształowe serce, kazał je wydrążyć i powstałą czarkę ofiarował córce. Gdy pierwszy raz się z niej napiła, znów usłyszała głos młodzieńca. Poprosiła ojca, żeby powtórnie go odnalazł, ale ojciec się nie zgodził. „Już raz go znalazłem, a ty kazałaś go wyrzucić”, powiedział rozgniewany kaprysami córki. Rozpląkała się, czując, że właśnie straciła coś najcenniejszego w życiu. Jej łza spadła na czarkę, a wtedy kryształowe serce rybaka pękło po raz drugi. Dziewczyna zerwała się z miejsca i wybiegła z pałacu, dotarła do bramy i opuściła piękny ogród ojca na zawsze.

– To koniec? – wychrypiał Karim.

– Mama nigdy nie potrafiła mi wytłumaczyć, dlaczego tak się skończyła ta baśń, ale ja myślę, że ona poszła go szukać, choć wiedziała, że nigdy nie znajdzie swojego śpiewaka. Smutne, prawda? – Fabiana zerknęła na Karima.

Siedział i wpatrywał się w morze i odbijający się w tafli wody księżyc.

– Smutne.

– Uwielbiałam tę baśń. Może dlatego, że jest taka prawdziwa. Szukamy szczęścia, podążamy za nim, choć wiemy, że już nigdy go nie znajdziemy.

– A co, jeśli to właśnie poszukiwanie staje się naszym celem? – zapytał filozoficznie Karim. – Wiem, pewnie myślisz, że to głupie. Trzeba w końcu uwierzyć, że kogoś już nie ma. Uwierzyć w stratę, przestać szukać. I żyć dzień po dniu...

– Alija wszystko mi powiedziała – wyznała po dłuższym milczeniu Fabiana.

– Domyśliłem się.

– Przykro mi.

– Dziękuję – odparł.

– Ile miała lat?

– Gdy ją poznałem, skończyła siedemnaście.

– Och... – szepnęła Fabiana. – To jeszcze... – chciała dodać „dziecko”, ale

Karim jej przerwał.

– Nie myśl, że jestem jakimś dewiantem. To raczej Viviane mnie uwiodła, nie ja ją. Wzięliśmy ślub niedługo po jej osiemnastych urodzinach – wyjaśnił.

– Nie wyglądasz na kogoś, kogo da się łatwo uwieść.

– Może miała większe doświadczenie? – zażartował, choć ta kwestia zawsze tkwiła cierniem w jego sercu.

– Przeszkadzało ci, że nie byłeś jej pierwszym? – domyśliła się Fabiana i z zainteresowaniem zerknęła na Karima. Chciała zarejestrować nawet najsłabszy cień reakcji malujący się na jego twarzy.

– Trochę tak – przyznał od razu. – W naszej kulturze...

– Nadal byłabym niewinną panienką. Jak Alija – dodała z lekką nutą ironii.

– Uważasz, że to złe? – Przymrużył oko i spojrzał na nią, nie kryjąc swojej dezaprobaty.

– Uważam, że to hipokryzja wymagać od kobiet niewinności, podczas gdy samemu... – ucięła. Wzruszyła ramionami, bo nagle dotarło do niej, że pouczanie go nie ma sensu. Już dawno zrozumiała, że takim ludziom jak Karim do akceptacji równouprawnienia jest równie daleko jak Ziemianom na Marsa. – Czemu nie zwiążesz się z jakąś kobietą ze swojej kultury? – zapytała, czując, jak jej serce przyspiesza.

– Chcesz mnie sprowokować? – Potrząsnął głową i uśmiechnął się pod nosem.

– To dziecinnie łatwe – powiedziała, a gdy zauważyła, jak wyraźnie drgnął na te słowa, dodała, że zna to z autopsji.

– Gniewasz się na mnie – ni to stwierdził, ni zapytał.

– Któryś raz zadajesz mi to pytanie, a może wystarczyłoby powiedzieć „przepraszam” – odparła. – Wiem, dlaczego tak zareagowałeś, ale to nie usprawiedliwia takich zachowań – oznajmiła twardo. – Nic nie usprawiedliwia przemocy. Zwłaszcza wobec kogoś słabszego lub zależnego od ciebie.

– Przemocy? – zachnął się wyraźnie. – O czym ty gadasz, dziewczyno?

– No właśnie. O czym ja mówię? – Pokręciła z niedowierzaniem głową. Nie spuszczała z niego oka. Potarł okaleczony policzek, przeciągnął dłonią po czole, żeby za moment jeszcze raz docisnąć ją do drgającego mięśnia tuż nad żuchwą. Robił tak zawsze, gdy się czymś zdenerwował. Już dawno zdążyła to zauważyć. – Chyba jednak wiesz o czym. Takie blizny goją się znacznie dłużej niż te na ciele.

– Idzie burza. Błyska się. – Wskazał brodą na niebo nad północną częścią ogrodu.

– Ach tak – mruknęła.

– Boli na zmianę pogody. – Ponownie rozmasował skórę nad załamaniem linii szczęki.

– Uhm.

– Powinnaś iść spać. Jest późno. – Wstał i z niepokojem zerknął w niebo coraz mocniej zasnuwane chmurami. – Chodź.

– Jeszcze chwilę tu posiedzę – odparła, udając, że nie zauważyła jego wyciągniętej ręki.

– To nie była propozycja – powiedział ostrzegawczo.

– Rozumiem. – Fabiana wstała, choć z demonstracyjnie okazywanym

ociąganiem. Otrzepała szorty z trawy, potarła ramiona, bo nagle zrobiło się jej nieprzyjemnie chłodno. – Dobranoc. – Skinęła głową, ominęła stojącego jej na drodze Karima i poszła w stronę rezydencji.

– Dobranoc – dobiegło ją zza pleców.

1 Szwedzki polityk, premier Szwecji w latach 1969–1976 oraz 1982–1986.

2 Kazachski instrument smyczkowy, z dwiema strunami wykonanymi z końskiego włosia.

3 Kazachski instrument strunowy szarpany, podobny budową i brzmieniem do mandoliny.

4 *Dar rzeki Fly*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1973. Chodzi o baśń wietnamską pt. *Kryształowe serce*.

ROZDZIAŁ 13

Alija postanowiła poczekać do końca śniadania, żeby wręczyć Fabianie niespodziankę od Karima. Chan obdarował wszystkich drobnymi upominkami, bo każdy, kto pracował dla niego, raz w roku otrzymywał jakiś prezent i chociaż Fabiana nie należała do personelu, też została przewidziana w tej puli.

– Jeszcze nie pochwaliłam, masz świetną sukienkę – stwierdziła Fabiana, patrząc na Aliję, zachowującą się dzisiaj nieco inaczej niż zwykle. Wierciła się i strzelała oczami, jakby miała coś do ukrycia.

– To nic takiego. – Dziewczyna bezwiednie poprawiła włosy. Upięła je w zwykły koński ogon, ale ta prosta fryzura doskonale pasowała do białej sukienki, zmarszczonej w pasie kilkoma rzędami gumeczek i obszytej przy rękawach i dolnym brzegu czerwoną koronką. – To taki pseudofolklor. Bułgarska kiecka.

– Świetna – powtórzyła Fabiana.

Podobał się jej styl ubierania Alii. Jej pokojówka nosiła wyłącznie sukienki lub spódnice. Gdy było chłodno i zakładała rajstopy, wówczas pozwalała sobie na nieco krótsze stroje, brzeg spódniczki kończył się za kolanem, a teraz, w lecie, Alija nosiła sukienki długie do kostek, najczęściej białe lub jasne w pastelowych kolorach i koniecznie uszyte z czegoś naturalnego: lnianego płócienka lub batystu.

– Dziękuję. Jak chcesz, mogę ci taką kupić.

– O nie! – wykrzyknęła wesoło Fabiana. – Wyglądałabym w niej jak w koszuli nocnej. To nie dla mnie.

– Pamiętasz, jak się wzbraniałaś przed czerwoną? – przypomniała jej niefrasobliwie Alija i od razu ugryzła się w język, myśląc, że Fabi nie kojarzy się zbyt dobrze ta kreacja.

– Pamiętam.

– No właśnie, à propos ciuchów i takich tam... – Alija wsunęła dłoń do kieszeni ukrytej w szerokich fałdach tkaniny i wyjęła małe pudełko. – Proszę, to dla ciebie. Od Chana. – Położyła je na stoliku.

– Dla mnie? – Fabiana niemalże zakrztusiła się czajem na widok czegoś, co wyglądało jak pudełeczko z zaręczynowym pierścieniem. – Co to jest? – Odstawiła piólkę i zastygła w bezruchu, patrząc na tajemniczy prezent.

– Zobacz – zachichotała Alija.

– Okej... – Fabiana zabrała pudełeczko, otworzyła i natychmiast wybałuszyła oczy. – Kolczyki? – Patrzyła to na biżuterię, to na Aliję.

– Uhm – potaknęła. – Nie mogłam się oprzeć i zajrzałam. Przepraszam.

– Przestań – fuknęła Fabi. – Ale o co chodzi? Co to za okazja? – Potrząsnęła głową. – Poza tym ja nie noszę biżuterii.

– Ale masz przebite uszy? – upewniła się Alija, zerkając na Fabianę.

Ta właśnie wyjęła kolczyki i podziwiała je na otwartej dłoni. Od razu

intuicyjnie wyczuła, że musiały sporo kosztować, choć nie były okazałych rozmiarów, a ich forma urzekła prostotą i wdziękiem, ot, złota kulka jako zakończenie sztyftu i wisząca pod nią szlifowana kropla.

– Mam. Tysiąc lat temu mama zaprowadziła mnie do kosmetyczki i przebiła uszy. Ostatni raz miałam kolczyki w dniu Pierwszej Komunii – wyjaśniła Fabiana.

– Pewnie dziurki już całkiem zarosły. – To rubiny? – zapytała, patrząc pod światło na dwie blad różowe krople.

– Nie... – bąknęła Alija z chytrym uśmieszkiem.

– Nie? To co? Cyrkonie?

– Nie...

– To jakiś szlachetny kamień? – Fabi zmarszczyła czoło.

– Chan nie dałby nikomu zwykłych szkiełek.

– Nie mów, że to... – Fabiana jeszcze szerzej otworzyła oczy. Odłożyła naprędce kolczyki do pudełeczka, zupełnie jakby ją parzyły w palce, i zamknęła wieczko. – Nie mogę ich przyjąć. Nie ma mowy. Zresztą Karim, jeśli już miał taki idiotyczny pomysł, powinien sam mi je dać, a nie wysługiwać się tobą. – Dla dodania sobie powagi kiwnęła głową.

– Fabi... – jęknęła z zawodem Alija.

– No co? – Fabiana wyduła usta.

– Nie możesz ich nie przyjąć.

– Bo?

– Bo Chan śmiertelnie się obrazi.

– No popatrz. Co za dramat. – Fabiana wywróciła oczami. – Powiedz, że nie mam dziurek w uszach. Proste.

– Nie do końca. Chan wie, że je masz, sama mu powiedziałam.

– Zdrajczyń! – syknęła Fabiana. – Oszalałaś? O co wam chodzi? Co to za prezenty? – Założyła nogę na nogę, a ręce skrzyżowała na piersi. – Nie życzę sobie żadnych prezentów od Karima. Zwłaszcza takich cennych, bo to kolorowe diamenty, prawda?

– Uhm – potaknęła skwapliwie Alija. – Różowe.

– Chyba się wam coś w głowy podziało z tej wilgoci! – Fabiana zerwała się z fotela i podeszła do tarasowego okna. Lało już drugi dzień. Karim miał rację z tą nagłą zmianą pogody.

– Wszyscy coś dostali. – Alija wytoczyła argument. – Popatrz, ja mam naszyjnik. – Wyjęła spod brzegu dekoltu swój upominek.

– Pokaż. – Fabiana zbliżyła się, żeby pooglądać jej prezent. – Ładny. – Z podziwem patrzyła na cztery złote łańcuszki, cieniutkie i delikatne, złączone małym kółeczkiem, z którego zwisała kryształowa kropla oprawiona w siateczkę cienkich jak włos drucików.

– No widzisz. – Alija odetchnęła z ulgą. – Każdy coś dostał. Chłopaki

zegarki albo sygnety, Sara i Avril bransoletki, Fatima... – zmarszczyła czoło – nie pamiętam, ale coś dostała. Spinki do włosów? Chyba tak. Nawet zwykle pokojówki dostały prezenty – powiedziała, ukrywając wisiorek pod sukienką.

– Dzień dobroci dla zwierząt? – zaśmiała się Fabiana.

– Gdyby Chan to słyszał... – Alija nie podzielała jej poczucia humoru.

– Nieważne. Na pewno nie przyjmę tak drogiego prezentu. Wy pracujecie dla Karima, ja pasożytuję.

– Posłuchaj, coś ci opowiem. – Dziewczynie wpadł do głowy jeszcze jeden argument. – Usiądź.

– Dawaj! – Fabiana zauważyła jej zaangażowanie i zaczęło ją to bawić. Czasami jakieś lichy ją kusiło, żeby trochę pożartować z Alii. Usiadła, ściągnęła usta w ciup, a dłonie położyła płasko na udach. – Zamieniam się w słuch – bąknęła.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam o porwaniach dziewczyn? – zagaiła Alija.

– O tak. Porwanie dziewczycy, czyli barbarzyńskie metody swatania, polegające na uprowadzaniu nieletnich dziewcząt, przetrzymywaniu ich siłą w domu oblubieńca, czekaniu trzy dni na wycenę branki, a na koniec doprowadzaniu w ten sposób do ślubu. – Twarz Fabiany wykrzywiła się z udawaną odrazą. Udawaną, bo pamiętała słowa Alii, że obecnie te porwania są w większości sfingowane, a przyszli państwo młodzi umawiają się wcześniej, żeby odegrać ten tradycyjny spektakl.

– Proszę cię... – jęknęła Alija. – Teraz już nikt nie porywa dzieci.

– Hola, hola... – Fabi wyciągnęła w górę wskazujący palec. – Mam dobrą pamięć. Powiedziałaś, że w Związku Radzieckim nie porywali młodszych niż piętnastolatki, a teraz?

– Czepiasz się. Owszem, zdarza się, ale to naprawdę wyjątki. Patologia, którą się piętnuje. Przecież to jest zakazane prawnie.

– Ta...

– Nie pozwalasz mi skończyć. – Tym razem to Alija skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła na Fabianę z pretensją.

– Żartowałam. – Fabi rozciągnęła usta w uśmiechu. – Choć nadal uważam, że to żaden przywilej być uprowadzoną starą ładą. A już to targowanie się o cenę? *What the fuck?* – pisnęła. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– Nie o cenę. O kalym2.

– Jak zwał, tak zwał. Ale i tak najgorsze jest prawo zwrotu, gdy nie doszło do *consumatum*. – Fabiana wystawiła język. – Panna się napaliła, a tu bach. Faktura korekta. Zwrot bez podania przyczyny. I kto taką zechce? Nie wiadomo, czy plomby niezerwane...

– Fabi, zaraz sobie pójdę... – zagroziła Alija, choć słyhać było, że żartuje.

– Okej. Nic nie mówię. – Fabiana pomachała rękami.

– Jesteś niedobra, ale i tak cię Kocham. Wiesz? – Alija nie wytrzymała

i roześmiała się.

– Z wzajemnością. – Fabi mrugnęła wesoło. – Więc? Co mi chciałaś powiedzieć? – Sięgnęła po croissanta i ugryzła kęs.

– Że kolczyki w naszej kulturze pełnią specjalną rolę. To wyjątkowy prezent. Gdy rodzice narzeczonego ofiarują kolczyki jego wybrance, oznacza to, że oświadczają się w jego imieniu.

– Co?! – pisnęła Fabiana i zakrztusiła się rogalikiem.

– Klepnąć cię? – Alija zerwała się na równe nogi, ale Fabi jakoś opanowała kaszel.

– O matko! Prawie się udusiłam – wysapała, ocierając łzy.

– W porządku?

– Uhm. A z tymi kolczykami... – przerwała, żeby jeszcze raz odkaszlnąć – zapomnij. Też argument. Trafiłaś jak kulą w płot. Tym bardziej je oddam.

– Okropna zołza z ciebie – fuknęła Alija.

– No błagam... – jęknęła Fabiana. – Jesteś matką Karima czy jak? Mógł sam mi dać te kolczyki. – Przesunęła pudełeczko w stronę Alii. – Oddaj mu prezent i podziękuj.

– Nie ma mowy. Sama mu oddaj.

– Myślisz, że tego nie zrobię? Jeszcze mnie nie znasz.

– Znam cię, dlatego wiem, że zrobisz – odparła Alija.

– Ale najpierw muszę wziąć prysznic. Nie pójde zwrócić diamentowych kolczyków w koszuli nocnej i z gniazdem na głowie. Nie wypada. – Uśmiechnęła się zawadiacko.

– Zołza.

– Raczej dama...

Fabiana zapukała do gabinetu Karima, a gdy usłyszała głośnie „proszę”, wsunęła głowę.

– Można?

– Spodziewałem się ciebie – zaśmiał się na widok jej miny.

– Bardzo dziękuję, ale nie mogę tego przyjąć. – Podeszła do biurka i położyła pudełeczko z kolczykami.

– Usiądziesz? – Otaksował ją wzrokiem. Musiał przyznać, że wygląda olśniewająco. Rumieniec okrasił jej policzki, a świeżo umyte i wysuszone włosy układały się wokół twarzy niczym złocisty obłok. – Zapraszam. – Wstał, okrążył biurko i poczekał, aż zajmie miejsce na fotelu. – Kawy?

– Dziękuję, ale już piłam – odpowiedziała, nieco zaskoczona jego galanterią i tym, że nie założył dzisiaj swojego zwyczajowego stroju, czyli czarnego T-shirtu i bojówek. Z przyjemnością patrzyła na białą klasyczną koszulę i eleganckie granatowe spodnie.

– Nie przypadły ci do gustu? – Karim sięgnął po pudełeczko, otworzył i przez chwilę patrzył na kolczyki połyskujące w świetle biurowej lampki.

– Są piękne. I na pewno sporo kosztowały. To dla mnie niezręczne przyjmować od ciebie tak drogi prezent, tym bardziej że bez żadnej okazji.

– A jeśli jest jakaś okazja? – Zamknął pudełeczko i z powrotem przesunął je w stronę Fabiany. – Alija nie powiedziała ci, że...

– Wiem. Zabawiłeś się w Świętego Mikołaja i każdego obdarowałeś jakimś cennym drobiazgiem, ale mamy lipiec, a ja nie widzę powodów, żeby przyjąć ten podarunek. Również jako ewentualną premię dla personelu. To chyba wszystko, nie będę ci przeszkadzać... – Zerknęła na plik jakichś dokumentów, który odsunął na bok, ledwie weszła do gabinetu.

– Poczekaj. Przewidziałem twój ruch. – Z satysfakcją uniósł brwi. – Mam coś jeszcze. – Otworzył szufladę, wyjął dotykowy telefon i podał Fabianie, na moment unosząc się z fotela. – Włącz.

– Telefon? – westchnęła. – Już to przerabialiśmy, ale nie powiem, ten aparat jest nieco...

– Nowocześniejszy? – poddał jej słówko.

– Choć nie łudzę się, że ma połączenie z siecią – powiedziała, uruchamiając aparat.

– I słusznie. Internet nie działa – odparł niezrażony jej uwagą. – W kontaktach masz zapisane numery do twojej matki, fotografa, u którego pracowałaś, jednej z twoich przyjaciółek... Julia? – Spojrzał pytająco.

– Julita.

– I do Alii. Gdy będziesz dzwonić, twój numer wyświetli się jako zastrzeżony. Możesz dzwonić bez ograniczeń, wysyłać SMS-y i MMS-y.

– Mogę zachować ten telefon?

– Tak. Ładowarkę da ci Alija.

– Nie zabierzesz mi go, gdy nie będę z niego korzystać?

– Nie. Równie dobrze możesz wrzucić do szuflady i zapomnieć o nim.

– A co, jeśli...

– Naprawdę musimy o tym mówić? – Pokręcił głową. Nachylił się nad biurkiem i wsparł łokcie o jego blat. Przez moment patrzył na nią z uwagą. – Ufam ci. Miałaś szansę uciec, mogłaś skorzystać z czyjegoś telefonu lub pomocy, chociażby na przyjęciu u Baryszkova. Zgadza się? – spytał, nie czekając na odpowiedź. – Ten młody człowiek, Eric? Na pewno chętnie by ci pomógł. Możesz w każdej chwili zadzwonić na policję, liczę się z tym.

– Ale mi ufasz? – zapytała Fabiana i przekrzywiła głowę, bo choć z trudem, ale dostrzegła wyraźnie coś niepokojącego w jego wzroku. – Masz mnie w szachu. Przyznaj się. Na czym polega haczyk? – Aparat kliknął i wygasił się. Fabiana odłożyła go obok pudełeczka z kolczykami.

– Na terenie rezydencji jesteś całkowicie bezpieczna. Dom, ogród to miejsca, gdzie nic ci nie zagraża. Na zewnątrz już nie jest tak kolorowo, ale gdy jesteś ze mną...

– A tak w ogóle co mi zagraża? – Odchyliła się na fotelu. – Jakoś żyłam dwadzieścia jeden lat i przetrwałam. Nie rozumiem, co się zmieniło.

– Kiedyś zrozumiesz. Co do żandarmerii, odradzam kontakt z nimi. Chcę ci tylko przypomnieć, co zdarzyło się w Savonie. Załatwiłem ten temat, ale nie mam stuprocentowej gwarancji, że kiedyś ktoś nie wyskoczy z...

– Jestem na jakimś nagraniu? – domyśliła się. Od razu poczuła, jak strach zaciska lepkie łapy na jej szyi. – W porcie były kamery – wymamrotała strwożona, że włoska policja ją znajdzie, a to wespół z niewątpliwą śmiercią co najmniej jednego z jej prześladowców nie wróży niczego dobrego.

Na dobrą sprawę każdy sąd mógł ją skazać za ukrywanie przestępcy. Przecież знаła zabójcę, mogła to zgłosić, choćby Ericowi.

– Załatwiłem sprawę – powtórzył z mocą. – Ale musisz być rozsądna. Rozważ za i przeciw. Powiedziałaś, że trzymam cię w szachu, a ja myślę, że oboje jedziemy teraz na tym samym wózku. Rozumiesz?

– Coś się stało? – drążyła, czując, że nie bez powodu Karim wspomniał o tym przeklętym włoskim miasteczku.

– Nie myśl o tym. Daję ci telefon, żebyś mogła skontaktować się z przyjaciółmi. Tylko tyle. I jeszcze jedna prośba: przyjmij kolczyki. Jeśli nie chcesz ich nosić, zrozumieć, ale je przyjmij. Proszę – dodał po chwili.

– W porządku – odpowiedziała z rozmysłem. Oblizwała wargi i onieśmielona wzięła telefon do ręki. – Nie wiem, czy będzie mi potrzebny – wyznała z wyraźnym smutkiem w głosie. Oparła wzrok na czarnym ekraniku, patrząc na rozmazane odbicie własnej twarzy i myśląc, czy ocalała chociaż okruchy tamtego życia. – Ostatni raz rozmawiałam z mamą prawie dwa lata temu, do Alka nie zamierzam dzwonić, bo i po co? A Julita? – Zagryzła kącik ust. – Nie wiem, kiedy to się stało, ale Alija zajęła jej miejsce i muszę przyznać, że... jest dla mnie jak siostra. Oczywiście tak sobie to wyobrażam, bo przecież nie mam rodzeństwa. – Podniosła oczy na Karima, żeby ze zdumieniem skonstatować, że stężał na twarzy, a jego czoło pokrył mars. Już miała spytać, czy powiedziała coś niewłaściwego, ale stchórzyła.

– Twoja wola, z kim się skontaktujesz. Proszę jedynie o rozwagę.

– Dziękuję – odparła. Wstała i wzięła pudełeczko z kolczykami, bo Karim spojrzał na nie znacząco, żeby ich nie zapomniała. – Postaram się nie zawieść twojego zaufania.

– Ja też dziękuję. – Wstał i skłonił głowę.

Odprowadził ją do drzwi, a gdy zamknęły się za nią, wrócił na swoje miejsce i usiadł ciężko, jakby na jego ramionach tkwił cały świat. Zatopił się w myślach.

„Co gorsze? Samotność czy nowa miłość? Co bezpieczniejsze?” – dumał nad swoimi uczuciami. Czy miał siłę, żeby ryzykować kolejnym złamaniem serca? Przymknął oczy. Przypomniawszy sobie początek roku. Uspokoił się, nie czekał na kroki Viviane, już nie łudził się, że nagle wpadnie do gabinetu; nie zapuka, po prostu wbiegnie bez ostrzeżenia i jak nawykła to robić, usiądzie mu na kolanach i mocno uściśnie. Jak dziecko. Dziękował Bogu, że to już minęło, że zdołał przywyknąć do pustego łóżka, do ciszy, która od dwóch lat trwała w tych murach, i do pytań, na które nigdy nie usłyszy odpowiedzi. Próbował nie tęsknić i gdyby nie Fabiana, z pewnością by temu sprostał, powtarzając sobie dziesiątki razy, że Viv już nie ma. Ale teraz wszystko się zmieniło. Znowu miał pożywkę dla swoich omamów, a jego umysł wypełniały iluzje, że Viviane wróciła.

– Ogarnij się... – mruknął cicho. Potarł czoło, kilka razy klepnął się w policzki i przesunął przed siebie stos papierów. – Ogarnij się, bo zginiesz.

Po namyśle Fabiana uznała, że z tych dwóch prezentów, które nieoczekiwanie dostała od Karima, to kolczyki stanowiły mniejszy problem. Schowała je w łazienkowej szafce, ale z telefonem miała znacznie większy zgryz. Siedziała pół dnia na tarasie, skryta w cieniu markizy, i myślała intensywnie, czy skorzystać z niego, czy udawać, że nie ma wyboru. Musiała przyznać, że tym razem lepszy byłby jego brak.

Rozmowa z mamą nie wchodziła w grę, ale już wysłanie SMS-a – owszem. Zresztą kilka razy puściła mamie wiadomość, jeszcze za „warszawskich” czasów. Niestety, nigdy nie dostała odpowiedzi, co w sumie też było jakąś odpowiedzią. Zrobiła kilka selfie i dwa załączyła do lakonicznej wiadomości, że żyje, jest zdrowa i chwilowo przebywa za granicą, bo podpisała kontrakt na kilka sesji zdjęciowych.

– Bez sensu... – mruknęła do siebie, ujrawszy, że SMS dotarł do odbiorcy. – Okej, teraz...

No właśnie. Czy powinna zadzwonić do Julity? Gdyby ktoś spytał, czy za nią tęskni, co by odpowiedziała? Minęło raptem trzy i pół miesiąca, a Fabiana prawie zapomniała o przyjaciółce. „Może nasza przyjaźń była równie jałowa i wątpliwa jak mój związek z Tymonem?” Mimo wszystko Julita nieraz jej pomogła, więc wypadało dać znak życia. Nie gadały zbyt długo. Ku wielkiej uldze Fabiany to była przyjaciółka tak kierowała pogawędką, że po kilku minutach chyba do obu dotarło, że coś między nimi zgasło. Może to sprawiła niezbyt dobrze skrywana zawiść słyszalna w głosie Julity? Bo jej też sprzedała tę samą bajeczkę, którą wymyśliła dla mamy, a Julita zawsze zazdrościła Fabianie sukcesów w fotomodelingu. Próbowała swoich sił, nawet kiedyś uprosiła Fabianę, żeby ta przedstawiła ją Alkowi, ale nie doszukał się w niej ani kropli tego potencjału, który

miała Fabi.

Szczęśliwa, że odbębniła tę sprawę, schowała telefon do nocnej szafki, żeby o nim zapomnieć. „Co z oczu, to z serca” – pomyślała. Niestety wieczorem pojawił się kolejny problem. Znowu stanęła przed wyborem. Alija powiedziała jej w sekrecie, że w sobotę Chan organizuje małe party w pobliskim klubie nocnym. Wynajął lokal na cały weekend, ale przyjęcie zaplanował tylko na jedną noc. Fabiana od razu się określiła: „Nie ma mowy. Nigdzie nie idę”.

– Chan na pewno cię zaprosi osobiście – podkreśliła Alija.

– Nie pójdę z nim na żadną imprezę, bal, przyjęcie, uroczystą kolację w restauracji i na frytki w maku, nawet gdy wyśle delegację z księciem Monako na czele. Możesz mu przekazać.

Nazajutrz powtórzyła to Karimowi niemalże słowo w słowo. Ledwie zagał, a zjeżyła się jak kotka. Nie dopuściła go do słowa. I tak zachowała sporo kultury i opanowania, nie wytykając mu próby przekupstwa, bo czymże był ten aparat telefoniczny, jak nie środkiem do wkradnięcia się w jej łaski? Karim nadal nie przeprosił, więc ona też musiała być choć trochę konsekwentna.

Nadeszła sobota, późnym popołudniem prawie wszyscy opuścili rezydencję, został tylko Rachat i dwóch strażników. Trochę żałowała swojej decyzji, zwłaszcza brakowało jej zawsze obecnej Alii, ale czy miała inne wyjście? Zeszła do ogrodu i ze zdumieniem odkryła, że Gaston krząta się wokół swoich ulubionych pnących róż.

– Dobry wieczór – przywitała go, stając tuż obok. Z podziwem patrzyła, jak fachowo obcina przekwitnięte pędy, przy okazji nadając roślinie lekkości i przywracając ładny pokrój.

– A dobry wieczór – odpowiedział staruszek. Poprawił czapkę, obróconą daszkiem na plecy, i zerknął na panienkę Fabianę. – Jeszcze tylko te kłujące cholery i koniec na dzisiaj. Od rana przycinałem glicynie. – Wskazał ręką na pergolę stojącą w północno-zachodnim kącie ogrodu. – Łupie mnie w krzyżu od tego schylania.

– Może pomóc? – zaoferowała się Fabiana.

– Ech, co to za pomysł?! – zaśmiał się Gaston. – A czemu panienka nie pojechała na urodziny? Nie zaprosili? – Spojrzał na nią z ukosa.

– Na urodziny? – Fabiana potrząsnęła głową. – Jakie urodziny? Czyje?

– Przecież nie moje. – Gaston rzucił sekator na trawę i odgiął się do tyłu, bo kręgosłup coraz bardziej dawał mu się we znaki. – Karim obchodził parę dni temu. Nie dostała panienka prezentu?

– Ach... – Fabiana bezwiednie przytknęła dłoń do ust.

– Dał mi zegarek. Z dewizką. Ale nie noszę przy sobie, bo się boję, że zgubię w tych krzakach. Moja Géraldine mówi, że jest pozłacany, ale ja wiem, że jest cały ze złota – sapnął. – Koniec na dzisiaj. Nie dam rady. Może panienka posprzątać?

Chyba się już nie zegnę.

– Pewnie. – Fabiana kucnęła, żeby wybierać z trawy narzędzia. Powkładała je do skrzynki, szczęśliwa, że choć na moment może czymś zająć ręce i myśli. – To do kosza? – zapytała, wskazując na obcięte gałązki.

– Tak. Tam są grabie. – Gaston wskazał je brodą. – Panienska ubierze rękawiczki, żeby nie pokaleczyć rąk.

Razem zanieśli odpadki do kompostownika, gawędząc po drodze o tym i owym.

– A które to urodziny Karima? – spytała pozornie beznamiętnie Fabiana.

– Trzydzieste. Okrągłe. Nasz Chan to rówieśnik mojego najmłodszego syna.

– Uhm.

Pożegnała się z żalem z Gastonem, bo nie uśmiechało się jej wracać do opustoszałej rezydencji. Trochę poczytała, obejrzała jakąś komedię, ale i tak jej myśli ciągle krążyły wokół Karima. Czuła się wyjątkowo podle, że mu odmówiła. Skąd mogła wiedzieć, że to jego urodziny? Czuła żal do Alii. Swoją drogą, ile jeszcze kłamstw, niedomówień i półprawd miała doświadczyć? Woląca o tym po prostu nie myśleć. Zresztą jakie to miało znaczenie? Liczyła się jej własna prawda i uczciwość wobec siebie. A o tą było Fabianie coraz trudniej.

Nie mogła zasnąć. Obracała się z boku na bok, raz utyskując w duchu na zbyt ciepłą kołdrę, by po chwili zastanawiać się, czy nie sięgnąć po pilota od klimatyzacji, żeby zmniejszyć nieco chłodzenie. W końcu zmorzył ją sen, ale rwał się na krótkie i bezsensowne fragmenty niczym zetlałe płótno. Nagle huknęły drzwi sypialni. Fabiana zerwała się w momencie i usiadła na łóżku, bezwiednie dociskając do piersi brzeg kołdry. Od razu zauważyła, że to Karim. Stał w progu i patrzył na nią, ale nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy, bo oślepiało ją światło z korytarza.

– Karim? Co tu robisz... – wymamrotała cicho. Nie odpowiedział, za to wsparł się ramieniem o futrynę. – Jesteś pijany? – Zauważyła, że się zachwiał. Spostrzegła również coś w jego dłoni. Ścisnął jakiś przedmiot, ale choć wypatrywała oczy, nie mogła go lepiej dostrzec. – Karim... – powtórzyła, coraz bardziej onieśmielona sytuacją, bo nigdy wcześniej nie przyszedł w nocy do jej pokoju.

– Cicho – powiedział po chwili. Jego głos brzmiał inaczej niż zwykle, był nieco bełkotliwy, ale nadal wyraźny i stanowczy. – Cicho, Viv.

Fabiana poczuła, jak jej serce ścisną się z żalu. „Jak długo jeszcze będziesz o niej myślał? Czy kiedykolwiek zniknie z twoich wspomnień? Minęło tyle czasu, a ty nadal ją widzisz” – pomyślała, patrząc na niego. Wyglądał tak żałośnie, stojąc i chwiejąc się niczym drzewo smagane wiatrem.

– To ja, Fabi – powiedziała, żeby przerwać jego cierpienia. – Viviane odeszła.

– Nie odeszła. Jest tutaj – odparł. Oderwał się od futryny i niepewnie zbliżył do łóżka. – To twoje ulubione perfumy. Pamiętałem. – Wręczył jej tajemniczy przedmiot i usiadł tuż obok. – Miałem schowaną jedną butelkę. Cieszysz się? – zapytał. Wyciągnął dłoń i nieśmiało pogłaskał obnażone ramię Fabiany.

– Perfumy? – Spojrzała na ręcznie wykonany kryształowy flakon.

– Tak. Twoje ulubione. Robili je dla ciebie u Fragonarda. Pamiętasz? Razem pojechaliśmy do Grasse, spacerowałaś wśród róż, a potem powiedziałaś, że kochasz mnie tak samo mocno jak ich zapach. Chcę je poczuć na tobie – wychrypiął.

– Na mnie? – Fabiana przełknęła ślinę. Przypuszczała, że to alkohol zmienił zdolność postrzegania rzeczywistości przez Karima. Nie wiedział, czy mówi do niej, czy może do Viviane.

– Chcę je poczuć – powtórzył z naciskiem.

Bała się go. Nie wyobrażała sobie, co mógłby zrobić, gdyby zdecydowanie odmówiła. Pstryknęła włącznik nocnej lampki, żeby dać Karimowi szansę na otrzeźwienie. Ostrożnie odkręciła korek buteleczki i przytknęła opuszkę palca do wąskiego wylotu. Perfumy nie miały atomizera, więc obróciła na moment flakon, a gdy zimny płyn zwilżył skórę jej palca, potarła nim nadgarstek drugiej ręki. Zaraz potem zatkała flakonik, myśląc, że to, co właśnie zrobiła, to skrajne szaleństwo i brak odpowiedzialności. Co, jeśli Karim naprawdę wziął ją za Viviane i zaraz dojdzie do...?

Potrząsnęła głową. Nie mogła się poddać nastrojowi tej chwili, choć było jej równie ciężko jak Karimowi. Powietrze sypialni wypełnił odurzający zapach róż i czegoś duszącego niczym dym z tłących się liści. Fabiana odłożyła flakon na nocną szafkę i potarła o siebie nadgarstki. Karim obserwował w skupieniu każdy jej ruch. Zadrzał, gdy uniosła dłoń i powąchała. Ten gest był tak bardzo znajomy, widział go tyle razy u Viviane.

– Piękne – powiedziała szczerze, bo zapach wyraźnie się zmienił. Dusząca gorycz zniknęła, a na jej miejscu pojawiło się coś, co sprawiało, że krew szybciej krążyła w każdej, nawet najmniejszej żyłce.

– Viv uwielbiała ten zapach – wyszeptał Karim.

– Mnie też się podoba.

– To wasz zapach. Twój i Viviane. Weź ten flakon, należy do ciebie – powiedział.

– Chyba to ja powinnam dać ci prezent? – Fabiana zagryzła kącik ust. Trochę się uspokoiła, widząc zachowanie Karima. „Ocknął się z amoku” – uznała z ulgą.

– Nie chcę nic poza tym. – Ujął jej dłoń i podobnie jak ona przed momentem, przytknął do nosa. Aż się zachłysnął znajomą kompozycją. Niekontrolowany szloch wyrwał mu się z gardła, a ciałem wstrząsnął dreszcz.

Zerwał się z łóżka i wypadł z sypialni, zostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi.

Fabiana odczekała minutę i wstała, żeby je zamknąć. Poszła do łazienki, wypięła trochę wody z kranu, bo zaschło jej w gardle. Zanim się położyła, sprawdziła, która godzina. Ku jej zaskoczeniu było dosyć wcześnie. Dochodziła druga w nocy. „Czemu tak szybko Karim opuścił przyjęcie? – dociekała, na próżno próbując zasnąć. – Może się z kimś pokłócił?” Gdzieś w tyle głowy tłukła się nieśmiała myśl: „Brakowało mu ciebie, namiastki kobiety, którą kiedyś kochał”, ale starała się ją odepchnąć. Nie mogła liczyć na to, że Karim zapomni o Viv i swoje uczucia przeleje na nią, ma być kimś w rodzaju atrapy? Plastra na złamane serce? To skazałoby ją wyłącznie na ból.

Zapadała się coraz mocniej w sen, gdy gdzieś od strony korytarza dobiegł ją głuchy i niski odgłos. Jakby ktoś ciężki upadł na posadzkę. Od razu usiadła i zamarła w bezruchu, żeby po chwili stwierdzić, że chyba się jej przyśnił ten dźwięk. Mimo to nie dawał jej spokoju, więc założyła lekki szlafrok i cicho wyszła z sypialni. Boso i na paluszkach przemierzała długi korytarz, aż stopy same zaprowadziły ją pod drzwi sypialni Karima. Przystawiła doń ucho i przez chwilę próbowała cokolwiek usłyszeć. Nie wiadomo dlaczego nagle przyszło jej do głowy, że tylko raz widziała Karima bez opaski na oku i to przez króciuteńką chwilę. „Chyba w niej nie śpi? A co ze szklanym okiem? Wyjmuje je na noc? – Aż się wzdrygnęła na myśl, że jego oczodół zieleje wtedy czerwoną pustką. – Ma takie piękne oczy...” – westchnęła bezgłośnie. W końcu nie wytrzymała napięcia i ostrożnie nacisnęła klamkę.

1 Przed pierestrojką obowiązywały znacznie surowsze zasady, bo Kazachstan jako republika należał wówczas do ZSRR. Obecnie nastąpiło poważne rozluźnienie i w niektórych małych wioskach i osadach zdarzają się takie sytuacje jak uprowadzanie bardzo młodych dziewcząt, nawet dwunastoletnich.

2 Zwyczajowa opłata za przyszłą żonę, którą wnosi narzeczony wraz ze swoimi rodzicami na rzecz rodziny wybranki, ustalana w ciągu trzech dni od porwania dziewczyny i uiszczana jeszcze przed ślubem.

ROZDZIAŁ 14

Viviane uwielbiała seriale, a jej ulubionym był *House of Cards*. Zwłaszcza pierwszy sezon, który widziała co najmniej pięć razy. Kiedyś namówiła Karima, żeby obejrzał z nią chociaż jeden odcinek. Zgodził się i wcale tego nie żałował, choć zapamiętał tylko jedną, jedyną scenę. Teraz leżał na łóżku, a ta właśnie scena wyświetlała się na ekranie plazmowego telewizora, zastygła, cicha i martwa, jednak wywołująca u niego prawdziwą burzę uczuć: Francis Underwood klęczał przed łóżkiem, na którym leżała Zoe Barnes, a jego głowa niknęła pomiędzy jej rozchylonymi udami.

Dla niego i Viv tak samo skończyło się wtedy oglądanie tego serialu. Karim siedział cierpliwie, udając zainteresowanie, ale do czasu. Zatrzymał odtwarzanie filmu, a chwilę później pieścił Viviane, lizał jej gorącą cipkę i ssał soki. Uwielbiał to: doprowadzać ją prawie na szczyt, by na chwilę przerwać i wejść w jej rozgrzane i wilgotne wnętrze spragnione jego męskości.

Kliknął pilotem, obraz przeskoczył o kilka klatek. Karim przełknął ślinę. Ręka bezwiednie wylądowała na rozporoku wizytowych spodni. Nienawykłe do guzików palce na próżno szukały suwaka. Poirytowany usiadł, czując gorycz frustracji, że tkwi tu samotnie i zamiast zacząć normalnie żyć, tęskni za czymś, co już nigdy nie wróci. Poluzował muszkę. Po chwili leżała na dywanie tuż przy łóżku razem z wymiętą koszulą. „Nie będziesz się sam zaspokajał – powtórzył w głowie słowa ojca, który kiedyś przyłapał go na tym. – To upadek mężczyzny i objaw jego słabości. Gdy nie panujesz nad sobą, jak chcesz zapanować nad światem?”

Ojciec miał rację. Masturbacja osłabiała morale. Tak właśnie uważał Karim. Spuścił wzrok na wybrzuszenie tkaniny spodni.

– Ja i ty sterczymy tu sami jak palec – mruknął do siebie.

Sięgnął po szklankę z wodą i upił kilka lodowatych łyków. Miał kaca. Nie nawykł do alkoholu, a dzisiaj trochę sobie pofolgował. Kolejne toasty wznoszone szampanem sprawiły, że stracił czujność i kontrolę nad sobą. Wolał nie wracać myślami do tego, co wydarzyło się przed niecałą godziną. Ledwie schronił się we własnej sypialni, a poczuł, że musi wyrzucić z siebie tę truciznę, która chwilowo odebrała mu rozum. Poszedł do łazienki, wsadził dwa palce do gardła i zwymiotował.

Pomogło.

Coś głucho huknęło na parterze. „Pewnie to przeciąg” – uspokoił się w duchu, ale i tak postanowił sprawdzić. Szybko wybrał numer do Rachata, żeby usłyszeć, że jego podejrzenia okazały się prawdą. Z powrotem opadł na poduszkę, przewinął kilka klatek filmu i znów tępo wpatrywał się w obraz. Po chwili doleciał do niego cichy szmer od strony drzwi. Czujnie uniósł głowę, równocześnie sięgając po przepaskę. Założył ją i usiadł.

– Coś się stało? – zapytał, zobaczywszy Fabianę, która owinięta szczelnie szlafrokiem, weszła do sypialni. Drzwi zamknęły się za nią z cichym mlaśnięciem.
– Czemu nie śpisz?

– A ty czemu nie śpisz? – spytała, podchodząc do łóżka zarzuconego rozbebeszoną pościelą.

– Oglądałem film – powiedział, chcąc chociaż na chwilę odwrócić jej uwagę i wzrok od własnego podbrzusza. To nie był przemyślany krok. Fabiana spojrzała na ekran telewizora i prawie natychmiast jej twarz opłynęła czerwienią. – Ech... – zaśmiał się cicho i rzucił pilota na dywan.

– *House of Cards*?

– Tak.

– Mogę? – Wskazała brodą na brzeg materaca.

– Proszę. Czemu zawdzięczam twoją wizytę? – zapytał, gdy przysiadła obok niego.

– To rewizyta – odpowiedziała, zagryzając bezwiednie kącik ust.

Zapadła cisza przetykana jedynie ich coraz szybszymi oddechami. Fabiana nie mogła oderwać wzroku od torsu Karima. Jeszcze nigdy nie widziała go bez koszulki, a teraz mocno żałowała, że tu przyszła, bo w jej sercu i brzuchu rozszalała się chmara motyli. Krew szumiała w uszach, a opuszki palców pulsowały, żądne dotyku i spragnione kontaktu z napiętą na mięśniach skórą Karima. Jego klatkę piersiową pokrywały ciemne, prawie czarne, gęste i kręte włosy. Było ich tak dużo, że z trudem można było dostrzec jedną z dwóch maleńkich, jasnych brodawek. Wystawała nieśmiało, jakby się wstydziła, że tu jest, na tym męskim, wypełnionym mięśniami torsie. Fabiana pomyślała, że chce jej dotknąć, musnąć palcem, objąć ustami i podrażnić koniuszkiem języka. Prawie czuła, jak bardzo to będzie podniecające. Ból w dole brzucha wzmógł się jeszcze bardziej. Chciała wtulić twarz w pierś Karima, usłyszeć bicie jego serca, poczuć z bliska zapach skóry.

Przysunęła się bliżej. I jeszcze bliżej, aż jej udo, przykryte kremowym jedwabiem zetknęło się z udem Karima. Chwyciła jego dłoń i położyła ją na śliskiej powierzchni tkaniny.

– Co robisz? – wychrypiał. Białko oka błysnęło w półmroku sypialni.

– Chcę dać ci prezent.

– Prezent?

– Tak. Dzisiaj mogę być dla ciebie, kimkolwiek chcesz. Jeśli widzisz we mnie choć odrobinę Viviane, jeżeli ten zapach – przytknęła na chwilę nadgarstek do nosa Karima, zupełnie niepotrzebnie, bo czuł woń róż, ledwie się zbliżyła – przypomina ci Viv, zamknij oczy, a ja stanę się nią dzisiaj. To dla ciebie, Karim. To mój prezent.

– A co, jeśli nie chcę Viviane? – zapytał. Mięsień jego policzka zadrżał,

sprawiając, że szeroka blizna przezeń biegnąca jeszcze intensywniej wybarwiła się krwią. – Może pragnę Fabiane? – powiedział z francuska, miękko akcentując ostatnią sylabę jej imienia.

Nie odpowiedziała ani słowem. Spuściła głowę, żeby ukryć przed nim zaszklone oczy. Jak przez mgłę popatrzyła na dłoń Karima, spoczywającą w bezruchu na jej udzie. Położyła na niej swoją i przesunęła lekko, odsłaniając mały skrawek skóry. Ten połyskujący mlecznym blaskiem fragment był swoistą zachętą, żeby Karim odważył się po nią sięgnąć. Jeśli naprawdę tego pragnął.

– Może to z tobą chcę być dzisiaj?

– Ze mną? – Przymknęła oczy, bo nie mogła objąć umysłem słów Karima.

– Chyba najwyższy czas na prawdę. Z tobą chciałem spędzić ten wieczór.

Myślałem, że...

– Że? – Zaczerpnęła powietrza do płuc i podniosła głowę, żeby ujrzeć jego oblicze.

– Że mnie nie chcesz. I nigdy nie zechcesz mnie mieć – powiedział, zbliżając swoją twarz. Ciepły podmuch jej oddechu upajał go niczym najlepszy szampan. Mieszał się z wonią róż, których aromat objął w posiadanie całe ciało Fabiany. – Myliłem się?

Nie odpowiedziała.

Popchnął ją lekko, żeby się położyła. Legł obok niej, też na boku i przez chwilę trwał w skupieniu, prześlizgując się wzrokiem po twarzy Fabiany. Była taka piękna, tak idealnie podobna do twarzy Viviane, ale inna. Te same oczy, które zawsze kojarzyły mu się z odcieniem młodych, świeżych listków wierzby, spoglądały na niego zupełnie inaczej niż kiedyś. Właśnie dlatego zdawał sobie sprawę, że to inna miłość, jeśli mógł odważnie myśleć, że rozkwitło między nimi to uczucie. Wysunął palce i wyrysował ich opuszkami łagodny kontur kobiecej twarzy, powiódł nimi po skroni z tętniącym, bladopurpurowym naczyniem.

– Niedaleko stąd, w kopalni, wydobywają marmur, który do złudzenia przypomina kolorem to miejsce. – Docisnął opuszkę do drgającej rytmicznie żyłki.

– *Bianco carrara*. Tak się nazywa.

– Karim... – Fabiana zagryzła wargę. – Pocałuj mnie – poprosiła. Nie mogła się doczekać, kiedy ją obejmie, porwie w ramiona, weźmie całą do ostatniej komórki jej ciała.

Podparł się na przedramieniu i nachylił twarz nad jej zarumienionym obliczem. Delikatnie chwycił ustami jej dolną wargę, przesunął po niej językiem, wywołując u Fabiany znajomy dreszcz, który przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa, jeszcze mocniej budząc do życia setki motyli, a każdy z nich uderzał swoimi skrzydełkami szybciej niż koliber, doprowadzając jej ciało do nieznośnej wibracji. Rozchyliła usta, żeby Karim mógł wejść głębiej. Zaskoczył ją delikatnością tej pieśzcoty i tym, że trwała tak długo. To było subtelne, ostrożne, niemalże

nieśmiała, może dlatego tak bardzo się temu oddała, nie pamiętając o tym, co jeszcze niedawno spotkało ją ze strony Karima.

Wsunął rękę pod jej szyję i docisnął do siebie, nie przestając całować. Dopiero po chwili oderwał usta i powiódł palcem po nabrzmiąłych i wilgotnych wargach Fabiany. Nie spuszczał z niej wzroku, ona też nie mogła przestać na niego patrzeć. Nagle poczuła przyływ zazdrości. Pomyślała, ilu kobietom przed nią przytrafiła się taka chwila, ale nawet ta refleksja nie była w stanie zgasić płomienia w jej sercu.

– Chcę cię zobaczyć. Całą – wychrypiał i podniósł się, żeby usiąść. Chwyił ją za rękę, a kiedy mógł spojrzeć prosto w jej oczy, wyciągnął dłoń i wsunął pod krawędź jej szlafroka. – Zdejmij to.

Rozsupłała wąski paseczek, zsunęła szlafrok z ramion, ale została jeszcze cieniutka jak mgiełka koszulka. Karim aż westchnął, gdy jego spojrzenie prześlizgnęło się z twarzy Fabiany na jej dekolt, a potem na brodawki piersi przebijające przez jedwab. Widział ją naga, ale wtedy... Nie mógł jasno i zdecydowanie orzec, jak wtedy by się zachował. Czy byłby w stanie opanować swoją żądzę? Gdyby nie Sandrine...

– Brak mi słów – wyszeptał. – Jesteś taka słodka i piękna. – Na moment zacisnął pięści, bo przypomniał sobie, jak brutalnie się z nią obszedł na urodzinach Igora. Wyciągnął dłonie i przytknął je do wąskich ramiączek. Zsuwał je centymetr po centymetrze, aż krawędź dekoltu koszulki zatrzymała się na sterczących grudkach nabrzmiąłych od pragnienia dotyku. – Przepraszam. Wybacz, że... – nie dokończył, bo wstyd urósł mu w gardle. Zaróżowiona dziewczęca twarz tak bardzo różniła się od tamtej, bladej z przerażenia i bólu. Przysunął się i wtulił twarz w małą nieckę między szyją Fabiany a jej obojczykiem. – Jestem narwany i zbyt impulsywny, ale nie chciałem cię skrzywdzić. Wierzysz mi? – wyszeptał.

– Wierzę – odpowiedziała. Objęła jego kark i ucałowała lekko płatek ucha. Nigdy nie była blisko z mężczyzną, który preferował golenie głowy na zero, z ciekawością przesunęła opuszkami po napiętej skórze i aż zadrżała, tak bardzo to było podniecające i nowe. – Nie wracajmy już nigdy do tego – poprosiła po chwili. Chciała na zawsze zapomnieć o mrocznym obliczu Karima, zwłaszcza teraz, gdy każdym dotykiem, muśnięciem dłoni, pocałunkiem, pokazywał jej, jak potrafi być czuły.

Odsunął się, żeby znów na nią spojrzeć. Uklęknęła, żeby móc chwycić dolny brzeg koszuli. Zdjęła ją przez głowę i popatrzyła na niego, wygładzając zmierzwione włosy. Była zupełnie naga, ale nie wstydziła się. Z radością przyjęła jego pełen pożądania wzrok. Chciała, żeby jej pragnął, żeby oszalał na jej punkcie. Opadła pośladkami na podwinięte stopy i odchyliła się do tyłu, jeszcze bardziej eksponując sterczące piersi. Wsparta dłońmi o materac, lekko zmrużyła oczy i przechyliła głowę, a jej włosy opadły na lewe ramię łagodną falą.

– Kusicielka... – mruknął gardłowym głosem Karim.

– Twoja kolej. – Nieznacznie rozsunęła kolana, żeby mógł ujrzeć jej kobiecość, na razie pieszczoną tylko ciepłym światłem nocnej lampki.

Wstał. Powoli, niemalże wystudiowanym ruchem, odpinał guziki spodni. Nie spuszczał oka z Fabiany, obserwując jej ciało i reakcje. Zsunął spodnie, a po chwili bieliznę. Gdy przysiadł obok niej, widział, jak przez moment omiotła wzrokiem prostującego się członka.

– Połóż się – polecił.

Nachylił się nad nią i zaczął delikatnie całować płaski brzuch. Jego spragnione usta powędrowały w okolice pępka, by po chwili dotrzeć do piersi. Posłał brodawkę, prawie zachłystując się znajomym smakiem i zapachem. Jego pieszczoty były coraz intensywniejsze. Czuł, że się w nich zatracza. Jego usta znów zeszyły niżej, ominęły pępek i dotarły do wzniesienia połyskującego złotem kręconych włosów. Wyprostował się na chwilę, żeby go zobaczyć. Wysunął dłoń i najdelikatniej, jak mógł, przeciągnął palcem między nabrzmiałymi, pulsującymi pragnieniem płatkami.

– Pragnę cię... – jęknęła Fabiana. Bezwiednie uniosła biodra, chcąc mocniej go poczuć. Zamknęła oczy, myśląc, że minęła może minuta, a ona jest już bliska spełnienia. Chciała, żeby w nią wszedł, wziął ją tak, jak nieraz widziała to w swoich snach. Znów pragnęła smakować jego usta i ślinę, niemalże zapomniała, jak bardzo były słodkie. Z gardła wydobyło się kolejne westchnięcie i jęk rozkoszy, gdy Karim dotknął koniuszkiem języka nabrzmiałej łechtaczki. Wygięła się, dociskając łono do jego twarzy. – Kochaj się ze mną – wyszeptwała.

Nie odpowiedział. Zafascynowany tym, za czym tak długo i boleśnie tęsknił, pieścił ją, lizał i smakował, nie mogąc uwierzyć, że potrafił bez tego żyć.

– Chodź do mnie... – Wyciągnęła ręce, żeby móc dotknąć jego głowy. Musnęła ją palcami, a gdy wyczuła zgrubienie blizny, aż coś ją ścisnęło w piersiach, bo przypomniała sobie, jak bardzo ktoś okaleczył twarz Karima.

Teraz spełnił jej prośbę. Podniósł się i spojrzał na nią. Nie spuszczał z niej wzroku nawet, gdy sięgał po prezerwatywę. Założył ją szybko i z wprawą. Przez krótką chwilę zawisł nad Fabianą, by jeszcze raz popatrzeć na jej płonące rumieńcem policzki, na rozszerzone źrenice, wypełnione pragnieniem po brzegi. Wszedł w nią, a ona natychmiast objęła go ramionami. Splotła nogi na jego silnych łydźwiach i przywarła całą sobą, głodna dotyku każdą komórką ciała.

Kochali się powoli, bezskutecznie próbując powstrzymać falę spełnienia, ale i tak nadpłynęła. Zabrała ich, tłocząc rozkosz w każdą najmniejszą żyłkę, synchronizując ciężkie, głębokie oddechy i także bicie serc, ale ich doznania nie spowodowały, że rozpadli się na tysiące małych tętniących orgazmem kawałków. Było inaczej. Dotarli razem do bezpiecznej, dobrze znanej przystani, pilnując, żeby nie zgubić się po drodze i nie zatracić w samotnym przeżywaniu rozkoszy.

„Chyba nigdy nie byłam z nikim tak blisko...” – pomyślała Fabiana, słysząc tuż przy swojej piersi bicie serca Karima. Jeszcze nie wyszedł z niej, nadal opleciony jej nogami, pólleżał, wspierając się na przedramionach, a jego ciepły oddech uderzał raz po raz w jej skroń. Łaskotały ją strużki potu, leniwie wypływające pomiędzy ich ciał, ale nawet nie drgnęła, żeby nie uronić ani sekundy tej intymnej bliskości.

– To był najlepszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek dostałem – mruknął Karim. Ostrożnie wysunął się z niej i położył, żeby widzieć jej twarz. – Dziękuję.

– Wręczanie też było miłe. – Mrugnęła porozumiewawczo.

Myślała, że to powtórzą, ale Karim przeprosił ją i wyszedł do łazienki. Wrócił po kilku minutach, już w bieliźnie. Ziewnął i spojrzał na nią niezbyt przytomnym wzrokiem.

– Szampan wybitnie mi nie służy – powiedział. Jego oddech pachniał pastą do zębów.

– Pójdę już. Powinieneś się położyć – odparła, niezbyt miłe zaskoczona obrotem sprawy. Co najgorsze, nie zatrzymywał jej. Niemalże beznamiętnie patrzył, jak zakłada koszulkę i szlafrok. – Dobranoc – powiedziała, okraszając twarz bladym uśmiechem.

– Dobranoc. – Skinął głową.

Podeszła do drzwi, jeszcze ciągle łudząc się, że Karim wyskoczy z łóżka, dopadnie ją, weźmie na ręce i oświadczy, że chyba jest głupia, jeśli myśli, że tak łatwo się wymknie. Ale nie wyskoczył. Stała przy drzwiach, chcąc dać mu jeszcze jedną, ostatnią szansę, lecz nawet na nią nie patrzył. Wyłączał właśnie telewizor.

– Miłych snów – bąknęła.

– Na pewno takie będą – odpowiedział.

Z trudem zasnęła tej nocy. Rano powitała ją wesoła Alija. Zaczęła referować, jak było na przyjęciu, ale szybko zauważyła, że Fabi nie ma humoru – siedziała, przeżuując rogalika, i gapiła się na nią bez słowa.

– Wszystko w porządku? – zapytała, nalewając czaju do dwóch filiżanek.

– Tak. Czemu pytasz? – Fabiana się spłoszyła.

– Jesteś jakaś niemrawa.

– Kiepsko spałam.

– Chan wyszedł wczoraj trochę wcześniej... – zagaiła Alija.

– I co z tego? – Fabiana uciekła wzrokiem w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Nic. Mam nadzieję, że to nie on jest odpowiedzialny za twoją bezsenność –

zabrzmiało żartobliwie.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Fabiana, próbując zachować podobny ton, ale bez sukcesu.

– Ojej... – Alija pokręciła głową. – Widzę, że humoręk dopisuje.

– Mogłaś mi powiedzieć, że Karim ma urodziny – burknęła Fabiana, myśląc, że to dobra wymówka dla jej zachowania. – Dowiedziałam się przypadkiem, od Gastona. Powiedział mi wczoraj wieczorem – wyjaśniła. – Gdybym wiedziała, na pewno nie odmówiłabym Karimowi, a tak wyszłam na prostaczkę.

– No tak... – Alija wyraźnie się stropiła. – O to jesteś wkurzona? – Zmarszczyła nos, myśląc, że Fabi ma wszelkie powody, żeby się na nią gniewać.

– Nie jestem wkurzona – odparła Fabiana, oddychając z ulgą, że udało się jej nakierować tok myślenia Alii w bezpieczną stronę. – Spałam źle, bo w nocy chyba znów była burza. Swoją drogą, naprawdę powinnaś była mi powiedzieć, że te kolczyki to w związku z urodzinami Karima.

– Przepraszam. Nie gniewaj się na mnie. – Alija pogłaskała ją po ramieniu.

– No dobrze... – mruknęła Fabiana. – W ramach przeprosin musisz mi wszystko opowiedzieć, ale dokładnie.

Alija uraczyła ją prawie godzinnym referatem, omawiając i obgadując każdego, kto pojawił się na niezbyt licznej imprezie urodzinowej Chana. Pokazała zdjęcia zrobione telefonem, oczywiście na większości występował szanowny solenizant, co trochę wytrąciło Fabianę z równowagi. Gdy widziała Karima i przypominała sobie, co zdarzyło się kilka godzin wcześniej, czuła, jak pod pachami zbiera się wilgoć, a w dole brzucha coś niepokojąco ćmi. W końcu Alija ją opuściła i została sama ze swoją burzą myśli i uczuć.

Po południu wybrała się na małą przechadzkę, licząc, że spotka Gastona i zajmie się czymkolwiek, co pozwoli jej zapomnieć o Karimie. Nie pomyślała, że przecież jest niedziela. Jak niepyszna wróciła do rezydencji, a żeby tego było mało, ledwie weszła na swoje piętro, a zza zakrętu korytarza wpadł na nią Karim. Prawie się zderzyli.

– Dzień dobry – przywitała się pierwsza. Zrobiła to zupełnie bez namysłu, na dodatek skinęła głową, zupełnie jak ktoś, kto mu służy.

– Dzień dobry – odpowiedział, obdarzył ją miłym, nic nieznaczącym uśmiechem i skierował się na schody.

Stała bez ruchu, wsłuchana w coraz cichszy tupot jego stóp. Nie nastawiała się na zbyt wiele po wczorajszym pożegnaniu, ale żeby aż tak ją zignorować? Potrząsnęła głową, myśląc, że jest bardzo głupia i naiwna, skoro sądziła, że dla Karima ta noc miała jakiegokolwiek znaczenie. „Dałam mu prezent, przyjął, podziękował i tyle” – pomyślała, czując gorycz w ustach. Powłokła się do sypialni, jakoś przetrwała beztruską paplaniną Alii przy kolacji, a potem wzięła długą kąpiel, żeby zabić czas, który wyjątkowo się dzisiaj ciągnął.

Była bardzo zmęczona, ale nie mogła zasnąć. Wybiła jedenasta, a ona ciągle obracała się w łóżku. Poirytowana, zeszła do pustej kuchni, zaparzyła sobie kubek melisy i wróciła na górę. „Niech to szlag!” – jęknęła w duchu, gdy minęła godzina, a nic się nie zmieniło. Ziewała, aż łzy ciekły z oczu, ale sen nie nadchodził. W końcu zabrała oprawiony w skórę *Germinal* Emila Zoli i poszła na taras. Włączyła kinkiety i sceptycznie kręcąc głową, zasiadła w wiklinowym fotelu.

Jakiś czas wcześniej postanowiła, że podszlifuje swój francuski. Uczyla się gramatyki z podręczników kupionych na jej prośbę przez Aliję i dużo czytała, bo w bibliotece bez trudu znalazła dziesiątki książek w tym języku. Przypuszczała, że poprzedni właściciel rezydencji je zgromadził. Nie wskazywały na to, żeby ktoś je czytał. Większość pachniała jeszcze farbą drukarską, a niektóre kartki były posklejane. Fabiana ambitnie sięgnęła po klasykę i musiała przyznać, że lektura tych powieści, zwłaszcza z osiemnastego i dziewiętnastego wieku, czasami sprawia jej problem.

Liczyła na to, że lektura ją uśpi, i prawie się udało. Coraz rzadziej przewracała strony, niektóre fragmenty musiała przeczytać dwa razy, bo słowa plątały się, rwąc zdania na bezsensowne fragmenty. Zamknęła książkę i położyła głowę na oparciu fotela. Delikatny wietrzyk muskał jej twarz, a z ogrodu dobiegało cykanie świerszczy. Powietrze przesycone zapachem kwiatów działało jak afrodyzjak i otulało ją błogim ciepłem. Podwinęła pod siebie nogi, poprawiła się na fotelu i zapadła w krótki, płytki sen.

– Tu jesteś... – dotarł do niej cichy głos.

Przez chwilę zdawało się jej, że śni, ale wtedy poczuła na policzku dotyk czyjejś dłoni. Otworzyła oczy, jej serce od razu podskoczyło, a żołądek zwinął się w kulkę.

– Przepraszam. Wystraszyłem cię – powiedział cicho Karim. Kucnął przed nią, wsparłszy dłonie o poręczę fotela. – Czemu nie śpisz?

– Nie mogłam zasnąć, dlatego trochę czytałam. – Odruchowo przycisnęła skórzaną okładkę do piersi.

– Ja też nie mogłem zasnąć – odparł, zabierając jej książkę. Położył ją na stolik, schylił się i wziął Fabianę na rękę. Od razu objęła jego kark ramionami.

Tak samo jak zeszłej nocy, kochali się spokojnie, niemalże leniwie, chłonąc całymi sobą każdą sekundę zespolenia. Karim nadawał rytm i ton, był czuły i jednocześnie stanowczy, a jego skupienie na tym, żeby to głównie jej dać przyjemność, sprawiało, że czuła się wyjątkowa. Niestety czar szybko prysł. Intymna etiuda dobiegła końca, Karim założył ciuchy, ucałował ją w policzek i wyszedł. Pomyślała wtedy, że porozmawia z nim, jeśli zjawi się kolejnej nocy.

Czekała na Karima na tarasie. Wsparta brzuchem o wysoką, kamienną barierkę, patrzyła na zatokę. Migoczące, jakby posypane brokatem, Monako odbijało się w wodzie, a świerszcze wypełniały nocną ciszę na przemian to

harmonijnym, to kakofonicznym koncertem. Drgnęła lekko, usłyszawszy ciche stąpanie po posadzce. Karim stanął za nią i zsunął jej szlafrok. Jedwab delikatnie spłynął po nagim ciele Fabiany.

– Cudowna – mruknął Karim.

Przełożył luźny warkocz, żeby obnażyć jej szyję. Kąsał ją i całował. Jego dłonie pieściły jej piersi, czasami któraś prześlizgiwała się niżej, kreśląc kółka wokół pępka i muskając miejsce, gdzie gładka skóra spotykała się z linią miękkiego runa. Nie dbał o to, że ktoś może ich zobaczyć, ale zapobiegawczo zgasił wszystkie światła, również te w sypialni. Był gotów tutaj wziąć Fabianę. Rozpiął suwak spodni. Po chwili do śpiewu cykad dołączyły ich ciężkie oddechy i rytmiczne jęki zwiastujące rychłe spełnienie.

Dzisiaj miał ochotę na więcej. Po wszystkim zaniósł ją prosto do łazienki. Stali pod letnim strumieniem, nie odrywając od siebie ust. Ślina mieszała się z wodą, spływała po rozgrzanych ciałach, otulając ich i pieszcząc.

– Uklęknij – powiedział, nie kryjąc proszącego tonu. Nie chciał jej do niczego zmuszać, ale tak bardzo pragnął, żeby poznała jego smak i zakochała się w nim równie mocno, jak on kochał zlizywać jej soki.

Posłuchała i uklękła przed nim, popychając go lekko, żeby wsparł się plecami o ścianę kabiny. Z błogością pomasowała jego twarde jak skała mięśnie ud, a jej spragnione usta rozpoczęły wędrówkę po gęstym zaroście pokrywającym całe podbrzusze. Poczula muśnięcie członka na dekolcie. Co chwilę ocierał się o jej szyję, łaskotał skórę napiętą na obojczyku. Jej pocałunki były coraz bardziej namiętne; wsunęła dłonie za pośladki Karima i zachwycona ich jędrnością, zaczęła je ugniatać.

– Weź go – jęknął Karim, nie mogąc dłużej znieść oczekiwania. Niecierpliwym ruchem wyłączył prysznic, żeby nic go nie rozpraszało w tej chwili.

Wargi Fabiany przewędrowały niżej. Zaciskała je na mokrych kosmykach włosów i pociągała lekko, wywołując u Karima kolejne błyski pragnienia, żeby chwycić jej głowę i przyspieszyć spełnienie. Poczul kroplę ulgi, gdy palcami zaczęła przesuwając po nabrzmałym członku, a drugą dłonią pieścić jego jądra. Myślał, że nie doczeka chwili, kiedy wreszcie jej usta otulą go swoją miękkością i wilgocią. Gdy to nastąpiło, poczuł się jak w raj. Ssała go, lizała, a jej język tańczył wokół żołądki, doprowadzając Karima do szaleństwa. Bawiła się z nim, odrywała usta, żeby co jakiś czas przerywać pieszczotę, a za moment wsunąć penisa głęboko, prawie do sklepienia gardła, i possać mocno, aż do granicy bólu.

– Tak... – jęknął, gdy kolejny raz pochłonęła go całego, a jej dłoń zacisnęła się lekko na mosznie. – Tak... – powtórzył. Już nie panował nad sobą, wysunął rękę i chwycił za mokre włosy Fabiany. Bezwiednie okręcił je wokół dłoni i docisnął jej głowę do podbrzusza. – Jeszcze trochę... – wychrypiał, zamykając oczy.

Nie oponowała, bo już dawno udzieliło się jej podniecenie ogarniające Karima. Przestała na chwilę oddychać, za to zwiększyła częstotliwość niewielkich wahaniec głową. Nagle Karim zadrżał, a po sekundzie jej usta wypełniły się jego słodko-gorzki smakiem. Nie przerywała, choć puścił jej włosy, nadal wysysała ostatnie krople spełnienia. Opuściła jedną rękę i zaczęła delikatnie masować łechtaczkę. Nie czekała długo. Nabrzmiała z podniecenia grudka zareagowała na dotyk prawie od razu. Wstrząsnęła nią rozkosz. Zachwiała się, bo ścierpnięte nogi odmówiły posłuszeństwa. Dopiero teraz oderwała usta od łona Karima i już miała opaść pośladkami na posadzkę, ale jej kochanek na to nie pozwolił. Chwycił ją pod ramiona i bez trudu postawił na nogi.

– Byłaś cudowna – powiedział, tuląc ją do siebie.

ROZDZIAŁ 15

Myślała, że wreszcie nastąpił jakiś przełom. Karim został z nią. Usnęła w jego opiekuńczych ramionach, ale gdy obudziła się nad ranem i popatrzyła na wgniecioną poduszkę, jedyny ślad, jaki zostawił, znowu coś dotkliwie ukłuło ją w sercu. Wstała, żeby się ubrać. Założyła nocną koszulę, zabrała szlafrok z tarasu i położyła się z powrotem. Nie chciała ujawnić prawdy przed Aliją. Skoro Karim się wstydził, czy ona miała inne wyjście?

Nie mogła przestać o nim myśleć, nic nie przynosiło ukojenia i nie blokowało natrętnych wspomnień. Wiedziała, że gdy nadejdzie noc, znów mu ulegnie. Z każdym kolejnym dniem czuła się coraz bardziej rozbita. Miała ochotę wyrzyczeć mu prosto w twarz, że traktuje ją jak dziwkę. Przychodzi, zakłada prezerwatywę, robi swoje i zostawia ją samą, w łóżku pachnącym do rana jego potem.

– Dostałam miesiączkę – powitała go dziesiątego dnia ich potajemnych spotkań. Stała przy drzwiach tarasowych i patrzyła na zatokę. Liczyła, że podejdzie, przytuli ją, pocałuje. Jakkolwiek okaże, że jest mu bliska, usunie czarne myśli, ale znów ją zawiódł.

– Miesiączkę? – powtórzył.

– Tak, miesiączkę. – Odwróciła się, żeby ostatecznie się przekonać, że Karimowi nie zależy na niej, a tylko na jej ciele.

Przestąpił z nogi na nogę, przełknął ślinę i to było wszystko, co zrobił.

– Wobec tego nie będę ci przeszkadzał. Dobranoc – pożegnał się i wyszedł.

Powstrzymała płacz, aż usłyszała ledwie słyszalny dźwięk zamykanych drzwi jego sypialni.

Wrócił za kilka dni, znów stanął w wejściu i spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Jeszcze się nie skończyła – odparła, odruchowo obejmując się ramionami. Gdy tak stał i taksował ją przenikliwym wzrokiem, czuła się jak śmieć. – Nie mam już tabletek antykoncepcyjnych. Skończyły się te, które miałam. Gdy ich nie biorę, bardzo długo miesiączkuję – wytłumaczyła, czując satysfakcję, bo jej szczerłość wyraźnie zawstydzila Karima. Speszył się. Choć starał się z tym walczyć, od zawsze odstręczały go wszelkie kwestie związane z kobiecą fizjologią.

– Powiedz Alii, zamówi ci wizytę lekarską – odparł i wyszedł z pokoju Fabiany, wprawiając ją w jeszcze większy wstyd i gniew, że pozwala mu na takie traktowanie.

Na szczęście dla niej musiał wyjechać. Wrócił po tygodniu. Drżała na samą myśl, że go zobaczy. Była prawie pewna, że przyjdzie w nocy, ale się rozczarowała. Spotkała go nazajutrz. Minęli się na korytarzu, jak ostatnio, powiedział „dzień dobry” i obdarzył ją niezobowiązującym uśmiechem. Odeszła

kilka kroków, gdy nagle zawołał ją po imieniu. Odwróciła się z nadzieją, że wreszcie coś się wydarzy; Karim podejdzie, powie jej coś albo zaprosi na kolację do swojego gabinetu

– Alija zamówiła ci lekarza? – spytał sucho.

– Tak.

– A leki?

– Wykupiła receptę.

– W porządku – mruknął.

– Dziękuję – odpowiedziała z trudem. Gniew i frustracja ścisnęły jej gardło jak żelazna obręcz.

– Mogę cię dzisiaj odwiedzić? – spytał z wahaniem w głosie. Fabiana od razu skrzyżowała ramiona na piersiach i popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

– Wszystko możesz. To twój dom i twoja sypialnia – prychnęła.

– Rozumiem – wycedził przez zaciśnięte zęby. Pokiwał głową i odszedł, klnąc w duchu, że w ogóle ją o to zapytał.

To, co nastąpiło po tej krótkiej rozmowie, przypominało do złudzenia ciche dni, które czasami panują w długich związkach ludzi niepotrafiących ze sobą rozmawiać. Schodzili sobie z drogi, oboje unikając sytuacji, w których mogliby się spotkać. O ile Karim z każdym dniem coraz lepiej znosił tę zimną wojenkę, o tyle Fabiana nie mogła sobie znaleźć miejsca. Znowu spędzała całe dni w ogrodzie, czytając lub snując się za Gastonem, który traktował ją trochę jak przybraną córkę. Obdarzał ją swoim ciepłem, opowiadał o roślinach, cenionych przez niego znacznie bardziej niż ludzie.

– Takie to małe, a jakie mądre i silne... – powiedział, patrząc na samosiejki, które co chwilę zagnieżdżały się tu i ówdzie, wykorzystując najdrobniejszą szczelinę w murze ogradzającym posesję.

– Może je zostawimy? – pytała Fabiana, bo żal jej było wyrywać te młodziutkie roślinki.

– Rozsadzą mur – tłumaczył Gaston, z żalem wyrywając je co do jednej. – Nie możemy pozwolić, żeby się tu rozrosły.

Właśnie tak mijały jej długie godziny i dni. Zaczął się sierpień, w ciągu dnia panował upał nie do zniesienia, ale Fabiana polubiła ten skwar. Nie przeszkadzał jej w spacerach, nawet w czasie sjeisty potrafiła wyjść do ogrodu i przesiadywać tam, skryta w cieniu starych glicynii.

– Dzień dobry, panienko – powitał ją Gaston. – A cóż to panienka robi? – zapytał, widząc, że wcisnęła się w głąb sporej kępy ligustru.

– Słyszysz? – zapytała, rozglądając się czujnie na boki.

– Ale co?

– Coś tu piszczy. – Przystawiła palec do ust i zastygła w bezruchu.

– Piszczy? – Gaston pokręcił głową. – Nic nie piszczy.

– Piszczy – upierała się Fabiana. Nagle tajemniczy dźwięk wyraźnie się zgłosił. Zanurkowała w burzę listków i po chwili wstała z tryumfalnym błyskiem w oku. – To kociak!

– Kociak?! – Gaston wybałuszył oczy, widząc czarną włochatą kulkę, leżącą na wyciągniętych dłoniach Fabiany. – Mój Boże, a skąd się tu wziął?

– Chyba jest chory – powiedziała Fabiana, wydostając się ostrożnie spomiędzy drapiących gałązek. Spojrzała na kotka i pokręciła głową. Nie prezentował się zbyt dobrze. Był chudy, jego sierść liniała na grzbiecie, a pyszczek i oczka pokrywały małe strupki i ropa. – Biedaczek – jęknęła. – Chyba go pogryzł jakiś pies.

– Panienska da, to skrócę jego cierpienia – zaproponował Gaston. – Mam silną truciznę na szczury, nie będzie się długo męczył.

– Co?! – oburzyła się Fabiana. – Nigdy w życiu. Trzeba go zawieźć do weterynarza.

– Jak panienska uważa. – Gaston machnął ręką.

Fabiana niosła kocię ostrożnie, bo popiskiwało w jej dłoniach przy każdym kroku. Odetchnęła z ulgą, gdy w drzwiach rezydencji ujrzała Radika.

– Popatrz – powiedziała, podnosząc ręce. – Znalazłam go w ogrodzie, trzeba z nim szybko jechać do weterynarza.

– Do weterynarza? – Radik nachylił się, żeby lepiej pooglądać to coś, co trzymała Fabiana. – Daj go, już ja wiem, jak go uleczyć. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Utnę mu łeb łopata i użyźnię jakiegoś kaktusa – zarżał tak głośno, że biedne zwierzątko zadrżało w dłoniach Fabiany.

– Cham! Burak i prostak! – warknęła Fabi, przytulając kociaka do piersi. – Sam sobie coś utnij i użyźnij swojego kaktusa, bo pewnie ci zwiądł. – Spojrzała ze wzgardą na rozporek jego spodni i weszła do budynku.

– Ech, co Chan w niej widzi? – Pokręcił głową. Już miał iść do Rachata, pełniącego dziś dyżur przy bramie, gdy coś go tknęło. – Niech to! – zaklął pod nosem, wpadając do rezydencji. Zdążył dogonić Fabianę może dwa metry przed drzwiami gabinetu Chana. – Stój! – krzyknął do jej pleców. Odwróciła się.

– O co ci chodzi, buraku? – Wydęła usta.

– Nie możesz tam wejść. – Odruchowo wyciągnął rękę, żeby złapać Fabianę za ramię, ale bardzo szybko ją zabrał. Jak wszystkich mężczyzn pracujących dla Chana, jego też obowiązywał zakaz naruszania nietykalności cielesnej tej nieznosnej Polki. Mógł ją tknąć tylko w przypadku próby ucieczki, ewentualnie w sytuacji, gdy jej życie lub zdrowie byłoby zagrożone. – Nie wolno. – Stał między nią a drzwiami. – Chan ma gościa.

– Sandrine? – Fabiana przekrzywiła głowę. – Czy jakąś nową dziwkę? Myślałam, że posuwa je w sypialni. Nie doceniłam jego inwencji.

– Cicho – warknął ostrzegawczo. Dłonie same zwinęły się w pięści. Gdyby mógł, nauczyłby ją moresu. – Chan ma ważnego gościa, nie możesz przeszkadzać.

– Powstrzymaj mnie. – Natarła na niego całą sobą, więc od razu się odsunął.

To wystarczyło. Nacisnęła klamkę łokciem i wparowała do gabinetu, a Radik za nią, wściekły, że temu nie zapobiegł.

– Przepraszam, ale panienska... – zaczął, lecz Karim przerwał mu gestem dłoni.

– Co się stało? – Uniósł się z fotela i podszedł do nich.

– Znalazłam kota w ogrodzie, jest chory, a nikt nie chce mi pomóc – wypaliła na bezdechu. – Alija ma dzisiaj wolne, Gaston chciał go otruć, a ten cham, dureń i prostak jeszcze gorzej! Czy tu nikt nie ma odrobiny serca dla biednego zwierzęcia?! – Podniosła głos. Ciskała gromy oczami, spoglądając to na Karima, to na Radika. – Uciąć łeb łopata?! – Potrząsnęła głową. – Może niech tobie Gaston utnie łeb, bo i tak w nim pusto! – Prawie napluła na Radika.

– E tam, szkoda łopaty. Kark skrócić i już – odburknął.

– Spokojnie – uciął Karim, widząc, że Fabiana otwiera usta, żeby zripostować. – Radik, weź kota, idź po Avril i razem jedźcie do jej brata. Ma lecznicę w centrum – przypomniał mu.

Jego podwładny wytrzeszczył oczy, już miał spytać, czy Chan żartuje, ale szybko się opanował. Popatrzył na Fabianę, a ta nieufnie podała mu kotka.

– Ostrożnie! – warknęła, widząc, jak obejmuje zwierzątko swoimi masywnymi łapskami.

– Pospiesz się – dodał Karim. Nie był znawcą, ale gołym okiem widział, że pupil Fabiany ledwie zipie.

Nie musiał zachęcać Radika. Ten strzelił butami i pognął w stronę kuchni, żeby jak najszybciej pozbyć się futrzaka. Od dziecka brzydził się kotami.

– Dziękuję – powiedziała Fabiana trochę zaskoczona postawą Karima.

Nagle przypomniała sobie o jego gościu. Zauważyła go, zaraz jak weszła do gabinetu. Jeszcze raz zerknęła ukradkiem w stronę biurka. Znad oparcia fotela wystawała łysa czaszka otoczona wianuszkami bieluteńkich włosów. Była prawie pewna, że to przez tajemniczego mężczyznę Karim okazał tyle wspaniałomyślności.

– W porządku – odparł sucho.

– Nie przedstawisz mnie? – zapytała, rozczarowana odkryciem jego prawdziwych intencji.

– Wracaj do siebie – mruknął niemalże bezgłośnie i chwycił ją za łokieć, chcąc wyprowadzić ją z gabinetu, ale nie zdążył.

– Poczekaj, mój drogi – dobiegło zza jego pleców. – Chciałbym poznać tę młodą damę.

Fabiana popatrzyła w stronę mężczyzny. Wstał i podszedł do nich. Każdy

ruch, który wykonywał, był powolny i wystudiowany, ale nie to ją zafrapowało, a jego twarz. Spodziewała się sieci zmarszczek i łagodności cechującej oblicza starszych mężczyzn, kogoś podobnego do Gastona, z wymalowanym na twarzy doświadczeniem i ciepłem bijącym z oczu, a ten człowiek był dosyć młody, mógł mieć co najwyżej sześćdziesiąt lat. Fabiana odruchowo spojrzała na Karima, żeby po krótkiej chwili wrócić wzrokiem na mężczyznę. Jego skóra wyglądała jak sztuczna i miała nienaturalny sinożółty odcień, dziwny i niezdrowy, aż nią wzdrygnęło. Przyszpilił ją przenikliwym spojrzeniem i wyciągnął dłoń w czarnej, skórzanej rękawiczce bez palców.

– Co ci mówiłem, do cholery?! – huknął Karim. Nie wytrzymał, szarpnął Fabianę za ramię i wypchnął za drzwi. Trzasnęły z hukiem, aż zadrżały szybki w witrynie. – Wracaj do siebie!!! – ryknął tak głośno, że na pewno go usłyszała.

– I po co te nerwy? – zaśmiał się gość Kasymowa. – Ona i tak jest moja. Tak samo jak Viviane. I pamiętaj, nie pozwolę, żeby tak samo skończyła.

– Zamknij się! – ryknął Karim i gwałtownym ruchem otworzył drzwi na oścież. Było jak przewidział, Fabiana stała i przyglądała mu się z zaciętą miną.

– Wyjaśnisz mi to – syknęła i odeszła, kilka razy oglądając się za siebie.

Był przygotowany na jej pytania, ale wybuchu złości się nie spodziewał. Przecież zgodził się pomóc temu durnemu kotu, więc o co jej chodziło? Siedział na tym samym fotelu, który przed dwiema godzinami zajmował jego gość, i marszcząc brew, patrzył, jak Fabiana przemierza gabinet, co chwilę spoglądając na niego bykiem albo wysuwając wskazujący palec, gdy mówiła:

– Ośmieszylesz mnie przed tym człowiekiem! Poniżylesz! Co to w ogóle miało być? – Stała przed nim i wsparła się pod boki.

Musiał przyznać, że taką lubi ją najbardziej: hardą i zacierzwioną. Od razu czuł, jak krew żywiej krąży w jego żyłach. Gdyby nie obietnica, że nigdy nie podniesie na nią ręki, wzięłby ją i przełożył przez kolano, a potem wlepił na te cudowne, białe pośladki po kilkanaście soczystych klapsów.

– Uspokój się – powiedział. W końcu ileż mogło trwać to przedstawienie? Aż tak jej nie poniżył, każąc wyjść.

– Ja mam się uspokoić? – Fabiana aż się zatrzęsła.

– A kto?

– Masz mnie za głupią. Nie podoba mi się to – rzekła ostrzegawczo. – Przestań traktować mnie jak idiotkę. Mam prawo wiedzieć, kim był ten człowiek i o co mu chodzi. To jakiś twój wspólnik? Kto to jest?! I dlaczego powiedział, że i tak jestem jego?! – Jej oczy ciskały gromy.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Zaciśnął bezwiednie pięści. Udzielił mu się jej gniew. – Żebyś nie żałowała – wycodził.

– A co mam do stracenia?! Co ja mam do stracenia?! No powiedz! – Stała przed nim i popatrzyła z góry. – Traktujesz mnie jak dziwkę, jak zwykłą kurwę. Przychodzisz w nocy, robisz swoje i wychodzisz, a teraz ten dziwny człowiek! Co on ma do mnie?! I kim ja do cholery jestem, że traktujesz mnie tak podle?!

Natychmiast się podniósł, a wtedy ona szturchnęła go palcem w pierś. To był błąd. Poważny. Karim błyskawicznie chwycił jej dłoń i ścisnął mocno.

– Ałć! – pisnęła, czując, jak jego silne palce niemalże ją zmiażdżyły.

– Przepraszam. – Natychmiast je rozprostował, ale było już za późno.

Fabiana porwała dłoń i otuliła ją drugą. Próbowała rozmasować kostki, żeby aż tak nie bolało. Podniosła na niego szkliste spojrzenie i wypaliła:

– Zadowolony?! A może skręcisz mi kark? Tak jak Radik chciał zrobić z kicią?

– A właśnie, gdzie masz pupila? – Karim przechylił głowę. Wiedział, że weterynarz zabrał kota, już dawno mu o tym doniesiono, ale chciał zmienić wektor tej rozmowy, a raczej sprzeczki.

– Jest chory i został w klinice – wyjaśniła, od razu mimowolnie łagodniejąc na twarzy.

– Ale wydobrzeje? – kontynuował.

– Chyba tak, ale to ponoć kot jakiejś pani, która mieszka tu niedaleko.

– Rozumiem. Jak chcesz, kupię ci persa – zaproponował. – Będziesz go sobie czesać...

– Karim! – warknęła Fabiana. – Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!

– Sama tego chciałaś! – odburknął równie gwałtownie. Złapał ją za rękaw bluzki i oznajmił: – Idziemy. Najpierw musisz coś zobaczyć. Mam nadzieję, że to przetrwasz.

Zabrał z szuflady biurka małą piersiówkę z koniakiem i wyprowadził Fabianę z gabinetu. Chyba wszystkim udzielił się nerwowy nastrój panujący w rezydencji od popołudnia, bo gdy zeszli na parter, usłyszeli, jak Sara wrzeszczy na Avril, aż się echo niesie. Poza budynkiem było nie lepiej, głośne krzyki Rachata, który o coś ochrzaniał swoich podwładnych, słyszeli pewnie mieszkańcy Monako, o ile nie dalsi. Karim powiódł Fabianę do jurty, otworzył drzwi, wprowadził ją do środka, zapalił lampkę naftową i kazał stanąć tuż przed sobą.

– Jeszcze możesz się wycofać. Im mniej wiesz, tym dla ciebie lepiej – powiedział. Jego głos zadudnił cicho, wygłuszony przez dywany i kobierce.

– Chcę znać prawdę – odpowiedziała na tyle stanowczo, na ile mogła. Zauważyła, że Karim już się uspokoił, ale to, co malowało się na jego twarzy, było jeszcze gorsze niż wybuch gniewu sprzed chwili. Bała się. Podskórnie czuła, że ta prawda, czymkolwiek będzie, zmieni jej życie.

– Dobrze. Najpierw dowiesz się, kim jesteś – oznajmił enigmatycznie.

– Ja? – Jej brwi spotkały się ze sobą, a czoło przecięła głęboka zmarszczka.

– Tak, ty. Przecież o to pytałaś. Kim jesteś. – Podeszedł do drzwi, zamknął je od środka na zasuwkę, potem wyjął telefon, żeby powiedzieć Radikowi, że przez najbliższe dwie godziny nie ma go dla nikogo. Stał przed Fabianą i popatrzył na nią, jakby się zastanawiał, czy się nie wycofać. – To, co zaraz zobaczysz...

– Mam zachować dla siebie?

– Boję się, że popełniam błąd – odparł. Na chwilę przyłożył do ust złączone wnętrzami dłonie. Wyglądał, jakby się modlił do Opatrzności, żeby nigdy nie pozwoliła na to, by Fabianę spotkało jakieś nieszczęście. – Będę tego żałował – westchnął ciężko.

Odwrócił się, energicznie zerwał z podłogi jeden z kobierców i odrzucił go na bok. To samo spotkało gruby dywan leżący pod nim. W delikatnym świetle naftowej lampki ukazała się drewniana podłoga. Nagle Fabiana coś dostrzegła na jej chropowatej, ciemnej powierzchni. W szczelinie między deskami zauważyła niewielki otwór. Karim przykucnął i włożył do niego wskazujący palec. Po chwili ciszę zakłócił dziwny odgłos.

– Podnośniki hydrauliczne – wyjaśnił beznamiętnie.

– Boże... – jęknęła Fabiana, widząc, co się dzieje z podłogą jurty. Kilka desek podnosiło się powoli, ukazując ciemne wnętrze. – To jakiś loch? – wyszeptała, przytykając na moment dłoń do ust.

– Można tak to nazwać – powiedział Karim, czekając, aż kłapa wjazdu całkowicie się otworzy. – Zapraszam. – Wziął Fabianę za rękę.

Schodzili po wąskich, ale idealnie równych i gładkich stopniach, a z każdym ich krokiem zapalały się małe lampki, oświetlając im drogę. Dotarli na dół i wtedy znów zadziałały podnośniki, tym razem opuszczając kłapę. Na szczęście wnętrze oblewało coraz mocniejsze światło, ale i tak strwożona Fabiana przywarła całą sobą do Karima. Właśnie zaczęła żałować, że tu przyszła, bo nie dało się zignorować dziwnej atmosfery tego miejsca. Pierwsze, co odczuła w wąskim korytarzu z metalowymi drzwiami na końcu, to okropne zimno. Do gęsiej skórki bardzo szybko dołączyło szczękanie zębami. Nie pomogła adrenalina, wypełniająca każdą, nawet najcieńszą żyłkę.

– Poczekaj – powiedział Karim, wyswobadzając ramię z jej rąk. Zdjął koszulę i ruchem brody polecił, żeby ją założyła.

– A ty? – Zagryzła kącik ust, widząc, jak podniosły się włosy na jego nagim torsie.

– Przeżyję – burknął. – Gotowa? – zapytał, gdy dopięła ostatni guzik.

– Powiedzmy – odparła szczerze.

Karim chwycił ją za łokieć i podprowadził do drzwi. Wbił kod i odsunął się lekko, żeby fotokomórka nad drzwiami mogła zeskanować jego twarz. Cicho syknęło powietrze. Weszli do środka. Tu było nieco cieplej niż w korytarzu. Fabiana poczuła na policzku powiew letniego powietrza, zerknęła w górę

i zauważyła wylot, przypominający ten, który miała w sypialni.

– Klimatyzacja?

– Tak – potwierdził Karim.

– Co to za miejsce? – Fabiana rozejrzała się wokół. Ledwie tu weszła, a zauważyła w lewym kącie salki coś na kształt skrzyni, przykryte płachtą czarnego płótna, i kwadratową kamienną płytę wmurowaną w jedną z betonowych ścian. Widniały na niej jakieś arabskie litery i cyfry. – To czyjś... – zamilkła, zdając sobie nagle sprawę, co mogą oznaczać dwie daty: 1988 i 2014.

– To tablica pamiątkowa na cześć mojego brata, Seryka Kasymowa.

Fabiana odruchowo się przeżegnała, zupełnie nie myśląc, że brat Karima, tak samo jak on, był muzułmaninem. Jej mózg już przypominał bulgoczącą papkę, a nie wiedziała, że to, co spotka ją za moment, doprowadzi go do wrzenia.

– Ale tu...

– Jest pochowany gdzie indziej – uspokoił ją. – Pewnie zastanawiasz się, co może łączyć ciebie i Seryka? – zagaił Karim. – Niewiele. Choć gdyby nie jego śmierć i śmierć Viviane... – uciął. – Widziałaś kiedyś martwego człowieka? – zapytał, modląc się w duchu, żeby potwierdziła.

– Nie – wykrztusiła z trudem.

– I nie zobaczysz. Przynajmniej dzisiaj. – Krzepiąco ścisnął jej ramię. – Słyszałaś o balsamowaniu zwłok?

– Tak. Lenin wiecznie żywy – pokusiła się o żart, ale jej głos wyraźnie zdrzął.

– Gdy Viviane umarła, sprowadziłem z Rosji specjalistów, którzy zabalsamowali jej ciało – powiedział, czujnie obserwując reakcję Fabiany. Musiał ostrożnie dawkować emocje, żeby nie daj Bóg nie zasłabła, ale trzymała się całkiem nieźle. Przynajmniej tak uważał. – Trwało to czterdzieści dni, ale sprawili się doskonale. Wyglądała jak żywa, jakby spała.

– Chcesz powiedzieć, że... – Zerknęła w stronę tajemniczego podestu. Miała wrażenie, że płótno się poruszyło, i aż ją ścisnęło z wrażenia w dołku. Momentalnie przywarła do Karima, jeszcze ściślej niż przed chwilą trzymając go za ramię.

– Zabalsamowali zwłoki, żeby łatwiej było wykonać specjalne formy do odlewów.

– Eee... Formy? – Oczy Fabiany ledwie trzymały się w oczodołach.

– Potrzebowałem czegoś, co do złudzenia będzie przypominało zabalsamowane zwłoki. Zaprosiłem tu kolejną grupkę fachowców, tym razem Amerykanów. Zrobili dla mnie lalkę.

– Karim... – Fabiana oderwała ręce od jego ramienia i zakryła usta, czując, jak jej prawie puściutki żołądek podjeżdża w górę. Oprócz śniadania nic nie zjadła.

– Chcę stąd wyjść, natychmiast! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Spokojnie. Nie wyciągaj pochopnych wniosków – powiedział, łapiąc za jej dygoczące ramiona.

– Nie dotykaj mnie, ty... ty zboczony... – nie dokończyła. Jej ciałem szarpnął odruch wymiotny. Znów zatkała usta.

– Ciało Viviane zostało skremowane, a urnę dostarczyłem jej rodzicom. Pochowali ją w jakimś rodzinnym grobie. Nie znam miejsca jej pochówku i nigdy nie poznam, bo tak się umówiliśmy. Tu nie ma zwłok Viviane, jest tylko model.

Lalka. Coś jak woskowe figury aktorów i celebrytów. Ich też się boisz i brzydzisz?!

– Podniósł głos, nie mogąc uwierzyć, że Fabiana posądziła go o jakąś nieprawdopodobną dewiację. Nie odpowiedziała. Zbladła niczym ściana, więc szybko wyjął piersiówkę, odkręcił i prawie wepchnął jej do ust gwint szyjki. – Pij! – polecił.

Chwyła piersiówkę i posłusznie przełknęła łyk koniaku, prawie od razu wypuszczając ją z rąk. Uderzyła o posadzkę z głośnym brzękiem. Fabiana krztusiła się i kaszłała, nienawykła pić tak mocny alkohol. Pusty żołądek zaprotestował, niewiele brakło, a zwymiotowałyby prosto na Karima. Złapał ją pod ramiona i mocno przycisnął do siebie.

– Już dobrze, już dobrze... – mówił cicho, głaszcząc jej plecy i całując głowę. – Już dobrze...

ROZDZIAŁ 16

Ochłonęła dopiero po paru minutach.

– Chodźmy stąd – zaproponował Karim, widząc, jak kiepsko wygląda.

– Nie. Już mi przeszło. – Schyliła się i podniosła piersiówkę. Na szczęście coś jeszcze w niej zostało. Ostrożnie i powoli opróżniła ją z resztek koniaku. – Już mi przeszło – powtórzyła, widząc zwątpienie w oczach Karima. – Kiedyś muszę poznać prawdę – oświadczyła, zerkając przez ramię na coś, co jeszcze ciągle skrywało przed nią swój sekret.

– W porządku – mruknął, bynajmniej nieprzekonany, czy faktycznie tak musi być, a zwłaszcza dzisiaj. – Wiesz, że Viviane była do ciebie bardzo podobna? – zapytał, natychmiast otrzymując odpowiedź.

– Alija coś wspominała.

– Nie przestrasz się, ta lalka, czy też jak zapewne wolisz, figura, jest wykonana bardzo realistycznie. Z detalami, włosami, wszystkim.

– Czy ona jest naga? – spytała Fabiana, ścisząc głos niemalże do szeptu.

– Nie. Ma na sobie bieliznę i długą sukienkę.

– Powiesz mi, po co zleciłeś zrobienie tej figury?

– Tak, ale potem. Najpierw ją zobacz. – Podeszli do skrzyni. Karim chwycił brzeg płótna... Napięcie sięgnęło zenitu, zdawało się, że powietrze drży i wibruje pod jego wpływem. – Figura jest w szklanej skrzyni, żeby uchronić ją przed kurzem i zanieczyszczeniami – uprzedził. Przełknął ślinę, myśląc, że na pewno znów dojmująco przeżyje widok Viv, zwielokrotniony jeszcze obecnością Fabiany i obawą o jej reakcję.

Zsunął płachtę i prawie w ostatniej chwili zdążył chwycić Fabianę pod ramiona. Zachwiała się, zobaczywszy kogoś, kto wyglądał jak ona. Na pierwszy rzut oka, oprócz fryzury, nie różniły się niczym. Po prostu niczym.

– Boże... – jęknęła. – Karim, ona nie jest do mnie podobna. Ona jest taka jak ja... Wygląda jak ja... – wykrztusiła, spoglądając na zastygłą twarz lalki. Nachyliła się, żeby z bliska dostrzec detale. Dopiero wtedy zauważyła, że to nie prawdziwy człowiek, ale i tak wrażenie było ogromne. – To na pewno Viviane? – Pokręciła głową. – To jestem ja.

– Viv urodziła się z wadą serca. Dosyć szybko to zoperowano, ale miało wpływ na jej rozwój. Jest niższa i szczuplejsza. Popatrz na jej policzek. Widzisz tam małą bliznę? Gdy była mała, ugryzł ją szerszeń – wyjaśnił.

– Może i masz rację, ale dla mnie... Ona wygląda tak samo jak ja.

– Wyglądacie prawie tak samo, bo to twoja siostra – powiedział. Wysunął dłoń i musnął jej policzek.

– Ale... – Fabiana popatrzyła na figurę Viviane i z powrotem na Karima. – Ale... Co ty mówisz? Ja nie mam siostry. Nigdy nie miałam rodzeństwa. Karim!

Co ty mówisz?! – Spoglądała to na niego, to na szklane wieko skrzyni.

– To twoja siostra bliźniaczka – powiedział z mocą.

– Nie, to niemożliwe. – Fabiana potrząsnęła głową.

– Popatrz na stopy. – Jego prośba zabrzmiała niczym ogłoszenie wyroku.

Wiedział, że to rozwieje wszelkie wątpliwości Fabiany. – Viv miała tę samą wadę budowy palców, którą masz ty. Syndaktylia. Bardzo rzadko spotykana przypadłość, czasami dziedziczona od któregoś z rodziców – przekazał jej to, co powiedziała mu kiedyś Viviane i co odnalazł w sieci.

Nie rzekła ani słowa. Powoli, jakby brnęła przez coś grząskiego i gęstego niczym smoła, zbliżyła się do miejsca, gdzie tkwiły stopy woskowej Viv. Nie mogła uwierzyć. Drugi i trzeci palec do złudzenia przypominały kształtem jej palce. Kiedyś miała z tego powodu straszne kompleksy, ale z czasem przywykła. Zresztą wada nie rzucała się w oczy, bo palce zrosnięte były tylko w połowie długości.

– Karim... Ja... Czy to naprawdę moja siostra? – Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego. Jej oczy wypełniły się łzami. – Czemu nie wiedziałam? Dlaczego moja mama... – Zakryła usta, myśląc o tym, jak wiele straciła.

Jako małe dziecko chciała mieć rodzeństwo, ale matka nie związała się z żadnym mężczyzną. Potem, gdy Fabiana wyrosła, przestało jej na tym zależeć. A gdy osiągnęła pełnoletniość, jej mama mająca już wtedy przyjaciela, musiała poddać się zabiegowi usunięcia szyjki macicy i szanse na posiadanie kolejnych dzieci przepadły bezpowrotnie.

– Nie wiedziałaś. – Karim wypowiedział na głos to, czego był prawie pewien. – Viv też nie wiedziała, że ma siostrę. Ale o adopcji już tak.

– Jej rodzice żyją? – Fabiana odwróciła się, żeby z czułością dotknąć wieka skrzyni. Palce odbiły się, zostawiając wilgotne ślady na szklanej powierzchni.

– Tak. Mieszkają w Marsylii. Mają jeszcze dwóch synów, biologicznych – sprecyzował. – Oczywiście wiedzą o tobie.

– Jest taka... śliczna – wychlipała Fabiana. – Nosila krótkie włosy? – zapytała, patrząc na fryzurę Viv. Wiernie odtworzone przez amerykańskich lalkarzy, platynowe i proste pasma okalały równie bladą, niemalże białą twarz.

– Tak. Lubiła taką właśnie fryzurę.

– Wiem, że to tylko lalka, ale... – nie mogła dokończyć. Jej ciałem wstrząsnął szloch. – Zawsze myślałam, że jestem jedynaczką. To dla mnie szok – wykrztusiła.

– Rozumiem, co czujesz. Gdy pierwszy raz cię zobaczyłem... – zamilkł. – Teraz spróbuj sobie wyobrazić, jak bardzo było ciężko mnie i wszystkim, którzy znaleźmy Viv, gdy tutaj zamieszkałaś. Dobrze, że tak bardzo jesteście... byliście – poprawił się – różne pod względem charakteru. Inaczej chodziłyście, ona drobiła, a ty stawiasz nieco dłuższe kroki. Jesteś spokojniejsza, rzadziej się śmiejesz,

a Viviane... – Zadumał się nad tym, jak duży wpływ na ich zachowanie wywarły rodziny i otoczenie.

– Oni wiedzą? Wszyscy wiedzą, że Viviane była moją siostrą? – Nie mogła uwierzyć, jak udało się im to przed nią ukryć.

– Nie wszyscy. Tylko Radik, Rachat, Sara i oczywiście Alija. Reszta z pewnością miała mocne podstawy, żeby tak myśleć, ale...

– Ale co?

– Myślę, że powinniśmy już wracać – powiedział. – Zmarzłaś. – Popatrzył z troską na jej posiniałe usta. Koniak przestał działać.

– Szczerze mówiąc, chętnie stąd wyjdę – przyznała. Zdjęła koszulę i oddała Karimowi.

Założył ją, a potem przykrył skrzynię płótnem.

– Już rozumiesz, dlaczego nikt tu nie ma wstępu poza mną i Fatimą? – Popatrzył na nią. – Zresztą drzwi do podziemi otwierają się na odcisk palca. Mojego palca – dodał na wszelki wypadek, gdyby przyszło jej kiedyś do głowy znów tu przyjść.

– Ktoś był tu... na dole? – Rozejrzała się ostatni raz, czując, że nieprędko, o ile w ogóle tu jeszcze zawita.

– Owszem. Radik i parę innych osób. A teraz chodźmy. – Chwycił ją za łokieć i wyprowadził.

W milczeniu wrócili do rezydencji. Karim zaprosił Fabianę do swojej sypialni, poprosił Sarę, żeby przygotowała im coś pożywne do zjedzenia. Pochwalił Avril, gdy przyniosła dwie porcje gotowanej wołowiny z makaronem. Wprawdzie Fabiana na początku oponowała, twierdząc, że na pewno nic nie przełknie, ale Karim zdołał ją przekonać, żeby jednak coś zjadła.

– Chyba chcesz poznać resztę historii? – zapytał, nakładając na jej talerz solidną porcję. – Nic nie zjesz, niczego się nie dowiesz. Nie zamierzam cię reanimować – uprzedził.

Zaproponował jej lampkę koniaku, sam oczywiście nie pił. Fabiana zjadła, wychyliła koniak i przyznała, że czuje się o niebo lepiej, ale i tak jej twarz zdradzała, że wizyta w podziemiach *kyiz uji*, jak po kazachsku mówił na jurcie Karim, mocno nią wstrząsnęła. Spytała go, czy ma jakieś zdjęcia Viviane. Przez chwilę się namyślał, czy to dobry pomysł pokazać jej te kilka fotografii schowanych głęboko w małym sejfie za portretem matki, ale ostatecznie wyjął kasetkę, a z niej trzy zdjęcia.

Więcej nie miał, bo je zniszczył. Gdy wrócił z Filipin, połamał obrazy, zdjęcia wrzucił do kominka, a osobiste drobiazgi w ciągu kolejnych dwóch dni spotkał ten sam los. Kazał wszystkim wyczyścić telefony komórkowe, informatyk skasował pliki z dysków. Ocalały tylko te zdjęcia, zawieruszone przypadkiem gdzieś w kuchni, bo Viv lubiła tam czasem chadzać. Avril znalazła je w szufladzie

z rzadko używanymi serwetami. Nikt nie umiał powiedzieć, jak się tam znalazły. Długo myślała, czy pokazać je Chanowi, czy zniszczyć. Sara podjęła za nią decyzję. Słuszną. Karim schował zdjęcia i trzymał je niczym najcenniejszy skarb.

– Gdzie to było? – spytała Fabiana, patrząc na roześmianych Karima i Viv. Stali, obejmując się, a za nimi połyskiwała tafla jakiegoś jeziora. Z jego powierzchni wystawały białe, ogołocone z gałęzi i liści kikuty drzew.

– To Kajyngdy – powiedział, przysiadając obok niej na brzegu materaca. – Jezioro w górach Kungej Ałatau, u nas, w Kazachstanie – wyjaśnił. – Leży w paśmie Tien-szan. Pojechaliśmy tam na wycieczkę, konno. Piękne miejsce. Te badyle to zatopiony las. Świerki, brzozy. Sto lat temu było tam trzęsienie ziemi i woda zalała dolinkę. Nie polecam kąpiele. Wiry i lodowata woda. Sześć stopni.

– Niesamowicie to wygląda. – Fabiana westchnęła głęboko. Miała na myśli zarówno to, co za plecami Karima i Viv, jak i tę ostatnią. Jej siostra założyła czapkę z daszkiem, zasłaniając fryzurę. Na tym zdjęciu wyglądała jak ona, Fabiana. I to było naprawdę przedziwne uczucie. Znow ścisnęło ją w dołku. – Umiała jeździć konno?

– Tak. Całkiem nieźle. Ćwiczyła od dziecka.

– Uhm.

– Żeby się tam dostać, trzeba pokonać spory dystans. Najpierw drogą z Kanionu Szaryńskiego, też pięknego miejsca, potem do wioski Saty, a stamtąd jest jeszcze jakieś osiem kilometrów. Na szczęście po drodze jest dużo jurt i można coś zjeść – powiedział, wręczając Fabianie drugie zdjęcie. – To Viv na osiołku. Uparła się, żeby na nim pojeździć. – Uśmiechnął się blado do tego wspomnienia. – A tu jesteśmy w Ałtyn Emel. – Podał ostatnią fotografię. – Ałtyn Emel, czyli złote siodło Czyngis-Chana. To część ogromnego parku narodowego, niecałe trzysta kilometrów na południowy wschód od Ałmaty. Kiedyś zwiedziłem prawie cały ten park. Jeśli będziesz w Kazachstanie, musisz zobaczyć Śpiewającą Wydmy, góry Aktan i wzgórze Katutan. Warto też zobaczyć kurhany Besshatyr – powiedział. – Mój kraj naprawdę jest piękny. Jedyne nową stolicę sobie podaruj. Kicz i tandeta. – Skrzywił się na wspomnienie wieży Bajterek. Nie przemawiał do niego ten typ architektury.

– Macie nową stolicę? – zainteresowała się Fabiana, nie mogąc oderwać wzroku od Viv. Zagadnęła Karima, żeby móc jak najdłużej patrzeć na zdjęcia. Obawiała się, że je odbierze i schowa, a ona tak bardzo chciała choć przez chwilę widzieć swoją siostrę żywą, zdrową, z ogorzałymi od słońca policzkami i błyskiem w zielonych oczach.

– Tak. W Astanie. Ale Ałmaty jest piękniejsza, kiedyś tam była stolica – wyjaśnił, zabierając zdjęcia Fabianie, żeby je schować w sejfie. Znow wyraźnie się wzruszyła, choć starała się to ukryć. – I jak? Teraz mi wierzysz? – Spojrzał w jej zaszklone oczy, gdy ponownie usiadł obok niej.

– Jak mogłabym nie wierzyć? – szepnęła. – Dziękuję, że pokazałeś mi te zdjęcia.

– Jeśli chcesz... – urwał na moment – zrobię kopie – zaproponował.

– Chcę. – Potaknęła. – Nigdy nie wybaczę tego mamie. – Spuściła głowę i otarła łzę sunącą po policzku. – Dlaczego skrywała przede mną prawdę? Jak mogła?! – wykrztusiła przez ściśnięte bólem gardło.

– Gdy dowiesz się całej prawdy, może ją zrozumiesz i wybaczysz – odpowiedział Karim. – Pamiętaj, że Viv urodziła się chora. Miała wadę serca. Bardzo możliwe, że w Polsce nie zdołano by tego skutecznie wyleczyć, poza tym rodzice adopcyjni Viv są bardzo majątymi ludźmi, a gdy twoja matka was urodziła, znajdowała się w dosyć trudnej sytuacji finansowej.

– Skąd wiesz? – Fabiana podniosła wzrok na twarz Karima.

– Znasz waszego ojca? – odpowiedział pytaniem, przesuwając się na łóżku, żeby lepiej widzieć Fabianę. – Wiesz, jak się nazywał?

– Oczywiście, że tak – odparła bez wahania. – Zbigniew Czekaj. Tato pracował jako ślusarz, był strażakiem w ochotniczej straży. Zginął w akcji. Mama była wtedy w ciąży – niemalże wyrecytowała to, co już we wczesnym dzieciństwie przekazała jej matka. – Widziałam zdjęcie taty, z wojska. Przystojny, niestety zupełnie do mnie... do nas – poprawiła się – niepodobny. Mieszkali niedaleko Częstochowy, w małej wiosce. Byłam parę razy u taty na grobie, ale ostatnio... – zawahała się, żeby sobie przypomnieć – chyba zaraz po maturze. Rzadko tam jeździliśmy, bo z Olecka to bardzo daleko, a mama do dzisiaj nie ma prawa jazdy.

– A wiesz, dlaczego twoja matka przeniosła się do Olecka? I to niecały miesiąc przed porodem? To drugi koniec Polski. Macie tam jakąś rodzinę? Krewnych? Znajomych? – Karim przymrużył oczy.

– Nie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Zmarszczyła czoło. – Mama jest krawcową, w zasadzie nie miało dla niej znaczenia, gdzie mieszka, bo od zawsze pracowała w domu. Szyje prywatnie.

– Dlaczego mama nie wyszła za waszego tatę? – spytał, w zasadzie kontrolnie, bo świetnie znał odpowiedź.

– Nie zdążył. Mieli zaplanowany ślub, ale tato zginął w trakcie akcji.

– No właśnie. – Karim pokiwał głową. – Gdy się urodziłyście, wasza matka była w rozpaczliwej sytuacji. W nowym miejscu, bez znajomych i rodziny, bez renty po mężu, bez pieniędzy, za to z dwójką maleńkich dzieci, w tym jedno było ciężko chore. Już rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem. – Pokręciła głową. Jej zacięta mina wskazywała jasno, że nie rozumie matki i nigdy nie zrozumie. – Jak mogła oddać komuś jedną z nas? Nie mam dzieci, ale serce by mi pękło, gdybym miała oddać komuś jedno dziecko. Przecież byłyśmy takie podobne, musiałam stale jej przypominać o Viv. Czyż nie? – Spojrzała na Karima, bezwiednie zaciskając usta w wąską linijkę. – Skąd wzięli

się ci ludzie?

– Rodzice Viviane?

– Tak – potwierdziła, czując, że Karim doskonale zna tę historię. Choćby od nich samych.

– Niedaleko Olecka, w miasteczku Ełk, jest parafia, której ówczesny pastor...

– Proboszcz – poprawiła go.

– Tak, proboszcz – potaknął. – Ten człowiek organizował przez lata pomoc dla swoich parafian. Głównie w czasach kryzysu w Polsce, ale i później. Jednymi z donatorów byli rodzice Viviane, wtedy jeszcze bezdzietni, usilnie szukający dziecka do adopcji. Proboszcz z Olecka kiedyś spotkał się z proboszczem z Ełku. Od słowa do słowa... – Karim wzruszył ramionami.

– Nie mogli dać mojej mamie pieniędzy? Zamiast zabrać jej Viviane?

– Mogę się jedynie domyślać powodów postępowania twojej matki i rodziców Viv.

– To znaczy? – Fabiana przekrzywiła głowę i podejrzliwie spojrzała na Karima.

– Próbowала zatrzeć za sobą ślady. Zmieniła nazwisko na Czekaj – przypomniał jej – choć nigdy nie wyszła za waszego ojca.

– Mówiła, że chciała, żebyśmy obie nazywały się tak samo – odpowiedziała bez namysłu Fabiana. – Żeby dzieci w szkole i przedszkolu mi nie dokuczały, że jestem nieślubnym dzieckiem. Przecież nikt nas nie znał w Olecku. Nie wiedział, że mama była panną.

– Dokładnie tak. – Karim wstał i podszedł do niewielkiego barku, żeby nalać Fabianie jeszcze jedną lampkę koniaku. Czuł, że będzie jej potrzebne coś na wzmocnienie. I na rozluźnienie też. – Proszę. – Podał jej kieliszek.

– Chcesz powiedzieć, że moja mama przed kimś uciekała? – spytała, opróżniwszy lampkę do dna. Teraz poszło jej znacznie łatwiej i szybciej niż przed dwiema godzinami, w podziemiach jurty.

– Nie tylko uciekła, ale dosyć dobrze zatarła za sobą ślady i zmyliła ewentualną pogoń – oznajmił Karim, biorąc od niej puste naczynie. Postawił kieliszek na szafeczce nocnej.

– Ewentualną pogoń...

– Opowiem ci pewną historię – zaczął podobnie jak kiedyś, gdy wspominał o życiu w Paryżu. – Na pewno słyszałaś o wojnie w Afganistanie, a dokładnie o interwencji wojsk, jeszcze wtedy radzieckich. W skrócie: trwała dziewięć lat, zakończyła się w osiemdziesiątym dziewiątym, a więc długo przed twoimi narodzinami, ale może coś obilo ci się o uszy.

– Coś na pewno, ale niewiele. – Fabiana uniosła brwi, bo akurat historia nigdy nie była jej pasją.

– Na wojnie jak na wojnie. Ludzie umierali, niektórzy odnosili ciężkie obrażenia, wspierali się, nieraz jeden człowiek uratował drugiemu życie... – Pokiwał głową w zadumie. – Takie sytuacje się zdarzały. Tworzyły się przyjaźnie na śmierć i życie. Ojciec często wspominał, jak wtedy było.

– Walczył w Afganistanie?

– Tak. Chcę ci opowiedzieć o przyjaźni dwóch żołnierzy. Jednym był Daniał Kasymow, mój ojciec, a drugim niejaki Wilczyński Jan, Polak, ale służący w radzieckiej armii jako technik łączności. Ich przyjaźń była legendarna, nazywali ich Daniel i Wilk – oznajmił Karim, okraszając twarz nieodgadnionym uśmiechem. – Przyjaźnili się nawet po wojnie. W trakcie interwencji nawiązali pewne kontakty – powiedział, starając się zrobić to spokojnie i beznamietnie. – Zaczęli handlować różnymi rzeczami, które zdobywali w Afganistanie. Początkowo bronią, później również narkotykami, a dokładnie afgańską heroiną. Przemycali ją do Europy i Rosji. Żeby nie wchodzić sobie w paradę, podzielili się strefami wpływów. Wilk objął Polskę i większość krajów zachodnich, a Daniel zawładnął Rosją i krajami kiedyś podległymi Związkowi Radzieckiemu. Ich przyjaźń rozwijała się z każdym kolejnym milionem dolarów, który zarobili na przemyśle broni i narkotyków. Mijały lata, a oni coraz bardziej się bogacili. Niestety, takie życie zawsze odbywa się kosztem czegoś, życia rodziny, dzieci... – zawiesił głos. – Ja i Seryk wychowywaliśmy się bez ojca. Ojciec był gościem w domu, może dlatego wysłał nas do swojego brata, żebyśmy tam mieszkali i żyli pod jego czujnym okiem. Słał pieniądze na nasze wykształcenie, a raz na rok odwiedzał, przywożąc prawdziwe góry prezentów.

– Chcesz powiedzieć, że... – Fabiana przełknęła ślinę i rozejrzała się wokół, tocząc wzrokiem po sypialni Karima, jednym z najbardziej wystawnie urządzonej pokoi w rezydencji, opływającym w luksus, w meble z palisandru i hebanu, z dywanami sprowadzonymi z najdalszych zakątków świata i ścianami ozdobionymi arrasami.

– Tak, jestem gangsterem – powiedział spokojnie Karim. – Mój ojciec zmarł w dwa tysiące czwartym roku, miałem wtedy osiemnaście lat i jako najstarszy syn przejąłem po nim rodzinny interes. – Uśmiechnął się ironicznie.

Postanowił dać Fabianie trochę czasu na przyswojenie sobie tej szokującej prawdy. Wstał, żeby nalać jej trzecią tego wieczoru porcję koniaku. Napelniając kieliszek bursztynowym płynem, rozmyślał, czy powinien powiedzieć jej wszystko. Zwłaszcza że na broni i narkotykach się nie skończyło. Raczej zaczęło. Jego ojciec rozkręcił biznes. Najpierw poszerzył go o fałszowanie banknotów i puszczenie ich w obieg w rozlicznych kasynach i salonach gier, które otwierali z Wilkiem, gdzie tylko mogli. Potem przyszedł czas na agencje towarzyskie, nocne kluby, wymuszenia, haracze i brutalne napady, gdy ktoś próbował prowadzić podobną działalność na terenach przez nich kontrolowanych. Nie pogardzili niczym,

przemycali podrobione papierosy, leki, alkohole, a nawet elektronikę, ciuchy i galanterię. Był taki czas, że nie kontrolowali płynącego zbyt szeroko i gwałtownie strumienia pieniędzy, ale szybko to opanowali. Kupili kilka podupadających przedsiębiorstw, najczęściej kopalń i hut, i prowadzili je jako przykrywki dla właściwej działalności.

Kiedy Karim przejął po zmarłym ojcu gigantyczną firmę, ta działała niczym szwajcarski zegarek, bynajmniej nie jak produkcja z Chin. Swoją drogą handel podróbkami też stanowił jakiś promil jego przychodów. Jedyne, z czego zrezygnował nowy boss, to działalność burdeli. Wszystkie zlikwidował lub zmienił w nocne kluby. Mierziła go świadomość, że w takich przybytkach kobiety są notorycznie poniżane, krzywdzone i częstokroć gwałcone, zarówno przez klientów, jak i alfonsów. Nie zamierzał przykładać do tego ręki. Za to Wilk nie miał żadnych oporów. Jego „żołnierze” napadali na TIR-y, na konwoje z pieniędzmi, stworzyli ogromną sieć, do której łapali ludzi pilnie potrzebujących gotówki. Pożyczali pieniądze, obciążając kapitał lichwiarskimi procentami, a potem egzekwowali długi, uciekając się do najbardziej brutalnych metod. Wilk przymierzał się nawet do prowadzenia poligrafii, lecz nie o druk książek mu chodziło, raczej o fałszywe papiery wartościowe i wszelakiego typu dokumenty. Był niezaspokojony w swoim dążeniu do jeszcze większego bogactwa.

– Proszę. – Karim chciał podać Fabianie kieliszek, ale odmówiła gestem ręki, więc postawił go na szafce. – Nie boisz się tu ze mną siedzieć? – zapytał. W jego głosie zabrzmiała przekora, ale i cień smutku, który odczuwał na widok jej twarzy: pobladłej, z oczami zapadniętymi głęboko.

– A czego mam się bać? Gdybyś... chciał zrobić mi krzywdę, już dawno byś ją zrobił. Czyż nie? – odparła znużonym tonem. Natłok emocji i wrażeń spowodował, że czuła coś na kształt obojętności, beznamiętnego poddania się prawdzie, czymkolwiek by się nie okazała.

– Ktoś się rodzi bandytą, a inny księdzem. Mówią, że kurwa to charakter, nie zawód. Z gangsterką jest podobnie. Może jestem brutalny, czasami bezwzględny, ale mam swoje zasady.

– Mówiłeś o rodzinie – przypomniała mu. – O twoim dzieciństwie, dorastaniu bez ojca...

– Wilk nie miał rodziny – nawiązał do jej słów, podskórnie czując, że to nie przypadek, że Fabiana przytoczyła właśnie te. – Zazdrościł mojemu ojcu, który chwalił się nami, mną i Serykiem, przy każdej okazji. W dziewięćdziesiątym trzecim Wilk przyjechał do Polski. Miał tam jakieś interesy w okolicy Krakowa. Zawadził również o Częstochowę, gdzie mieszkała jego nieżyjąca już dawno matka. Przyjaciel mojego ojca lubował się w doskonałych garniturach, koszulach szytych na miarę... – zawiesił głos, widząc reakcję Fabiany. Zmieniła się na twarzy, a nad górną wargą delikatnie błysnęła warstewka potu. – Ktoś polecił mu

świetną krawcową, niejaką... Edytę Maj, mieszkającą w Łojkach, małej wsi niedaleko Blachowni – dokończył, cedząc słowo po słowie. Na chwilę przerwał, by dać Fabianie czas na opróżnienie wzgardzonej przed chwilą lampki z koniakiem. – Spodobała mu się ta śliczna, młoda krawcowa. Cicha, skromna i z urodą, którą później przekazała swoim córeczkom.

– To nieprawda. Nie wierzę ci – wyszeptała Fabiana. Spuściła wzrok na pustą lampkę. Jej palce do białości zaciskały się na nóżce, a ostre szlify kryształu boleśnie wbijały w delikatną skórę opuszków.

– Miała przyjaciela. Lubili się, a Zbigniew Czekał coraz częściej myślał o tym, żeby się oświadczyć. Niestety nie zdążył. Wilk uwiódł Edytę i rozkochał w sobie. Zawładnął jej duszą, ciałem, sercem i rozumem. Zresztą to było do przewidzenia. Wilk był wtedy w szczytowej formie, trzydziestoparolatek, przystojny, z ogromną charyzmą i takimi samymi pieniędzmi. Przyjeżdżał do Edyty wypasioną bryką, zapraszał ją do najlepszych restauracji, roztaczał wizje wspaniałego życia w bogactwie, więc szybko mu uległa. Niestety miał również ciemną stronę – powiedział cicho Karim, zabierając Fabianie kieliszek. Bał się o jej palce. – Niekiedy nie mógł opanować swojej agresji, choć przy kochanej Edytce starał się trzymać fason. Któregoś dnia wyjechał, uprzedzając, że długo go nie będzie, ale wróci. I tak się stało. Pech chciał, że Edyta, już wtedy w ciąży, fatalnie znosiła tę rozłąkę. Zbigniew wykorzystał nieobecność rywala i próbował odzyskać dawne stanowisko u jej boku. Nie zrażał go nawet fakt, że jego ukochana spodziewa się dziecka innego mężczyzny. Odwiedzał ją, wspierał... – Karim pokiwał głową. – Gdy Wilk niespodziewanie wrócił, już po miesiącu, a nie po trzech, jak zapowiedział, nie przyjął do wiadomości, że to zwykłe koleżeńskie wizyty. Nie uwierzył Edycie, że nic nie zaszło między nią a Zbigniewem Czekałem.

– Zrobił krzywdę mamie? – spytała Fabiana, przykładając dłonie do zalanych łzami policzków.

– Zapowiedział, że gdy Edyta urodzi dziecko, sprawdzi, kto jest ojcem, ale i tak już jej nie chce. Honor nie pozwalał mu być z kobietą, która pod jego nieobecność znalazła sobie pocieszyciela. Ostrzegł ją również, że nie pozwoli nigdy na to, żeby ułożyła sobie życie z jakimkolwiek mężczyzną.

– Tato zginął przez niego... – wyłkała Fabiana, myśląc o człowieku, którego całe życie uważała za ojca. Bała się spytać, czy Wilk przyłożył rękę do jego śmierci. Intuicyjnie wyczuwała, że to nie przypadek.

– Nigdy nie wyjaśniono, dlaczego nikt poza Zbigniewem Czekałem nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń w akcji, w której zginął. Znalaziono spopieliałe zwłoki, a medycy sądowi nie mogli nic stwierdzić na podstawie tych szczątków. Tylko jedno było pewne, zginął w czasie gaszenia pożaru, do którego skierowano dwa zastępy strażaków. Jeden z tych strażaków wkrótce po tym

zdarzeniu wyjechał do Kanady z całą rodziną, ponoć odziedziczył większą sumę pieniędzy i mógł tam wyemigrować.

– Nie chcę tego słuchać. – Fabiana zamknęła oczy. Zasłoniła twarz dłońmi i pomyślała, że chce zniknąć, zapomnieć o tym wszystkim, co zobaczyła i czego wysłuchała. Rozpacz szarpała jej całym jestestwem, współczucie dla mamy, dla każdego, kto miał to nieszczęście i stanął na drodze Wilczyńskiego, przepełniała serce, już i tak pękające od nadmiaru żalu i gniewu. – To na pewno nasz ojciec? – spytała, ukazując Karimowi resztkę nadziei, która jeszcze się tliła wątłym płomyczkiem w jej zmęczonej do cna duszy.

– Zrobił badania DNA. Viviane bez wątpienia była jego córką. Swoją drogą, to właśnie on przekazał wam syndaktylię.

– To ten człowiek... – powiedziała najciszej jak mogła. – Ten, który dzisiaj...

– Tak. To twój ojciec.

– Wiedziałam od początku, że coś mnie z nim łączy – wyszlochała Fabiana. – Te oczy... – Pokręciła głową. Te oczy, bladozielone tęczęwki upstrzone na obrzeżach delikatnymi rdzawymi plamkami, setki razy spoglądały na nią z lustra.

– Wyplacz się. To pomaga. Wyrzucić z siebie gniew, zrób to – powiedział Karim i usiadł obok niej.

Objął ją mocno. Bardzo mocno. Tak, żeby czuła, jak silne są jego opiekuńcze ramiona. Nie oponowała. Nie miała w sobie ani krztyny gniewu. Jeszcze nie zdążył się w niej narodzić. To, co czuła najmocniej, to ogromny żal, że choć przez moment mogła tak surowo ocenić matkę. Oddałaby życie za to, żeby to do niej móc się teraz przytulić. Tylko do niej. Nagle jej serce przeszła błyskawica strachu: „A co, jeśli mama, jeśli ten straszny człowiek...” – nawet w myślach nie potrafiła dokończyć.

– Muszę zadzwonić do mamy! – krzyknęła rozpaczliwie, próbując wydostać się z objęć Karima. – Muszę jej to wszystko powiedzieć, ostrzec ją! – Chwyciła za rękawy jego koszuli i szarpnęła. – Daj mi telefon! Proszę! Karim, daj mi swój telefon!

– Nie – odparł nad podziw spokojnie. – To bardzo zły pomysł. Jesteś zdenerwowana.

– Muszę ją ostrzec! Karim, nie rozumiesz?! – Jeszcze mocniej podniosła głos.

– Pilnujemy jej. Możesz być spokojna. Twojej mamie nie spadnie włos z głowy, póki ja o to dbam. Poza tym pamiętaj, że Wilkowi chodzi o ciebie. Nie o twoją matkę. Jesteś jego jedynym żyjącym potomkiem. – Delikatnie, acz stanowczo odczepił jej zaciśnięte palce od rękawów koszuli. Najpierw jedną dłoń, potem drugą. – Przysięgam, że twojej matce nic się nie stanie. Ani jej, ani temu człowiekowi, który teraz z nią pomieszkuje.

– Skąd ta pewność? – Fabiana trzęsa się jak osika, nie docierały do niej słowa Karima, choć tak bardzo chciała mu wierzyć. Miała tylko jego.

– Wilk nie zaryzykuje konfliktu z tobą.

– Ale po co ja mu jestem potrzebna? – Znów szloch wypełnił jej gardło.

– Jesteś jego dziedziczką.

– Mam zostać szefową mafii?! Przecież on nie umiera! Niech da mi spokój.

– Wilk jest chory. Moim zdaniem nie zostało mu wiele życia. Zachorował parę lat po waszych narodzinach. Ktoś go otruł, prawdopodobnie konkurencja. Dopadli go, gdy przyjechał do Amsterdamu na otwarcie kilku nowych klubów nocnych. Jakaś dziwka uśpiła go i wstrzyknęła mu koktajl wirusów. Chodzą słuchy, że ma HIV i coś jeszcze, dlatego tak niezdrowo wygląda. Przypuszczam, że z tego powodu nie ma więcej dzieci. Jest bezpłodny albo nie chce przenieść na nie swojej choroby.

– To jakiś koszmar... – jęknęła Fabiana. – Nie chcę go znać! Nie chcę tak żyć!!! – W odruchu wszechogarniającej ją bezsilności uderzyła się pięściami w głowę. Nie mogła znieść wszystkiego, co się w niej tłoczyło. – Ucieknę stąd!!!

– Spokój! – huknął Karim, pochwywszy jej ręce. Nachylił się, żeby spojrzeć w jej oczy. – Uspokój się! – powtórzył. – Tylko tu jesteś bezpieczna, w moim domu. Nie mamy kodeksu honorowego, ale jakieś prawa i zasady mamy. Tu, we własnym domu, jestem nietykalny. Ja i każdy człowiek, który przebywa pod moim dachem. Gdy uciekniesz, wystawisz się Wilkowi na tacy. On właśnie na to liczy, nie rozumiesz?! Nie pozwól mu rządzić swoim życiem, sterować nim i decydować za ciebie – powiedział z naciskiem.

– A ty? – Skrzywiła się. Jej twarz wygiął paroksyzm bólu. – Przecież robisz dokładnie to samo! Nawet gdybym kiedyś mogła wyjść na wolność, moja dusza pozostanie zniewolona. Nie rozumiesz?

Karim nie odpowiedział, w jego głowie i sercu rozszalało się tornado. „Czyżbym... Czyżbym rozkochał ją w sobie? Nie! To niedorzeczne – pomyślał. – Przecież ona mnie nienawidzi. Ale co dzieli nienawiść od miłości? Wąska granica, tak właśnie mówiła Viviane...”

– Aż tak źle o mnie myślisz? – zapytał. Przez jego twarz przebiegł skurcz bólu, a skronie zaczęły pulsować, bo zdał sobie sprawę, w jaki koszmar zmieniło się życie Fabiany od momentu, gdy dowiedziała się o wszystkim. Prawie o wszystkim, bo nie zdradził jeszcze kilku mrocznych sekretów.

– Nie mam prawa o tobie myśleć – odpowiedziała, nagle cichnąc i gasnąc. – Wiesz, jak to jest, gdy budzisz się rano, odwracasz głowę i patrzysz w bok, żeby zobaczyć puste miejsce? Poduszkę bez śladu wgniecenia po czyjejś głowie. Zarzucasz rękę, żeby objąć kogoś, dotknąć, a tej osoby po prostu nie ma. Nie ma jej zapachu, ciepła, szmeru oddechu. Nic. – Przełknęła ślinę. – Przecież to znasz. Musisz znać to uczucie, bo kochałeś moją siostrę. Ja też je znam, choć inaczej.

– Ale... – wykrztusił, bojąc się spytać o to, co dla niej było zupełnie oczywiste i jasne. Wyrażała to spojrzeniem, przyspieszonym oddechem i sercem bijącym tak głośno, że je słyszał.

– Tak. Mówię o tobie, a teraz mnie puść. Nie mam siły na walkę – powiedziała, patrząc na prawy nadgarstek trzymany przez Karima. Natychmiast spełnił jej prośbę. Opuścił obie ręce i zastygł, zdruzgotany jej wyznaniem. – Nie mam siły na nic. Na życie też.

Podniosła się z łóżka i wyszła z sypialni. Ledwie zamknęła za sobą drzwi, a musiała się o nie wesprzeć. Wszystko wirowało przed oczami, a w piersiach czuła nieznośny ciężar. Odbierał jej powietrze i dławił serce, które tylekroć razy przeszyte bólem, nadal tętniło wbrew jej woli. Chciała zniknąć, rozsypać się w pył jak Viviane albo zasnąć niczym ta piękna woskowa postać ze szklanej skrzyni. Próbowwała odejść, trzymając się ściany, gdy nagle wszystko spowiała czerń, a ona powoli weszła w nią, spokojnie i lekko, niczym wąska dłoń wcinająca się w idealnie gładkie lustro wody...

ROZDZIAŁ 17

– Napędziłaś nam strachu – dotarł do niej głos Radika. Od razu poznała to niskie buczenie, które tak ją irytowało. Serce przyspieszyło, gdy przypomniała sobie, jaki z niego sadysta. Otworzyła oczy i niezbyt przytomnie spojrzała na jego gębę. – Witamy z powrotem. – Wyszczrzył zęby.

– Jak się czujesz? – W polu obrazu pojawiła się druga twarz. Karim odsunął Radika i przysiadł na brzegu materaca. Dotknął policzka Fabiany, wzdychając z ulgą.

Wystraszył się jej omdleniem. Intuicyjnie wyczuł, że coś z nią nie tak. Wyszedł z sypialni i znalazł ją leżącą może metr od drzwi. Dopadł do niej spanikowany, bo wyglądała jak martwa. Na szczęście chwilę później przybiegł Radik, który zauważył całą sytuację na monitorach. Pomógł Chanowi ułożyć omdlałą Fabianę na łóżku, a potem szybko i fachowo udzielił jej pierwszej pomocy.

– Nic mi nie jest – mruknęła, zerkając bykiem na Radika. Nie mogła się doczekać, kiedy wyjdzie i nie będzie musiała na niego patrzeć.

– Za dużo wrażeń – stwierdził Karim.

– Przecież to zwykła baba. – Radik parsknął śmiechem i spojrzał z pobłażaniem na Fabianę. Od razu wsparła się na przedramionach i wzięła głęboki oddech, żeby powiedzieć mu, że ma spadać w cholerę, ale zakręciło się jej w głowie. – Leż, bo znów odjedziesz – zarechotał.

W końcu sobie poszedł, a Karim zdecydował, że spędzi z nią noc, bo nadal wyglądała kiepsko. Zaniósł Fabianę do jej sypialni, pomógł się przebrać w nocny strój, nakarmił ciepłą zupą przyniesioną przez Avril i ułożył do snu.

– Naprawdę czuję się dobrze – powiedziała, skrępowana tym, że wszyscy wiedzieli o jego planach. – Możesz iść do siebie.

– Nie ma dyskusji – odparł, wyklinając w duchu, że dał Alii aż trzy dni wolnego.

Całą noc nie zmrużył oka. Fabiana w końcu zasnęła, ale budziła się co chwilę, nękana koszmarami. Mówiła do siebie, mamrotała coś niezrozumiale po polsku albo cicho pojękiwała. Rozwahał wezwanie Radika, żeby ten dał jej coś mocnego na sen, lecz uznał, że to spowoduje u Fabiany jeszcze większe cierpienia.

Nazajutrz czuła się jak z krzyża zdjęta, ale i tak pierwszą myślą, która powstała w jej głowie, było zadzwonić do mamy. Zastanawiała się, czy poczekać, aż będzie sama, i czy w ogóle poinformować o swoim planie Karima, lecz on uprzedził jej ruch. Przewidział, że będzie chciała się z nią skontaktować. Wmusił w nią śniadanie, a gdy z trudem zjadła dwa tosty, oznajmił, że powinna pogadać z matką.

– Teraz? – spytała, nagle strwożona nieuchronną konfrontacją.

– Tak, teraz. Gdzie masz telefon?

– W szufladce. – Wskazała brodą na nocną szafkę.

Karim wyjął aparat, sprawdził, czy jest naładowany, i dał go Fabianie.

– Dzwon – polecił.

– Ale po co? – Podniosła na niego udręczone spojrzenie.

– Przecież chciałaś z nią wczoraj rozmawiać – przypomniał łagodnym tonem.

– Chciałam ją ostrzec – potwierdziła.

– Nie rozumiesz, że to cię męczy? – Karim przechylił głowę. – Cierpisz, bo tęsknisz za nią. Brakuje ci matki jak każdemu człowiekowi. Ja też tęsknię za moją, choć zmarła pięć lat temu.

– Co mam jej powiedzieć? – wyszeptła przez ściśnięte gardło. Oczy powoli wypełniały się łzami, a te po chwili zaczęły skapywać z jej brody, znacząc tkaninę bluzki mokrymi plamkami.

– Zdaj się na instynkt. Zostawię cię. Jak skończysz, przyjdź do gabinetu – powiedział, wstając. Krzepiąco uścisnął jej ramię i wyszedł.

Wiedział, że musi sama zmierzyć się ze swoimi upiorami. Nie mógł tego zrobić za nią, a musiał przyznać, że wczorajsze wydarzenia i wiedza, którą z bólem serca jej przekazał, na pewno to utrudnią. Próbował pracować, ale myśli wyrwały się do niej. W końcu nie wytrzymał i uruchomił podsłuch z jej pokoju. Już po chwili wiedział, że to błąd. Pełen udręki głos Fabiany wystarczył, żeby rozerwać na strzępy jego duszę. Niewiele rozumiał, bo łkała nieprzerwanie, rzadko wyrzucając z siebie pojedyncze słowa czy krótkie zdania.

Opuścił z trzaskiem klapę laptopa.

Docisnął pięści do skroni. Znów wróciła natrętna myśl, żeby skończyć z tym wszystkim, odwieźć Fabianę do Polski, powiedzieć prawdę Wilkowi i zdemaskować tę chorą mistyfikację ze zwłokami Viviane. Już mu nie zależało na tym, żeby trzymać go w szachu. Porwał Fabianę, żeby mieć spokój, żeby ten przekłety Wilczyński przestał go nękać, zabijając jego żołnierzy, podkupując klientów i niszczyć to, co Karim zbudował na schedzie po ojcu. Siostra Viv miała być jego polisą ubezpieczeniową, gwarancją, że przyjaciel ojca wreszcie odpuści, bo na wybaczenie Wilka Karim nie liczył. Sam sobie nie wybaczył śmierci Viviane, choć teoretycznie nie przyłożył do niej ręki. To ona go zdradziła, a zmarła na skutek nieszczęśliwego wypadku, ale i tak obciążył tym swoje sumienie równie szybko i mocno, jak kiedyś się w niej zakochał.

Zamknął oczy, próbując to sobie jakoś poukładać w głowie. Z łatwością umiał przewidzieć ruchy Wilczyńskiego. Doskonale znał jego metody. Tylko dlatego nie mógł wycofać się z klinczu, w którym obaj tkwili od śmierci Viviane, a który jeszcze się wzmocnił po porwaniu jej siostry. Karim nie bał się śmierci, myślał o niej mniej lub bardziej świadomie w każdej minucie swojego życia. Gdy

jest się gangsterem, śmierć to jedyna towarzyszką, która nigdy nie zdradzi, nie opuści i kiedyś stawi się po swoją dolę. Jedyne, czego nie mógł znieść, to myśli, że Wilk zmieni życie Fabiany w koszmar. Był pewien, że tamten już dawno wyznaczył kogoś, kto się z nią wkrótce ożeni, zaufanego żołnierza, przybocznego, który spłodzi dzieci, wnuki Wilka, krew z jego krwi. Żałował chwili, w której postanowił ją porwać. „Jej los i tak był przesądzony – pomyślał z żalem. – A ja? Gdybym mógł cofnąć czas, pewnie już dawno bym nie żył. I nie cierpiał”.

Ktoś cicho zapukał. Karim otworzył oczy i spojrzał na Fabianę, która właśnie weszła do gabinetu. Ścisnęło mu serce na widok jej twarzy opuchniętej z płaczu. Wstał i podszedł do niej, żeby ją mocno przytulić.

– W porządku? – zapytał cicho.

– Tak – odpowiedziała szeptem i zadarła twarz, chcąc na niego spojrzeć. –

Dziękuję.

– Za co? Przecież nic nie zrobiłem.

– Że mi kazałeś.

– Porozmawiać?

– Tak. I za prawdę o mnie i o mojej rodzinie.

– Nie wiem, czy powinnaś mi za to dziękować. – Spojrzał w bok, nie mogąc znieść widoku jej twarzy.

– Chciałam znać prawdę – przypomniała.

Chwycił ją za rękę i powiódł do fotela, żeby na nim usiadła. Sam przysunął swój naprzeciwko.

– Co u twojej matki? – zapytał po chwili.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo mi ulżyło – wyznała Fabiana, ocierając kolejne łzy toczące się po rozpalonych z emocji policzkach. – Pewnie chcesz wiedzieć, o czym rozmawiałam z mamą, ale to wszystko jest zbyt świeże...

– Spokojnie. – Karim położył dłoń na jej kolanie. – Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz.

– Coś chcę. Mam prośbę – odparła, patrząc na niego z nadzieją. – To nasza wspólna prośba, moja i mamy.

– Spełnię każdą – odpowiedział bez wahania Karim.

– Mówiłeś, że nie znasz miejsca, gdzie pochowano moją siostrę... – przerwała, widząc, jak od razu zmieniła się twarz Karima. Przełknęła ślinę, bo nieznośna gula wypełniała całe gardło, ale musiała dokończyć. – Przysięgłam mamie, że pojedę na grób Viviane i pomodłę się za nią. Moja mama... – zagryzła wargę, żeby jakoś znieść to, co miała powiedzieć – bardzo mnie o to prosiła. Nie wiedziała, że Viviane zmarła. Obiecałam jej, że odwiedzę grób, może nieopatrznie, ale obiecałam. Pomożesz mi?

– Wie, gdzie jesteś? – spytał trzeźwo Karim.

– Powiedziałam, że jestem we Francji. O tym, że poznałam mojego

prawdziwego... – zamilkła, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa „ojciec”. – Prawie wszystko jej powiedziałam. Chciała tu przyjechać, ale się nie zgodziłam. Umówiłam się z mamą, że zadzwonię, gdy odwiedzę grób Viviane.

– To ryzykowne. Nie powinnaś opuszczać rezydencji.

– Pojadę sama. – Odważnie uniosła podbródek. – Nie będę nikogo narażać.

– Zadzwonię do Frossardów. To rodzice Viv – dodał Karim. – Mam nadzieję, że się zgodzą.

– Dziękuję. – Fabiana opuściła głowę. – Dziękuję ci za wszystko...

Radik rzadko się wściekał, a stawiał Chanowi jeszcze rzadziej, ale tym razem pozwolił sobie na szczerość. Obsobaczył Karima bez skrupułów. Powiedział, że chyba mu coś zaćmiło mózg, skoro chce zabrać Fabianę tak daleko, na dodatek sam, bez żadnej obstawy.

– Gdzie to jest? – zapytał ponownie, bo nie zapamiętał.

– Pod Draguignan. Prawie ta sama droga, co do Saint Tropez. Nie panikuj – burknął niezbyt przekonująco Karim. Też miał wątpliwości, czy wyjazd bez ochrony to dobry pomysł, ale uznał, że najciemniej jest pod latarnią. – Nie wezmę kilku samochodów, bo to od razu wzbudzi podejrzenia.

– Ludzie Wilka obserwują rezydencję? – upewnił się Radik.

– Na pewno.

– To ja z nią pojadę.

– Nie.

– Kurwa mać! – Radik walnął pięścią w blat biurka. – Chan, co z tobą?!

– Nie ma mowy. Nigdzie nie pojedziesz.

– Czemu jej tak ustępujesz?! – warknął, wściekły jak szerszeń. – To skrajna głupota! Jeszcze kilka miesięcy i Wilk kopnie w kalendarz. Wtedy pojedziesz z nią na to jej La Toussaint1 czy inne Halloween, które obchodzi.

– Nie byłbym taki pewien, że kilka miesięcy – odpowiedział po namyśle Karim.

– Krócej? – Radik zerknął z nadzieją na Chana.

– Dłużej. Właśnie dostałem cynk. Ponoć Wilk poddał się miesiąc temu jakiejś nowej terapii. Poleciał do Stanów, siedział tam tydzień i patrz, jak go postawili na nogi.

– Dlatego był taki rzeński ostatnio... – westchnął Radik. – Tak czy owak, długo nie pociągnie. Dlatego nigdzie bym nie jechał. Zwłaszcza teraz gdy Wilk ma stuprocentową pewność, że ten chudy rudzielec to jego córka.

– Fabiana nie jest ruda – sprostował Karim i uśmiechnął się wyrozumiale do Radika. Wiedział, że ta dwójka się nie znosi, ale nie znał powodów tej niechęci, choć ze strony swojego przybocznego mógł się ich domyślać. – Nie ma dyskusji.

Znam adres, już opracowałem trasę i wyznaczyłem dzień. Obiecałem Fabianie, że ją tam zawiozę, i dotrzymam słowa.

Karim wyjątkowo skrupulatnie szykował się do tej podróży, choć gdzieś podskórnie czuł, że to nie ma sensu i jeśli Wilk zaplanował odbicie Fabiany, nic i nikt nie mógł mu w tym przeszkodzić. Mimo to spróbował podpuścić przeciwnika, więc poprosił Aliję o pomoc. Szczęśliwa, że może się wykazać, odmieniła Avril tak, że ta przypominała Fabianę. Założyła jej perukę, wykonała staranny makijaż, nawet pokusiła się o krótką lekcję nauki chodu panienki Czeka. Karim zabrał swoją pracownicę na przejażdżkę. Pojechali do Nicei tym samym samochodem, którym zamierzał dowieźć Fabianę w miejsce doczesnego pochówku jej siostry, a swojej żony. Całą drogę spoglądał do lusterka, ale nie zauważył niczego niepokojącego. Wrócili, a nazajutrz podjął kolejną próbę. Tym razem Avril miała zachować się inaczej. Jechała, pólżąc na tylnej kanapie, żeby nie było jej widać.

Radik nie mógł znieść tych – idiotycznych według niego – manewrów. Gdy wrócili, nawet nie czekał, aż Avril odejdzie na tyle daleko od auta, żeby go nie usłyszeć. Zajął miejsce pasażera i rozpoczął tyradę.

– Zrezygnuj – prosił Chana. – Zdajesz sobie sprawę, że to igranie ze śmiercią? – groził. – Pomyśl, tylko tutaj Fabiana jest bezpieczna, a co za tym idzie, my wszyscy jesteśmy. Dla jej kaprysu będziesz ryzykował naszym losem? – uderzył w najczulsze struny. – Losem kilkuset osób, które dla ciebie pracują, które powierzyły ci swoje życie? Zaufały?

– Dobrze wiesz, że Wilka nie obchodzi nikt poza mną. To na mojej śmierci mu zależy. Nie rozumiesz? – Karim spojrzał na niego. W jego wzroku czaił się gniew. Nie znosił tchórzostwa, a właśnie tak postrzegał zachowanie Radika. – Życie za życie. Moja śmierć za śmierć Viviane.

– Już ją okupiłeś. Życiem Seryka – dodał Radik.

– Wilk nie uznał tej zapłaty. I ja też bym nie uznał – odparł Karim. – Mam godnego zastępcę. Poradzisz sobie.

Do końca rozważał rezygnację z planu, ale tylko z obawy o Fabianę. Opuścił Cap Martin pod pozorem pilnego wyjazdu do Moskwy. Dotarł tam i przesiedział cały tydzień w hotelu, wzywając do siebie dla pozorów kilku podwładnych. Musiał to spokojnie przemyśleć. Wrócił jeszcze bardziej utwierdzony w przekonaniu, że utrzymanie *status quo* jest niedorzeczne. Ile jeszcze miał się chować za plecami córki Wilka? „Najwyższy czas stawić mu czoła” – pomyślał.

Wyjechali nazajutrz, późnym popołudniem. Na wszelki wypadek poprosił Fabianę, żeby założyła ciemne ubrania. Nie musiał, sama zdecydowała się na czarną sukienkę z długim rękawem, pończochy i jedwabną chustkę zakrywającą jej włosy. Choć w ten symboliczny sposób chciała okazać spóźnioną żalobę. Karim nie pozwolił jej zabrać kwiatów ani świeczki czy znicza, żadnej widocznej rzeczy,

którą mogłaby postawić przy grobie Viv, więc postanowiła, że ofiaruje siostrze małeńki medalik, który nosiła w torebce. Przedstawiał wizerunek Matki Boskiej, dostała go na Komunię od jednej z sąsiadek mamy.

Cieszyła się, że zabrała go ze sobą, bo widok grobu Viviane złamał jej serce. Wsunęła medalik pod mały wazonik wypełniony zeschniętymi badyłami jakichś kwiatów i rozejrzała się wokół, choć obraz już dawno zupełnie się rozmazał od niezliczonych łez.

– Czemu to wszystko takie zaniedbane... – wyszeptała.

– To stary cmentarz. Od lat nikogo tu nie chowają – wyjaśnił Karim, też tocząc wzrokiem po zapuszczonych nagrobkach. Rozglądał się czujnie, bo stali tu samotnie i stanowili idealny cel dla ewentualnych napastników.

– Nie napisali, że Viviane tu leży. Tylko jakieś inne nazwisko i imię.

– Ta Lucienne naprawdę tu spoczywa. To jakaś ciotka ze strony Paula Frossarda. Stara panna. Takie żyją najdłużej – mruknął, obliczywszy szybko w głowie, że w dniu śmierci liczyła sobie prawie sto lat.

– To przez mojego ojca Frossardowie pochowali Viviane w tajemnicy? – domyśliła się.

– Tak. Wilk chciał pochować Viviane gdzieś daleko, tylko w sobie znanym miejscu – wyjaśnił Karim. – I bez katolickiego obrządku, bo już dawno odszedł z Kościoła.

– Są wierzący?

– Tak.

– Rodzice jej nie odwiedzają. – Ni to spytała, ni oznajmiła Fabiana.

– Odwiedzają. Raz w roku. Pierwszego listopada.

– A gdzie poznałeś Viviane? – zagadnęła o coś, co od początku ją frapowało.

– Wilk przyprował ją na przyjęcie, na którym byłem.

– Spodobała ci się?

– Nie. Mówiłem ci kiedyś, że to ja...

– Wpadłeś jej w oko? – poddała.

– Uhm – mruknął.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Pamiętał ten dzień jak dziś. Wilk chwalił się, że odnalazł córkę. Żeby móc się do niej bezkarnie zbliżyć, został sponsorem drużyny pływackiej, z którą występowała Viviane. Jeździł na każde zawody, kibicował, ostrożny, żeby ktoś nie daj Bóg nie posądził go o jakieś nieczne plany, bo przecież to były młodziutki dziewczęta. Nawet się ożenił, pierwszy raz w życiu zmienił stan cywilny i wszędzie brał ze sobą żonę, żeby rodzice dziewczyn nie obawiali się o ich niewinność.

– Tęsknisz za nią? – spytała cicho Fabiana, patrząc na porośniętą mchem nagrobną płytę.

– Tęsknię. Już nie tak mocno jak kiedyś, ale tęsknię – przyznał.

Z trudem powstrzymał łzy, gdy patrzył na klęczącą Fabianę. Nie modliła się długo, ale i tak minuty dłużyły mu się jak godziny. Ciągłe czujny, skupiony, chciał jak najszybciej wrócić do rezydencji i odetchnąć z ulgą, że siostra Viviane jest bezpieczna. Postanowił wracać autostradą. Zadzwoił do Radika, rzucił parę słów wyjaśnienia i ruszyli.

– Mogę zadzwonić do mamy? – spytała Fabiana, dopinając pasy.

– Tak.

Byli już przed Cannes, Karim wjechał w zatoczkę przy bramce, gdy nagle zdał sobie sprawę, że samochód, który widział za sobą już od jakiegoś czasu, prawie najechał na tylny zderzak ich auta. To też był SUV, czarne volvo XC dziewięćdziesiąt, z przyciemnionymi szybami. Nie był w stanie dostrzec numerów rejestracyjnych, więc podjechał pod rampę, ale kierowca volvo nie odpuścił.

– Uważaj! – krzyknął Karim i wdepnął do dechy pedał gazu. Bariierka poległa pod naporem i odleciała gdzieś na bok, ale to nic nie dało, bo u wylotu z zatoczki pojawił się drugi, jeszcze większy samochód. Hummer stanął w poprzek i mignął światłami. – Kurwa, mają nas... – wycedził, zdumiony, że tak łatwo dał się podejść.

Błyskawicznie wyjął i odbezpieczył glocka, choć zdawał sobie sprawę, że nie mają najmniejszych szans wyjść obronną ręką z tej sytuacji. Tkwili pomiędzy dwoma samochodami, po bokach mieli betonowe filary, na dodatek wszędzie wisiły kamery, więc na długą akcję nie liczył.

– Nie bój się – powiedział cicho do sparaliżowanej strachem Fabiany. – Nic ci nie zrobię. – Nagle zagarnął ją ręką, jej głowa wylądowała pod jego pachą, a lufa pistoletu wsparła się o czoło. – Spokojnie... – wymruczał.

1 Dzień Wszystkich Świętych we Francji.

ROZDZIAŁ 18

Z hummera wysiadło dwóch mężczyzn, obaj uzbrojeni i w hełmach nałożonych na kominiarki. Karim od razu zauważył, że mają na sobie kamizelki, a wyloty luf skierowali na jego szyję i czoło. Nawet nie drgnął, za to napastnicy zbliżali się nieubłaganie, aż w końcu stanęli po bokach samochodu. Gdy w bocznym lusterku dostrzegł jeszcze dwóch, z kałasznikowami, już wiedział, że to koniec. Nacisnął łokciem na przycisk opuszczania szyby.

– Dobry wieczór, panowie, zabrakło wam bilonu? – zapytał z ironią.

– Niezłe poczucie humoru, Kasymow. Puść ją i jesteś wolny – oznajmił po rosyjsku żołnierz Wilka.

– Wolny... – powtórzył zrezygnowanym tonem Karim. – Nie zostawię jej. – Popatrzył na niego, dopiero teraz zauważając, że ten ma na sobie umundurowanie francuskiej brygady antyterrorystycznej GIGN. Odsunął broń od głowy Fabiany, zabezpieczył i podał mu ją przez okno.

– Wilk będzie zadowolony. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wysiadaj, tylko powoli. I łapy w górę!

– Nie zróbcie jej krzywdy, bo ubiję! – warknął, gdy rzucili nim na maskę i zaczęli przeszukiwać.

– Ładny kozik – skomplementował któryś, oglądając pod światło ostrze noża wyjętego z buta Karima. – Tanto1? Chyba nie. To coś specjalnego... – mruknął z podziwem, bo jeszcze nie miał w ręku tak dobrze wyważonej broni.

Oderwali go od auta, błyskawicznie skuli z tyłu, ktoś brutalnie kopnął go w zgięcie kolana i Karim runął na asfalt.

– Tobias, bierz tę małą – polecił najwyższy z nich. – W bagażniku będzie jej wygodnie.

Karim od razu odgadł, że to dowódca akcji. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że już słyszał ten głos i nagle sobie przypomniał. „Oleg Pietrow, czyli Pietuszką, prawa ręka Wilka”. Podniósł głowę, żeby zobaczyć, co dzieje się z Fabianą, ale mocne kopnięcie w podbrzusze od razu go ostudziło.

– Proszę, nie bijcie go... – zaszlochała Fabiana, prowadzona do samochodu za wykręconą do tyłu rękę.

– Dobrze, panienko – powiedział słodkim głosikiem Pietrow. Wziął rozmach i jeszcze mocniej walnął w brzuch Karima podkutym butem. Zachłysnął się śmiechem, widząc jej reakcję na głośny jęk Kasymowa. Skuliła się, jakby to w jej żebra trafił wojskowy trep.

– Ptaszek w gniazdku – stwierdził Tobias, zatraskując tylną klapę.

– Marvin, zajmij się tym. – Oleg wskazał głową na samochód Kasymowa.

– Wszystko zjarać?

– A co, chcesz zabrać fanty na pamiątkę? – Oleg parsknął pod nosem.

Marvin zasalutował niedbale i wszedł do samochodu Karima.

– I jak? Wygodnie? – spytał Oleg, przydeptując głowę Karima. Podniósł nogę i popatrzył z rozbawieniem na odbity bieznik, ale szybko się zreflektował: nie mieli czasu. Zaraz mogła nadjechać prawdziwa żandarmeria. – Koniec odpoczynku – warknął, choć musiał przyznać, że chętnie pobawiłby się jeszcze z Kasymowem. – Wstawaj, psie! Ruszaj! – Popchnął go, gdy Karim z trudem podniósł się z asfaltu.

– Boss mówił, że tylko... – Tobias przestąpił z nogi na nogę. Służył u Wilka od niedawna i starał się co do joty wypełniać rozkazy. Wyraźnie słyszał przed akcją, zresztą od samego Olega, że mają przejąć dziewczynę i puścić Kasymowa wolno.

– Stul pysk! – ryknął w odpowiedzi Oleg. Wepchnął Karima na tylną kanapę hummera i kazał mu się położyć głową do środka. – A ty siadaj obok. I komin do łba – powiedział.

Tobias natychmiast wypełnił rozkaz. Usiadł przy Kasymowie, odbezpieczył broń i przystawił lufę do jego skroni. Brakło mu odwagi, żeby spytać dowódcę, dlaczego zmienili plany. Mieli przejąć dziewczynę i wrócić do Nicei, do małej willi na przedmieściach, gdzie czekał na nich Wilk, a zamiast tego Oleg objechał bramki, przez okno machnął do pozostałych podwładnych, że mają jechać w stronę Nicei, a sam skierował się na zachód.

– Gdzie jedziemy? – Tobias nie wytrzymał, widząc, że zjeżdżają z autostrady.

– Porozmawiać o kobietach – odparł po chwili Oleg.

Zdjął hełm i kominiarkę i położył na siedzeniu obok. Zerknął do wstecznego lusterka, żeby stwierdzić z satysfakcją, że Tobias słucha go jak boga – nawet nie podniósł wzroku, skupiony na swoim banalnym zadaniu. Młody nie ruszał się, bo myślał intensywnie, co też planuje Pietrow. „Chyba go nie zabije, nie sprzeciwi się bossowi? Pewnie chce go nastraszyć” – rozważał, nie mając pojęcia o uczuciu, które od kilku lat trawiło serce i umysł jego dowódcy. Oleg nienawidził Kasymowa, już dawno chciał go zlikwidować, ale stary, kierowany jakimś głupim sentymentem, nie pozwalał go tknąć. „Jeszcze nie czas. Poza tym to syn mojego przyjaciela” – pierdolił nieustannie. Potem nastąpiła ta idiotka Viviane, córka starego. Oleg zagiął na nią parol, czując, że to dobry plan. Gówniara odwzajemniała jego awanse, dopóki nie poznała tego przeklętego Kazacha. Gdy się utopiła, Pietrow był prawie pewien, że dni Kasymowa są policzone i znów musiał zdusić w sercu chęć odwetu, bo jak diabeł z pudełka pojawiła się druga córeczka starego, polska suczka, pewnie tak samo zakochana w tym kazachskim psie.

Od tygodni obserwowali rezydencję Kasymowa. Pietrow widział nagranie z kamery na podczerwień. Córka Wilka dawała dupy temu śmieciowi, rżnęli się na tarasie jak psy. Pokazał to Wilkowi, a ten na początku się wkurwił, ale szybko mu przeszło.

„Wreszcie zrobię z tym porządek” – pomyślał z satysfakcją.

Zjechali na podrzędną drogę, a potem jakiś kilometr przed małą osadą Les Adrets-de-l'Estérel skręcili do lasu. Pod kołami hummera trzaskały coraz grubsze gałęzie, aż w końcu Oleg zatrzymał wóz. Zostawił światła pozycyjne, bo przez gęste listowie starego drzewostanu nie przenikał nawet najmniejszy promień światła księżycy. Było ciemno choć oko wykol. Kazał Tobiasowi wyprowadzić Kasymowa, stanął przed nim i strzyknął śliną prosto w jego twarz.

– Boisz się, kazachski psie? – spytał.

Karim nie odpowiedział. Odwrócił głowę i oparł wzrok na bagażniku hummera. Całą drogę myślał, co musi przeżywać Fabiana, i aż nim szarpało, tak bardzo czuł się odpowiedzialny i winny jej cierpień. Po tysiącokroć miał ochotę ryknąć na tego ruskiego śmiecia, żeby jechał ostrożnie, ale wiedział, że to tylko go rozsierdzi.

– Ogłuchłeś?! – wrzasnął Pietrow. Krople jego śliny opryskały twarz Karima.

– Tak, boję się – odpowiedział spokojnie.

– Kogo? – Oleg przymrużył oczy, wziął zamach i przyładował mu z pięści w brzuch.

– Ciebie... – wykrztusił Karim, gdy złapał oddech. Zgięty wpół, kaszłał i krztusił się własną śliną. Zbierało mu się na wymioty, bo pięść Pietrowa trafiła w żołądek. Kwas dusił w gardle, ale i tak na razie nie miał powodów do narzekania. „Bywało gorzej” – dodał sobie otuchy.

Ulegał, bo nie miał pewności co do intencji Pietrowa. Dobrze słyszał krótką wymianę zdań między nim a tym młodzikiem. On też czasami blefował, gdy chciał pokazać komuś, kto rozdaje karty. Odbił parę ostrzegawczych wycieczek do lasu z opornymi klientami lub podwładnymi, którzy nagle zbyt mocno poczuli przywódczy zew. Gdzieś w tyle głowy kołatała się myśl, że jeszcze trochę go poszturchają, a potem zostawią tu na pastwę losu. Póki nie połamali mu nóg, miał ogromną szansę się stąd wydostać. Ale nawet to nie przynosiło kropli ulgi. Jego dusza skowyczała z żalu, że nie posłuchał Radika. Przeklinał swój los, złą karmę, która najbardziej dotkliwie uderzyła nie w niego, a w Viviane, a teraz w Fabianę.

– Proś o życie, psie. – Oleg wyrwał go z rozmyślań. – Na kolana!

Posłusznie opadł na ziemię.

– Proszę o życie – powiedział, pokornie schylając głowę.

„Jeśli jesteś wielki – bądź pokorny” – powtarzał w myślach przysłowie kazachskie, żeby nie wybuchnąć, nie obrzucić tej swoloczy najgorszymi obelgami, jakie znał. Wiedział, że to jedyna możliwa strategia. Podświadomie czuł, że gdy zginie, nikt już nie uratuje Fabiany, nie wyrwie jej z rąk tego człowieka i nie miał na myśli starego Wilka, tylko tego psychopaty, który z lubością pastwił się nad nim.

– Wiesz, że dopiero się rozkręcam? – mruknął cicho Pietrow nad jego głową.
– Teraz zabawimy się w kopanie mogiły. Co ty na to, Tobias? – Rzucił wzrokiem na pomocnika.

Ten stał z wycelowanym w Kasymowa pistoletem i intensywnie próbował odgadnąć, o co chodzi Olegowi i dlaczego tak długo to trwa. Sądził, że wyrzucą Kasymowa w lesie i odjadą, a tu proszę, jego dowódca odstawiał niezły spektakl.

– Popatrzę. Może się czegoś nauczę? – zażartował, nie mając pomysłu na lepszą odpowiedź.

– Owszem. Zobaczysz, jak kopie się mogiłę gołymi rękami. – Pietrow odszedł na kilka kroków, wyciągnął swoją broń, przeładował i wycelowował w głowę Kasymowa. – Rozkuj go – polecił Tobiasowi.

Młodzik spojrział na dowódcę, myśląc, że to jakieś szaleństwo. Wyraźnie słyszał, co mówił Oleg na odprawie. Mieli jak najszybciej przyjechać z dziewczyną do Nicei. Z szoferki hummera co chwilę dobiegał cichy sygnał zgłoszenia. Widocznie pozostali zdążyli już dotrzeć do bazy i ktoś przez krótkofalówkę uparcie próbował nawiązać kontakt z Pietrowem.

– Ty też ogłuchłeś? – warknął Oleg, widząc wahanie Tobiasa.

Ten od razu schował pistolet do kabury i stanął za klęczącym Kasymowem, żeby go rozkuć. Zerkał znad jego głowy na Olega. Wolał mieć pewność, że dowódca go ubezpiecza.

– Ruchy!!! – ryknął Pietrow.

Nie mógł patrzeć na tę łamagę, z którą przyszło mu pracować, choć specjalnie wybrał Tobiasa, żeby mu towarzyszył. To była pierwsza poważna akcja nowego żołnierza i Wilk miał obiekcje, czy młodzik sprosta sytuacji, więc Oleg poręczył za niego. Co by nie mówić, taki surowy żołnierz nie zadawał zbędnych pytań, nie kwestionował rozkazów, a co najważniejsze dla Pietrowa, nie miał doświadczenia.

– Wstań, psie! – krzyknął do Kasymowa, bo Tobias najwyraźniej zamierzał przykucnąć, żeby rozkuć więźnia.

– Gotowe – zameldował młodzik. Wysunął się zza Karima i nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie.

To był ułamek sekundy. Karim błyskawicznie objął szyję Tobiasa ramieniem, zadarł do góry jego brodę, a drugą ręką wyjął ostrze z przepaski i przystawił szpicem do tchawicy.

– Tobias, Tobias... – powiedział Oleg z politowaniem. Uśmiechnął się z satysfakcją, bo wszystko poszło zgodnie z jego planem. Był prawie pewien, że Kasymow gdzieś jeszcze ukrywa jakąś broń, choć musiał przyznać, że schowek w przepasce nie przyszedł mu do głowy. Liczył na małe składane ostrze, skryte w mankiecie koszuli lub klamerce paska. – Teraz mam rzucić broń, bo inaczej zarżniesz mojego żołnierzyka? – zaśmiał się do Karima, ale nie usłyszał ani słowa

odpowiedzi. Jego przeciwnik skrył się prawie cały za swoją żywą tarczą, gdyż nie był pewien, czy Pietrow zaryzykuje życie podwładnego.

– Oleg... – wyjął śmiertelnie prerażony Tobias. Próbował sięgnąć po pistolet, ale Kasymow od razu mocniej docisnął szpic wąskiego sztyletu. Tobias poczuł, jak krew wcieka pod bluzę gorącym strumyczkiem. – Oleg, nie strzelaj... – jęknął.

– Spokojnie, mały... – mruknął Pietrow. – Przecież masz garnek na łbie. – Przechylił głowę, przymrużył oko i powoli, jakby się delectował tą chwilą, nacisnął spust.

Huk strzału przeszył ciszę. Minęła sekunda, jeszcze nie wybrzmiało echo, gdy Kasymow runął na ziemię, pociągając za sobą Tobiasa. Siła uderzenia odrzuciła obu mężczyzn na metr od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stali. Oleg schował broń i podszedł do nich. Wiedział, że nie chybił. Jeszcze nigdy nie chybił, gdy chciał kogoś zabić.

– Żyjesz? – Kopnął Tobiasa w nogę. Odpowiedział mu cichy jęk. Wyjął małą latarkę i przyświecił, najpierw na roztrzaskaną czaszkę Kasymowa, a potem na obryzgany jego krwią hełm Tobiasa. – Nie udawaj... – zaśmiał się cicho i skierował snop światła prosto w oczy młodzika.

– Chryste... – jęknął Tobias. Był oszołomiony, ale już wiedział, że przeżył. Leżał w objęciach Kasymowa i dziękował Bogu, że to nie on jest trupem. Odsunął brzeg kominiarki z ust, bo brakowało mu tchu.

– Będziesz żył – stwierdził Pietrow.

Tobias zasłonił oczy ręką, bo światło zbyt mocno go ślepiło.

– Kurwa, ależ dowódca ma rękę! – mruknął z podziwem. – Od jutra zaczynam ostro ćwiczyć.

Już miał próbować się podnieść, gdy Pietrow przyklęknął na jego piersi.

– Oleg... Pietuszka... No, co ty...! – wychrypiął.

– Od jutra, powiadasz? – zapytał Oleg. – Nie za późno na naukę? – Szybkim ruchem wsadził trzonek latarki między zęby, chwycił dłoń Kasymowa, zaciśniętą pośmiertnym skurczem na ostrzu i przystawił je do miejsca, gdzie zaczął się tworzyć mały skrzep. Mocno pchnął. Ostrze weszło jak w masło.

Począł kilka minut, aż Tobias przestanie charczeć. Z jego ust wypłynęła strużka krwi i wsiąknęła w brzeg kominiarki. Pietrow wstał, schował latarkę do kieszeni spodni i z zadowoleniem zatarł dłonie. Bez zastanowienia wsiadł do hummera, uruchomił silnik, bo światła zaczęły przygasać, i połączył się z bazą. Nawet nie drgnęła mu powieka, gdy usłyszał głos starego. Wilk był wściekły.

– Gdzie dziewczyna? – wypalił.

– Cała, zdrowa, żywa.

– Gdzie wy jesteście, do kurwy nędzy?! – zaklął Wilczyński. – GPS nie działa!

Oleg natychmiast podał mu współrzędne.

– Zabrałem Kasymowa – powiedział, zerkając na zegar pokładowy, żeby wiedzieć, ile ma czasu. Był pewien, że boss przyjedzie na miejsce. Zawsze tak robił, gdy zginął któryś z jego żołnierzy.

– Po cholerę?!

– Chciał jechać – wyjaśnił. – Wolałem go zabrać ze sobą, żeby nie wezwał posiłków. Wywiozłem do lasu, Tobiasz zdjął mu kajdanki...

– Przecież to obgadaliśmy! – przerwał mu Wilk. – Miałeś przejąć dziewczynę, a Kasymowa puścić wolno! Co z nim?!

– Nie żyje.

– Co?! – ryknął Wilk, aż zatrzeszczało w słuchawce.

– Zaatakował Tobiasza. Miał ostrze ukryte w opasce na oku. Odstrzeliłem go, ale Tobiasz...

– Kurwa jego mać!!! Czekaj na nas!!! – wrzasnął Wilk i rozłączył się.

– Poczekam, a w międzyczasie zabawimy się z dziewczynką... – mruknął lubieżnie Pietrow.

Już raz to przeżył.

Całe życie przesuwa się przed oczami, choć trwa to zaledwie moment, krótszy niż pojedyncze uderzenie serca. Niezliczone chwile migają w głowie, niczym gwiazdy na firmamencie niebios. Jeszcze wtedy człowiek żałuje, że zostawia to wszystko, że już nigdy nie dotknie ukochanej osoby, nie poczuje muśnięcia ciepła jej oddechu, w uszach nie rozdzwoni jej śmiech. A najlepsze jest to, że tysiące tych migawek pokazują tylko dobre, szczęśliwe chwile. Takie, które wypełniają serce słodyczą i miłością.

A potem pojawia się jasne światło i ciepło. I głos, który wabi znajomą łagodnością.

– Chodź ze mną, Karimie... Chodź, mój synku...

Tak bardzo chciał się mu poddać, nie walczyć z nim, ale jak poprzednio, i teraz zdawał sobie sprawę, że nie może. Jeszcze nie.

– Wróć, mamó... – odpowiedział w myślach i nagle wszystko zniknęło.

Nie było już światła, uczucia ciepła i wszechogarniającej miłości, za to pojawił się ból. Rozsadzał mu czaszkę. Ale nie to było najgorsze. Łagodny ton matczynego głosu zastąpiły krzyki. Coś ukłuło go w sercu tak mocno, że stracił dech w piersiach. Wiedział, że to Fabiana krzyczy, a każdy jej jęk, szloch, każde „nie” wyrzucone z gardła raniło aż do szpiku kości.

Wziął głęboki wdech, żeby dostarczyć mózgowi odrobinę tlenu. Westchnął do Boga o siłę i spróbował ruszyć palcem. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Nadludzkim wysiłkiem zepchnął z siebie zwłoki Tobiasza.

Musiał odpocząć. Starał się wyrównać oddech, ale dobiegające odgłosy nie pozwalały się skupić. „Walcz, Karim!” – przypomniał sobie wezwanie ojca, który jeszcze w Kazachstanie uczył go za małego szermierki.

Podniósł rękę i dotknął swojej twarzy. Palce przykleiły się do lepkiej mazi, ale tylko na chwilę zastygły w miejscu, gdzie kiedyś miał zdrowe oko. Przesunął dłoń i pod opuszkami wyczuł przepaskę. Ściągnął ją, ale nadal nic nie widział. Przez chwilę pomyślał, że jednak oślepl. Nie poruszyło go to jakoś bardzo, przecież i tak obiecał matce, że wróci. Spróbował jeszcze raz. Może to wspomnienie o matce sprawiło, że uniósł okaleczoną powiekę, a może krzyk Fabiany.

„Pospiesz się!” – warknął na siebie w duchu. Po omacku odnalazł na ciele Tobiasa kaburę. Wyjął broń i poczekał na odpowiedni moment z przeładowaniem. Aż zadygotał z gniewu, gdy kolejny krzyk przeszył powietrze. Natychmiast odbezpieczył pistolet. Podczołgał się bliżej, wykorzystując momenty, w których Pietrow skupiał się na swojej ofierze. Ułożył się, stabilnie wspierając łokcie o ziemię. Teraz przyszło mu jedynie czekać na właściwy moment, ale właśnie to okazało się najtrudniejszym zadaniem...

Pietrow czuł miłe mrowienie w brzuchu. Musiał przyznać, że córka Wilka nie była w jego guście, wolał brunetki o pełniejszych kształtach, ale jej opór, którego się spodziewał, na pewno poprawiał jej notowania. Otworzył bagażnik, kazał jej wyjść, nawet nie wyciągając broni z kabury. Chyba się domyśliła, że w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem, wyższym o dobre trzydzieści centymetrów i dwa razy cięższym, nie ma żadnych szans, nawet gdyby ktoś ją wyszkolił do walki wręcz.

– Chodź. – Szarpnął ją za ramię. Dała się prowadzić jak owca na rzeź, więc ją pochwalił. – Grzeczna dziewczynka – mruknął po polsku. Doskonale znał ten język. Posługiwał się nim równie naturalnie jak rosyjskim. Zresztą musiał przyznać, że ma do tego łeb. Jak i do wielu innych rzeczy. – Kładź się – polecił, wskazując na małą nieckę w ziemi, wypełnioną suchymi liśćmi i zbutwiałymi kawałeczkami kory.

– Nie... – Pokręciła głową. – Nie, proszę. – Złożyła dłonie jak do modlitwy i popatrzyła na niego, ale coś mu nie pasowało. Wyraźnie spostrzegł jakąś hardość w jej jasnych tęczówkach, dobrze widocznych w świetle reflektorów hummera.

– Wiesz, że to nieuniknione... – mruknął i delikatnie musnął jej policzek wierzchem dłoni. – Bądź rozsądna... – drażnił się z nią, mówiąc łagodnie, niemalże czule.

– Nie! – krzyknęła i wyciągnęła przed siebie rękę. Natychmiast ścisnęła jej nadgarstek jak kleszczami. – Boli!

– I będzie bolało. Chyba że będziesz grzeczna.

– Puść! – błagała, czując, jak jego palce miażdżą jej delikatne kostki.

– Puszczę, jak obiecasz, że będziesz grzeczna i miła. – Wzmocnił zacisk.
– Będę... – wyszłochała, zginając się z bólu.
– Bardzo ładnie. – Popuścił. – A teraz się połóżysz i zdejmiesz majteczki, bo taka słodka dziewczynka jak ty na pewno nosi majteczki. Mylę się? – Przymrużył oczy.

Nie widziała ich, ale była prawie pewna, że są piękne, lodowatobłękitne i nieludzkie. Takie, jak ich właściciel.

– Powiem ojcu, że mnie zgwałciłeś. Zabije cię – zagroziła.
– Nie powiesz... Widzisz, maleńka... – zamilkł na moment. – Stoisz przed swoim przyszłym mężem, ojcem twoich dzieci. Na pewno będą ładne. Po mamusi – dodał, nachylając twarz, żeby poczuła na wargach ciepło jego oddechu. – A to, co za chwilę zrobimy, potraktuj jako wprawkę przed nocą poślubną. – Złapał jej dłoń i przytknął do rozporka spodni, żeby poczuła, jaki jest twardy.

– Nie wyjdę za ciebie – wysyczała, nagle ściskając jego przyrodzenie.
– Bładź! – Popchnął ją mocno. Od razu upadła plecami na ziemię, chciała się podnieść, ale Oleg dopadł do niej i przygniótł ją swoim ciałem. – Posłuchaj, polska szmato, zaraz rozłożysz nogi i dasz mi to, czego chcę. I będziesz jęczeć z rozkoszy. Obiecuję... – wychrypiał, łapiąc jedną dłonią obie jej ręce w nadgarstkach. Założył za jej głowę i docisnął je do poszycia, nie dbając o to, że sprawia jej ból.

– Nie!!! – Jej głos przeszył złowrogą ciszę lasu.
– Zamknij się. – Przysiadł okrakiem nad jej brzuchem, prawie odbierając jej oddech. Zatkanął drugą ręką jej usta i nos, przez chwilę przyglądał się z rozbawieniem rosnącej w jej oczach panice. – Zaraz zabiorę rękę, a ty będziesz cicho jak myszka. Wiesz dlaczego? Bo kochasz swoją mamusię. Chyba że się mylę? – Uśmiechnął się do Fabiany. – Nie... To niemożliwe. Kochasz mamusię, słyszałem, jak z nią dzisiaj rozmawiałaś. Jakież to było... – przerwał, szukając odpowiedniego słowa. – Nieważne. Na pewno nie chciałabyś, żeby mamusi stała się krzywda. – Oderwał dłoń od twarzy dziewczyny i z rozbawieniem patrzył, jak łapie powietrze.

– Nienawidzę cię... – wykrztusiła z trudem.
– Nie wierzę – jęknął z udawanym zawodem w głosie. – Ranisz mnie, kochana przyszyła żono.

– Spierdalaj – warknęła, próbując pomyśleć, ile czasu minęło od rozmowy Olega z szefem. Tę wymianę zdań też słyszała doskonale i od razu domyśliła się, że to Wilk rozmawiał z Pietrowem. – Nic nie zrobisz mojej matce. Ojciec ci na to nie pozwoli. Poskarżę się. Powiem mu wszystko!

– Grasz na zwłokę, maleńka? – zapytał, niczym niezrażony. Pyskowała, ale wystarczyło ponownie przytknąć jej usta i znów się uspokoiła. – Dość? – zapytał, spoglądając w jej wytrzeszczone oczy. Zamrugnęła szybko kilka razy, więc zabrał rękę. – Jesteś taka ładna, niewinna i skromna. Podoba mi się ta chustka... –

Dotknął jej głowy i natychmiast coś wyczuł. Wsunął dłoń pod chustkę, chwilę pogmerał we włosach Fabiany i z ogromnym zaskoczeniem wyjął śrubokręt. – A co to?! – ryknął niepowstrzymanym śmiechem.

Nie mógł przestać się śmiać, zwłaszcza gdy spostrzegł, jak bardzo jest zawiedziona, że odkrył jej tajną broń.

– Powiem ojcu. Zabije cię – powtórzyła jak mantrę swój jedyny argument.

– Nie byłbym pewny wyniku tej konfrontacji – parsknął wzgardliwie. Odrzucił śrubokręt gdzieś w prawo i nachylił się nad Fabianą. – Może już dość gry wstępnej? – zapytał, sięgając ręką za siebie. Przesunął się nieco w tył i choć Fabiana wierzgała, krzyczała i zaciskała nogi, z łatwością znalazł jej miękką cipkę, po której tyle sobie obiecywał. Odsunął wskazującym palcem brzeg majtek i gwałtownie wepchnął go do środka.

– Nie dotykaj mnie! – ryknęła nieludzkiem głosem.

– Będę cię dotykał, kiedy chcę i jak chcę. Zapamiętaj. – Nachylił się, żeby ją pocałować, ale wtedy usłyszał jakiś szmer z prawej strony. Wyprostował się i nagle jego oczy prawie wypadły z orbit. – Kasymow? – spytał i odruchowo sięgnął po broń. – Przecież ty...

Nie dokończył.

Bach, bach, bach.

Karim wystrzelił wszystkie pociski. Celował w szyję. Już po pierwszym strzale głowa Olega przyjęła dziwną pozycję, a gdy Kasymow skończył, leżała obok ciała, przytwierdzona do niego jedynie kilkoma wąskimi paskami skóry i ścięgnami. Wstał, odrzucił bezużyteczną broń Tobiasa i podszedł do Fabiany. Zamknęła oczy, zakryła je dłońmi i leżała, wyjąc niczym ranne zwierzę.

– Już w porządku – powiedział. – Zaraz stąd znikamy, ale najpierw... – Spojrzał na trupa Pietrowa, zamachnął się i kopnął w jego głowę. Wylądowała w zaroślach, kilka metrów dalej. – *Game over* – wycedził z satysfakcją.

1 Uniwersalny nóż survivalowy, stosowany również w wojsku.

ROZDZIAŁ 19

To było surrealistyczne. Już prawie straciła nadzieję, ale teraz wszystko się zmieniło. Nie mogła uwierzyć, że jej los znów się odmienił, że Karim żyje i obronił ją przed tym odrażającym typem. Bała się, że gdy otworzy oczy, ujrzy twarz Pietrowa i jego lubieżny uśmiezek.

– Wstawaj, nie mamy czasu. – Usłyszała głos Karima. – Szybko! – popędził ją.

Uniosła powieki. Stał nad nią z wyciągniętą ręką. Gdy popatrzyła na jego głowę, na ziejące krwią miejsce, gdzie kiedyś miał oko, zrozumiała, dlaczego Karim jej nie podniósł i nie wziął w swoje opiekuńcze ramiona.

– Boże... – jęknęła. Widziała, że stara się trzymać fason, ale jego twarz, a raczej to, co z niej zostało, mówiła wszystko. Przez chwilę Fabiana trwała w bezruchu. „Muszę go ratować! Trzeba jechać do szpitala!” – pomyślała nagle, zrywając się na równe nogi.

– Zabierz jego broń – polecił Karim. – Daj. – Wziął od niej pistolet Pietrowa i wsunął za pasek.

Wsiadli do hummera. Bez zbędnych pytań i słów zajęła miejsce za kierownicą.

– Zapiąć ci pasy? – zerknęła na Karima. Odchylił głowę i dyszał ciężko.

– Nie. – Po omacku sięgnął ręką i znalazł pas.

– Poczekaj. – Szybko odpięła swój. Zdjęła chustkę i zastygła na moment, myśląc, czy da radę zrobić to, co zamierzała. – Obwiążę ci głowę – powiedziała, zagryzając kącik ust.

– Nie ma czasu... – wystękał. – Jedź.

– Okej. – Wcisnęła chustkę gdzieś pomiędzy ich siedzenia, zapięła pas i spojrzała na deskę rozdzielczą.

W życiu nie prowadziła równie wielkiego samochodu i pewnie w normalnych warunkach nie odważyłaby się nim kierować bez choćby elementarnego przeszkolenia, ale dzisiaj, w tym momencie, to adrenalina służyła za instruktora. Fabiana ruszyła, nie zastanawiając się zbyt dogłębnie, co też chrupało i trzeszczało pod kołami, gdy wycofywała wóz.

– Posłuchaj... – powiedział Karim, starając się brzmieć rzeczowo i spokojnie. – Do zjazdu na zwykłą drogę masz jakieś sto, może sto pięćdziesiąt metrów. Wyjedziesz na asfalt i skręcisz w prawo. Po przejechaniu ośmiu kilometrów po lewej będzie stacja benzynowa, zjedziesz tam i zaparkujesz za budynkiem. Zrozumiałaś?

– Tak – odpowiedziała natychmiast, czujnie na niego zerkając. Hummer podskakiwał na wybojach, a jej pękało serce, gdy słyszała ciche jęki Karima przy każdej większej dziurze czy wykrocie.

– Podam ci namiary. Zapamiętaj je.
– Okej. – Kilka razy powtórzyła podaną szerokość i długość geograficzną. –
Co to za miejsce?

– To nasza skrytka. Wytłumaczę później. Gdy będziesz na stacji... – zaczął,
ale przerwał, gdyż czuł, że jeszcze chwila i odpłynie.

– Karim! Karim?! – Fabiana patrzyła to na drogę, to na niego, coraz bardziej
spanikowana, że nie opanuje sytuacji.

– Otwórz okno... – stęknął.

Z trudem znalazła właściwy przycisk, na szczęście już wjechali na asfalt
i mogła przyspieszyć. I już tak nie podrzucało hummerem.

– Posłuchaj... – zaczął. – Musisz ukraść samochód. Ten jest śledzony. Ma
wbudowany nadajnik GPS i szybko cię namierzą.

– Mam ukraść samochód?

– Tak. To twoja jedyna szansa. Postaraj się, żeby to nie był jakiś grat. Musi
mieć nawigację.

Przez chwilę nic nie mówiła. Powtórzyła raz jeszcze w myślach to wszystko,
co jej powiedział, i nagle dotarło do niej znaczenie jego słów.

– Karim, ale pojedziesz ze mną? – spytała niepewnie.

– Nie. Zostanę na stacji.

– Nie! – krzyknęła. – Nie ma mowy! – Nacisnęła trochę mocniej pedał gazu,
bo miała wrażenie, że stoją w miejscu.

– Ukradniesz samochód. Odjedziesz kilometr od stacji i wtedy wbijesz do
nawigacji namiary, które ci podałem. To miejsce w górach, w kanionie Verdon.
Dotrzesz do krzyżówki, zgasisz światła, pojedziesz prosto około stu metrów, po
lewej będzie duża drewniana szopa, zostawisz tam samochód. Zrozumiałaś?

– Nie zostawię cię – warknęła.

– Resztę drogi pokonasz pieszo. – Zignorował jej słowa. – Trzymaj się drogi
i licz kroki. Po pięciuset zauważysz niewielki budynek. Po prawej – dodał. –
Staniesz przed drzwiami. Tam jest czujnik, zeskanuje twoją... – Nagle przerwał, bo
zabrakło mu tchu.

– Nie zostawię cię – powtórzyła uparcie.

– Poczekasz tam na pomoc.

– Zawiozę cię do szpitala. – Postanowiła nagle.

– A wtedy resztę życia, o ile przeżyję, spędzę za kratami – westchnął do
siebie. Nie odpowiedziała, więc z wysiłkiem obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.
Czerń pochłaniała coraz więcej. Już niewiele widział, ale te ostatnie chwile, kiedy
mógł jeszcze patrzeć, postanowił wypełnić obrazem jej twarzy. – Nie zjechałaś na
stację... – powiedział z naganą w głosie. – Zawróć.

– Nie – odparła skupiona na drodze. – Wracamy do domu, a ty mnie
poprowadzisz.

– Ech... – jęknął bez sił.

Dobrze wiedział, że Wilk nie odpuści i za chwilę ktoś do nich dołączy. Nie zdołają dotrzeć do Cap Martin, on wkrótce dotrzyma słowa danego matce, a Fabiana? Pocieszał się jedynie świadomością, że Pietrow już nigdy jej nie skrzywdzi.

– Gdzie teraz? – spytała, dojeżdżając do rozjazdu.

– Na Niceę – odparł, nie spuszczając z niej wzroku. Znał wszystkie okoliczne drogi na pamięć. – Mówiłem ci kiedyś, że jesteś piękna?

– Tak – odpowiedziała, przelękając łzy. Jego głos brzmiał inaczej. Był spokojny i bez cienia tego władczego tonu, który zawsze w nim słyszała. – Dowiozę cię do domu. Przysięgam.

– Mamy ogon? – spytał po kilku minutach, bo zauważył, że Fabiana co chwilę zerka w lusterko.

– Tak – potwierdziła.

– Nie odpuszczaj, wiesz o tym?

– Mam to gdzieś. – Wdepnęła pedał gazu. – Pilotuj, a nie gap się na mnie – fuknęła, zauważywszy, że nie spuszcza z niej oka.

– Masz nawigację – zaśmiał się cicho.

– Dupek.

Zapadło milczenie. Fabiana na początku co rusz spoglądała do lusterka, ale w końcu uznała, że to nie ma sensu. „Jadą, to niech sobie jadą” – pomyślała. Przed Cannes dołączył jeszcze jeden samochód, więc teraz mknęła na wschód w asyście dwóch aut, ale nic się nie działo. To ludzie Wilka dostosowywali prędkość i kierunek do niej. Co dziwne i paradoksalne, czuła się trochę bezpieczniej, gdy tak za nią podążali niczym dwa cienie.

– Karim? – zapytała, bo już dawno nic nie powiedział. Ucichł, a do jej uszu nie docierał nawet szmer oddechu. – Karim?! – powtórzyła strwożona, że coś mu się stało. Popatrzyła w prawo. Wyglądał, jakby spał, ale nie mogła dostrzec, czy jego klatka piersiowa się porusza. – Karim!!! – wrzasnęła z rozpaczą.

– Co... – jęknął cicho.

– Nic. Boże... – Pokręciła głową. – Mów coś do mnie. – Nie odpowiedział, więc znów zerknęła na niego. – Słyszysz? Masz coś do mnie mówić.

– Co? – wychrypiał z wysiłkiem. Chciał odpłynąć, pogрузić się w przytulnym mroku śmierci, ale czuł, że na razie nie może tego zrobić. Jeszcze nie.

– Jaki jest twój ulubiony kolor? – spytała, przelękając gulę w gardle.

– Czarny.

– To nie jest kolor – powiedziała, żeby go sprowokować do rozmowy. W głowie kołatała się myśl, że nie może mu pozwolić na sen. „Zaśnie i już nigdy się nie obudzi”.

– Viv też tak mówiła – odpowiedział po chwili.
– To jaki ten kolor?
– Zielony.
– A ulubiony film?
– Nie wiem.
– Może *Ojciec chrzestny*? – zaproponowała.
– Nie.
– Jakiś o gangsterach?
– Nie. *Gladiator* – odparł po chwili.
– Jak się nazywał ten aktor? – zadała pytanie, dobrze wiedząc, że Russel Crowe grał w nim główną rolę.
– Nie pamiętam.
– Gdzie teraz? – spytała nagle, bo dotarli do kolejnego rozjazdu.
– Dalej na Niceę. Jedź prosto, miniesz miasto i włączysz się w ruch na drodze do Monako. Potem będzie zjazd na Mentonę, nie przegap.
– Okej. – Rzuciła okiem do lusterka, żeby sprawdzić, czy nadal mają towarzystwo. Nie zawiodła się.

Mijały kolejne kilometry. Zagadywała Karima, pytała o jakieś głupoty, czasami odpowiadał od razu, a czasem milczał; wtedy podnosiła głos, spanikowana, że ją opuścił.

– Mów do mnie! – powtórzyła z uporem. Ukradkiem otarła łzę. Żałowała, że nie zabrała go do szpitala. Bezwiednie zaciskała palce na kierownicy, gdy mijali znaki drogowe z charakterystyczną grafiką, ale czuła, że akurat w tym przypadku nie może sprzeciwić się woli Karima. – Długo znasz Radika? – zapytała.

– Dziesięć lat.
– Gdzie się poznaliście? – Nie odpowiedział, więc powtórzyła. – W Paryżu?
– Nie.
– To gdzie? – Nadal milczał.
– Wybacz... – stęknął nagle, łapiąc powietrze jak ryba wyjęta z wody. – Daruj, ale... – Jego głowa opadła bezwładnie na pierś.

– Karim?! Karim!!! – Ciałem Fabiany wstrząsnął szloch. Pomyślała, że zjedzie na pobocze i może ktoś z tych dwóch aut jej pomoże, uratuje Karima, ale odsunęła tę myśl. – Zawiozę cię do domu. Obiecałam i zawiozę – załkała cicho. – Za chwilę będziemy w domu.

– Otwórz bramę! – ryknął Rachat do Rusłana. Ledwie metalowe wrota cicho wsunęły się w mur, wyszedł na zewnątrz posesji i spojrzął na stojący przed nim samochód. Spostrzegł Chana. Póллеżał na siedzeniu pasażera. Przeniósł wzrok na Fabianę i poczuł skurcz w sercu. I gniew, że to przez nią... – Niech cię szlag,

polska... – zmełł w ustach przekleństwo.

Rozejrzał się na boki. Otaczali go ludzie Wilka. Zamaskowani i uzbrojeni po zęby. Kilku stało z karabinami wycelowanymi prosto w szoferkę hummera, dwóch celowało w niego, a reszta zabezpieczała tyły. Spojrzał za siebie. Radik nerwowo przestąpił z nogi na nogę, ale nawet nie drgnął. Stał na podjeździe, wewnątrz posesji i przez lornetkę obserwował w skupieniu rozwój wypadków.

Zastępca Karima nie musiał zbyt długo przyglądać się Chanowi, żeby z bólem serca utwierdzić się w przekonaniu, że teraz to do niego wszyscy będą zwracać się tym słowem. Właśnie dlatego nie mógł opuścić terenu rezydencji. Przynajmniej na razie, póki sytuacja się nie uspokoi. Nie spuszczał oka z hummera, więc od razu zauważył ruch Fabiany. Odpięła pas, potarła twarz i sięgnęła po coś, nachylając się w stronę Karima. Myślał, że chce go pocałować, dotknąć, ale ona opuściła głowę, a po chwili wyszła z samochodu, trzymając w dłoniach pistolet.

– Kurwa mać – warknął do siebie, bo nie przewidział takiej sytuacji. – Głupia cipa, zaraz narobi bajzlu. – Nie wytrzymał i ruszył w stronę bramy. – Rachat, wycofaj się – wydał rozkaz. – Niech ją sobie biorą, jak chcą.

Rachat bez słowa spełnił polecenie. Trzymając przed sobą broń, postąpił kilka kroków do tyłu, aż przekroczył symboliczną granicę, za którą był bezpieczny. Stali teraz we trójkę: on, Radik i Rusłan, na linii, gdzie przebiegała metalowa szyna, po której przesuwiała się brama, i patrzyli na Fabianę. Chyba nie miała pomysłu, co zrobić, bo przez chwilę rozglądała się bezradnie po żołnierzach jej ojca, otaczających ją coraz bardziej zwartym kordonem.

Nagle coś zatrzeszczało w radiostacji jednego z nich. Wyjął krótkofalówkę i przystawił do ucha.

– Tak, zrozumiałem. Bez odbioru – odpowiedział zamaskowany mężczyzna i kliknął przycisk. – Odwrót! – krzyknął, żeby wszyscy podwładni go usłyszeli.

Po chwili na placyku przed bramą został tylko hummer i stojąca obok Fabiana. Chciała wsiąść i wjechać samochodem, dowieźć Karima do domu, jak mu obiecała, ale nie miała już sił. Pistolet wypadł z dłoni, a ona wsparła się o drzwi hummera plecami. Jej nogi odmówiły posłuszeństwa, samoczynnie się zgięły, miękkie niczym wata. Osunęła się na asfalt i załkała cicho.

– Obiecałam ci, ale nie... – zaszlochała, obejmując głowę ramionami. Nagle poczuła, że ktoś próbuje ją podnieść.

– Spokojnie – burknął Rachat i wskazał Rusłanowi brodą, żeby ten wsiadł do samochodu.

Po chwili wszyscy byli bezpieczni. Brama zasunęła się z cichym szumem, odgradzając ich od pogrążonego we śnie Cap Martin.

Ledwie się obudziła, a rozpacz i żal od razu ścisnęły jej serce. Choć czuła się

jeszcze otępiała i senna, dobrze pamiętała, gdzie jest i co się zdarzyło w nocy. Zasnęła dopiero po jakiejś tabletki, którą przyniosła Alija, z twarzą tak samo spuchniętą z płaczu, jak jej. Fabiana otworzyła oczy i podniosła na przedramionach.

– Co tu robisz? – zdziwiona spytała Rachata.

– Czekałem, aż wstaniesz – burknął. – Masz zjeść śniadanie. – Podniósł się z fotela, wyprostował w górę ręce i mocno się przeciągnął. – W chuj niewygodne te mebelki.

– Gdzie Alija? – Fabiana usiadła i podciągnęła pod brodę brzeg kołdry.

– Pomaga Radikowi.

– W czym? – zapytała ostrożnie, od razu mając przed oczami najgorszy z obrazów: leżącego Karima i Aliję obmywającą jego ciało.

– W... – zająknął się, widząc, jak zbladła. – Masz zjeść śniadanie, a potem pogadamy.

– Mów! – Fabiana nie wytrzymała i wyskoczyła z łóżka, nie bacząc na skąpy strój. Od razu zakręciło się jej w głowie, ale nawet to jej nie ostudziło. Wzięła głęboki wdech i powtórzyła: – Mów! Co się stało?! Karim żyje?! – Jej głos zawibrował nadzieją. – Powiedz, że Karim żyje! – Dopadła do niego i chwyciła za koszulkę.

– Żyje. – Podparł ją, bo się zachwiała. – Ale...

– Żyje – powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy. – Żyje! – Wspięła się na palce i spontanicznie wycisnęła pocałunek na jego zapadniętym ze zmęczenia policzku.

– Kiepsko z nim – odparł Rachat ze smutkiem. Odsunął Fabianę i przysiadł ciężko na brzegu łóżka.

– To znaczy? – Klękła przed Rachatem i bezwiednie objęła się ramionami.

– To znaczy? Błagam, powiedz coś!

– Zjedz, a potem tam pójdziemy. – Odwrócił głowę, żeby nie patrzeć, jak w jej oczach gaśnie powoli nadzieja.

– Niczego nie przełknę – odpowiedziała, prostując nogi.

Poszła do łazienki i szybko obmyła twarz lodowatą wodą. W dwie minuty była gotowa. Rachat się uparł, więc przed wyjściem wychyliła czarkę czaju.

– Gdzie on jest? – spytała, z trudem dotrzymując mu kroku.

– Piętro niżej. Mamy tam małe ambulatorium.

– Na końcu korytarza, po lewej?

– Uhm... – potwierdził. Wprowadził ją do małego pomieszczenia i kazał założyć fartuch. – Umyj ręce.

Szorowała dłonie, modląc się w duchu, żeby Karim przeżył.

– Włącz, tylko cicho. – Popchnął ją w stronę kolejnych drzwi.

Weszła do niewielkiej salki. Nigdy tu nie była. Jak większość pomieszczeń

na drugim piętrze rezydencji, i to stanowiło zaplecze techniczne, podobnie jak biuro informatyka, archiwum i magazyn, do którego mieli dostęp tylko Chan i jego zastępca. Stała w progu i spojrzała w róg salki. Na typowym szpitalnym łóżku leżał Karim, obok stał stojak z kroplówką sączącą się do wenflonu na jego dłoni. Nad głową cicho szumiały urządzenia.

– Podejdz – powiedział Radik i przywołał ją gestem dłoni. – A ty możesz iść odpocząć – zwrócił się do Alii.

Gdy mijala Fabianę, uściśnęła dyskretnie jej rękę.

– Co mu jest? – Fabiana stanęła przy wezłowniu łóżka.

Przeżywała istną burzę uczuć. Z jednej strony nie mogła oderwać oczu od zabandażowanej głowy Karima, od opatrunków, które zakrywały pół jego twarzy, a z drugiej – nie mogła na to patrzeć. Jego płuca podnosiły się miarowo, wypełniane powietrzem przez respirator, dłonie spoczywały wzdłuż tułowia, czasami drgając lekko, niczym liście na wietrze. Wyglądał tak bezradnie, słabo, zdany na łaskę maszyn, które dostarczały mu tlen i sprawiały, że nadal w jego ciele tliło się życie.

– Usiądź. – Radik pchnął w jej stronę mały taboret i sam przysiadł na podobnym naprzeciwko niej. – Nie jestem pewny, ale to chyba jakiś krwiał w mózgu albo obrzęk. Stracił sporo krwi, więc nie wykluczam wstrząsu. – Popatrzył z troską na Karima. – Jest w śpiączce. Sprawdzalem odruchy źreniczne. Wykazuje. To dobry znak. I niestety jedyna dobra wiadomość. – Odkaslnął, bo coś połaskotało go w gardle.

– Jesteś lekarzem? – upewniła się Fabiana, spoglądając to na niego, to na Karima. Ujęła ostrożnie dłoń tego ostatniego i zacisnęła palce. – Ciepłe.

– Ma gorączkę. Dałem mu antybiotyki, lek przeciwzakrzepowy, a przed chwilą skończyła się transfuzja.

– Nie sądziłam, że... – Oparła na nim pełen podziwu wzrok.

– Przeszczepu serca bym się nie podjął – zażartował, okraszając zmęczoną twarz bladym uśmiechem. – Zrobiłem, ile mogłem. Wiesz, co to Legia Cudzoziemska? – Pokręciła głową, więc wytłumaczył pokrótce. – Służyłem tam pięć lat, parę miesięcy jako pomocnik w lazarecie. Zresztą właśnie tam poznałem Karima.

– On też był w Legii?

– Tylko rok. Chciał się trochę podszkolić. Trafił do Drugiego Cudzoziemskiego Pułku Powietrznodesantowego. To elita Legii – wyjaśnił. – Tam się poznaliśmy.

– Co z nim będzie? – Fabiana znów oparła wzrok na łagodnie podnoszącej się i opadającej klatce piersiowej Karima.

– Musimy czekać.

– Jak długo?

– Może dobę, może tydzień. Miesiąc – dodał po chwili, starając się odepchnąć czarne myśli. – Nie mam tu odpowiedniej aparatury, a nawet gdybym nią dysponował... – zawiesił głos. – Nie znamy do końca możliwości ludzkiego mózgu.

– A w szpitalu? – spytała cicho, niepewna, czy go nie rozzłości tym pytaniem. – Może tam skuteczniej by mu pomogli?

– Nie sądzę. – Radik pokręcił głową. – Jak ma przeżyć, przeżyje. Wyczyściłem ranę, co się dało zszyć, zszyłem. Muszę przyznać, że konkretnie oberwał. Pamiętasz coś? Widziałas, jak to się stało?

– Nie. Zamknęli mnie w bagażniku. Tylko słyszałam. Raz strzelili do niego – powiedziała.

– Niestety stracił oko. To nieokaleczone. Chyba odprysk rozwalił je od środka.

– Od środka?

– Tak. Chan przeżył tylko dlatego, że kula poszła po płytce.

– Po jakiej płytce? – Fabiana zmarszczyła czoło.

– Brat Karima, Seryk, rozplatał mu fragment czaszki szablą. Stąd ta blizna. – Radik popatrzył na twarz Chana. – Szabla naruszyła kość od łuku brwiowego do linii włosów. Konieczny był jakiś implant. Coś, co zastąpi pokruszone fragmenty. Byłem tam, gdy walczyli, Karim i Seryk. Chan zaliczył potężny cios, który prawie go zabił. Opatrywałem go jeszcze w śmigłowcu. Polecieliśmy do Ałmaty, a stamtąd samolotem do Moskwy.

– To jego brat chciał go zabić? – Wybałuszyła oczy.

– Nie przerywaj – powiedział Radik. – W Moskwie zajęli się nim. Na pewno wiesz, co to kevlar. Karima operował taki młody koleś, doktor Bailey1. Amerykański neurochirurg. Opatentował z jakimś innym lekarzem specjalne tworzywo, trochę podobne do kevlaru, ale jeszcze doskonalsze. I z tego wykonali implant kości, który wstawili Chanowi. To materiał w stu procentach odporny na działanie każdej broni. Dopiero go testują.

– Ale jak? – Fabiana nic z tego nie rozumiała.

– Wydrukowali implant na drukarce 3D. Niesamowite, prawda? – Radik westchnął z podziwem. Kula trafiła prosto w brzeg implantu i prześlizgnęła się po nim. To tworzywo wygląda jak ludzka kość, jest białe i porowate, jednocześnie twarde i sprężyste. Przypuszczam, że dlatego człowiek, który strzelił do Chana, myślał, że go zabił.

– Oleg Pietrow. – Fabiana przypomniała sobie imię i nazwisko oprawcy. – Chciał... – Przełknęła ślinę. – Karim odstrzelił mu głowę.

– Uhm – mruknął Radik, z satysfakcją myśląc, jaki kłopot ma teraz stary Wilk. Stracił zastępcę, najlepszego żołnierza.

– A dlaczego Karim nosił przepaskę? Przecież widział na oba oczy. –

Nachyliła się i na moment przytuliła policzek do wierzchu jego dłoni, bo coś boleśnie ukłuło ją w sercu, gdy pomyślała, że teraz naprawdę stracił oko. To piękne, prawie czarne oko, obwiedzione wachlarzem gęstych, ciemnych rzęs.

– Ostrze szabli przecięło powiekę na pół i naruszyło lekko rogówkę. Na szczęście dało się to zoperować, ale Chan długo chodził z zaklejonym okiem, bo nie goiło się, jak należy. Przywykł do tego, a gdy już mógł zdjąć opatrunek, stwierdził, że nadal będzie nosił przepaskę.

– Ale czemu? – Fabiana zerknęła na Radika i potrząsnęła głową. Nadal nie mogła zrozumieć postępowania Karima.

– Naoglądał się filmów o piratach – zaśmiał się cicho Radik. – Ponoć nosili takie przepaski, żeby móc dobrze widzieć zarówno w ciemnościach, na przykład pod pokładem okrętu, jak i w pełnym świetle. Nie czekasz, aż źrenica się rozszerzy, podnosisz klapkę i już. Prawie zawsze zamknięte oko inaczej widzi w ciemnościach.

– Aha. – Fabiana bez przekonania pokiwała głową. Choć brzmiało to sensownie, nie potrafiła pojąć takiego samoograniczenia.

– Prawie nikt nie wiedział, że Chan widzi na oba oczy. Tylko ja. Gdyby nie przepaska, prawdopodobnie dziś byłby ślepcem. Pietrow wiedział, gdzie celować – stwierdził z przekąsem Radik. – Swoją drogą, był z niego doskonały snajper.

– Kiedyś... – Fabiana przełknęła ślinę, bo ogarnęło ją nagłe wzruszenie – kiedyś Karim był ze mną na plaży. Zdjął ją i na chwilę spojrzał na mnie, a ja... – Zamrugnęła szybko, żeby odgonić łzy. – Widziałam, jak patrzy, i pomyślałam wtedy, że jego spojrzenie jest takie normalne.

– Może zauważyłaś ruch źrenicy?

– Może. – Westchnęła ciężko. – Jesteś zmęczony? – powiedziała, z troską spoglądając na twarz Radika. Był blady, a pod oczami miał worki. Próbował tłumić ziewanie, ale coraz częściej zasłaniał usta ręką. – Idź się połóż. Poczuję tu przy nim. – Zerknęła na Karima i pogładziła jego dłoń.

– Nie. – Radik potarł szczękę pokrytą dwudniowym zarostem i naciągnął tak mocno skórę, że aż błysnęła na wydatnych kościach policzkowych. – Nie zostawię go nawet na minutę. Zwłaszcza z tobą. – Nawet nie starał się kryć ze swoją kwaśną miną.

– Nie lubisz mnie – stwierdziła Fabiana.

– Nie. – Potaknął bez namysłu. – Nie lubiłem Viviane i nie lubię ciebie, ale to niczego nie zmienia. – Wzruszył barczystymi ramionami. – Oddałbym za was życie, gdyby Chan mi kazał. Rozumiesz, głupia Polko? Uparłaś się na ten wyjazd, a on cię posłuchał. Ech... – stęknął, z niezadowoleniem kręcąc głową.

– Mogłeś pojechać z nami – wypaliła Fabiana, zła, że nawet nie próbuje zachować pozorów. – Może nic by się nie wydarzyło.

– Chciałem jechać zamiast Chana, ale się nie zgodził – odparł natychmiast,

oburzony tym, że uważa go za tchórza.

– Zgrabna wymówka.

– Gdy ginie chan i jego następca, organizacja ginie razem z nimi. Zaczynają się konflikty, mija pół roku i koniec. Po wszystkim. – Radik bezwiednie zacisnął pięści, jeszcze zły za jej sugestię. – Ale co ty tam wiesz. Jesteś tak samo głupia jak twoja siostra. – Zacisnął wargi, bo miał ochotę splunąć jej w twarz.

– A ty jesteś wstrętny – odcięła się i obróciła głowę, żeby nie patrzeć na jego przebrzydłą gębę.

– Nic nie rozumiesz – zachnął się.

– Niby czego nie rozumiem? – spytała, nadal nie patrząc na niego. – Jest mi cholernie źle. Żałuję, że pojechałam na grób Viviane. Wiem, że to przeze mnie Karim... – Zagryzła wargę. – Ale moja siostra? Możesz mnie obrażać do woli, ale nie ją. Nic ci nie zrobiła.

– Od dnia, w którym zjawiała się w życiu Chana, zaczęło się źle dziać. Obie niesiecie ze sobą nieszczęście, jesteście jak fatum, które wisi nad Chanem. Dopóki któraś z was jest obok, dopóty grozi mu niebezpieczeństwo.

– Jesteś chory z nienawiści – odpowiedziała, starając się nie wybuchnąć płaczem. – A może zazdrościsz, że go kochała?

– Niech szczególnie taka miłość i taka kobieta. Viv go zdradziła – wyznał po chwili. – Zdradzała go już przed ślubem. Po ślubie też. Może teraz pojdziesz, dlaczego...

– Nie wierzę – przerwała mu gwałtownie Fabiana. Dopiero teraz była w stanie wykrztusić słowo. – Zdradziła? Ale jak? Z kim? Przecież tu mieszkała. Alija mówiła, że Viviane nigdy nie opuszczała rezydencji sama. Zawsze ktoś z nią był, Karim albo jego brat. – Wbiła w Radika świdrujące spojrzenie.

– Pomyśl. – Z satysfakcją spostrzegł, jak zbladła, zakryła usta dłonią, a z jej oczu trysnęły łzy. – Tak. Z Serykiem. Zdradzała Chana z jego rodzonym bratem. Nigdy się nie przyznała. Pieprzona... – Zacisnął szczęki, żeby nie zakląć. – To Seryk się przyznał miesiąc po tym, jak Bóg ją ukarał. Byliśmy wtedy w Kazachstanie. W rodzinnej wiosce Chana. Powiedział wszystko, a parę dni później wyzwał Chana na pojedynek.

– Seryk wyzwał Karima?

– Tak. Zachował resztki honoru i wyzwał brata na szable. Pojedynek z Chanem oznaczał śmierć.

– Karim nie chciał go zabić?

– Nie. Wybaczył mu, ale nie mógł zignorować publicznie rzuconego wyzwania. Spotkali się o szóstej. Świtało. Ja byłem sekundantem Chana, a Rachat Seryka. Chan od początku oszczędzał Seryka. Pozwalał mu atakować, znosił prawdziwy grad ciosów. W końcu Seryk nie wytrzymał. Krzyknął, żeby Chan zaczął walczyć. Sprowokował go dopiero, gdy przy nas obraził twoją siostrę.

Powiedział, że była zwykłą bladzią. Chan ruszył na niego, nie pozwalając mu odetchnąć nawet na sekundę. Ciął, wykonywał pchnięcie za pchnięciem, a Seryk z coraz większym wysiłkiem unikał ciosów. Próbował odzyskać inicjatywę, sparował cios i odpowiedział natychmiastową ripostą, ale Chan był szybszy. O wiele szybszy. – Radik z uznaniem pokiwał głową. – W pewnej chwili wytrącił Serykowi szablę, ale kazał mu ją podnieść i walczyć dalej. Seryk zaatakował ostatkiem sił, a wtedy Chan...

– Poddął się?

– Opuścił ręce. Nie sparował ciosu. Gdyby tak postąpił na początku pojedynku, gdy obaj nie byli zmęczeni, na pewno nie przeżyłby tej walki. Dlatego uznałem, że mimo wszystko chciał żyć.

– A Seryk?

– Zastrzelił się tej samej nocy – odpowiedział Radik. Wstał, żeby nalać sobie kubek wody. Zaschło mu w gardle. Dużymi haustami przełykał, drżąc w środku swojego jestestwa. Pamiętał każdą sekundę tego pojedynku, każdą chwilę, zgrzyt metalu o metal, a w końcu głuchy trzask rozłupywanej kości.

– Radik... – Zza jego pleców dobiegł cichy głos.

– Czego chcesz? – Odwrócił się. Z trudem stłumił w sobie uczucie litości, które ogarnęło go przez krótki moment.

– Gdy Karim wyzdrowieje, odejdę. Wrócę do Polski, ale najpierw spotkam się z moim ojcem. Opowiem mu, jak Pietrow... – nie dokończyła. Otarła łzę wiszącą na dole brody.

– Nie składaj obietnic bez pokrycia.

– Przysięgam, że odejdę, ale teraz... – znów spojrzała na Karima – pozwól mi przy nim być.

1 Brian Bailey – fikcyjna postać, bohater powieści *Habbatum*, II części cyklu *Wędrowcy*, autorstwa Augusty Docher.

ROZDZIAŁ 20

Radik musiał przyznać, że mile się rozczarował postawą Fabiany. Myślał, że odpuści, bo postrzegał ją tak samo jak Viviane, jako młodą, głupiutką dziewczynę, płochą i wypełniającą życie zabawami. Mylił się. Od razu zauważyła zmiennościśnieniowy materac, gdy nazajutrz wcześniej rano przysła dotrzymywać towarzystwa Karimowi.

– Po co ten materac? To mu nie zaszkodzi? – Spojrzała podejrzliwie na Radika. – To nim trzęsie.

– Nie możemy dopuścić do powstania odleżyn. Gdy leżysz w bezruchu, w płucach zaczyna zbierać się woda, a mięśnie wiotczeją – wytłumaczył cierpliwie.

– Radik... – przerwała, siadając przy łóżku. Wzięła rękę Karima i ostrożnie podniosła do twarzy. Wtuliła policzek do ciepłego wnętrza dłoni. – Kiedy on się obudzi? – spytała, nie odrywając wzroku od unoszącej się rytmicznie klatki piersiowej.

– Nie wiem. – Stał nad nią z tyłu. – Gorączka spadła.

– Uhm – mruknęła. – Ma chłodne ręce. To dobry znak?

– To znak, że nie ma gorączki – burknął, zniecierpliwiony jej pytaniami, bo sam czuł się jak dziecko we mgle.

Zadzwoił do starego kumpla, lekarza neurologa, też służącego kiedyś w Legii, i spytał, co można zrobić. Ten kazał wezwać ambulans. Kategorycznie odmówił przyjazdu do Cap Martin, choć Radik zaoferował mu ogromną sumę pieniędzy. Domyślał się, w jaki sposób zarabia szef Radika, i absolutnie nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Na szczęście dał się uprosić i udzielił mu kilku cennych wskazówek. Również tę o materacu.

– Gadałem z kimś o jego stanie – przyznał po chwili. – Ten ktoś powiedział, że mamy stymulować jego zmysły. Zwłaszcza w dzień.

– Stymulować? – Fabiana obróciła głowę i spojrzała na Radika.

– Tak. Trzeba mu czytać, mówić do niego, dotykać.

– Rozumiem. – Od razu uniosła kąciki ust. – Przyniosę jakąś książkę i poczytam mu, ale najpierw... – Szybko zamrugała kilka razy. Widać było, że coś rozważa. – Zaraz wrócę. – Opuściła salkę, by pojawić się w niej raptem trzy minuty później. Tyle potrzebowała, żeby wpaść na moment do swojej sypialni, a potem równie szybko odwiedzić bibliotekę. – Nie znalazłam żadnej książki o piratach, ale to powinno mu się spodobać. – Stojąc w progu, wesoło pomachała *Przygodami Hucka Finna*.

– Nie znam. – Radik wzruszył ramionami, bo nie lubił czytać, zwłaszcza dla rozrywki. Uważał to, podobnie jak oglądanie telewizji czy serfowanie w sieci, za marnotrawienie czasu. – Co tak... – przerwał, rozszerzając nozdrza. Dopiero teraz poczuł, że Fabiana czymś się wyperfumowała. Już miał ją zjechać, że nie powinna

zatrzuwać powietrza pachnidłami, gdy uświadomił sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, to on wspomniał o stymulacji zmysłów, a po drugie, doskonale znał ten zapach.

– To perfumy. Karim dał mi je w dniu swoich urodzin – odparła, domyślając się, czemu przybrał taką kwaśną minę. – Jakoś będziesz musiał je znieść.

– W porządku – mruknął bez przekonania. Wątpił, czy te wszystkie zabiegi cokolwiek dadzą, ale chyba pierwszy raz, odkąd poznał Fabianę, poczuł do niej coś na kształt zwykłej ludzkiej sympatii.

– To zacznym – oznajmiła, sadowiąc się przy łóżku Karima. – Trochę niewygodnie, ale dam radę. – Poprawiła się na małym, okrągłym taborecie i otworzyła książkę.

– Poczekaj. – Minęła niecała minuta, a Radik przyniósł jej wygodny, skórzany fotel. – Zabrałem z gabinetu Chana. To jego tron. Może wyczuje jakiś swój znajomy zapach. – Mrugnął porozumiewawczo do Fabiany, wprawiając ją w zdziwienie.

– Gdy chcesz, potrafisz być miły – powiedziała z przekąsem.

– Jak ładnie poprosisz, nauczę cię, jak być miłą – zripostował, żeby nie wyjść na mięczaka, który skacze wokół niej jak piesek.

Dosyć szybko, choć bez entuzjazmu, uznał, że Fabiana ma przyjemny, łagodny głos. Niższy niż Viviane, która swoimi piskami obudziłaby nawet nieboszczyka. Nie mógł słuchać jej falseciku, gdy katowała wszystkich śpiewem. Znosił to tylko przez wzgląd na Chana. Przyniósł do ambulatorium laptopa, urządził sobie tymczasowe stanowisko przy jednym z małych stołów i pogrążył się w pracy. Już znacznie wcześniej miał dostęp do prawie wszystkich kont bankowych, skrzynek mailowych i innych informacji, z których korzystał Chan. Jako jego zastępca, Radik został obdarzony pełnym zaufaniem. Bezpośrednio przed tą nieszczęsną wyprawą na cmentarz Karim uzupełnił jego wiedzę o resztę danych. Podał kody do skrytek i sejfów, zdradził hasła i przekazał listę najtajniejszych kontaktów. Powiedział mu, jak ma postępować, w razie gdyby nie wrócił. Radik nie chciał tego słyszeć, czuł się wtedy jak na odczytaniu testamentu, ale nie sprzeciwił się ani jednym słowem.

Teraz mógł się wykazać. Postanowił, że nie zawiedzie zaufania Chana. „Gdy się obudzi, wszystko będzie tak, jakby to on sam zrobił”. Próbował się skupić, ale jego myśli ciągle uciekały w stronę Fabiany. Złapał się na tym, że zamiast pracować, słucha, jak ona czyta. Na szczęście to nie jedwabisty kobiecy głos go dekoncentrował, a fabuła powieści.

– Przeszkadzam ci? – Szybko zauważyła, że zamiast zająć się pracą, śledzi losy Huckleberry’ego Finna.

– Trochę – mruknął, wsadzając nos w stos papierów przed sobą.

– Może załóż słuchawki? – zaproponowała, sięgając po kubek z wodą. Popijała co jakiś czas, bo zasychało jej w gardle.

- Czytaj – odburknął.
- Jak chcesz, idź do siebie. Jak coś się będzie działo, zaraz dam ci znać.
- Mówiłem, żebyś czytała – odparł.

Wywróciła oczami, myśląc, że to najbardziej gburowaty człowiek, jakiego zna, i wróciła do lektury. Przeczytanie całej powieści zajęło jej dwa dni. Nie miała pojęcia o tym, że Radik zaangażował się całym sercem w losy małego chłopca, bohatera książki Marka Twaina. Jego ojciec sam go wychowywał i też lubił zaglądać do kieliszka, lekceważąc zupełnie restrykcyjne zasady wyznawanej wiary, a co gorsze, uczucia syna.

– Jest kolejna część? – zapytał niby od niechcienia, gdy powiedziała, że po kolacji wybiera się do biblioteki.

– Jest poprzednia i następna. Obie o Tomku Sawyerze. Pamiętasz go?

– Ta... – mruknął, udając, że skupia się na patrzeniu w ekran laptopa.

– Przyniosę obie.

– Okej – potaknął. – Fabiana... – zawołał, zatrzymując ją przy wyjściu.

– Tak? – Popatrzyła na niego.

– Chyba najchętniej jakąś pielęgniarkę. Ktoś musi... – uciął, wyraźnie skrępowany.

– Ja nie mogę tego robić? – spytała, domyślając się, o co mu chodzi. – Powiem Alii, razem zadamy o Karima. Nie chcę tu żadnych obcych kobiet. On też by nie chciał. – Zerknęła z czułością w stronę łóżka.

– Zgoda – odparł po chwili wahania. – Ale tylko ty. Idź, coś zjedz i wróć. Pokażę ci wszystko.

To, że Chan przez jakiś czas odwiedzał sypialnię numer sześć, było tajemnicą poliszynela. Nie wiadomo, kto chlapanął. Czy Rachat, czy ktoś inny, kto miał dostęp do monitoringu rezydencji. Tak czy owak, od Sary i Avril począwszy, a na Gastonie skończywszy, każdy wiedział, że Karim sypiał z Fabianą. Oczywiście nikt nie komentował tego faktu ani słówkiem, jedni z wrodzonej dyskrecji i taktu, a inni ze strachu, że Chanowi nie spodoba się wtrącanie nosa w nie swoje sprawy.

Tylko dlatego Radik przystał na ofertę Fabiany. I tak już widziała Chana w całej okazałości. Na początku miał zamiar obarczyć ją wszystkim, ale po szybkim przemyśleniu sprawy uznał, że kwestie związane z fizjologią zostawi dla siebie.

– Obmyłem go – powiedział, gdy wróciła po niecałej godzinie, i znacząco chrząknął, patrząc na biały ręcznik zasłaniający biodra Karima.

– Aha – mruknęła, też lekko skrępowana sytuacją. – To co mam robić?

– Umyj go i jak chcesz, możesz go wymasować. Mam tu jakąś oliwkę. Alija kupiła – dodał, widząc reakcję Fabiany na elegancką buteleczkę z kosmetykiem wyraźnie dedykowanym kobietom. – I tak lepsza niż niemowlęca, jak te

chusteczki. – Zerknął na paczkę nawilżanych chusteczek przeznaczonych do pielęgnacji dziecięcych pup.

– Jak chcesz, wezmę miskę i myjkę i umyję go normalnie. Wodą z mydłem – zaproponowała, a gdy uśmiechnął się i skwapliwie pokiwał głową, poszła na zaplecze ambulatorium.

Udawał, że nie zwraca uwagi na jej poczynania. Czytał maile, odpisywał, ale i tak co chwilę rzucał wzrokiem na Fabianę. „Całkiem niezłe sobie radzi” – pomyślał, gdy zobaczył, jak sprawnie obmyła Karima. Przyszedł czas na masaż, a Radik z wrażenia zapomniał symulować ciężką pracę. Patrzył jak urzeczony na krzątającą się przy Chanie dziewczynę. Zaczęła od jego rąk. Roztarła w dłoniach oliwkę i przytknęła je do nosa.

– Pomarańcze, cynamon i coś jeszcze... – szepnęła do siebie, ale Radik usłyszał każde słowo.

Przytknęła dłonie do ramion Karima i przesuwała je powoli, delikatnie ugniatając każdy centymetr skóry i każdy mięsień. Gładziła i uciskała, zataczała kółka, wracała do umięśnionego barku i z powrotem wędrowała ku nadgarstkowi. Przeszła na prawą stronę łóżka, żeby poświęcić tyle samo czasu drugiej ręce. Jej usta nabrzmiały krwią, tak bardzo chciała je przytknąć do skóry Karima, obsypać pocałunkami każdy kawałeczek jego ciała. „Czemu stąd nie pójdziesz?” – bezgłośnie spytała Radika. Chciała choć na chwilę zostać sama z Karimem, pozwolić sobie na więcej, pieścić go, jak to sobie kiedyś wymarzyła, jak pieściła go w snach.

Opuszki jej palców musnęły napiętą na bicepsie skórę. „Jak długo jeszcze będzie taki jędrny i twardy? – pytała z bólem w sercu. – Jak szybko śpiączka dokona spustoszeń, a twoje ciało zacznie słabnąć, wiotczeć i...” – nie potrafiła dokończyć. Wsunęła złaknione dotyku palce pomiędzy gąszcz krętych włosów porastających tors Karima. Przeciągnęła nimi aż do obojczyków i wróciła, mijając maleńkie, prawie niewidoczne grudki brodawek. Ledwie je musnęła, a wyprężyły się, stwardniały, powodując u Fabiany jeszcze większy ból w dole brzucha. Nachyliła się nieco bardziej, końce pasm jej włosów prześlizgiwały się po miejscu, gdzie biło serce Karima. Nagle coś w niej pękło.

– Obudź się, proszę... – wyłkała. – Obudź się... – Przytknęła twarz do jego piersi, chcąc usłyszeć bijące serce, mieć dowód, że Karim żyje, że ją słyszy i zaraz coś do niej powie albo wykona jakiś ruch. Mały gest. Cokolwiek. – Ja już nie mogę, rozumiesz? – Zraszała jego ciało łzami, niepomna i obojętna na to, że Radik jest tuż obok, kilka metrów od nich. – Kocham cię, Karim... – Objęła go i przytuliła policzek do jego piersi, wsłuchując się, czy to wyznanie choć odrobinę zmieni rytm bicia jego serca. Niestety serce Karima nie przyspieszyło. Biło nadal w jednostajnym, beznamietnym tempie, pokazywanym na monitorze. Zielona fala unosiła się i opadała, miarowe: pik... pik... pik... dobiegało z głośnika, a tlen

z delikatnym szumem wpadał do płuc Karima.

Przyspieszyło jedynie to męskie serce, które nie mogło wysłuchać błagań Fabiany.

– Dokończysz jutro – powiedział cicho Radik, stając przy łóżku. Przełknął gulę na widok twarzy Fabiany i łez płynących spod przymkniętych powiek. – Idź odpocznij. Ledwie stoisz na nogach – oznajmił, myśląc, że nie docenił sił w niej drzemiących. Czuwała prawie tak samo długo jak on, a przecież była tylko młodą, słabą dziewczyną z Polski, w jego mniemaniu wychuchaną i wypieszczoną przez życie.

– A ty? – Podniosła głowę, ale ciągle nie wypuszczała z objąć Karima.

– Nie bój się o mnie. Przecież mam tu łóżko. – Machnęła głową w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Przepraszam. – Wyprostowała się i szybko otarła łzy rękawem fartucha. – To nie było profesjonalne. – Próbowła się uśmiechnąć, wykrzywiając twarz w bolesnym grymasie.

– Nieważne, jakie było – odparł, chcąc dodać: „Ważne, że prosto z serca”, ale ugryzł się w język z obawy, że Fabiana jeszcze bardziej się rozsypie. Przypomniał sobie jedno z kazachskich przysłów: „Trzeba mieć nadzieję. Smutek jest jak morze – utoniesz w nim bezpowrotnie, upór jest jak łódka – wsiądziesz do niej i przepłyniesz”. – Pomóc ci? – spytał, zakasując rękawy.

Musiał to przerwać, bo jeszcze chwila i...

Bał się. Gdy ją obserwował, z coraz większym niepokojem zauważał, że ten masaż ewoluował, w ciągu kilkunastu minut zmieniając się z niewinnego na dosyć intymny. Nie powinien był tego oglądać, być świadkiem tej chwili, gdy kobieta tak jawnie, słowem i ciałem, okazuje miłość innemu mężczyźnie. Wiedział, że gdyby wyszedł i zostawił ją samą z Chanem, to trwałoby i trwało, dokonując coraz większych spustoszeń w sercu Fabiany. Aż tak jej nie nienawdził, żeby pozwolić na takie cierpienia.

– Dokończę klatkę piersiową, brzuch i uda, a ty rozmasuj nogi od kolan i stopy – polecił, udając, że nic nie widział i nic nie słyszał.

– Dobrze – zgodziła się od razu. Przeszła na tył łóżka i zajęła się stopami Karima. – Chyba nie ma łaskotek? – zapytała po chwili, też posługując się metodą: „Nic się nie stało”. Już jej trochę przeszło. Na szczęście Radik w żaden sposób nie dał jej odczuć, że zrobiła z siebie idiotkę, pozwalając sobie na chwilę słabości.

– Jeśli ma, to raczej dobrze. Może go to obudzi – zażartował, chcąc trochę rozładować sytuację.

– Jest taki wysportowany, a nigdy nie widziałam, żeby ćwiczył – powiedziała po dłuższej chwili. – Ma łydki twarde jak kamień.

– Chan ćwiczy w nocy. Ja też – dodał. – Nawyk z Legii. Budzili nas o drugiej albo o trzeciej, wyginali z namiotów i przez dwie godziny ćwiczyli jak

niewolników. Bieg w pełnym rynsztunku, pompki, skoki. Co tylko chcesz – wystękał, ściskając mięsień udowy Karima. – Na plecach trzydzieści kilo, drugie tyle kombinezon, hełm, buty i broń.

– Karim ćwiczy w nocy? – Potrzęsła głową, tak bardzo ją to zszokowało. Podniosła wzrok, żeby sprawdzić, czy czasami Radik nie robi z niej żartów.

– Ta... – potwierdził. – Godzinę ćwiczy, a drugą pływa, żeby się zrelaksować.

– Ale gdzie?

– Na plaży. Przecież tam byłeś – burknął, zginając i rozginając rękę Karima.

– A w zimie?

– W zimie? – Spojrzał na nią z ukosa. – Tu nie ma zimy.

– Jak to? Gaston mówił, że w tym roku w styczniu jednej nocy było zero stopni i pomarzęły mu jakieś rośliny.

– Zero stopni?

Radik przerwał ćwiczenia i roześmiał się tak głośno, że Fabiana strwożona spojrzała na Karima, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że byłoby całkiem nieźle, gdyby obudził go ten radosny rechot.

– Dostaniesz czkawki – docięła, widząc, jak się składa ze śmiechu. Kilka razy uderzył dłońmi w uda, a potem ostentacyjnie otarł łzy z kącików oczu.

– Zima jest w Kazachstanie. Jak mróz ściśnie, zamarzają wszystkie rzeki. Minus trzydzieści stopni to jest mróz, a nie jakieś tam zero – zakpił, chwytając rękę Karima. Zgiął ją i rozprostował kilkanaście razy, i spojrzał na nadąsaną Fabianę. – Można przywyknąć. Gdy pływasz dzień w dzień, nie zauważasz, że woda coraz chłodniejsza.

– To musi nieźle hartować – zauważyła.

– Ano hartuje, bo kto ma czas chorować? – palnął bezmyślnie. Dopiero po sekundzie dotarło do niego, że tkwią już czwarty dzień w ambulatorium, przy Chanie, który nie daje żadnych oznak poprawy. – Ech... – westchnął. Nie musiał nic więcej mówić. Fabiana zrozumiała go bez słów. Poglaskała ukradkiem wierzch stopy Karima i szybko pocałowała go w duży palec.

– Jutro znów go pomasujemy – powiedziała po chwili. – Będziemy go masować codziennie, a gdy się obudzi... – zamilkła, bo uparte łzy znów cisnęły się do oczu.

– Będzie dobrze – dokończył za nią Radik. – Zobaczysz.

Nie dopuszczała do siebie złych myśli, ale one były równie wytrwałe, jak ona i Radik. W ciągu dnia przyczajone, atakowały w nocy ze zdwojoną siłą. Fabiana pierwszy raz w życiu poczuła potrzebę modlitwy, bo jeszcze nigdy nie doświadczyła tak dojmującej bezradności. Poprosiła Aliję, żeby ta zdobyła dla niej

różaniec. Nie zrażało jej nic, nawet reakcja Radika, który gdy ją ujrzał siedzącą przy łóżku i mamroczącą pod nosem zdrowaśki, z dezaprobatą pokręcił głową.

– Chan jest muzułmaninem. Co ty wyprawiasz, dziewczyno?

– Modlę się. Jak ci przeszkadza, możesz wyjść – fuknęła, nawet na niego nie patrząc.

– To już lepiej mu coś poczytaj.

– Zaraz. Jak skończę. – Przesunęła kolejny paciorek.

Postanowiła odmawiać różaniec trzy razy dziennie. Uspokajało ją to i koło coraz mocniej napięte nerwy. Wszyscy przeżywali chorobę Chana. W rezydencji panowała martwa cisza, jakby ktoś umarł. Nawet Gaston przestał kosić trawę i podlewana systematycznie przez zraszacze wybujala jak nigdy wcześniej.

– To już tydzień – powiedziała Alija, gdy jadły razem śniadanie.

To też się zmieniło. Fabiana wstawała o szóstej, schodziła do kuchni, żeby szybko coś przekąsić. Siedziały i w milczeniu próbowały coś wtłoczyć do ściśniętych żołądków. Ósmego dnia rano Fabiana nie zeszła na parter. Nie dotarła. Skulona, oparta plecami o wannę, płakała rozpaczliwie, bo poprzedniego wieczoru Radik oznajmił, że coś złego się dzieje z układem moczowym Chana. Pokazał jej prawie pusty worek na mocz, a potem obrzęki przy kostkach nóg. „Jeśli do jutra mocz nie zacznie schodzić...” – powiedział, patrząc na nią. „Zawieziemy go do szpitala” – odparła, ale Radik pokręcił głową. „A może do Moskwy? Do tej kliniki, gdzie go kiedyś odratowali?” – zaproponowała, ale Radik powiedział, że Chan nie przetrwa tak długiej podróży.

Chyba zauważył, że się załamała, bo szybko dodał, że ma jeszcze kilka możliwości. Planował sprowadzić do rezydencji kilku lekarzy, już nawet umówił się z jednym, miał przyjechać dzisiaj w południe, ale Radik czuł, że usłyszy dokładnie to samo, co usłyszał ponad tydzień temu od zaprzyjaźnionego neurologa.

– Nie poddawaj się! – załkała Fabiana, kierując te słowa zarówno do siebie, jak i do Karima.

Chciała wstać, ale poślizgnęła się na posadzce i uderzyła łokciem w kant łazienkowej szafki. Nie poczuła bólu, za to dostrzegła, że lekko krwawi. Szybko przeszukała niewielką apteczkę.

– Jest – powiedziała, znajdując plastry. Nagle jej wzrok padł na małe pudełko. Otworzyła. Kolejne lzy zrosiły jej twarz, gdy wyciągała parę kolczyków. – Założę je dla ciebie – wyszeptwała.

Cienkie sztyfty nie chciały wejść w zarośnięte dziurki, więc po prostu wbiła je na siłę i przetarła zakrwawione uszy perfumami, które dał jej Karim. Stała przed lustrem i ocierała a to łzę, a to kropelkę krwi spadającą z płatka ucha. W końcu krew przestała cieknąć. Fabiana wzięła różaniec i poszła do ambulatorium z sercem ciężkim jak nigdy.

– Późno przyszłaś – powitał ją Radik, skupiając się na zmianie wenflonu. –

Nie mogę się wkłuć – westchnął, szukając lepszej żyły. W końcu się udało. Zawiesił na stojaku worek z glukozą i elektrolitami i dopiero teraz popatrzył na Fabianę.

Stała przy drzwiach, bojąc się podejść bliżej. „Boże, spraw, żeby opuchlizna zeszła” – poprosiła w duchu. Postąpiła kilka kroków do przodu, wzięła głęboki wdech i popatrzyła na rękę Karima.

– Chyba... – zająknęła się, nie wierząc w to, co widzi.

– Ta... – potwierdził Radik. – Znów wszystko gra. – Podniósł brzeg prześcieradła, żeby pokazać w połowie wypełniony worek. – No, prawie wszystko.

– Jezu... – jęknęła Fabiana i przystawiła rękę do serca. – Dzięki.

– Co ci się stało? – Radik podszedł bliżej, bo zauważył krew na kołnierzu fartucha Fabiany.

– Ojej... – Spuściła wzrok i odciągnęła brzeg fartucha, żeby stwierdzić, że ubrudził się krwią. – Zakładałam kolczyki. Dziurki zarosły, no i...

– Ładnie ci – przerwał jej Radik – ale zmień ten fartuch.

– Już – odparła.

Odwróciła się, żeby wyjść na zaplecze, gdy dobiegł ich cichy głos. Brzmiał tylko trochę głośniejszy od szeptu.

– Poczekaj, ja też chcę zobaczyć...

ROZDZIAŁ 21

Już nazajutrz po cudownym przebudzeniu Karim próbował wstawać. Na początku szło mu kiepsko, ale z każdą kolejną godziną czuł się coraz lepiej. Radik ostrzegał, że Chan nie powinien tak od razu się forsować, choć miał pełną świadomość, że i tak go nie posłucha.

– Chcę się zobaczyć – zażądał Karim przy zmianie opatrunku.

– To kiepski pomysł – odpowiedział Radik, ale posłusznie przyniósł małe lusterko.

– Monstrum – ocenił Chan po krótkiej obserwacji własnej twarzy. – Załóż bandaż.

– Jasne. – Radik ochoczo zabrał się za owijanie głowy Karima. Musiał przyznać, że miał podobne zdanie. Choć nie raz i nie dwa widział poranionych ludzi, opatrywał znacznie cięższe przypadki i był świadkiem rozlicznych zabiegów operacyjnych, twarz Chana, a zwłaszcza jej górna część, prezentowała się dosyć dramatycznie. – Rozmawiałem z Moskwą – wspomniał o konsultacji z jednym z lekarzy, którzy zajęli się Kasymowem po pojedynku. – Za kilka dni będziesz mógł tam polecieć. Powiedzieli, że im wcześniej, tym lepiej. Trzeba to jakoś ogarnąć, zanim powstaną zrosty.

– Pomyślę o tym później – odburknął bez przekonania Karim. Jeszcze ciągle nie mógł ochłonąć po tym, co ujrzał w lustrze. Świadomość, że teraz naprawdę stał się kaleką, właśnie do niego dotarła i uderzyła jak obuchem. – Co z okiem? – zapytał dla pewności.

– Nie dało się uratować. Odprysk pocisku przebił gałkę i rozwalił ją od środka. Wyczyściłem wszystko. Mam nadzieję, że wszystko. – Radik zmarszczył czoło. – Przykro mi – rzucił sucho. – Zrobiłem, co mogłem.

– Wiem – odpowiedział mu równie beznamiętnie Karim.

Minęło kilka dni. Fizycznie czuł się coraz lepiej. Nic go nie bolało, a w głowie przestało się kręcić przy każdej próbie wstania z łóżka i przejścia kilku kroków. Równe dwa tygodnie od postrzału Radik uznał, że może przekazać Chanowi, co działo się przez tydzień jego niedyspozycji. Rozmawiali w gabinecie, Karim na swoim fotelu, a Radik, stojąc za nim i podsuwając mu do wglądu kolejne dokumenty. Zrobił to szybko i sprawnie, zostawiając na koniec pewną kwestię. Przeszedł na drugą stronę biurka i usiadł naprzeciwko Chana.

– Dzień przed tym, jak wróciłeś do nas – zagaił – przyjechał tu Wilczyński. – Spojrzał na Chana, żeby szybko stwierdzić, że jego twarz zmieniła wyraz z obojętnej na spiętą. Chociaż prawie pół głowy opasywał bandaż, wystarczyło spojrzeć na mięsień drgający na linii szczęki i zaciśnięte w wąską linijkę usta. – Nie wpuściłem go do budynku. Kazałem mu odprawić obstawę i zaprosiłem do stróżówki.

– Pytał o mnie?

– Tak. Powiedziałem, że go nie przyjmiesz.

– Czego chciał? – Karim drgnął nerwowo, myśląc, że zaraz usłyszy o roszczeniach Wilka, żeby wydać mu Fabianę, której swoją drogą prawie wcale nie widywał. Raz dostrzegł przez okno, jak rozmawia z Gastonem, i aż ścisnęło mu żołądek, gdy przechwycił jej pełne bólu i udręki spojrzenie, gdy ona też go zauważyła.

– Powiedział, że po śmierci Pietrowa przeprowadził małe wewnętrzne śledztwo. Okazało się, że Pietuszka – wykrzywił się z odrazą – nieźle bruździł, a Wilk dopiero teraz odkrył, na jaką skalę to się odbywało.

– Pietrow budował swoją grupę?

– Tak. Przekabacił kilkunastu żołnierzy i szykował się do przejęcia władzy. Mogę tylko przypuszczać, z jakich powodów skupił się na walce z nami, bo prawie wszystkie problemy, które mieliśmy z grupą Wilka, były inspirowane przez Pietrowa, bez wiedzy i zgody bossa.

– Rozumiem. – Karim przytknął dłonie do twarzy i mocno roztarł stężałe z napięcia mięśnie.

– Wilk czuł, że ktoś pod nim ryje, i od jakiegoś czasu obserwował dyskretnie Pietrowa. Przy ostatniej akcji... – Radik chrząknął – Pietrow miał na sobie podsłuch. Szczwany lis z tego Wilka – zażartował, żeby choć trochę zmniejszyć napięcie.

– Opowiedział ci, co się stało?

– Nie. Zresztą dałem mu kwadrans, więc nie miał czasu na pogaduszki. Życzył ci zdrowia i kazał powiedzieć, że czeka na spotkanie.

– Nie wspomniał o swojej córce? – Karim przełknął ślinę.

– Wspomniał. Pietrow planował ożenek z Fabianą. Miała mu pomóc w całkowitym przejściu grupy Wilka. – Radik popatrzył na zacisnięte mocno usta Chana. Nie umknęło mu, jak zbieleły po jego słowach. – Wilczyński oświadczył, że nie chowa urazy do ciebie i w pełni akceptuje wolę swojej córki, jaka by nie była. On... – uciął, szukając w głowie odpowiedniego sformułowania.

– Jest na ostatniej prostej – poddał mu Chan.

– Tak. To już koniec.

– Chcę porozmawiać z jego córką – powiedział po chwili Karim. – Wezwij ją i dopilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Przed godziną opuściła Cap Martin – odparł Radik i bezwiednie zacisnął szczęki w oczekiwaniu na wybuch gniewu.

Zapadła cisza. Mierzyli się wzrokiem niczym dwaj szermierze przed pojedynkiem. W końcu Karim rozciągnął twarz w uśmiechu, bo rozbawił go strach, który dostrzegł w oczach Radika.

– Chcę porozmawiać z Fabianą. Dzisiaj – powiedział, patrząc na zegarek. –

Masz niecałe pięć godzin.

Fabiana zmięła w dłoni bilet do Warszawy i rzuciła go gdzieś za siebie. Ciągnąc za sobą niewielką walizkę, poszła w stronę kas i stanęła w krótkiej kolejce. Jej serce łomotało tak głośno, że czuła je w gardle. Przełknęła ślinę. Szybkim ruchem potarła policzek, wzięła kilka głębokich wdechów, bo niski, krępy mężczyzna przed nią właśnie odchodził od okienka, i uśmiechnęła się blado do rudego młodzieńca obsługującego to stanowisko.

Parę minut później zmierzała w stronę poczekalni. Najbliższy lot do Moskwy, na dodatek z przesiadką w Barcelonie, wypadał dopiero za dwie godziny. Nie martwiła ją cena biletu, wszak w kieszonce jej starej torebki skrywało się prawie dziesięć tysięcy euro, a w portfelu karta z dostępem do konta, gdzie Radik wpłacił dziesięciokrotność kwoty wypłaconej w gotówce.

– To pieniądze od Karima? – spytała go, gdy wręczył jej kartę i kopertę wypchaną banknotami.

– Tak – skłamał gładko. Nawet jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Nie miał oporów, wprowadzając ją w błąd, bo zasadniczo ta forsa rzeczywiście pochodziła z rąk Chana i stanowiła zaledwie ułamek sumy, którą otrzymał Radik przez kilka lat wiernej służby. – Kupiłem ci bilet. Za chwilę Rachat odwiezie cię na lotnisko i jeśli chcesz, poczeka z tobą, bo samolot do Warszawy odlatuje dopiero za trzy godziny – powiedział, zerkając dla pewności na zegarek.

– Nie mogę pożegnać się z Aliją? – spróbowała ponownie. Od razu, gdy powiedział, że zgodnie z własną obietnicą ma opuścić rezydencję, pomyślała, że drugi raz okrutny los resetuje jej życie. Jak miała teraz żyć? Bez Alii? Przecież kochały się jak siostry. Zresztą nie tylko do niej wyrywało się serce Fabiany.

– Nie – odpowiedział stanowczo Radik. – Żadnych łzawych pożegnań. Zejdiesz do samochodu i odjedziesz. Powinnaś jak najszybciej zapomnieć o tym wszystkim. – Rozejrzał się wokół, tocząc wzrokiem po sypialni panny Czekaj. – Dla dobra twojego i Chana. Dostałaś środki, które ułatwią ci nowy start. Gdybyś potrzebowała więcej, w kopercie masz karteczkę z adresem e-mail. Napisz, pomyślę, czy da się coś zrobić. W torebce są dokumenty, również paszport. Jest sfalszowany, ale na twoje prawdziwe dane. Możesz śmiało go używać.

– A mój... – urwała. – A ten człowiek?

– Twój ojciec porozumiał się z Chanem. Już koniec ich konfliktu. Ciebie też nie zamierza niepokoić. Masz słowo Chana, Wilka i moje. – Przyłożył na moment dłoń do serca. – Chyba że sama zechcesz nawiązać z nim kontakt. W walizce – wskazał spojrzeniem jej bagaż – są wszystkie twoje rzeczy zabrane ze starego mieszkania, między innymi laptop i dwa aparaty telefoniczne – oznajmił spokojnym, beznamiętnym tonem. – Tymona i twój osobisty. Sprawdziłem, nadal

w kontaktach masz numer do Dżamili Tujakbaj. Na pewno pamiętasz tę damę. – Skrzywił się. – To twoja macocha. Żona Wilczyńskiego – dodał, widząc, jak zaskoczyła ją ta informacja. – Zadzwońisz i w pięć minut połączysz się z ojczulkiem.

– Dżamila? – Pokręciła głową. – Nie wierzę.

– To uwierz.

– Dlaczego wtedy ustąpiła? Pozwoliła wam mnie uprowadzić?

– Dżamila ma dorosłą córkę, może liczyła, że Wilk właśnie jej przekaże swoją fortunę? – Radik wydał usta, bo mało go już obchodziła ta sprawa. – Dobra, koniec tej pogawędki. Zbieraj się.

Ustąpiła. Założyła gruby sweter, bo chłód w głosie Radika zmroził całe jej jestestwo, i wyszła za nim bez słowa.

Znalazła spokojne miejsce w rogu poczekalni, skryła się za wysokim, betonowym kwietnikiem, obsadzonym nieco zaniedbanymi roślinami, i opadła na fotel. Jej wzrok od razu trafił na uschniętą w połowie gałązkę małej ketmii. Dwa listki zwisały smętnie z cieniutkiego badyłka i chwiały się lekko, poruszane konwekcją powietrza. Przypomniała sobie, jak Gaston rozpieszczał każdą, nawet najmniejszą roślinkę, i łzy znów wypełniły jej oczy po brzegi. Pociągnęła nosem. Czuła się tak strasznie samotna i nieszczęśliwa!

Próbowała przypomnieć sobie nazwy tych wszystkich miejsc, o których opowiadał jej Karim. Zapragnęła je odwiedzić, zobaczyć jezioro Kajyngdy, zaczerpnąć powietrza pachnącego kazachskim stepem i przemierzyć go konno, dotrzeć do Alтын Emel, powitać wschodzące słońce i umrzeć tam z rozpaczy, bo ktoś odtrącił jej miłość. Zdawała sobie sprawę, że sugestia Radika, żeby zapomnieć jak najszybciej o pobycie w Cap Martin, miała sens, ale Fabiana nie liczyła na zbawienne działanie czasu. „Czas nie goi ran – powtarzała nieraz jej matka. – Nie zabliznia ich. Czas jedynie pozwala nam przywyknąć do bólu po stracie”.

Tak właśnie było. Wiedziała, że nigdy nie zapomni Karima, nie wydrze z serca uczucia, które choć niepotrzebne, zakiełkowało bez jej woli i zgody i wypełniło je po brzegi. Wsparła skroń o filar i przymknęła oczy. Pod powiekami migały obrazy, a wspomnienia i chaotyczne myśli krążyły w głowie, nie chcąc choćby na chwilę dać jej odpocząć od dojmującego żalu, że to już koniec. Przestała się łudzić, że Karim darzył ją choćby w połowie takimi uczuciami jak ona jego. Była tylko przygodą, kochanką i polisą ubezpieczeniową. Teraz, gdy jej ojciec pogodził się z Karimem, ten już nie potrzebował Fabiany, zakładnika gwarantującego mu bezpieczeństwo. Zakładnika miłości też nie.

Nagle drgnęła, bo usłyszała w głośniku swoje imię i nazwisko. Ktoś przekreślił to ostatnie i brzmiało jak wymówione twardo, z niemiecka, „Tschekaj”. Kobieta powtórzyła komunikat po angielsku i rosyjsku, a potem jeszcze raz po francusku.

– Panna Fabiane Tschekaj proszona jest pilnie na stanowisko... – podała raz jeszcze informację.

Adresatka zastygła ze strachu. „Wilk” – pomyślała. Nawet nie drgnęła, nie otworzyła oczu, udając, że śpi, ale w jej głowie rozszalało się tornado myśli. Co zrobić? Żałowała, że wyrzuciła bilet na lot do Warszawy, bo przed chwilą ostatni raz wołali pasażerów. Zdążyłyby. Rozważała, czy opuścić lotnisko i czy jej ojciec już wie, gdzie postanowiła lecieć, gdy w głośniku znów wybrzmiał komunikat, a chwilę później, ku własnemu przerażeniu, usłyszała go tuż nad głową.

– Panna Fabiane Tschekaj? – zapytała wysoka, szczuplutka blondynka, stojąca obok ryżawego chudzielca, który sprzedał jej bilet na lot do Moskwy.

– Tak – potwierdziła, udając, że jest rozieszpana. Musiała dać sobie choć kilka sekund do namysłu, więc ziewnęła kilka razy i potarła policzki dłońmi. – O co chodzi? – spytała, tłumiąc w sobie chęć, żeby wyprysnąć z fotela, minąć personel lotniska i uciec stąd jak najdalej.

– Pani bilet, zgodnie z pani wolą, został anulowany – powiedziała kobieta i spojrzała na biletera. Ten od razu skłonił głowę i odszedł, bo spełnił już swoją rolę.

– Ach tak? – mruknęła Fabiana. – Anulowałam bilet. Ech, ta moja kiepska pamięć. – Pokręciła głową.

– Proszę podejść ze mną do biura, tam wyjaśnię, jak załatwić zwrot pieniędzy, bo płaciła pani gotówką.

– I po co to przedstawienie? – zachnęła się Fabiana. Rozejrzała się wokół. Nikt nie mógł usłyszeć ich rozmowy, zresztą ona sama wybrała to ustronne miejsce. – Nie pójdę do żadnego biura.

– Panno Tschekaj... – Blondynka przymrużyła oczy i lekko obróciła głowę, żeby Fabiana mogła się zorientować, że ma wsparcie w postaci dwóch ochroniarzy. Stali kilka metrów dalej i ze spokojem obserwowali sytuację.

Fabiana parsknęła śmiechem, nie wierząc w to cholerne *déjà vu*, które znów się jej przytrafiło.

– Okej, prowadź – prychnęła, wstając z fotela. Spojrzała na walizkę i wskazała na nią brodą. – Zabierz ją – poleciła, uznając, że jako córka Wilka, wielkiego bossa, gangstera, zleceniodawcy blondyneczki i jej ekipy, ma prawo oczekiwać od nich pełnego pakietu usług.

Wyszli na zewnątrz, ktoś włądował walizkę Fabiany do bagażnika, a ona sama bez słowa sprzeciwu wsiadła do tyłu samochodu. Nie miała pojęcia, gdzie jedzie z milczącym kierowcą i jakież było jej zdumienie, gdy pokonali zaledwie kilkaset metrów, żeby zaparkować tuż przy prywatnym odrzutowcu.

Fabiana spojrzała na umundurowanego przystojniaka, który właśnie otwierał jej drzwi.

– O co chodzi? – spytała zaskoczona obrotem wydarzeń.

– Zapraszam. – Mężczyzna zasalutował i wskazał jej schodki wiodące na pokład samolotu.

– Chwileczkę – powiedziała, zerkając to na niego, to na kierowcę, który wyjął z bagażnika walizkę i czekał w gotowości na sygnał, że ma ją wnieść do samolotu. – Gdzie mam lecieć? Nie wsiądę, dopóki nie poznam celu podróży. – Zaciśnęła usta i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Do Moskwy – odpowiedział natychmiast kapitan Vigier, jak przeczytała z małej wszywki na jego piersi.

– Do Moskwy? – spytała, z politowaniem kiwając głową.

– Tak. Lot w komfortowych warunkach i bez przesiadek.

– Kuszące – wycedziła słodko. Spojrzała na samolot. Wyglądał imponująco. Nowoczesny i luksusowy, nawet na pierwszy rzut oka laika, jakim była. Pomalowany na biało, ale z ogonem i końcami skrzydeł pokrytymi malunkiem przedstawiającym wiernie płomień wyglądał jak ognisty ptak. – Wszystkim pasażerom fundujecie taką możliwość?

– Tylko wyjątkowym. – Kapitan Vigier błysnął zębami.

– Czyj jest ten samolot? – zapytała, nie licząc na odpowiedź.

– Właściciel dotrzyma pani towarzystwa – odparł, podając jej ramię.

Pomyślała, że to jakaś kompletna farsa, ale musiała przyznać, że nie czuła ani odrobiny strachu przed konfrontacją z TYM człowiekiem. Już się nie bała. Cóż gorszego niż rozstanie z Karimem mogło ją spotkać? Wzięła głęboki wdech, wsunęła rękę pod ramię Vigiera i poszła stawić czoła nowej rzeczywistości.

Na chwilę przestał oddychać. Chciał mieć absolutną pewność, że ciche kroki, wygłuszone grubym dywanem, należą właśnie do niej. Siedział w salonce, przy oknie, tyłem do wejścia, zasłonięty wysokim oparciem fotela, żeby go wcześniej nie zauważyła. Nie mógł stracić okazji, by po mimice twarzy i mowie jej ciała poznać, co tak naprawdę do niego czuje. Nienawiść, żal, a może coś innego?

Przygotował się, zastygł w bezruchu jak wąż czyhający na swoją ofiarę. Usiadła na fotelu naprzeciwko i dopiero wtedy go dostrzegła.

– To ty? – wykrztusiła, natychmiast przykładając dłoń do ust.

Dziękował Bogu, że pozostawił mu choć jedno oko. Mógł zobaczyć cały wachlarz uczuć, które odmalowały się na jej twarzy. Zbladła, by w mgnieniu oka pokraśnić aż po cebulki włosów. Opuszki jej palców zadrżały, gdy podniosła rękę, żeby przeczesać opadające na twarz kosmyki.

– Zapnij pas, zaraz startujemy – powiedział, z trudem panując nad drżeniem głosu. Z policzków Fabiany zaczęły skapywać pierwsze łzy. Otarła je niecierpliwie i drgnęła nerwowo na siedzeniu. Wyglądało to tak, jakby chciała wstać i wyjść, ale posłusznie sięgnęła po pas.

Cicho kliknęły zamki. Karim zerknął na zegar wiszący nad przejściem do

kolejnej części odrzutowca. Dochodziła dziewiąta. Kapitan Vigier uruchomił silniki. Niski, basowy pomruk wyparł tylko odrobinę nieznośnej ciszy panującej między dwójką pasażerów.

– Będziemy startować z innego pasa – powiedział Karim.

– Uhm – mruknęła Fabiana i spojrzała przez okienko, by choć przez chwilę nie widzieć twarzy Karima.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbiły się od szklanej elewacji okrągłego budynku lotniska i oblały jej twarz czerwoną poświatą, ale nie poczuła ich ciepła. Jej serce, zmrożone na kamień, bardziej przypominało teraz kryształ, twardy i jednocześnie kruchy, tak bardzo inny niż tętniący życiem, ludzki mięsień.

– Nie warto starać się za dwoje, zabiegać o wzajemność i pielęgnować własną, jednostronną miłość. To nigdy nie wychodzi, bo nie da się latać z jednym skrzydłem – powiedziała beznamiętnie. Odwróciła wzrok i spojrzała na zaszępionego Karima. – Po co to wszystko? – Przesunęła wzrokiem po luksusowym wnętrzu salonki. – Dlaczego mnie tu sprowadziłeś? Już nie jestem ci potrzebna. – Wróciła spojrzeniem. Nadal miał zabandażowane pół głowy, ale zakrył częściowo opatrunek cienką, czarną czapką.

– Lecimy do Moskwy. Przecież to cel twojej podróży.

– A twój? Jaki jest twój cel? – zapytała. Nie zamierzała wyprowadzić go z błędu i powiedzieć, że jej celem jest Kazachstan. Jak wypadłaby w jego oczach, już i tak żałosa ze swoją jednostronną miłością?

– Odzyskać polisę.

– Polisę? Niepotrzebna ci polisa na życie.

– Owszem. Ta na życie już nie, ale ta na szczęście, na miłość...

– Nic nie rozumiesz – przerwała mu z goryczą.

Znów zapadło milczenie. Oboje drgnęli nerwowo, gdy w drzwi salonki zapukała stewardessa. Przyszła, by powiedzieć, pasy. Zaproponowała coś do picia, ale Karim odesłał ją ruchem ręki. Przesiadł się na fotel obok Fabiany i wziął głęboki wdech. Przez chwilę zerkał na nią z ukosa. W końcu się odważył, wysunął rękę i po chwili zamknął zimną dłoń Fabiany w swoich dłoniach.

– Dlaczego Moskwa? – zapytał.

– A dlaczego nie? Miejsce jak każde inne – odparła, uciekając przed nim wzrokiem.

– Bo nie ma bezpośrednich lotów do Ałmaty? – domyślił się.

Już miał dodać, że i tak nici z wycieczki, bo bez wizy nie mogła zwiedzać Kazachstanu, ale ugryzł się w język. „Po co jej ta wiedza, gdy ty jesteś przy niej?”

– Dlaczego Moskwa? – powtórzyła jego pytanie po chwili namysłu. – Bo tam znajduje się klinika, w której kiedyś wyleczyli twoje oko?

– Tym razem nie wyleczą. Jestem kaleką. Jeszcze się z tym nie pogodziłem – wyznał z oporami. – Mogłabyś zakochać się w kalece? W oszpeconym mężczyźnie

z jednym okiem i z sercem, które kiedyś...

– Przestań – nie pozwoliła mu dokończyć. Spojrzała na niego. Prześlizgiwała oczami po twarzy Karima, nie pomijając najmniejszego fragmentu i myśląc, że ponad wszystko chciałaby dotknąć każdego centymetra jego skóry. – Kiedyś zakochałam się w kalece. Myślałam, że mój wybranek jest kaleką. I miałam rację. Nie widział tego, co najważniejsze. A zresztą – zamilkła na chwilę – każdego da się pokochać. Póki w piersiach bije serce – dodała niemalże bezgłośnie. – I póki ktoś chce być kochanym.

– Miałem niedawno dziwny sen – zaczął równie cicho. – Byłem w miejscu, gdzie przebiega granica między ciemnością a światłem. Nie ma powrotu, gdy ją przekroczysz. Ta jasność była czymś najwspanialszym, czego doświadczyłem. Ciepła, bezpieczna. Czuję wszechogarniającą miłość. I wtedy usłyszałem moją matkę. Wołała mnie. Prosiła, żebym do niej przyszedł. – Przełknął ślinę, widząc, jak zmieniła się twarz Fabiany, gdy powiedział słowo „matka”. – Wołała mnie, a ja już wcześniej podjąłem decyzję, że pójdę do niej, ale coś mi przeszkadzało. Gdy miałem postąpić pierwszy krok, nagle dotarł do mnie dziwny szmer. Uparty i natrętny. To był czyjś głos. Powtarzał jakieś słowa, zdania, a ja nie wiedziałem, co znaczą. I wtedy moja matka powiedziała: „To modlitwa, synku. Ktoś, kto cię bardzo kocha, modli się o twoje zdrowie”.

– Karim... – Fabiana znów przysłoniła usta dłonią.

– Zdrowasz Mario... – wyszeptał. – Zawróciłaś mnie z drogi. Już rozumiesz, dlaczego nigdy nie pozwolę ci odejść? – Nie odpowiedziała. W jej zaszklonych oczach dostrzegł cię smutku. – Masz do mnie żal. I słusznie. Wycofałem się, bo ciężko mi było uwierzyć, że mnie pragniesz. Nawet gdy byliśmy razem, a co dopiero teraz. – Poprawił brzeg bandaża. – Wiem, jak wyglądam.

– Unikalesz mnie – powiedziała ze szczerym żalem w głosie. – Zostawiałeś samą. W nocy byleś czuły, a za dnia mogłam dla ciebie nie istnieć. Tak samo było teraz. Znikłam, a ja...

– Przepraszam – odpowiedział. Jego twarz sposepniała. – Dopiero uczę się ciebie. – Obrócił się na fotelu, żeby lepiej ją widzieć. Podniósł dłoń i delikatnie odsunął pasmo włosów z jej czoła. – Daj mi wskazówkę, pokieruj, powiedz, czego pragniesz.

– Nie umiem tak – odparła po chwili.

– Wiem, że kiedyś mnie nienawidziłaś. Miałaś prawo. Gdy wspomnę, jak podle się z tobą obchodziłem... – przerwał, czując wstyd dławiący w gardle. – To była obrona. Daremna, bo i tak przegrałem. – Nagle wstał i wyciągnął do niej prawą dłoń. – Chodź.

Zaprowadził ją do pomieszczenia obok. Wszedł za nią, zamknął drzwi i powiodł za rękę. Usiadł na brzegu łóżka, a Fabianę usadowił na kolanie. Jego silne ramię otuliło jej plecy.

– Kocham cię – wyznał, schylając się lekko, żeby ucałować jej dłoń. – Również za to, że jeszcze niedawno byłem pewien, że już nigdy nie powiem tego żadnej kobiecie. Kocham i pragnę. Chcę spędzić z tobą każdą minutę życia. A ty? Chcesz mnie jeszcze? Czy kiedyś mi wybaczysz? – Spojrzał na nią.

– Karim... – szepnęła – przysięgnij, że...

– Dla ciebie wszystko. Przysięgam – powiedział, ujmując w dłoń jej zapłakaną twarz. Zlizał słone krople z jej warg, myśląc, że właśnie doświadcza najpiękniejszej chwili w swoim życiu, a gdy objęła go ramionami, poczuł, jak wypełniło się ostatnie puste miejsce w jego sercu.

EPILOG

Pojutrze opuszczamy Kazachstan. Będę tęsknił jak zawsze, choć byliśmy tu prawie miesiąc. Mój pierwszy tak długi urlop. Dwadzieścia dziewięć dni spędzonych z Fabianą. Już wiem, że nie mógłbym bez niej żyć. Zauważyła, że na nią patrzę, i naciągnęła kaptur bluzy, a nos i brodę skryła za wysokim kołnierzem. Siedzi, obejmując dociśnięte do piersi kolana, i wygląda tak zabawnie, że parskam śmiechem.

Zaczął się wrzesień. W kanionie szaryńskim w ciągu dnia temperatura szybkuje do trzydziestu, czasem trzydziestu paru stopni, żeby w nocy spaść o dwadzieścia. Jest dosyć ciepło, ale Fabiana to zmarzluch. Sięga po moją bluzę, składa ją w zgrabną kostkę i wsuwa pod pupę, a przecież siedzi na grubym pledzie.

– Zimno ci? – pytam, wstając z kamienia. Sięgam po grubszy konar. Pęka z łatwością. Wrzucam do ogniska kawałki suchej jak pieprz sosny, otrzepuję dłonie o spodnie i siadam przy Fabianie. – Czemu nic nie mówisz? – Nachyliam się i trącam ją nosem w skroń. – Hej, mała. – Zdejmuję jej kaptur i odsuwam krawędź bluzy, żeby odsłonić jej śliczną twarzyczkę. – Nie maskuj się tak, moja piękna, bo to ja jestem bestią, nie ty – żartuję.

Odwraca głowę i patrzy w stronę obozowiska chłopaków. Słyszę, jak Ruslan się śmieje. Pewnie znów opowiada jakieś wyssane z palca historyjki o swoich miłosnych podbojach. Muszę go sowicie wynagrodzić. Spisał się. Przyleciał do Ałmaty nazajutrz po naszym wyjeździe z Cap Martin. Wszystko zorganizował, dwóch przewodników, którzy od tygodnia wożą nas jeepami po Ałtyn Emel, też. Cała trójka śpi w samochodach, a ja i Fabiana w namiocie, choć czasami jest tak duszno, że kładę się przed wejściem, a wtedy moja pani mówi, że jestem jak pies.

Dla niej mogę być psem. Wszystkim mogę być. I na wszystko przystaję. Nie kochamy się, bo „w namiocie wszystko słycać”. Zresztą Fabiana i tak nie ma sił, a ja serca, żeby do czegoś ją zmuszać czy namawiać. Wieczorami jest zmęczona, zwłaszcza ostatnio. Pada jak kawka o dziewiątej, a czasem nawet o ósmej, i śpi dwanaście godzin.

– Jesteś smutna, bo wracamy? – Przytulam ją i przez chwilę kołyszę lekko, jak dziecko. Nadal milczy, więc podnoszę ją i sadzam na kolanach. – Jak chcesz, oleję tę Moskwę. Zostaniemy tu jeszcze miesiąc – proponuję.

Za trzy dni mam się stawić w prywatnej klinice, u doktora Bailey'a. Ledwie pokazałem mu się na oczy, a już chciał mnie brać pod nóż. Powiedział, że potrzebuje co najmniej sześciu tygodni, żeby doprowadzić moją gębę do jako takiego porządku. Czekają mnie trzy, może cztery zabiegi operacyjne, nowa wstawka do łba i oczywiście proteza oka. Tym razem będę ją musiał nosić, a nie trzymać w pudełku jak dzieci trzymają szklane kulki.

– Jednooki i niemowa – kwituję.

– Karim... – bąka nieśmiało Fabiana.

– Tak? – Nachylam się, bo prawie jej nie słyszę. Wiatr świszczy w załomach skał, chłopaki bawią się coraz głośniejszymi, pewnie golnili sobie po butelce kumysu, a w ognisku strzelają drwa.

– Tu jest tak pięknie... Jestem szczęśliwa jak nigdy, bo jesteś ze mną, ale... musimy wracać – mówi, wprawiając mnie w lekkie zaskoczenie.

– Jeszcze parę dni temu marudziłaś, że chcesz tu zostać na zawsze – przypominam jej.

– Wiem, ale... – Spuszcza głowę.

– Tęsknisz za Aliją? – podsuwam.

– Też. Bardzo.

– Przecież obiecałem, że ściągnę ją do Moskwy. Będzie z nami przez całe sześć tygodni.

– Wiem – kapie słówkami.

– Coś się stało? – Zaczynam się niepokoić. – Uraziłem cię czymś?

– Nie – zaprzecza od razu. – Dobrze, że wracamy, bo... – Nagle chwytając moją dłoń i przykładając ją do swojego brzucha. – Karim, ja...

Czuję, jak moje serce staje na moment. Biorę głęboki wdech i już wiem, co chce mi powiedzieć. Dopiero teraz dociera do mnie, że nie mieszkowała przez cały nasz pobyt w Kazachstanie.

– Bierzesz tabletki? – pytam, żeby mieć absolutną pewność.

– Nie. Spuściłam je w toalecie, jeszcze w Cap Martin – wyznaje takim tonem, jakby kogoś zabiła. – Nie zażyłam ani jednej.

Przez chwilę patrzę na nasze dłonie spoczywające na jej brzuchu i czuję, jak z serca rozlewa się gorąca fala i obejmuje mnie całego. Zabieram rękę, wsuwam pod krawędź bluzy Fabiany i niecierpliwie szukam dostępu do jej ciepłej skóry.

– Gdzie twój...

– Nie noszę od paru dni, bo mnie uwierał – tłumaczy brak stanika, zerkając czujnie w stronę chłopaków, czy aby nas nie obserwują.

Nie mam głowy do tego, żeby znów jej tłumaczyć, że nasza świta jest bardzo dyskretna. Obejmuję dłonią jej pierś. Od razu zauważam różnicę, bo ostatni raz kochaliśmy się prawie tydzień temu. Zaciskam palce. Pierś mojej ukochanej jest gorąca i pełna. Inna niż przedtem. Pojawia się znajomy ból w dole brzucha.

– Jesteś na mnie zły? – szepcze, najciszej jak można szeptać.

Nie odpowiadam. Zadzieram wysoko głowę i patrzę w rozgwieżdżone niebo. Moja dusza nie mieści się w piersiach. Rozsadza mnie szczęście. I wtedy w ognisku strzela jakaś szczapa przesycona żywicą i niczym fajerwerki wypełnia nieboskłon snopem ognistych iskier.

– Dziękuję...

1 Kanion rzeki Szaryn, położony w południowo-wschodnim Kazachstanie,

blisko gór Tien-szan.

Kryształowe serca

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-781-2

© Augusta Docher i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Barbara Kaszubowska

KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski, Małgorzata Szymańska

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacztyani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



